REPORTAŻ

Jacek Hugo-Bader

Dzienniki kołymskie

Jacek Hugo-Bader

Dzienniki kołymskie

Wołowiec 2012

WYDAWNICTWO CZARNE SP. z o.o. www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl, iza@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: Beata Motyl, mtm Firma ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: D2D.pl ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52 e-mail: info@d2d.pl

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografia na okładce oraz fotografie wewnątrz tomu © by JACEK HUGO-BADER

Copyright © by JACEK HUGO-BADER, 2011

Redakcja JUSTYNA WODZISŁAWSKA

Korekty ZUZANNA SZATANIK, MAGDALENA KĘDZIERSKA / D2D.PL

Projekt typograficzny, redakcja techniczna i skład ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-381-4

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o. virtualo.eu

Spis treści

Dedykacja

Szamanka Dora – zamiast wstępu

Część I Syndrom milczenia

- Dzień I Magadan nad Morzem Ochockim
- Dzień II Armań. 52 kilometry na zachód od Magadanu
- Dzień III Magadan
- Dzień IV Magadan
- Dzień V Magadan
- Dzień VI Oła. 30 kilometrów na wschód od Magadanu
- Dzień VII Snieżnyj. 21. kilometr Traktu Kołymskiego
- Dzień VIII 23. kilometr Traktu Kołymskiego
- Dzień IX Stiekolny. 65. kilometr Traktu Kołymskiego
- Dzień X Sokoł. 49. kilometr Traktu Kołymskiego
- Dzień XI Sokoł. 49. kilometr Traktu Kołymskiego

Część II Syndrom pola walki

Dzień XII W tajdze. 22 kilometry na południe od 438. kilometra Traktu Kołymskiego

Dzień XIII W tajdze. 22 kilometry na południe od 438. kilometra Traktu Kołymskiego

Dzień XIV Debin. 448. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XV Debin. 448. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XVI Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XVII Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XVIII Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XIX Burchała. 557. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XX Susuman. 626. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXI Susuman. 626. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXII Bolszewik. 663. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXIII Miaundża. 705. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXIV Miaundża. 705. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXV Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXVI Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXVII Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXVIII Ruczaj Szamana. 1459. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXIX Chandyga. 1605. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXX Czerkioch. 1781. kilometr Traktu Kołymskiego

Część III Syndrom towarzysza podróży

Dzień XXXI Czierkioch. 1781. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXII Czurapcza. 1831. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXIII. Czurapcza. 1831. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXIV Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXV Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXVI Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Annie i Tomkowi

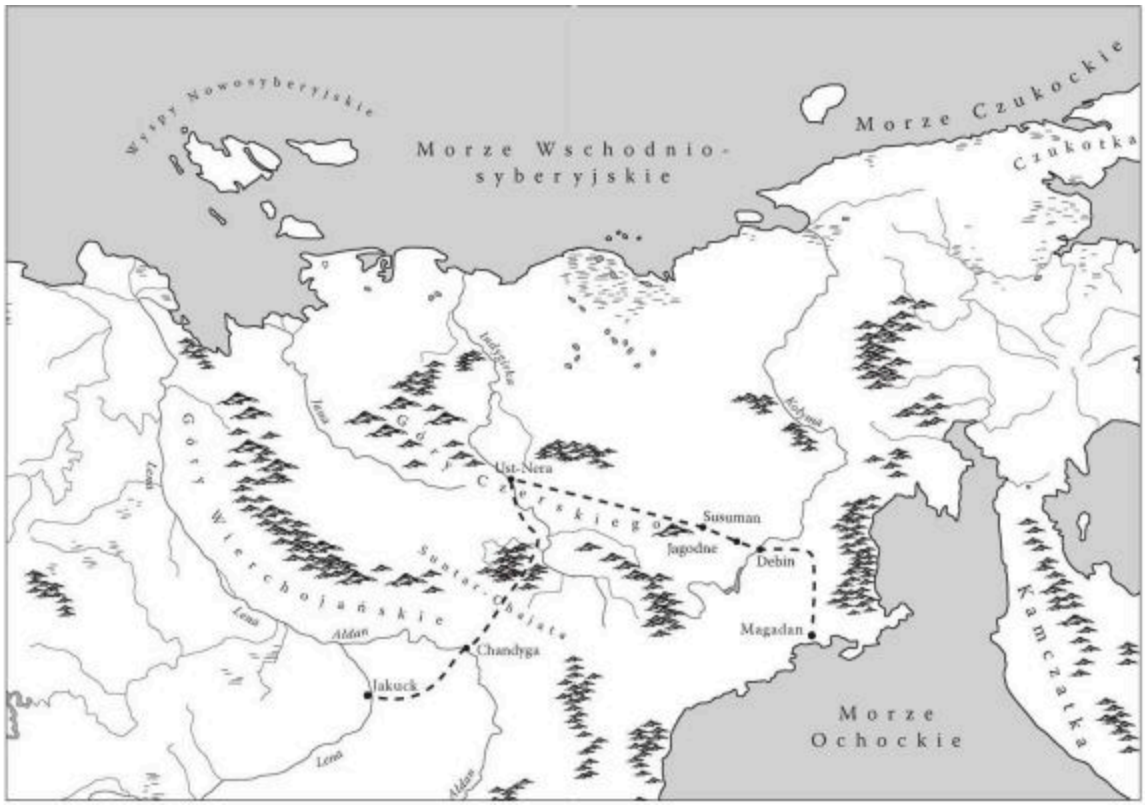
Wyspy Nowosyberyjskie
Morze Wschodnio-
syberyjskie
Morze Czukockie
Czukotka
Jana
Indigirka
Kołyma
Ust-Nera
Susuman
Jagodne
Debin
Magadan
Chandyga
Jakuck
Lena
Aldan
Morze
Ochockie
Kamczatka

Szamanka Dora – zamiast wstępu

Nieskończenie długim charknięciem zaciąga gila do gardła. Co z tym zrobi? – zastanawiam się. Wypluje do popielnicy, fikusa, do kosza na śmieci? A może połknie?

Ediij Dora wstaje i rozgląda się, pokazuje coś na migi, więc nasza tłumaczka (duchy pozwalają Dorze mówić tylko po jakucku) podaje jej usłużnie kartkę papieru. Nauczycielka robi rożek i wypluwa do niego wielkiego, zielonego gluta, który na długo jak gorący sopel zawisa u jej dużych warg.

To dobra okazja, żeby się wytłumaczyć. W sprawie konstrukcji i okładki tej książki. Że trzy części, ciemnozielony kolor, złote litery… Wszystko to Ediij Dora widziała oczami duszy już rok temu.

Według dowodu osobistego nazywa się Fiedora Innokientiewna Kabiakowa. Ediij to szamanka, nauczycielka, uzdrowicielka, a dosłownie – „Starsza Siostra” Miała dwadzieścia lat, a już w Jakucji tak ją

nazywano. To bardzo chwalebny, niemal religijny tytuł, którym człowieka obdarza lud.

Piszę dopiero piąty akapit tej książki, ale już mam obgadaną z wydawnictwem sprawę tej zieleni i złota. Trochę kręcili nosem, że na oko będzie jak Koran, ale dali się przekonać. Że Ediij Dora wie lepiej. Ona wie wszystko. Nawet to, jak i kiedy umrę, jakie drzewo rośnie przed moim domem, co myślę i kiedy książka ma być gotowa. Dokładnie dwanaście miesięcy po naszym spotkaniu, zatem w grudniu 2011 roku. A gdyby robota mi nie szła, mam wyjść z domu i nakarmić to moje drzewo. Jej duch w nim będzie. Albo jeszcze lepiej pojechać nad mateczkę rzekę, która przepływa przez moje miasto, i też ją nakarmić. Kawałek chleba, mięsa, trochę masła i mleka pozostawione w ofierze na brzegu i będzie się lekko pisać.

– Ale radzę wam, żebyście pisali jak najprościej – mówi Dora. – O mnie też. I niedużo. Bo niewiele rozumiecie.

Po godzinie rożek Nauczycielki pełen jest zieleni.

– Wiem, że cały czas zastanawiacie się, czy jestem chora – Dora czyta w moich myślach. – To, co trzymam w ręku, zebrałam z ciebie. To są twoje złe doświadczenia z podróży, którą właśnie skończyłeś, złe wspomnienia, źli ludzie, niemoc, choroby, wódka, strach, zmęczenie… Oczyściłam cię. I wszystkich ludzi, którzy przeczytają twoją książkę i nie sprawi im to przyjemności. Zobacz, ile się tego zebrało.

Na koniec praktyczna rada ode mnie. Wcale nie trzeba tej książki czytać od deski do deski. Żeby odbyć ze mną całą podróż, wystarczy przeczytać tylko *Dziennik*, zatem co drugi, trzeci rozdział. Ale najlepsze, co mnie w niej spotkało – to znaczy ludzie i zawartość rożka z glutami – opisane jest w pozostałych rozdziałach.

Część I
Syndrom milczenia

Sierp i młot, młot i sierp
To jest nasz radziecki herb.
Chcesz, to siej, a chcesz, to kuj.
Tak czy siak dostaniesz chuj.

– Bałeś się? – pytam.

– Nic a nic. Przecież ja umieram.

Wybucham śmiechem jak głupi, ale się nie obraża, bo wiele osób tak reaguje na stres. I ja czasem tak mam. Dla usprawiedliwienia dodam, że właśnie przypomniał mi się stary czeski czy też polski kawał o Pepiku Vondráčku, który, gdy rzecz szła o komunistach, mawiał: „A ja se nebojim, ja mam raka”.

A Iwan Iwanowicz ciężko chore serce i termin, to znaczy kilka tygodni, a może miesięcy życia przed sobą. Tak mówią lekarze. Umiera, więc nie bał się jako jedyny i tak samo jak ja nie urżnął się jak nasi towarzysze. Nie wiedziałem, że powinienem był, że przede mną siedem najstraszniejszych minut w moim życiu, że będę się bał nawet bardziej niż tego dnia, kiedy w czasie pierwszej wojny czeczeńskiej Rosjanie brali miasto Szali, a ja nie zdążyłem zwiać z cywilami.

Skąd wiem, że to tylko siedem minut? Bo włączyłem dyktafon, kiedy wsiadałem na naszą maleńką łódeczkę. On mierzy długość nagrania. Wyłączyłem go na drugim brzegu. Teraz słyszę, że wszyscy milczeli jak zaklęci, kiedy niesione prądem zwały lodu z przeraźliwym hurgotem napierały na metalowe burty, silnik wył jak opętany na najwyższych obrotach, a ja pękałem ze śmiechu.

Tak wyglądała nasza przeprawa przez potężną syberyjską rzekę Ałdan w ostatnich dniach października zeszłego roku.

Ale dlaczego ja o tym opowiadam? Ano dlatego że wydaje mi się, że trzeba mieć raka, ciężko chore serce albo głowę, żeby tu żyć. Nie mieć naprawdę nic do stracenia albo innego wyjścia, żeby osiedlić się na biegunie okrucieństwa. Tak ludzie mówią i piszą o Kołymie. Innym razem mówią o największym koszmarze dwudziestego wieku, najstraszniejszej, przeklętej albo najdalszej wyspie Archipelagu Gułag, jego lutym biegunie, ruskiej Golgocie, białym krematorium, arktycznym piekle, mroźnym koncłagrze bez pieców, czy też, nie przymierzając, machinie do przemysłowego mielenia mięsa i kruszenia kości.

A wiecie, że ludzkie mięso w smaku podobno jest takie samo jak reniferowe – bardzo delikatne, chude i lekko słodkie? Nie wiem, skąd miejscowi to wiedzą. Domyślam się, że to opinia przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mówi się, że połowa obecnych mieszkańców Kołymy to potomkowie zeków, byłych więźniów łagrów. Drugie albo trzecie pokolenie. Zek (w radzieckich dokumentach zapisywane jako z/k) to skrót od słowa zakluczonnyj – zamknięty, więzień po prostu. Kiedy uciekali z obozów, niekiedy brali ze sobą w tajgę słabszego kolegę. To były „ucieczki z kanapką” albo „z krową”, która sama podążała za kimś, kto wreszcie ją zjadał.

Ale wracając do mięsa: to pewnie z powodu podobieństwa smaków miejscowe niedźwiedzie są tak piekielnie niebezpieczne. Renifery to ich przysmak, a człowiek to dla nich renifer, który nie potrafi biegać, ofiara bez rogów, zwyczajny pierdoła, łatwa zdobycz. Raz taki miszka

popróbuje człowieka i się rozsmakuje. Już mu się nie będzie chciało uganiać po górach za reniferami i łosiami, nie będzie zbierał jagód, borówek i jarzębiny, wypuszczał się na grzyby i do śmietników. Będzie trzymał się Traktu Kołymskiego, osiedli ludzkich, obozowisk poszukiwaczy złota.

Ileż ja historii o nich słyszałem! Choćby o górniku z Susumanu, który stał na drodze, bo złapał gumę, a kiedy zobaczył niedźwiedzia, zamknął się w samochodzie. Zwierzak jak szajbus rozpruł blachę na dachu i wyciągnął swoją ofiarę jak świńską tuszonkę z puszki. Takie niedźwiedzie nazywają szatunami. To po rosyjsku znaczy „włóczęga”, ale na Kołymie to słowo jest zarezerwowane tylko dla niedźwiedzi szaleńców, ludojadów.

W ostatniej dekadzie najgłośniej było o szatunie, który wiele lat grasował wzdłuż Traktu Kołymskiego w Górach Wierchojańskich. Ogromny jak czołg samiec, prawdziwy potwór, żywa machina. Był znaczny, bo chodził ze stalową pętlą na szyi.

Na Kołymie na niedźwiedzie stawiają wnyki i ten nasz przed laty wpadł w takie. Myśliwi przyszli po kilku dniach. To był ojciec i dwaj jego synowie. Niedźwiedź wisiał na pętli w ogromnym dole, który wyrył pazurami, walcząc desperacko o wolność. Żył jeszcze. Myśliwi usiedli i zapalili. Z przyjemnością gapili się na konwulsje zwierzaka. Smakowali jego męczarnie. Potem rozpalili ognisko, postawili w kociołku wodę na herbatę, pojedli suszonej ryby.

Wreszcie stary powiedział do synów, żeby podali mu karabin.

Z kilku kroków wymierzył w kark olbrzyma i strzelił.

Trafił w stalową pętlę, którą zwierzak przydrutowany był do drzewa. Niedźwiedź rozerwał go na strzępy, potem dopadł tego, który podał ojcu karabin. Tak został szatunem. Drugiemu chłopakowi udało się uciec.

Wiele lat wierchojański szatun polował na ludzi, a ludzie na niego. Nawet za pomocą śmigłowców.

– Ja spotkałem go przy Ruczaju Szamana – opowiada Jura. – Wyszedłem z szoferki, żeby ze źródła nabrać wody na herbatę, ale po drodze na chwilę wlazłem na beczkę, żeby przed nocą sprawdzić, czy pokrywy dobrze zamknięte. Już chciałem skoczyć na dół, kiedy w ostatniej chwili zobaczyłem, że tam na mnie czeka. Pojawił się nagle i cicho jak duch. Od razu go poznałem.

Jadę z Jurą jego kamazem cysterną z Ust-Nery do Chandygi. To najtrudniejszy, najbardziej odludny, najmniej uczęszczany odcinek Traktu Kołymskiego. Mój szoferak jak zawsze zatrzymuje się na noc przy Ruczaju Szamana na 1459. kilometrze Traktu w Górach Wierchojańskich.

– Koniec kwietnia – opowiada dalej Jura i nalewa do kubków wódki – w nocy temperatury spadają do kilkunastu stopni poniżej zera, a ja w jednym sweterku, bez rękawic i czapki, no bo po tę wodę wyskoczyłem tylko na chwilę. Przechodzę na szoferkę i z dachu próbuję sięgnąć do klamki, żeby od góry wślizgnąć się do środka, ale on tylko na to czeka, staje na tylnych łapach i stara się mnie złapać.

Jest ogromny, bez trudu dosięga do krawędzi dachu. Dobrze wie, że wcześniej czy później będę musiał zejść.

Jura znajduje w kieszeni zapalniczkę, podpala plastykową butelkę na wodę, ale ten niedźwiedź nie boi się nawet ognia.

Prawdziwy diabeł, nie zwierzak! Dopiero zbudził się z zimowego snu, jest więc wściekle głodny. Całą noc krąży wokół ciężarówki i czeka, aż człowiek zamarznie i spadnie w jego łapy. Ma czas, bo na tym odcinku Traktu pojawia się najwyżej kilka samochodów na dobę, ale na pewno nie w nocy.

Dziesięć godzin Jura skacze po dachu swojego kamaza, robi przysiady, pompki, boksuje się z cieniem, ale wreszcie opada z sił i zasypia na mrozie. Od śmierci ratuje go przeraźliwy ryk klaksonu. Widzi potężną ciężarówkę KrAZ, której kierowca próbuje rozjechać niedźwiedzia, ale drapieżnik jest zwinniejszy. Unika zgrabnie zderzaka, więc wybawca zestawia samochody burtami, a Jurij przez jego dach wślizguje się do ciepłej szoferki. Samochód całą noc stał z włączonym silnikiem.

– Ale ręce odmroziłem – mówi i daje mi pustą butelkę. – Na mrozie zawsze zaczynają boleć.

– Jeśli myślisz, że pójdę po wodę, to jesteś w błędzie.

– Daj spokój! Dwa lata temu podobno go odstrzelili. Mówią, że trzynaście osób miał na sumieniu.

Każdego wieczoru mojej podróży prowadzę *Dziennik kołymski,* który razem ze zdjęciami w skróconej formie

staram się wysyłać codziennie na portal Wyborcza.pl. Jest tam do dzisiaj, trzeba tylko powiedzieć komputerowi, że chodzi o *Dziennik kołymski*. Cofnijmy się zatem cztery tygodnie, jak Pan Bóg przykazał, do początku podróży, do soboty 18 września 2010 roku.

Magadan. Połowa września. Na wzgórzach wokół miasta już leży śnieg

Dzień I
Magadan nad Morzem Ochockim

To stolica Kołymy, o której jest już w pierwszym akapicie *Archipelagu Gułag*, fundamentalnej księdze Aleksandra Sołżenicyna. Ale u mnie nie będzie o Gułagu, obozach, więźniach, głodzie, śmierci, torturach.

Z Magadanu mam ruszyć na Trakt Kołymski, czasem zwany Magistralą Kołymską, a w rosyjskim atlasie samochodowym – federalną drogą Kołyma. Miejscowi najczęściej mówią jednak krótko – Trasa. To jedyna droga na tym ogromnym terytorium, równym – przed licznymi zmianami administracyjnymi – trzeciej części całej Europy. Innymi słowy, to osiem i pół Polski i tylko 2025 kilometrów drogi (z kilkoma małymi odgałęzieniami), która łączy Magadan z miastem Jakuck w Jakucji.

Chcę przebyć tę drogę. To całkowicie niedostępny, dziki, albo raczej zdziczały kraj (trochę jak nasze Bieszczady po drugiej wojnie), z siedzibami ludzkimi co kilkadziesiąt, a czasem kilkaset kilometrów.

Góry. One martwią mnie najbardziej. Bo całkiem białe. Z okien samolotu, którym przylatuję z Moskwy, widzę, że

dalej od morza, w głębi Kołymy regularna zima. Przychodzi wcześniej tego roku. To źle. Bardzo niedobrze! Powinna poczekać jeszcze parę tygodni. Może być wielki problem na przełęczach i rzekach, bo wiele trzeba pokonać w bród i na promach. Kiedy woda zaczyna zamarzać, wali kra, promy przestają chodzić i trzeba czekać prawie do grudnia, żeby jechać dalej zimnikami, po lodzie.

Jedyny sposób pokonania tej trasy to autostop. Jazda solidnymi ale topornymi ciężarówkami rosyjskiej produkcji: kamazami, uralami i krazami, zwanymi potocznie błotochodami. Białoruskie liazy też się tu sprawdzają.

Starzy ludzie mówią, że ta droga to najdłuższy cmentarz świata. Policzyłem, że gdyby wszystkie ofiary kołymskich łagrów epoki Stalina położyć jedna za drugą, toby się na niej nie zmieściły.

Policzmy jeszcze raz. 2025 kilometrów to ponad dwa miliony metrów. Dzieląc przez metr i osiemdziesiąt centymetrów, wychodzi milion sto tysięcy chłopa. I dziewczyn. Że wtedy ludzie tacy nie rośli? Zależy kto. Łotysze, Estończycy jak na tamte czasy to chłopy jak byki, Japończycy, Kałmucy, Tatarzy, i kobiety – dużo niżsi. Nawet gdybym dzielił przez metr i siedemdziesiąt centymetrów, ta liczba zmieniłaby się dopiero w drugim miejscu po przecinku. Kołyma i tak zabrała pewnie więcej niż milion sto czy dwieście tysięcy istnień ludzkich.

Rzecz w tym, że nikt nie wie ile. Gdyby zrachować wszystkie morskie transporty z ludźmi od wiosny 1932 do

lata 1956 roku, wyszłoby nam, że na Kołymę przywieziono ponad dwa miliony więźniów.

Profesor Dawid Semionowicz Rajzman, szef katedry nauk humanistycznych Magadańskiego Instytutu Ekonomii, przez okno swojego gabinetu na ulicy Proletariackiej, na ukos przez skrzyżowanie z prospektem Lenina pokazuje dawny areszt śledczy NKWD zamieniony na archiwum bezpieki. Akta więźniów leżą tam jak oni kiedyś – w celach, na piętrowych zekowskich narach (pryczach). Potem profesor kieruje palec bardziej na północ i pokazuje wielkie rondo za rzeczką Magadanką z przystankiem autobusowym o nazwie 31. Kwartał, gdzie od 1940 roku był obóz tranzytowy dla trzech tysięcy polskich żołnierzy wziętych do sowieckiej niewoli rok wcześniej. Stąd grupami byli wysyłani do różnych docelowych łagrów, głównie przy kopalniach złota na całej Kołymie.

Ile więc było tych ofiar? Anne Applebaum, arcyskrupulatna dziennikarka „Washington Post”, w swojej książce *Gułag* (Gułag albo GUŁag to skrót od Gławnoje Uprawlenije Isprawitielno-Trudowych Łagieriej i Kołonij – Zarząd Główny Poprawczych Obozów Pracy), za którą w 2004 roku dostała nagrodę Pulitzera, pisze o 28,7 milionach przymusowych robotników w Związku Radzieckim, z których według dostępnych już dziś, ale, jej zdaniem, bardzo, bardzo niekompletnych archiwaliów, 2 749 163 oddało życie. Z tego by wynikało, że „współczynnik śmiertelności” w łagrach wynosił dziesięć procent.

Tak zwana „pojemność” 160 obozów Kołymy to dwieście tysięcy ludzi (tyle jednorazowo mogło w nich przebywać). To byli ludzie, których władza radziecka wysłała na daleką Północ na zatracenie i już nigdy nie chciała ich oglądać. Mieli tam wyginąć. Pierwszą zimę z 1932 na 1933 rok przeżył co piąty łagiernik. Komu kończył się wyrok, pod byle pretekstem dostawał następny i wracał w zaboj, na wyrobisko, na przodek w swojej kopalni złota albo zostawał przesiedziałym, czyli więźniem, który po odsiedzeniu swojego terminu, swojej pajdy nie był zwalniany z łagru na przykład aż do końca wojny, chociaż nie było nawet jednego ekonomicznego powodu, żeby tam był. Każdą wykonywaną przez więźniów pracę ludzie wolni mogli wykonać taniej i lepiej. Osobliwe, że po rosyjsku słowo „zaboj” znaczy także – „ubój” (w sensie bydła, trzody chlewnej). Tak oto NKWD starało się połączyć ze sobą dwa sprzeczne zamierzenia: jak największego wydobycia złota z jak najszybszą eksterminacją ludzi uznanych przez bolszewików za wrogów.

Generał Władysław Anders w książce *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946* pisze, że według jego ustaleń w latach 1940-1941 na Kołymę trafiło ponad dziesięć tysięcy polskich obywateli. Wśród nich bez wątpienia były owe trzy tysiące jeńców wojennych, o których wspominał profesor Dawid Rajzman z Magadanu. Kiedy generał tworzył swoją armię, Rosjanie zwolnili z kołymskich łagrów 583 osoby. Tylu Polakom udało się tam przeżyć dwa lata, dwie straszne zimy z lat 1941 i 1942.

Wśród nich był Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie.

Najbardziej według mnie wiarygodny wskaźnik stopy śmiertelności na Kołymie to jedyna 171-osobowa grupa byłych łagierników, która dotarła stamtąd do tworzącej się polskiej armii. To byli pozostali przy życiu polscy żołnierze z kampanii wrześniowej. Prawie wszyscy mieli amputowane po odmrożeniach palce u rąk i nóg. Oto najprawdziwszy wskaźnik śmiertelności! 171 osób z trzech tysięcy! 88,6 procent.

Ale o tym w moich opowieściach nie będzie prawie nic! O tamtych czasach. Jeśli pójdę do tych ostatnich, co żyją, to z chytrości, by tego nie stracić, bo to ostatnia chwila, żeby zapisać, co było im dane przeżyć, doświadczyć. Bo to ludzie wyjątkowi – oni widzieli dno życia, w łagrze przeszli granicę, poza którą rozpada się wszelka dusza. Ale najbardziej będę chciał usłyszeć, co było później, jak z takim doświadczeniem żyć. Jak oni żyli?

Weselisko objeżdża miasto. Przystanek na rondzie, gdzie od 1940 roku był łagier dla trzech tysięcy polskich jeńców wojennych. Przeżyło stu siedemdziesięciu jeden żołnierzy

Jadę na Kołymę, żeby zobaczyć, jak się żyje w takim miejscu, na takim cmentarzu. Najdłuższym. Można się tu kochać, śmiać, krzyczeć z radości? A jak tu się płacze, płodzi i wychowuje dzieci, zarabia, pije wódkę, umiera? O tym chcę pisać. I o tym, co tu jedzą, jak płuczą złoto, pieką chleb, modlą się, leczą, marzą, walczą, tłuką po mordach… Gdy ląduję, w aeroporcie pod Magadanem czytam wielki napis: WITAJCIE NA KOŁYMIE – W ZŁOTYM SERCU ROSJI.

Sasza alpinista – drzwi do lasu

Opowieść o Kołymie muszę zacząć od Saszy Szafranowa, który mieszka na placu Komsomolskim z nieczynną wieżą telewizyjną, bo to miejsce, od którego liczone są odległości na Trakcie Kołymskim, a ja chcę go przebyć. To sam środek Magadanu. Zatem pierwsze kilometry Traktu to prospekt Lenina, zbiegająca z placu reprezentacyjna, główna ulica miasta, która za rzeczką Magadanką zmienia nazwę na Kołymskoje szosse, by za rogatkami być już Traktem Kołymskim.

Sasza więc, znakomity miejscowy fotograf, malarz i alpinista razem z żoną, dwiema dorosłymi córkami i trzema szkockimi terierami od piętnastu lat mieszka na zerowym kilometrze tej liczącej ponad dwa tysiące kilometrów drogi. Pozostałe trzydzieści pięć lat życia spędził w głębi Kołymy, na 626. kilometrze w miasteczku Susuman w Górach Czerskiego.

– Tam jest wielkie jezioro Małyk w kształcie bumerangu – opowiada Sasza. – Odkąd pamiętam, na jego brzegach żył dziadek Naumow. Był otszelnikiem, jednym z tych, którzy wybrali samotne życie z dala od ludzi. Szczególnie dużo zrobiło się ich, kiedy od 1953 roku zaczęli wypuszczać z łagrów. Wielu zeków nie wracało do domów, bo nikt tam na nich po latach nie czekał. Inni zaszyli się w tajdze ze wstydu, z rozpaczy albo ze strachu. W zonie (łagrze) narobili sobie wrogów i bali się o życie. Dziadek Naumow był jednym z nich. Ponad pięćdziesiąt lat żył nad tym

jeziorem i nigdy się stamtąd nie ruszał. Nawet do lekarza. Mówił, że był obozowym pisarzem i że sam skazał siebie na samotność. Chciał odkupić winy. Wszyscy wiedzieli, że był stukaczem, suką. Donosił na kolegów. I pięknie kaligrafował.

– Co to ma do rzeczy? – pytam.

– Nic. Chcę ci powiedzieć, że miał ponad osiemdziesiąt lat, na kartce żadnej linii, a pisał równiutko linijka pod linijką, wiersz pod wierszem, i to bez okularów. Pisał wiersze. Zwyczajne, rymowane, o nielekkim, samotnym życiu w tajdze. Zawsze kiedy szedłem w góry, zachodziłem do niego. Przynosiłem kaszę, sól, zapałki, naboje, on parzył herbatę.

Dziadek Naumow miał tuzin psów, w tym jednego na trzech łapach. Pies stracił łapę w sidłach, które jego pan stawiał na zające i lisy. Wszystkie jego psy to były łajki, bardzo mądre zwierzaki. Łajki żyją na całej Syberii, ale różnią się nieco wyglądem. Łajki Ewenków są duże i bardzo silne, te hodowane przez Jakutów są mniejsze, ale ostre, kąśliwe i nieprawdopodobnie odporne, wytrzymałe. Całą jakucką zimę, zatem mrozy po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stopni spędzają pod gołym niebem, a najlepsze rękawice Jakuci robią z ich futra.

Sasza ostatni raz widział się z dziadkiem Naumowem na jesieni 2009 roku. Na ścianie jego chaty przybita była deska z komunikatem, żeby nie zakopywać go w ziemi, kiedy umrze, tylko spalić z całym dobytkiem w chałupie. Dziadek mówił Saszy, że nadchodzi jego ostatnia zima.

– Wracam wiosną – opowiada Sasza – a jego chaty nie ma. Pogorzelisko. Zostały tylko zwęglone drzwi z framugą. Jakby drzwi do lasu, w tajgę, w góry. Wędrowni myśliwi byli przede mną. Znaleźli martwego staruszka w łóżku, deskę z ostatnią wolą i psa na trzech łapach, co leżał na piersiach zmarłego. Przeganiali go, a on się nie ruszał. Podłożyli ogień, a ten znowu nic, chcieli wyciągać, ratować, a on na nich z kłami… Jak leżał na dziadku Naumowie, tak razem się spalili.

– Zawsze myślałem – mówię – że te opowieści o bezgranicznej wierności i wspólnej śmierci to mity.

– Ja też. Ale byłem na pogorzelisku zaraz potem. Jeszcze dymiło. Znalazłem stary żelazny kocioł, zebrałem w nim szczątki i zakopałem. Na desce napisałem: „Tutaj pochowany dziad Naumow z psem”. Bo kości psa i człowieka były razem.

– Jak się nazywał ten pies?

– Szary. A może Wierny. Nie pamiętam. A przez te drzwi, co zostały na pogorzelisku, wszyscy zaczęli przechodzić jak przez wrota świątyni. Myśliwi, geolodzy, poszukiwacze złota i ja z towarzyszami, jak idziemy na wspinaczkę, nawet drogi nadłożymy, byle tylko przejść przez nie na dobrą wróżbę.

Pozostałe przy życiu łajki dziadka Naumowa po pogrzebie rozbiegły się po górach. Myśliwi strzelali je wiele lat, bo wyciągały zwierzęta z sideł, a w zimie zbierały się w stado i grasowały jak wilki. Gorzej! Napadały na ludzi, bo się ich nie bały.

Podobna sytuacja, ale na dużo większą skalę, miała miejsce w latach dziewięćdziesiątych. Ludzie masowo zaczęli wyjeżdżać z Kołymy, ale psy zostawiali, zwyczajnie wyganiali za próg, w tajgę. Góry zrobiły się jeszcze mniej przyjazne niż zwykle.

– Dasz wiarę, że tam ciągle są niezdobyte szczyty? – Sasza jest zachwycony. – Nawet dwutysięczniki. Mój zespół ma na koncie siedem takich. Wiesz, co to za uczucie? Wchodzisz na szczyt, na którym nigdy nie było człowieka, i słyszysz w środku, że dusza ci śpiewa. Jako zdobywcy mieliśmy prawo nadawać im nazwy. Największy z naszych był Challenger. 2347 metrów nad poziomem morza, a ostatnie siedemset metrów to jakby ogromny, przepiękny wahadłowiec gotowy do startu. Zdobyliśmy go w 1987 roku, zaraz po tym, jak rozbił się amerykański prom kosmiczny o tej nazwie. Piętnaście lat później zrobiliśmy drugie wejście na szczyt, a trzeciego do tej pory nikt nie powtórzył. Na północy, w polarnych górach piekielnie ciężko się wspinać. Wysokość jak w waszych Karpatach, ale brak roślinności, tlenu jak w Himalajach na pięciu tysiącach, ogromne lodowce, lawiny nawet w lecie. Pięćdziesiąt metrów pod szczytem Challengera dopadła nas purga, straszna śnieżna zamieć. Cztery dni trzymała w oblodzonej ścianie, chociaż to koniec czerwca. Ani do przodu, ani się wycofać. Mówią, że alpinista z północy musi mieć w zapasie entuzjazmu na trzy purgi.

– Jedna ile może trwać? – pytam.

– Tydzień.

Sasza w góry najczęściej chodzi sam, nawet na wspinaczkę. Kiedyś wybrał się na liczący 2027 metrów Mardżot, ale ku jego rozpaczy ani na krok nie odstępowała go jego ukochana łajka Jakut.

– Idę się wspinać – mówi Sasza – a ten lezie za mną i nie daje się przegnać. Znika, ale za chwilę pojawia się i tak bawi się ze mną ze dwadzieścia kilometrów przez całą dolinę do podnóża góry. Następnego dnia siadam przed nim, patrzę mu w oczy i całkiem poważnie mówię: „Siedź na dole, nie leź dalej", a ten merda ogonem i jest cholernie rozbawiony. Idzie za mną prawie pionowym żlebem, a kiedy jesteśmy już na grani, spada siedem, osiem metrów z małej półki i klinuje się w szczelinie między dwiema skalnymi płytami. Zjeżdżam do niego na linie i przez kilka godzin próbuję go jakoś wytaszczyć. Wszystko na nic. Nie ma innego wyjścia.

– Co?

– Muszę go zrzucić. Strącić w przepaść. Przecież zdychałby tam z głodu i pragnienia wiele dni! Wykleszczam go więc i spycham. Na północną stronę, a sam schodzę z grani na południe. Okropne zejście. Dwanaście, trzynaście godzin walki w lodowej ścianie. W dolinie robię igloo na noc, kładę się spać, a po kilku godzinach słyszę szczekanie mojego Jakuta. Dasz wiarę? Przeżył upadek z kilkuset metrów! Potem jakimś cudem jeszcze raz wszedł na grań, zszedł z drugiej strony i mnie odnalazł. Uwielbiałem go, chociaż był humorzasty.

Sasza chodzi w tajgę bez broni, co nie jest zbyt rozsądne, więc kiedy idzie robić zdjęcia, zabiera psa, żeby go bronił przed niedźwiedziami. Łajki świetnie sobie z nimi radzą. Wyczuwają je z wielu kilometrów, wcześniej niż niedźwiedź człowieka, są od niego szybsze, zwinniejsze, piekielnie zjadliwe i hałaśliwe, czego niedźwiedzie nie cierpią.

– Kiedyś idziemy w góry robić jesienne zdjęcia i trafiamy na niedźwiedzi matecznik. Widzę osiemnaście sztuk w zasięgu wzroku. W życiu tylu naraz nie widziałem. Zebrały się przy potoku i zgodnie łowią ryby, a my spokojnie, z plecakiem nad głową i duszą na ramieniu koło nich przechodzimy.

– Co z tym plecakiem?

– Trzeba go nieść jak najwyżej, żeby wyglądać na bardzo dużego. Niedźwiedź ma bardzo słaby wzrok, a gdyby miał złe zamiary, być może przeceni wielkość i siłę człowieka i zrezygnuje z ataku. Na szczęście nie zwracają na nas uwagi. A my cały dzień włóczymy się po lodowcach i piargach, aż docieramy na piękną, zieloną halę. Ustawiam statyw, wyciągam sprzęt, wybieram żółciutki kwiatek, który będzie na pierwszym planie, mam pstryknąć… A w kadr włazi pies i kładzie się na tym kwiatku. Po prostu uwalił się i leży. Gapi się w aparat. „Paszoł ty won! Swołocz!” wymyślam mu od ostatnich. Tak on wstaje i idzie. Idzie w ogóle, całkowicie. Do domu.

– Obraził się.

– A tu noc idzie, a ja jeszcze muszę przejść przez to niedźwiedzie terytorium. Bez psa to pewna śmierć. To

rzucam się pędem za Jakutem i dawaj przepraszać, obiecywać, że już nigdy go nie opieprzę, że dobry pies, mądra sobaka, wracaj, nie zostawiaj. Wreszcie stanął, ale nawet na mnie nie patrzy, to biegnę do niego, wyciągam suchary i dawaj przekupywać. Pojedliśmy razem, posiedzieliśmy, przeprosiliśmy się i przeprowadził mnie do domu. Tyle na Kołymie znaczy pies.

– Co się z nim stało?

– Utonął w powodzi. Potok Biereloch w jedną noc wyszedł z brzegu i zalał cały Susuman, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Rodzinę cudem uratowałem na maleńkim wędkarskim pontonie. A jego jak zwykle nie było.

– Może nie było miejsca na pontonie? – zastanawiam się.

– Byśmy wzięli na ręce. Gdzieś się włóczył.

– Może jednak się uratował.

– Niemożliwe. Inaczej by wrócił.

Dzień II
Armań. 52 kilometry na zachód od Magadanu

To wymierająca osada rybacka, ale ja mieszkam na kamienistej plaży Morza Ochockiego w baraku inspektora straży rybackiej. Wcale nie chciałem tu jechać, tylko prosto na północ po Trakcie Kołymskim, ale pierwszym kierowcą, który zgarnął mnie z drogi, jest Andriej, podoficer MCzS, czyli Ministerstwa Czriezwyczajnych Sytuacij (Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych). To ratownicy, którzy pomagają w przypadkach różnych klęsk, ludzie w mundurach zorganizowani na wojskową modłę. Tylko wsiadam do niego, od razu żałuję, bo Andriusza jest na tęgiej bani. Zwyczajnie zatacza się samochodem na drodze, a jeszcze bierze się do wyprzedzania, bo to chłopak z Kaukazu, z Osetii Południowej, gorąca krew, nie będzie się ciągnął za kimś jak ślamazara, tylko atakuje. Oczywiście, jest w mundurze. Zawsze go wkłada, kiedy po pijaku wsiada do samochodu. To na wypadek milicyjnej kontroli, bo mundurowi – wiadomo – jakoś się dogadają. Andriej namawia mnie, żebym zmienił plany i jechał z nim na ryby.

Właśnie kończy się sezon połowu łososi i mają to uczcić z przyjaciółmi.

Przy wjeździe do osady niezwykły obrazek: kobieta o umalowanych na karminowo ustach, w wielkich klipsach do ramion i butach na wysokich obcasach zamiata suche krowie placki na moście. Porusza się z gracją, jakby fruwała. I taka uradowana.

Jest niedziela.

Armań to typowa kołymska osada. Ma bardzo kruchą strukturę społeczną, która opiera się zaledwie na pięciu, sześciu rodzinach, małżeństwach z kilkorgiem dzieci i garstką krewniaków. Tylko oni zakładają interesy, kombinują, gromadzą kapitał, tworzą miejsca pracy. Prawie zawsze zaczynają od sklepików, potem zakładają wielkie gospodarstwa rolne, firmy rybackie, skupy runa leśnego, zamrażalnie… Tacy liderzy mogą zebrać wokół siebie nawet półtora, dwa tysiące ludzi, tyle, ile na początku lat dziewięćdziesiątych żyło w Armaniu.

Wystarczy jednak, że wyjedzie jedno małżeństwo, za nimi ich dzieci, potem druga rodzina i rozpoczyna się exodus. Efekt domina. Miejscowe firmy, które żyły w symbiozie, padają jedna po drugiej, wszystko zaczyna się walić, ludzie tracą pracę, a życie sens. W osadzie zostają tylko pijusy, biedacy, ludzie bez energii, inicjatywy. Taki los spotkał Armań. Leży nad jednym z najzasobniejszych mórz świata, a umiera. Z dwóch tysięcy mieszkańców zostało pięciuset, dziesiątki porzuconych domów zamieniają się w ruinę,

a miejscowi menelicy prują z nich złom i drewno na opał, chociaż wkoło tajga i drewna w bród.

Takich osad na Kołymie są dziesiątki. Z ponad pięciuset tysięcy mieszkańców, którzy żyli tutaj, kiedy w 1991 roku rozpadał się Kraj Rad, zostało tylko około stu pięćdziesięciu tysięcy w pięćdziesięciu zamieszkanych siedzibach ludzkich.

Świętujemy więc koniec sezonu w baraku inspektora straży rybackiej. Pijemy wódkę, pożeramy góry czerwonego kawioru, który przed godziną jeszcze pływał, i uchę, rybną zupę na zimno. Gotują ją w wiadrach. Najlepsza jest wczorajsza, a z wkładki najwyżej cenione są łby. Co godzinę-półtorej wychodzimy na plażę i wyciągamy sieć, w której zawsze jest kilka potężnych, ponadpółmetrowych ryb. To kiżucze, największe z miejscowych łososi o brzydkich mordach z zakrzywionymi do dołu drapieżnymi dziobami, które w sierpniu i wrześniu wędrują wzdłuż morskiego brzegu do ujścia rzek, potem w nie wchodzą, by w górnym biegu złożyć ikrę i umrzeć. W sieci są zawsze parami, samiec i samica pełna ikry. Ważą około czterech kilogramów, z czego osiemset gramów to przepyszny czerwony kawior. Moi współbiesiadnicy nie wiedzą już, co z nim robić. Z rybami też. Dzisiaj złowili trzydzieści osiem sztuk. Rekordowe mierzą ponad metr, ważą dwadzieścia kilogramów. Inspektor Nikołaj Nikołajewicz Diemczenko, który postawiony tu został do pilnowania porządku prawnego, handluje nimi na potęgę. Za kopiejki. Przy mnie sprzedaje cztery sztuki (ponad piętnaście kilogramów, w tym półtora kilograma kawioru) za dwieście rubli. Za

dwadzieścia złotych! W Magadanie na bazarze za sam kawior kupiec dostanie dwa tysiące rubli (dwieście złotych).

Poza kiżuczem w kołymskie rzeki w czerwcu wchodzi gorbusza, której kawior uważany jest za najlepszy, lipcowa kita i dwa inne gatunki w małych ilościach. Co drugi rok wędrówki są obfitsze, a co cztery lata ryb jest tak dużo, że ledwo mieszczą się w rzekach, ażby się chciało przejść po ich grzbietach na drugi brzeg. Niepowtarzalny widok.

Czekista Dima i Wania błatnik rżną w durnia

Każdy może połowić tu w swoje sieci. Trzeba tylko za sto rubli (dziesięć złotych) wykupić u inspektora całodzienną licencję. Potem trzeba zapłacić sześćdziesiąt rubli (sześć złociszy) za każdą złowioną rybę. Ofiary stalinowskich represji i weterani wojny co roku dostają darmową licencję na dwadzieścia sztuk, a rdzenni mieszkańcy Kołymy – Eweni, Ewenkowie, Czukcze, Jakuci, Koriacy, Jukagirzy, Itelmeni, Kamczadale i Czuwańcy, których w sumie są tylko cztery tysiące w całym obwodzie – mogą łowić do woli. Pewnie dlatego są bardzo pożądanym towarem matrymonialnym ostatnich lat. Współmałżonek także uzyskuje prawo do nieograniczonego połowu i handlu rybami.

Przyrządzenie kawioru wydaje się bardzo proste. Trzeba wypatroszyć rybę, wydobyć ikrę z błoniastego worka, w którym się znajduje, wrzucić na dziewięć minut do wodnego roztworu soli i odcedzić. Dziewięciominutowy kawior gotowy. Jędrne ziarenka rozkosznie będą pękać na podniebieniu, a ręka sama szukać kieliszka. Kawior ośmiominutowy jest kleisty i zbyt miękki, dziesięciominutowy – zbyt słony. Tajemnica jego przyrządzenia tkwi w roztworze. Ma być prawie nasycony. Owo „prawie” ma wielkie znaczenie. Roztwór ma być taki, by surowe jajko ledwo w nim pływało.

Przed lat poznałem w Petersburgu człowieka, który w 1986 roku brał udział w usuwaniu skutków katastrofy w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Ratownicy karmieni byli głównie czerwonym kawiorem z Morza Ochockiego,

który zwozili do nich tonami, a pojeni czerwonym winem z Gruzji i Mołdawii. Mój znajomy jest przekonany, że ta dieta uratowała mu życie.

Czekista Dima – misterium kołymskie

– Chodź. – Dima od razu przechodzi na „ty”, chociaż ma siedemnaście lat mniej ode mnie. – Mam dla ciebie karabin.

– Do czego mam strzelać? – pytam.

– Do wszystkiego, co chodzi i lata.

– Nie chcę – mówię i rozglądam się za jakąś puszką po piwie.

Znajduję bez trudu. Są ich dziesiątki. Do tego puszki po konserwach, butelki po wódce, słoje po ogórkach, rybie łby, flaki, zbutwiałe liny, sieci, krabie skorupy, ludzkie gówna, mewy i kaczki w różnym stadium rozkładu – potworny bałagan wytworzony siłami morza i ludzi.

Strzelam i pudłuję. Strzela Dima i kolejne wielkie ptaszysko spada na plażę. Mewa jest szara – znaczy jeszcze młoda, tegoroczna.

– Nie żal ci? – pytam.

– Taki jej los – krzywi usta.

Niektóre kaczki są gotowe do przyrządzenia – wypatroszone i bez piór. Kołymianie nie skubią drobiu, tylko bardzo zgrabnie obdzierają ze skóry. Kilka nacięć, jedno szarpnięcie i po robocie. Na tyle moim gospodarzom starcza energii. Łyse mumie ptaków schną na słońcu od wielu dni, a oni świętują.

Dima jak ja jest tutaj gościem, ale to on wypełnia sobą cały barak inspektora straży rybackiej. Mówi najgłośniej, klnie najsiarczyściej, beka najczęściej. Wszystko robi obleśniej, ohydniej, wstrętniej. Wielki, gruby, skacowany. Ku

rozpaczy Koli Diemczenki, inspektora rybackiego, spędza w jego baraku urlop, przy tym rządzi, każe się karmić, wysyła po wódkę i zupełnie nie po rosyjsku do wszystkich mówi na „ty”, chociaż jest najmłodszy.

Ma trzydzieści sześć lat i stopień pułkownika Federalnej Służby Bezpieczeństwa, rosyjskiej bezpieki. Ledwo się poznajemy, dzwoni do pracy i pyta, czy w Magadanie jest teraz jakiś zagraniczny dziennikarz. Oddzwaniają po pięciu minutach. Jest jeden Polak, mieszka w hotelu Centralnym. Dima poleca powiadomić hotel, że Polak nie wróci na noc.

Świętujemy więc koniec sezonu połowu łososi. Towarzyszy nam kierowca Dimy, z racji urody zwany „Żabą”, i pomocnik inspektora Wania Katlar. A kiedy jesteśmy już pod bardzo dobrą datą, rozpoczyna się najbardziej niezwykła na świecie karciana rozgrywka, prawdziwe misterium z pogranicza fantastyki.

Pułkownik rosyjskiej bezpieki siada do kart z bandyckim autorytetem, starszym od niego o dziesięć lat księciem świata błatnych, arystokratą wśród urków, ugołowników, krutym baronem recydywy, zasłużonym wycieruchem niezliczonych kryminałów. (Wszystkie zasadniczo niezrozumiałe słowa zaplątane w poprzednim zdaniu, w przestępczej gwarze zwanej fienią albo fieńką, oznaczają kryminalistę). Mówiąc zwyczajnie – Dima rżnie z Wanią w durnia. W Rosji tę strasznie prostą grę dwudziestoma czterema kartami nazywają kozłem. Stawka – tysiąc rubli (sto złotych) za rozdanie.

Nagle cały świat dla tej dwójki przestaje istnieć. Są tylko dla siebie, gadają tylko ze sobą, tylko sobie nalewają wódki, przepijają. Wpadają w karciany i alkoholowy ciąg, amok. A matem przy tym lecą, to znaczy klną, tak potwornie, jakby gra na tym polegała, jak w konkursie na piętrowe, jak mówią w Rosji, ustawianie bluzgów. Wymyślają sobie, flekują bez litości, szydzą z przeciwnika i triumfują z każdej wygranej jak chłopcy, ale nie ma w tym personalnego obrażania. Przeciwnie. Pogarda? Nic z tych rzeczy! Pogarda jest dla frajerów. Dla mnie, „Żaby”, Koli – całej reszty świata. Tylko błatni i bezpieka nie są frajerami.

Widzę oto, jak na moich oczach rodzi się uczucie sympatii między obu tymi postaciami, nić porozumienia, szacunek, a w zasadzie szacunio, szacuneczek, chociaż należą do dwóch odrębnych światów – teoretycznie wrogich, zwalczających się. Dwaj giganci znaleźli się w jednym miejscu, więc się zeszli, zwąchali.

W baraku nad Morzem Ochockim odradza się stary, stalinowski sojusz błatnych, czyli kasty zawodowych przestępców, z bezpieką, z całym aparatem przemocy. No bo kim są te lumpy, ci kryminaliści, bandyci? Toż to jedni z naszych – sól tej ziemi, proletariusze, tylko powinęła im się noga, nie udało im się w życiu. Błatni nie dostawali najcięższych wyroków, dwudziestu pięciu lat, kary śmierci, nawet za zabójstwa. Te wyroki były dla politycznych, a w łagrach jako jedyni nie musieli pracować.

To był straszny sojusz. Powołany został w latach trzydziestych do dręczenia wrogów ludu, inteligentów,

przeciwników władzy sowieckiej, wszystkich więźniów politycznych w łagrach i więzieniach całego Archipelagu Gułag. Warłam Szałamow i Aleksander Sołżenicyn, którzy przeszli przez Gułag, w swoich opowiadaniach piszą o kryminalistach jako o największej zmorze prześladującej politycznych współwięźniów. Bili, mordowali, gwałcili, kradli jedzenie i ubrania.

A nasi karciani sojusznicy grają już szóstą godzinę. Od stolika wstają tylko, żeby się wysikać. Robią jeden krok za próg baraku i leją.

Wani idzie karta. Wygrywa dwadzieścia siedem tysięcy rubli. Wypili litr wódki i nawet przestają jeść, tylko co nieco zakąszają. Stolik to miniatura naszego obejścia. Niby przykryty gazetą, ale syf na niej niewiarygodny. Ości, okruchy, papiery, popalone petami plastikowe kubki, potłuczone kieliszki, kawałki kiełbasy, pomidorów i kawior walają się luzem, a oni to łowią palcami i wpychają do gęby. Miejsca ledwie tyle, żeby położyć karty.

To niby Wania jest tu pomagierem, ale inspektor Kola wszystkim usługuje, podaje uchę, robi kanapki. Znowu wysyłają go po wódkę. To idę z nim.

Wania błatnik – milion meteorytów

– Skąd wytrzasnąłeś tego Wanię? – pytam po drodze. (To strasznie dziwne, bo błatni nigdy nie pracują. Bandycki honor nie pozwala).

– Sam się zgłosił – mówi Kola. – Ale to błogosławieństwo, bo mi tu wszystko kradli. Agregat Yamahy 6 kW, sieci, łopata, dwa wiadra… Nawet drewno, com se narąbał na rozpałkę. A odkąd nastał Wania, mogę kanister z benzyną zostawić na zewnątrz i nie zaiwanią. Siekiera będzie się walać, a nikt nie ruszy. Jego się wszyscy boją w okolicy. Ogłosił, że jak co zginie, łby winowajcom pourywa. Tylko mu nie mów, że ci mówiłem: to autorytet.

– Ja cieee! Drugi stopień w bandyckiej hierarchii, zaraz po worach w zakonie.

– Nooo – Kola przechodzi do szeptu. – Jego klikucha, ksywka, to „Marczieła”, jest bratankiem samego „Dżema” z Komsomolska, który rządził na dalekim wschodzie Rosji, zanim go w Moskwie nie odstrzelili. To był jeden z najpotężniejszych bandytów w całym kraju. I ten mój Wania niczego się nie boi. Pluje na wszystko. Wczoraj milicja przyjechała popić tutaj wódki niesłużbowo, bo sobota, a ten ich pogonił! Wyobrażasz sobie?! Wygnał milicjantów!

– Wygnał, bo co? – dopytuję.

– Bo to służbowe miejsce, urzędowe. Do łowienia, a nie do pikników. A jak na ludziach się zna! Na wskroś wszystkich widzi. Wchodzi człowiek, a on wszystko już o nim wie. O tobie też już wie wszystko, i o mnie. Wystarczy mu popatrzyć.

Zanim powrócimy na terytorium okupowane przez strasznego Dimę, Kola opowiada mi o swoich związkach z morzem. W 1996 roku zaciągnął się na ogromną

pływającą bazę rybacką o nazwie Feliks Kon, ale na dzień przed wyjściem w morze jego statek zatonął w Zatoce Nagajewa u wejścia do Magadanu.

– Nie uwierzysz, co się stało! – woła Kola.

– Uwierzę, uwierzę. Dwadzieścia lat jeżdżę do Rosji i wierzę we wszystko.

– Zatopili go. Otworzyli wszystkie grodzie i posłali statek na dno, żeby się nie wydało, że ktoś ukradł trzysta ton mazutu. Głupie trzysta ton! Za taki wspaniały statek z gdańskiej stoczni. To wszystko robota błatnych, których jakoś wtedy zaczęli nazywać mafią. A w Rosji rządziły te zasrane demokraty, mówili, że jest wolność i wszystko wolno, to mafia też robiła, co chciała. Strzelali, mordowali, topili statki, bo potrzebowali na gwałt pieniędzy. Szła prywatyzacja, a oni kupowali, co się dało.

Wracamy z wódką do naszego błatnego i jego karcianego partnera. Wania wygrywa do Dimki 57 tysięcy rubli (5,7 tysiąca złotych). Zaczyna się dziesiąta godzina karcianej partii i wspaniała, misterna gra Dimki obliczona na psychiczne rozbicie przeciwnika. Pułkownik chce postawić wszystko na jedną kartę i zagrać jeszcze tylko raz o całą stawkę. Wania odmawia, bo mu szkoda takiej wygranej, ale podnoszą stawkę do pięciu tysięcy rubli za rozdanie (pięćset złotych).

A Dima ciągle gniecie. Ciągle chce podnosić stawkę. Wygląda to jak pijackie, przyjacielskie przekomarzanie, ale Wania jest wytrącony z równowagi, zaczyna popełniać błędy, przestaje zauważać oszukaństwa przeciwnika (rzecz

jasna, obaj kantują). Myli się nawet głupio na swoją niekorzyść w rachunkach, o jedno zero w słupkach (zatem o dziesięć tysięcy). Już otwieram gębę, żeby go poprawić, kiedy pod stołem dostaję porządnego kopniaka od Dimy.

Karta wyraźnie się odwraca, a Dima dociska do granic psychicznej wytrzymałości. Jak w śledztwie! I chyba ma mocniejszą głowę. Teraz kłóci się o termin oddania karcianego długu. Świętego przecież dla każdego bandyty, o czym Dima dobrze wie. Mówi, że odda forsę za siedem miesięcy.

– Jakie siedem?! – wrzeszczy rozdygotany Wania. – W poniedziałek do godziny dwunastej! Karciane długi oddaje się do południa następnego dnia.

– A ja pierdolę wasze bandyckie prawa – Dima na to. – Siedem miesięcy i chuj możesz mi zrobić.

– Ludzi przyślę!

– To wystrzelam co do jednego.

Dobrą godzinę kłócą się o to, a może dłużej. Nie wiem, bo odlatuję, nad ranem przysypiam z łychą kawioru w garści. Budzę się, kiedy gracze rozmawiają o meteorytach. Kończą drugą litrową flachę wódki.

– A wiesz, co to sejmczański meteoryt? – zagaduje mnie Wania.

– Pierwsze słyszę.

– O, taki kamul – Wania pokazuje rękoma coś wielkiego jak głowa dorosłego mężczyzny. – Spadł z nieba, a teraz jest u mnie. A to milion dolarów jak nic.

– Och, bladź twoja, chuju w pizdiec wyjebana mać! – normalnie tak cały czas mówią do siebie, ale teraz w ustach Dimy brzmi to strasznie groźnie. – Ja tego nie słyszałem!!!

Oficer bezpieki zrywa się na nogi i nagle jest zupełnie trzeźwy.

– A jak ty, kurwa, chcesz go wywieźć?! – ryczy Wani prosto w twarz. – Ty po prostu tego nie powiedziałeś! I nigdy więcej w życiu nie powtarzaj! Ja dobrze wiem od lat, gdzie on jest i kto ci go przyniósł! Żebyś, kurwa, więcej słowem o tym w swoim popierdolonym życiu nie wspomniał.

Dima objeżdża Wanię jak gówniarza, więc i ten raptownie trzeźwieje i dawaj przepraszać, a potem twardo spogląda mi w oczy.

– Tego nikt tu nie powiedział – cedzi. – Nic nie słyszałeś.

Nic nie słyszałem i znowu zasypiam. Śni mi się, że już rozumiem, co miał na myśli Warłam Szałamow, nazywając radziecki wymiar sprawiedliwości zorganizowaną gmatwaniną. Budzę się, gdy słońce jest wysoko. Gra trwa już osiemnaście godzin.

Wychodzę z baraku, kiedy Wania wygrywa już tylko siedem tysięcy. Idę na drogę i łapię okazję do Magadanu.

Nieszczęściem tego kraju jest to, że tu wszystko jest umowne. Państwo umawia się z obywatelami, że nie wolno jeździć po pijaku, ale wszyscy jeżdżą. Że trzeba zapinać pasy bezpieczeństwa, ale wszyscy, z prezydentem i premierem kraju włącznie, wprost ostentacyjnie tego nie robią. Trzeba płacić za połów ryb, ale nikt nie płaci, bo

opłata ląduje w kieszeniach łapowników. Państwo umawia się z obywatelami, że nie wolno handlować kawiorem, ale kto może, ten handluje; że nie wolno kłusować, ale wszyscy kłusują.

Tutaj nawet się umówili, że władza, organy bezpieczeństwa ścigają przestępców. Ale nic z tych rzeczy! Władza od dawna wie, gdzie podział się bezcenny meteoryt, ale pewnie tylko udaje, że go szuka. Dlaczego? Mogę się domyślać. Bo jaki interes miałby Dimka, gdyby meteoryt wrócił do muzeum? Albo gdyby go zabrał Wani? Sam go nie opchnie – no bo jak, gdzie, komu? Poza tym to bardzo niebezpieczne, a świat przestępczy znajdzie jakiegoś kupca. Kiedy Wani uda się już sprzedać meteoryt, Dimka zgłosi się po swoje. Po swój milion dolarów.

Dzień III
Magadan

Dzisiaj pojawia się babie lato, a to znaczy, że piękna pogoda będzie jeszcze dwa tygodnie, a potem od razu fest zima. Kołymskie babie lato to nie są nitki maleńkich pajączków jak u nas (dla nich tu za zimno), tylko gnane przez wiatr nasiona leśnych kwiatów podobne do naszych dmuchawców. To najpiękniejsza pora na Kołymie. Modrzewie już całkiem żółte, ale nie zrzuciły jeszcze igieł, więc wzgórza wokół miasta jakby całe w ogniu.

W kaloryferach grzeją już od połowy września. To nawet miłe, gorzej, że w moim hotelu internet chyba najdroższy na świecie. Trzysta rubli (trzydzieści złotych). Nie, nie. Nie za miesiąc. Za godzinę! I najwolniejszy na świecie. Żeby napisać tę relację, muszę otworzyć moją skrzynkę pocztową, co zajmuje mi jedną godzinę i dwadzieścia minut. Na poczcie głównej był „Punkt kolektywnego dostępu do internetu”, ale go zlikwidowali i jestem skazany na hotel. Do tego moją pocztę zaatakowały stada piekielnie zjadliwych ruskich spamów i wirusów. Takie bydlaki, co to nie dają się skasować.

Tutaj wszystko strasznie drogie. Najlepiej widać to na straganie z warzywami. Kartofle i cebula 40 rubli. Pomidory malinowe – 280, jabłka – 260, winogrona i cytryny po 160 rubli. Prawie wszystko przypłynęło z Chin. Nawet zielony koper po 600 rubli za kilogram. Bardzo łatwo wszystko przeliczać na polską walutę, bo wystarczy skreślić zero i ma się cenę w złotówkach.

Drogo, ale nie narzekam. Nawet jak powieje od wschodu, od wzgórza, gdzie jest największy magadański cmentarz, skąd wali gęsty, tłusty, czarny dym. Dymi, czyli grabarze palą stare opony, grzeją ziemię i kopią groby. Tak to „ekologicznie” radzą sobie z wieczną zmarzliną, która w lecie zaczyna się już metr pod powierzchnią ziemi.

Radij Niecłow ma dwadzieścia trzy lata. Pomaga mi technicznie przygotować się do wyprawy. Mapy, sprzęt, adresy znajomych na Trakcie Kołymskim… Razem z przyjaciółmi założył klub miłośników samochodów terenowych i stronę internetową o nazwie M49 (to oznaczenie Magadanu na tablicach rejestracyjnych).

Klub Radija zorganizował wśród młodych ludzi akcję bojkotu najdroższych stacji benzynowych w mieście. I został wezwany przez prokuraturę. Grozili mu, straszyli.

Potem na stronie M49 młodzież skrzyknęła się i zorganizowała protest przeciwko podniesieniu cen na importowane z Japonii używane samochody. Radij był spokojny, bo nikt w mieście nie mógł tą akcją poczuć się dotknięty. Jeździli po ulicach kolumną aut i nawet nie wyli

klaksonami. Ale milicja i tak go zwinęła. Znowu grożenie, straszenie, poszturchiwania i „ostatnie ostrzeżenie”.

Teraz chłopak siedzi cicho i nawet się nie skarży. Tylko jego matka martwi się, że dzieciaka zrazili do życia.

– Do tego dochodzą kłopoty finansowe – mówi smutno – i żyć się odechciewa w rosyjskiej demokracji.

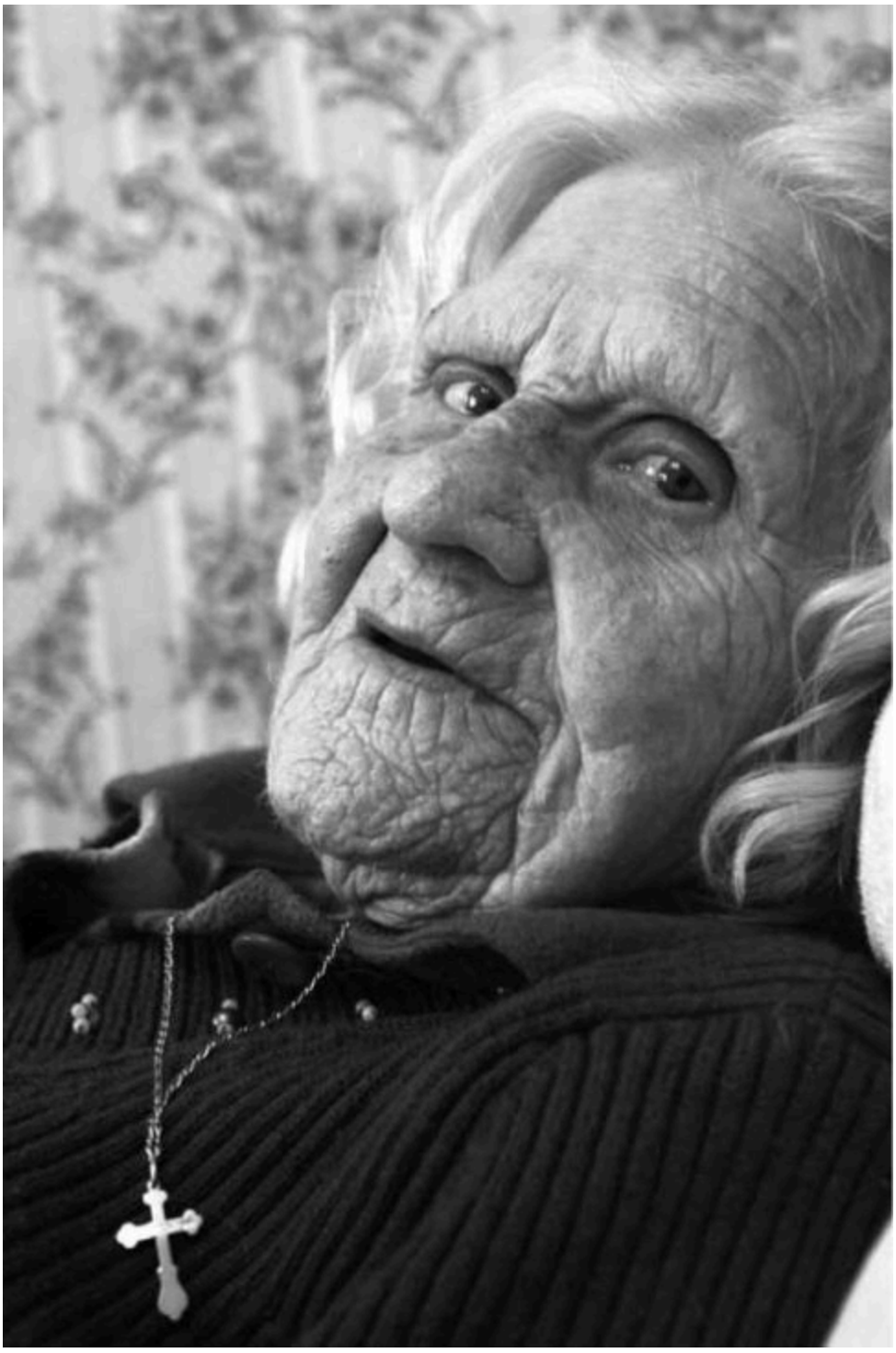

Babuszka Tania prosi Boga o śmierć

Babuszka Tania – żelazny krzyż

Babcia, babuszka, babula, babuliczka, babuleńka… A na ile sposobów można powiedzieć „matka”. Rosyjski, jeśli chodzi o czułość, jest niedościgniony.

Oto babuszka Tania, rocznik 1917, na Kołymie od 1942 roku. Dziesięć lat łagru ze sto trzydziestego szóstego artykułu kodeksu karnego (czyli za zabójstwo), a ponieważ pyskuje, bo nie zgadza się z wyrokiem, dostaje jeszcze osiem za antysowiecką agitację, w skrócie asa. To dziesiąty z czternastu strasznych paragrafów w bukiecie pięćdziesiątego ósmego artykułu radzieckiego kodeksu karnego. Wszyscy przyłapani na opowiadaniu kawałów politycznych dostawali karę z tego paragrafu, tak jak esperantyści dostawali paragraf szósty – szpiegostwo. Pięćdziesiąty ósmy, tak zwany „polityczny” artykuł kodeksu karnego, został napisany własną ręką przez Włodzimierza Lenina. „Wrogowie ludu” skazani z tego artykułu to połowa wszystkich kołymian. Druga połowa to więźniowie kryminalni. Ale kryminalnym może być mężczyzna, który kradnie trzy butelki nafty, kobieta, która zbiera kłosy zboża z kołchozowego pola po żniwach, albo młodzieniec, którego kilka razy złapali na jeździe pociągiem na gapę.

Babuszka Tania jest wyjątkowa, bo to jedyny przypadek, jaki znam, żeby zek sam wprosił się na Kołymę. Gdzieś usłyszała, że każdy rok liczą tu za dwa, pomyślała więc, że swoje osiemnaście lat odsiedzi w dziewięć, wyjdzie na wolność i odszuka siedmiomiesięcznego synka, którego już

po aresztowaniu sama odniosła do domu dziecka. Jej mąż przepadł na froncie bez wieści.

Z łagru zwolnili babuszkę w 1956 roku jako jedną z ostatnich. Przesiedziała czternaście lat.

– Jadę w dietdom, ale nie ma. Umarł. Umarł! Mi powiedzieli. Rok pożył i wszystko. Pokazują dokumenty.

W latach wojny, według oficjalnych danych, w ZSRR umierało pięćdziesięcioro pięcioro na sto dzieci przychodzących na świat. Największa śmiertelność była w domach dziecka. Po wojnie Kraj Rad miał dziewiętnaście milionów sierot, w tym pięć milionów biezprizornych, bezdomnych.

– Ale dziecko zdrowiuteńkie oddałam ja – lamentuje babuszka. – Idę na milicję i pytam, gdzie ten naczelnik, co mi zabierał dziecko? Wyjechał. Nie wiadomo gdzie. A to on chciał zabrać moje dziecko dla siebie, bo nie miał swojego. Po to do tiurmy mnie wsadził. Tak zostałam sama i wróciłam na Kołymę. Wyszłam za Bobkowa, mojego strażnika, z którym już cztery lata żyłam w żeńskim łagrze w Elgienie. Umarł na raka jeszcze w tym samym roku. I wyszłam za Gawriłowa, mojego Kolę, z którym przeżyłam pięćdziesiąt pięć lat. On był milicjantem, ale potem razem pracowaliśmy w kotłowni. Był palaczem, a ja taczkami woziłam węgiel.

Nie mieli dzieci. Na początku 2010 roku babuszka Tania została wdową po raz trzeci.

– Ja jeszcze za cara się rodziłam, potem był Lenin, Stalin, i wszystkich przeżyłam. I Bóg mnie nie zabiera. Proszę

i proszę o śmierć, a on nic. Wszyscy mówią: „Ty lepiej proś, żeby śmierć dał ci lekką”, A gdzie mi tam o śmierć lekką prosić! Daj śmierć, jaką tam masz pod ręką. Jednego pochowałam, drugiego, trzeciego, a ja żyję. No, po co? Bóg niesprawiedliwy. Miałam krzyżyk i łańcuszek złoty, com se do chrztu kupiła. O, taki gruby. Siedem tysięcy za niego dałam. Socjalna robotnica mi go ukradła. Głowę mi myła nad wanną i niby przypadkiem zerwała. Potem założyła, ale już nie ze złota. Boże ty mój, gadzina jedna! Ja jej pieniądze daję, a ona nic nie kupuje. Leków nie przynosi. Odkładałam, odkładałam po trochu latami z emerytury, żeby temu, co pierwsze umrze, drugie na grobie płotek postawiło i krzyż żelazny. Dałam pieniądze socrobotnikom na ogrodzenie i krzyż żelazny dla Koli, jak umarł, a sąsiadka mi mówi, że jest drewniany. Taki grzech na duszę wzięli. Krzyż drewniany kosztuje trzy tysiące, a żelazny piętnaście, a ja nogami nie chodzę, to nie pójdę, nie sprawdzę. Daj już, Boże, śmierć, jaką tam masz pod ręką.

Dzień IV
Magadan

Dzisiaj przeprowadzam swoją pierwszą operację w życiu. Złamanie kości udowej. Otwarte, bardzo skomplikowane. Z silnym krwotokiem, bo kość przecina tętnicę udową. Pacjent się wykrwawia, a my z trzydziestosiedmioletnim Władem, głównym chirurgiem obwodowego szpitala w Magadanie, pijemy piwo z koniakiem w restauracji Magnolia przy dworcu autobusowym. Młodsi koledzy Włada dzwonią do niego i błagają, żeby przyszedł do szpitala, ale on ledwo trzyma się na nogach. Poza tym fajnie nam się gada.

Najpierw pyta, czy u nich ktoś na poważnej bani, boby odradzał przy tej operacji. Potem przez telefon, na żywo prowadzi ręce kolegów, mówi, co i jak mają po kolei robić. Jak podciąć, założyć zaciski, wiercić otwory na śruby, a ja biegnę do kiosku kupić Władowi doładowanie do telefonu i papierosy, bo nie ma nawet kopiejki. Operacja trwa pięć godzin. Udaje się!

Magnolia to najgorsza buda, w której piłem piwo z koniakiem. Do żarcia tylko otbiwnaja swinina z serem (bitki wieprzowe) i frytki, ale każdy konsument

obowiązkowo musi przeczytać kartę dań, w której najdłuższy rozdział dotyczy sztrafów (kar pieniężnych). Uszkodzenie ekranu telewizora – dwadzieścia tysięcy rubli (dwa tysiące złotych), uszkodzenie stołu do jedzenia – trzy tysiące, a do pingponga już dziesięć tysięcy, krzesła – półtora tysiąca, a krzesła miękkiego – dwa i pół tysiąca. Kara za kufel wynosi trzysta, talerz i szklanka po dwieście.

Najbardziej opłaca się walnąć popielnicą – sto rubli.

Wład upiera się, że oprowadzi mnie po mieście. Niby po historycznych miejscach, ale jakoś często natykamy się na knajpy. Najpierw na uzbecką przy dawnym placu Lenina, gdzie jeszcze cztery lata temu stał pomnik wodza rewolucji. Za jego plecami w 1987 roku zaczęto budować ogromny Dom Sowietów, lokalny parlament, ale gdy po kilku latach Związek Radziecki legł w gruzach, budowę wstrzymano.

Doktor Wład przed popiersiem Eduarda Bierzina – władcy absolutnego Kołymy

Cztery lata temu budynek zaczęto przerabiać na wielki, prawosławny sobór, pomnik więc przeniesiono na skwer przed nową siedzibę Federalnej Służby Bezpieczeństwa (następczynię NKWD i KGB), a plac Lenina ojcowie miasta przemianowali na Soborowy, chociaż budowa świątyni utknęła.

Lokalny parlament więc, zwany teraz Magadańską Obwodową Dumą, jak mieścił się w tak zwanym Domu Waśkowa, tak pozostał w nim do dzisiaj. To dawne stalinowskie więzienie nazywane tak od nazwiska głównego gospodarza, naczelnika, chociaż teraz już nikt pamięta, kim był ów Waśkow. W piwnicach ciągle są dziesiątki wąziutkich cel.

Główna ulica ciągle jest prospektem Lenina. Prezydent Miedwiediew z hollywoodzkim uśmiechem na każdej niemal ślepej ścianie. Czasem w towarzystwie premiera Putina. A przy miejscowym teatrze tablice z portretami honorowych obywateli miasta. Pierwsze miejsce zajmuje czekista, jeden z naczelników NKWD w latach trzydziestych i czterdziestych.

A gdzie portret Korolowa, ojca radzieckiej kosmonautyki? Portrety Szałamowa, Żżonowa, Kozina, wielkich radzieckich artystów, którzy latami gnili w miejscowych łagrach?

Wład odpowiada mi z krzaków, w które runął, idąc się wysikać. Że patrzę na Rosję ze swojego małego, kulawego, europejskiego taborecika i że jak Rosjanie potępią swoją przeszłość, to nic im nie zostanie. Historia ich niełatwa.

Łatwo obsikać sobie dwa palce – mówi filozoficznie Wład i znowu przewraca się w krzaki.

Ojciec Włada był wysokim oficerem KGB w Magadanie.

Doktor Wład – krwotok wewnętrzny

– Gdzieżeś już zdążył się uwalić? – pytam Włada, kiedy dwa dni później spotykamy się rano na kawie.

– Co ty?! Ja tylko co z dyżuru! Źle wyglądam, bo dobę nie spałem.

– Wódą wali od ciebie…

– To nie alkohol – on na to. – Środki dezynfekcyjne. Przedwczoraj byłem wypity, ale. Właśnie, gdzie ja potem pojechałem?

– Nie mam pojęcia. Rozstaliśmy się po północy pod moim hotelem.

– Do domu wróciłem o ósmej rano. Gdzie ja byłem?

– Jak to się po rusku nazywa? – pytam go.

– Wyklucziło mnie.

– Wyłączyło. Film ci się urwał.

– Wychodzi na to, że na osiem godzin. Włączyłem się u matki w domu. Bo tam mieszkam. Pamiętam, jak szedłem po schodach. Ale gdzie byłem wcześniej? Dzwoniłem wszędzie, ale nigdzie mnie nie było.

– Jadłeś co dzisiaj?

– Koła – mówi.

– Jakie koła?

– Tabletki. Prochy.

Teraz już wiem, że Wład od kilku miesięcy nie pracuje w szpitalu. Chodzi tylko pomagać kolegom w operacjach. Pracuje w urzędzie celnym jako przewodnik psa szukającego narkotyków. Upiera się, że sam się zwolnił ze

szpitala, bo celnicy od ręki dali mu pięćdziesiąt tysięcy rubli (pięć tysięcy złotych) zamiast dwudziestu, które zarabiał w szpitalu, ale ja wiem, że został wyrzucony, bo pił i nawalał w robocie. Żona z piętnastoletnim synem trzy lata temu uciekli od niego z tego samego powodu.

Wład przywiózł ją do rodzinnego domu z wakacji, kiedy jeszcze był studentem. Była w ciąży, więc ojciec chłopaka postanowił poddać próbie ten związek. W Rosji do 2000 roku absolwentów wszystkich szkół medycznych obowiązywały dwuletnie nakazy pracy. Ojciec Włada mógł załatwić dla syna najlepsze miejsce, ale wysłał go w najgorsze z możliwych, w lodowatą tundrę u ujścia Indygirki do Morza Arktycznego.

– Najgorzej jest jednak tutaj, w pogotowiu w zespole psychoneurologicznym. Szaleniec z delirium w hotelu robotniczym rżnie mi brzytwą całą gębę i język. Mam dwóch sanitariuszy, byłych sportowców, prawdziwe potwory, nie ludzie, ale przez korytarz idę pierwszy, a tam ciemno, jak to u nas, bo rzecz jasna pokradli żarówki. Pojawia się, chlast, chlast i jest po wszystkim. Czuję gorąc i że język wyłazi mi przez policzek. Koledzy trzy godziny mnie cerują. Innym razem szaleniec przyszpila mnie wielkim szydłem, jakby ostrą sztycą do ściany. Trafia parę centymetrów od wątroby. Z sześćdziesiąt centymetrów miała ta szpila. W rękawie ukrył. Nie wiem, jak to zrobił, bo to było w porcie lotniczym, a on z samolotu przyszedł.

Wład podciąga koszulę, pokazuje bliznę na brzuchu. Potem podaje mi rękę jak do pocałowania.

– A tu dostaję siekierą na izbie przyjęć – mówi. – Cichy taki, grzecznie odpowiada, ja wypełniam kartę, a ten trzask i ręka prawie odrąbana.

– A to szydło z czego było?

– Zaostrzony drut zbrojeniowy. Bardzo niebezpieczne narzędzie. Rany i krwawienia prawie nie ma, bólu nie czujesz, a trafi dobrze w arterię, wewnętrzny krwotok i wsio. Kombinowałem, czy go wyciągać, bo jak ruszę, pójdzie krew na wątrobę i nie dowiozą mnie do szpitala. To jechałem z tą szpadą w brzuchu pięćdziesiąt kilometrów z lotniska do Magadanu.

– Dużą macie przestępczość? – pytam.

– To milicyjne terytorium. Wszystko wzięli pod kontrolę, bo to złote serce Rosji: surowce strategiczne.

Złoto i największe na świecie złoża srebra, do tego platyna, uran, kobalt, rtęć, cyna, ołów, nikiel, żelazo, miedź, molibden, wolfram, węgiel, ropa, gaz i co tylko chcecie. Więc i mafia musi być, handlarze złota, bandziory wielkiego formatu, ale ulicznego, pospolitego bandytyzmu niewiele. Także dlatego, że uciec stąd niełatwo.

To trzeba wyjaśnić.

Niełatwo, bo wszyscy mieszkańcy Kołymy, także więźniowie, dotarli na nią drogą morską. I do dzisiaj tylko tak można się z niej wydostać – pokazując dowód osobisty i kupując bilet na statek albo na samolot. Zupełnie jakby Kołyma była wyspą. Stąd od dwóch z górą wieków tak się o niej mówi. Wyspą tak odległą, jakby w ogóle była inną

planetą – więc i tak ją nazywają. Planeta Kołyma, a wszystko, co jest poza nią, to matierik – ląd, kontynent.

Kołyma to rzeka i góry o tej nazwie. Nie ma regionu geograficznego ani jednostki administracyjnej, która tak by się nazywała. Obiegowo mówi się tak o dzisiejszym obwodzie magadańskim, dawniej o całym, ogromnym terytorium Dalstroju, które obejmowało dziesiątą część ZSRR od linii rzek Ałdan i dolnej Leny do Cieśniny Beringa na wschodzie.

To także trzeba wyjaśnić.

Dalstroj to kołymski trust powołany 14 listopada 1931 roku uchwałą Komitetu Centralnego Wszechrosyjskiej Partii Komunistycznej (bolszewików), jak nazywała się wtedy Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego. Radzieckie władze chciały od nowego przedsiębiorstwa tylko jednego: złota!

Jeszcze w tym samym miesiącu (bo w grudniu Morze Ochockie zamarza i kończy się nawigacja) na parowcu Sachalin do portu w Magadanie przypływa trzydziestosiedmioletni łotewski czekista w randze generała Eduard Bierzin, absolwent Królewskiej Szkoły Sztuk Plastycznych w Berlinie. To pierwszy dyrektor, naczelnik, władca absolutny, car Kołymy. Na wiosnę następnego roku do brzegu przybija statek z pierwszym transportem więźniów i jesienią Bierzin wysyła do Moskwy pierwsze pół tony czystego złota. W 1935 roku już czternaście ton, a w następnym roku trzydzieści trzy tony złota. W nagrodę „za przekroczenie planu wydobycia” Dalstroj dostaje

trzydzieści ton przydziałowego drutu kolczastego, a Eduard Bierzin Order Lenina. Przy okazji Maria Ulianowa, siostra Władimira Iljicza, daje władcy Dalstroju w prezencie rolls-royce'a Nadieżdy Krupskiej. Po powrocie z Moskwy, gdzie odbiera odznaczenie, naczelnik trustu wydaje rozkaz, by pracę na wolnym powietrzu przerywać dopiero, gdy temperatura spadnie poniżej minus 55 stopni Celsjusza.

Po dziewięciu latach istnienia, w 1941, strasznym, głodnym roku Dalstroj daje walczącemu z hitlerowcami Krajowi Rad siedemdziesiąt pięć ton złota. To jest trzecia część światowego wydobycia tego kruszcu. To mniej więcej tyle, ile na tym obszarze wydobywa się go teraz. Ale robią to potężne maszyny. Wtedy musiały wystarczyć kilofy, łopaty i taczki.

I dwieście tysięcy umierających od głodu, mrozu i roboty niewolników.

Dzień V
Magadan

Jestem tu już piąty dzień i z przerażeniem odkrywam, że od przyjazdu ani razu się nie śmiałem. Mnie się to nie zdarza! Tak naprawdę nie spotkało mnie tu jeszcze nic miłego, sympatycznego. Ludzie to największe rozczarowanie. Dobrzy, nawet chcieliby pomóc, ale przez cztery dni nikt się do mnie nie uśmiechnął, nie odpowiedział na uśmiech, chociaż ładna, słoneczna, prawie mroźna pogoda. Dziwne, zahibernowane przez morderczy kołymski klimat sowieckie ponuractwo, które pamiętam z pierwszych lat dziewięćdziesiątych, a którego już w Rosji prawie nie ma. Ludzie wkurzeni, opryskliwi, ponurzy, smutni i ledwo odwarkujący na każde pytanie. A poproś o co! Jacy potwornie nieszczęśliwi. Nawet młodzi ludzie to mają. Nawet mój Radij, młody chłopak, a nie daj Boże zadzwonić do niego i gadać, czegoś chcieć. Ledwo odpowiada – nabzdyczony, nadęty, jakby obrażony. Ponury i smutny.

Jak facet z muzeum krajoznawczego, z działu historii. Chcę pogadać, wychodzi więc do mnie do holu, siada, ale mówi, że jest potwornie zajęty. To sobie idę, a kiedy wracam półtorej godziny później, siedzi w tym samym miejscu i tej

samej pozycji. Patrzy na ścianę. Rosjanie nazywają takich sowokami (od „sowietskij czełowiek”). Tu jednak inni ludzie. Jakby nie było grudnia 1991 roku i rozwału ZSRR.

Muszę ruszać z tego miasta.

Ale na razie je poznaję. Na rogu ulic Karola Marksa i Parkowej dawny budynek dyrekcji Dalstroju, przerobiony na centrum handlowe, świątynię gospodarki rynkowej i kapitalistycznych stosunków pracy. Sklep Klondike (ale nie ze złotem, tylko butami), stylowa odzież Mango, Kościół Chrystusa Zbawiciela (jedna z setek działających w Rosji sekt), adwokat, agencja konsultingowa Odważny Krok, agencja reklamowa Twój Wybór, Audyt Usługi, Ekspres Poligrafia i caffé bar Oazis.

Kilka minut w dół ulicą Parkową największe, najbardziej szokujące odkrycie. Przed budynkiem magadańskiej administracji na granitowym cokole popiersie Eduarda Bierzina z brązu.

Mieszkańcy miasta uczcili dyrektora Dalstroju w lecie 1989 roku, w szczytowym okresie pierestrojki, kiedy system, za który przelewał krew setek tysięcy niewinnych ludzi, w Polsce był już dokumentnie, a w ZSRR niemal rozmontowany. To mniej więcej tak, jakby w Oświęcimiu postawić pomnik znakomitego lekarza i antropologa Josefa Mengelego albo zasłużonego chemika, który wymyślił cyklon b.

O pomniku Bierzina pisał już Tomasz Kizny, wspaniały fotograf i reporter, który nie mógł się nadziwić rosyjskiej

łatwości rozgrzeszania. Pisał, że Magadan jest chory na schizofrenię.

Ale to było piętnaście lat temu. Myślałem, że półtorej dekady wystarczy, żeby Rosjanie otrząsnęli się po upadku imperium sowieckiego.

Nie wystarczyło. Muszę pryskać z tego miasta.

Tuż obok Bierzina robię kapitalne zdjęcie – czterech szkolnych koleżków na przystanku autobusowym. Sądząc po pierwszym wąsie pod nosem, mają po czternaście-piętnaście lat. Pytam ich, kim był Bierzin. Nie wie żaden. Jeden z nich jest Chińczykiem, przedstawicielem najnowszej imigracji, przybył tu z rodzicami dziesięć lat temu. Drugi Ewenem. To miejscowy, prastary naród, który zamieszkiwał te ziemie na długo przed przybyciem Rosjan. Trzeci z chłopaków jest przedstawicielem narodu zdobywców, Rosjaninem, a czwarty pochodzi z Kaukazu. Ingusze mają wielką słabość i talent do złota. Już w latach siedemdziesiątych zmonopolizowali czarnorynkowy handel tym metalem i od lat są tu jednym z najliczniejszych radzieckich narodów, chociaż klimat dla nich zabójczy.

À propos zabójczego. Mam na myśli strzał, który w biały dzień zakończył życie magadańskiego gubernatora Walentyna Cwietkowa. Padł ów strzał i padł gubernator w październiku 2002 roku na moskiewskim Arbacie, najelegantszej z ulic rosyjskiej stolicy. Od drugiego strzału padł ochroniarz gubernatora, a podejrzenie – na dwójkę jego zastępców. Wiktoria Tichaczowa siedziała nawet cztery lata, a Jurij Kotow, największy miejscowy oligarcha,

otmazałsa – jak dość ordynarnie się tu mówi, to znaczy „wyślizgał się”, „wywinął” – choć cały miejscowy elektorat wie, że zwyczajnie się wykupił. Śledztwo przeciw niemu ciągle trwa, ma prokuratorski zakaz opuszczania miasta, ale wcale nie przeszkadza mu to być deputowanym obwodowej Dumy.

Kolesie ze szkolnej ławki: Rosjanin, Ingusz, Ewen i Chińczyk

Kotow jest właścicielem firmy Wilk Morski, handlującej krabami, homarami, rybami i kawiorem, a to na Kołymie równie niebezpieczna i ciemna branża jak narkotyki i równie dochodowa jak złoto.

Zamordowany gubernator nosił przezwisko „Buldożer". Bo taki ostry, twardy, despotyczny i fanatycznie oddany Kołymie, a obecny gubernator Nikołaj Dudow, „ni mięso, ni ryba" – jak pięknie mówią Rosjanie, człowiek ulepiony z mgły i galarety (to już moja metafora), ciepłe kluchy i tyle.

Miejscowi dziennikarze mówią, że Cwietkow kradł na potęgę i że „wszyscy o tym doskonale wiedzieli". Dawał się bogacić, ale tylko tym, którzy się z nim dzielili, więc na zagranicznych kontach zgromadził podobno gigantyczny majątek. Miał własną flotę rybacką i kilka fabryk rybnych w Wietnamie, które były zarejestrowane na nazwisko jego kochanki. Ale był przy tym świetnym gospodarzem Kołymy. Zbudował kilka zakładów, otworzył specjalną strefę ekonomiczną i przede wszystkim zbudował państwową odlewnię metali szlachetnych. Od tej pory złoty piasek i ruda skupowane są i przetapiane w dwunastokilogramowe bankowe sztaby na miejscu, a nie wywożone do Moskwy, co sprawia, że poszukiwacze nie czekają na pieniądze miesiącami. Tak samo jest ze srebrem.

W Rosji państwo ma monopol na poszukiwania, wydobycie, skup, handel i przetapianie metali szlachetnych. Wszyscy poszukiwacze złota i srebra muszą wykupić licencję i odsprzedać państwu cały urobek. W obwodzie magadańskim w zeszłym roku wydobyto trzynaście ton złota

(w czasach Cwietkowa trzydzieści-trzydzieści pięć) i około siedmiuset srebra.

To wszystko sprawiło, że w Magadanie nie pozwolą powiedzieć o byłym gubernatorze złego słowa. Nawet poszukiwacze złota, których w Cwietkowowej odlewni nabijali w butelkę w żywe oczy, bo płaci się im „za czystość”, to znaczy za kruszec zwany trzema dziewiątkami (przeliczony na próbę 999). Na Kołymie złoty piasek ma czystość od 600 do 940, każda porcja szlachetnego metalu oddana do odlewni jest inna i tylko tam można ją zbadać, i tam na próbach złota poszukiwacze byli oszukiwani. Ale zabity gubernator wspominany jest z rozrzewnieniem i poczuciem niepowetowanej straty, a dla mnie to kolejny przykład owej rosyjskiej łatwości rozgrzeszania, legendarnej pobłażliwości. Wystarczy, że władza daje żyć, i już ją lubią.

Muszę się stąd wynosić. Ruszyć w drogę, na Trakt.

Profesor Etlis – taniec z karłem

– Miałem dwadzieścia cztery lata. Dostałem dwadzieścia pięć łagru. Aresztowali mnie w dniu śmierci Stalina, 3 marca 1953 roku.

– Wtedy dawali jeszcze takie wyroki? – dziwię się.

– No co wy?! – wzdycha Miron Markowicz Etlis i oplata mnie jedwabnymi rzemykami przydymionych swoich spojrzeń. – Wtedy jeszcze strzelali! Kilku moich przyjaciół postawili pod murem. To były tak zwane leninowskie grupy, dzieci ofiar wielkiej czystki, rozstrzelanych w końcu lat trzydziestych. Wyaresztowali ich co do jednego. Bo sprzeciwiali się wypaczeniom w życiu partyjnym i społecznym. Pisali programy, ulotki, robili propagandę, a ja studiowałem medycynę w Riazaniu. Jako przewodniczącemu samorządu studenckiego zaproponowali mi wstąpienie, odmówiłem, bo ich program wydawał mi się paskudnie liberalny, ale to wystarczyło, żeby dostać dwadzieścia pięć lat.

– Z jakiego artykułu?

– Pięćdziesiąty ósmy. Paragraf ósmy, dziesiąty, jedenasty: terror, działalność grupowa, antysowiecka agitacja. Wrzucają mnie do łagru przy kopalni węgla w Kingirze w Kazachstanie, gdzie rozgrywała się akcja *Jednego dnia Iwana Denisowicza.* Pracuję w brygadzie Sołżenicyna tuż po tym, jak go zwolnili. Poznaję prototypy jego bohaterów. Potem robią mnie felczerem w obozowym szpitalu. Jestem chyba jedynym w historii Gułagu przypadkiem zeka, który

skończył studia. Zaczęło się od tego, że wyleczyłem z łuszczycy zastępcę naczelnika mojego łagru i on mnie rozkonwojował. Mogłem bez strażników opuszczać zonę, ale tylko na dwie godziny i nie dalej jak dwa kilometry od drutów. To było cudowne, bo moja żona pojechała za mną na katorgę. Wzięła ze sobą mój wspaniały, szary garnitur, to się przebieram i jadę autostopem do Pawłodaru, do naczelnika wszystkich kazachskich obozów.

– Pewnie więcej, Mironie Markowiczu, jak dwa kilometry?

– Ze sto dwadzieścia dwa. Wpuszczają mnie, bo myślą, że jestem dziennikarzem, a ja melduję się naczelnikowi i proszę, żeby zadzwonił do mojego obozu i powiedział, że nie jestem na ucieczce, tylko u niego. Szczyt bezczelności! Myślałem, że chłopa krew zaleje, ale dzwoni, a ja go proszę, żeby dopuścił mnie do egzaminu lekarskiego w Akademii Medycznej w Karagandzie, bo mnie z szóstego roku zabrali, tuż przed końcowym sprawdzianem. Strasznie mnie wymatierił.

– Co za piękne słowo! – zachwycam się. – Od słowa „mat”, czyli „bluzg”.

– A ten bierze kartkę, pióro i pisze, że „z/k Etlis Miron Markowicz jest na urlopie w celu zdania egzaminu państwowego”. Stawia pieczęć i jadę do Karagandy. Zdaję bez problemu, bo karagandyjska akademia cała złożona jest ze zsylnej profesury. Dostaję dyplom lekarski numer 120/56. A w końcu 1956 roku jest amnestia i mnie zwalniają, a rok później rehabilitują.

– Żona jedzie za wami na katorgę – zachwycam się znowu. – Jak kobiety dekabrystów.

– Tak. Zatrudnia się w stołówce przy kopalni, w której pracuję.

– Bardzo romantyczne.

– Strasznie. Rozwiedliśmy się trzy lata później. Potrzebowałem więc uciec najdalej, jak się da, a najdalej jest Kołyma. Jeszcze trzy razy się tu żeniłem.

Miron Etlis pracuje na 23. kilometrze Traktu Kołymskiego w wielkim szpitalu psychiatrycznym. W wolnych chwilach pisze wspomnienia. O ojcu, uczestniku rewolucji październikowej i wojny domowej, o jego przyjaciołach, Blucherze, Jakirze, Tuchaczewskim, starych rewolucjonistach, którzy bywali u nich w domu na Małokuznieckim Zaułku w Moskwie.

Ojciec był naczelnikiem trustu budowy mostów, a narkomem, czyli ludowym komisarzem floty śródlądowej był Nikołaj Jeżow, który jednocześnie pełnił funkcję ludowego komisarza bezpieczeństwa państwowego. Siłą rzeczy ich interesy często były sprzeczne, bo, jak wiadomo, mosty przeważnie ze szlakami wodnymi się krzyżują. Obaj panowie bardzo często pochylali się w domu Etlisów nad mapami i planami inwestycji wodnych. Często wtedy dochodziło między nimi do karczemnych awantur, bo żaden nie miał łagodnego serca.

– Kiedyś taka draka wybucha u nas na daczy – opowiada profesor Etlis. – Robi się groźnie, bo obaj są uzbrojeni, więc matka szybko podaje wódkę, wnosi obiad i zaprasza

Cyganów, którzy mieszkają obok. Zaczynają się tańce. Pamiętam, że matka jak szalona tańczy z Jeżowem.

– Bardzo piękna z nich para – śmieję się. – Miał 151 centymetrów wzrostu.

– W okresie wielkiego terroru, zwanym jeżowszczyzną, kazał wymordować wszystkich przyjaciół naszej rodziny, z Blucherem, Jakirem i Tuchaczewskim na czele.

– Marszałka Bluchera podobno osobiście zastrzelił podczas przesłuchania.

– Kiedy ojciec poczuł, że zaraz przyjdzie kolej na niego, zniknął i do upadku Jeżowa ukrywał się na Krymie.

Mirona Markowicza odwiedzam w szpitalu. Leży na oddziale chirurgii w eleganckiej, jednoosobowej sali.

– Czym się zajmowaliście? – pytam.

– Od 1984 roku głównie pracą badawczą. Preparatem o nazwie kaprim, który wymyślili wspólnie radzieccy uczeni z Kaukazu i Władywostoku. To lekarstwo na psychozy alkoholowe. Ja miałem przebadać je na ludziach. Robiłem napój alkoholowy z kapri-mem o mocy czterdziestu procent i poiłem nim ludzi. Wyszło mi, że nie leczy z alkoholizmu, ale trzykrotnie zwalnia postęp choroby i nie dopuszcza do pojawienia się psychoz, a jak już są, to znosi wszystkie objawy. Zasadniczo więc nie jest to terapia, tylko profilaktyka. Kaprim powinno się dodawać do wszystkich trunków.

– To dlaczego nie wprowadzono go na całym świecie?! – wołam z rozpaczą.

– Przyjacielu mój – mówi Miron Markowicz i oplata mnie jedwabnymi rzemykami przydymionych swoich spojrzeń. – A dlaczego na świecie nie ma sprawiedliwości?

– Czy stary Żyd zawsze musi tak odpowiedzieć, żeby prosty człowiek nie zrozumiał?

– C’est la vie. A jeśli chodzi o to życie. Właśnie usunęli mi guza nowotworowego z jelita. Chwała Bogu, nie zrobili dodatkowej dziury. Trzy operacje z rzędu. Przez odbyt.

Dzień VI
Oła. 30 kilometrów na wschód od Magadanu

Najbliższą noc spędzę… Nigdy bym nie uwierzył. U córki Jeżowa. Tego Jeżowa! Nikołaja Iwanowicza, zwanego Żelazną Pięścią Stalina, narkoma wnutriennich dieł, głównego komisarza sowieckiej bezpieki, który ma na sumieniu setki tysięcy. Gdzie tam – miliony ludzkich istnień.

Macie pojęcie?! Był następcą potwornego Jagody, poprzednikiem strasznego Berii, ale obu ich przewyższał okrucieństwem. To chlejący na umór zwyrodnialec, który osobiście torturował i mordował więźniów. Okres wielkiej czystki, gdy kierował bezpieką, nazywają jeżowszczyzną. Kto wie, czy to nie najstraszliwsze dwadzieścia sześć miesięcy w całej ponadtysiącletniej historii Rosji. Kończący ten okres rok 1938 nazywają rasstrielnym.

Jeżow był ogarniętym manią wielkości psychopatą. Nazywano go Krwawym Karłem. Pewnie najstraszliwsze monstrum, jakie wydała ludzkość, a ja u jego córki piję sobie dwudziestą siódmą szklankę herbaty.

Wiem, że kobieta mieszka na Lenina pod trzydziestym siódmym. W środkowej klatce. Idę więc od dołu i walę we

wszystkie drzwi. Żaden dzwonek nie działa, a wszystkie drzwi okute potężną blachą. Nikt z lokatorów nie wie, kto tu z nimi mieszka, i mało komu nazwisko Jeżow coś mówi.

Natalia Nikołajewna ma tylko jeden pokój. Pod portretem ojczulka mojej gospodyni rozkładam w korytarzu materac na noc i wyskakuję kupić coś na kolację.

Kulinarna w Ole to rodzaj sklepiku z garmażerką i bar bardzo szybkiej obsługi, gdzie można wypić piwo i ohydną chińską kawę trzy w jednym (kawa, mleko, cukier w jednej torebce). Mam słój kawioru z wypadu na ryby, ale potrzebujemy chleba i masła. Natalia Nikołajewna żyje bardzo biednie.

Przy okazji odkrywam, że nie obrusiałem jeszcze ze szczętem. „Obrusieć", „obrusiały" to dość obraźliwe słowa oznaczające zruszczenie. Używają ich nierosyjskie narody federacji w stosunku do rodaków, którzy stracili swój język. Jakuci, kiedy chcą okazać takiemu pogardę, nazywają go marginałem. To ktoś, kto sam siebie wyrzucił na margines społeczności.

Przez pierwsze dwa tygodnie pobytu w Rosji odpowiednie sektory, czy też zwoje w moim mózgu, muszą wszystko, co słyszę i mówię pozostałym zwojom, tłumaczyć na język polski. Później myślę już po rosyjsku. Właśnie się przekonuję, że to się jeszcze nie dokonało.

Kupuję masło, chleb i pytam, co mają ciepłego na wynos. Jęzory w potrawce i pieczeń z cebulą. Oczywiście zawinszowałem sobie pieczeń. A u Natalii Nikołajewnej

okazuje się, że to wątróbka. No jasne! Wątroba to po rosyjsku pieczeń. Z dwojga złego wolałbym te jęzory.

Oła to osiedle kilkudziesięciu pięciopiętrowych bloków z wielkiej płyty zwanych chruszczowkami, bo od czasów Chruszczowa w ZSRR tak budowano. Na wielu podwórkach niewylane jeszcze lodowiska do hokeja i stojaki do suszenia bielizny, ale nikt z nich nie korzysta, bo kradną. A krzaczory i chwaściory wszędzie do pasa.

Natalia Nikołajewna mieszka w Ole, bo tu dostaje swoje pierwsze w życiu własne mieszkanie, kiedy w 1991 roku przechodzi na emeryturę. Ma jedną córkę i sześcioro wnucząt, z których czworo mieszka na jej osiedlu. Jest akordeonistką, ale po wylewie nie może utrzymać ciężkiego instrumentu. Lewa ręka nie śmiga po klawiaturze jak dawniej.

Gadam z moją gospodynią prawie do rana. I wreszcie się śmieję! Do rozpuku, chociaż w mieszkaniu zimno jak w psiarni. W Ole jeszcze nie grzeją, choć w nocy za oknem mróz, tajga, zaśnieżone wzgórza. Siedzimy w kurtkach, czapkach.

Natasza z matką

Nataszka kudriawa – dziecko numer 144

– A to co?

– Czekolada.

– Po co?

– Dla was.

– Dla mnie? – dziwi się Natalia Nikołajewna. – Czekolada? Wiecie, ile ja mam lat?

– Trzydzieści dwa.

I oboje pękamy ze śmiechu. Ten jej jest cholernie zaraźliwy. Kilka minut nie możemy się uspokoić, aż Natalia Nikołajewna dostaje ataku kaszlu. Krztusi się długo. Z piersi i gardła dobywa się gęsty gulgot, coś jakby się tam urywało, więc łapie puszkę po kawie Maxwell House i wypluwa do niej zielony kawałątek płuc. To jej ulubiona kawa. I puszki, bo stoją wszędzie w jej maleńkim mieszkanku. Połowa jest na pety, druga połowa do spluwania.

– Nie trzeba mi waszych komplementów – chrypi, wycierając oczy. – Siedemdziesiąt dziewięć lat przeżyłam, chociaż strasznie dużo palę. Ale za to nie piję. W ogóle! A na tym zdjęciu za wami to mój papa. Bo wy wiecie?

– Wiem.

– No tak. Bo po co mielibyście do mnie przychodzić? Córka Jeżowa. Boże, jak to strasznie brzmi.

– Zatem Chajutina to wasze nazwisko po mężu – zgaduję.

– Po matce. A w zasadzie po jej pierwszym mężu, którego nie znałam. Tata to jej trzeci mąż, a mama jego druga żona. Bo oni nie moi rodzeni. Nie mogli mieć dzieci i żadne nie

miało. Wzięli mnie w 1935 roku z domu dziecka. Miałam pięć miesięcy, a moich prawdziwych rodziców zamknęli czy też rozstrzelali chwilę wcześniej. To byli przyjaciele mojej nowej mamy. A jak tego przybranego tatę aresztowali na początku 1939 roku, to mnie przenazwiskowali, z Jeżowej zrobili Chajutiną i wywieźli do Penzy, do domu dziecka. Paniczny strach tam wzbudzałam. Sześć lat miałam i to widziałam. Tylko nie rozumiałam dlaczego. Idę korytarzem, a na ścianie kalendarz z portretem mojego ojca, to ja w krzyk: „Papa!”. A wszyscy wychowawcy padają jak muchy ze strachu. Jeszcze nie zdążyli zdjąć tego kalendarza.

Natalia Nikołajewna pęka ze śmiechu i znowu zanosi się potwornym kaszlem. Dopełnia puszkę po kawie, zapala, pociąga dwa łyki kawy.

– Pierwszej nocy, jak mnie tam przywieźli, opowiadam o sobie na ogólnej sali. Mówię o ojcu, niani, służbie, strażnikach, samochodach, naszych gościach, daczy, mieszkaniu na Kremlu. Słuchają mnie przedszkolaki, pięcio-, sześcioletnie dzieci, a boją się choćby pisnąć. Wtedy nawet dzieci rozumiały grozę tego nazwiska. Przychodzi dyrektorka oddziału przedszkolnego, zabiera mnie z ogólnej sali i ściele mi łóżko w swoim gabinecie. Przez miesiąc tam śpię. Nazwisko Jeżowa było wtedy straszne. Ale jak wszyscy byłam pod numerem.

– Boże – wzdycham – tak w obozach mówili.

– My też. Ja byłam 144. Koszule, majtki, rękawiczki, wszystkie ubrania i nawet walonki były z numerami. I wzywali nas po numerach. Jak w łagrze. Każda zbiórka,

apel poranny, wieczorny, przydział roboty zawsze po numerach. Ja byłam 144.

– Jakie tam było życie?

– Nienawidzili mnie tam. Po prostu nienawidzili. Dręczyli, dokuczali i bili bez przerwy. Strasznie! Wychowawcy.

– Dlaczego?

– Na początku nie miałam pojęcia – mówi córka Jeżowa. – Ot, choćby obowiązkowa drzemka po obiedzie. Na salę wchodzi wychowawczyni, bez słowa pokazuje na mnie palcem, ja wychodzę, ona zakleszcza mnie między kolanami i: „Spróbuj pisnąć”, syczy z nienawiścią. I tłucze jak wściekła kijem od miotły. Za nic! Bez powodu. Tłucze tak, że kij pęka, a jak zaczynam wyć, zatyka mi usta. Obcy ludzie przychodzili mnie lać. Wychowawcy innych grup, kucharki, kierowcy, nocny stróż, pracownicy administracji. Najbardziej się bałam tego poobiedniego spania. W nocy też nie było lepiej. Boże! Przecież miałam tylko sześć lat. I nie wiedziałam, co jest z moim tatą. Czułam się, jakby mnie porwali. Wyszarpali mnie z mojego pięknego, wspaniałego świata i wrzucili do tego piekła. Ja w życiu nie widziałam tylu dzieci. Zawsze byłam sama. Jedyna. Godzinami, dniami całymi siedziałam na parapecie i patrzyłam na drogę, którą mnie przywieźli. Latami nie mogłam dojść do siebie. Do tego ja taka kudriawa byłam, kudłata, a oni wszyscy łysi. Straszne wszy były.

– I nie ostrzygli was?

– O dziwo, bardzo długo nosiłam tego mojego czarnego, gęstego barana. I kto chciał, szarpał mnie za kudły. Potrafili

podnieść mnie tak, że nie dotykałam nogami podłogi. Nikt koło mnie nie przeszedł, żeby nie zatargać za te włosy. Absolutnie wszyscy! A dorosłych naśladowały starsze dzieci. Dłuuugo mnie nie ostrzygli. Aż przywieźli tych z ewakuacji, sieroty z wojny, co się zaczęła, a u nich na łbach aż się ruszało, to i ja wreszcie złapałam wszy. Strasznie dużo nas się wtedy zrobiło. Ponad sześćset dzieciaków. W trójkę na jednym łóżku spaliśmy. Okropność. A łóżko żelezka, wąziutkie, do tego głodno, chłodno. Strasznie! Zimniej niż teraz w moim mieszkaniu.

– Ale wtedy wojna była.

– A zaraz po niej przyjeżdżają wybierać nas na wychowanie – opowiada Natalia Nikołajewna. – To byli frontowi żołnierze w galowych mundurach, obwieszeni orderami, medalami i ich żony. Nas też wystroili, a oni wybierają dla siebie na stałe, na zawsze, jak swoje dzieci, bo u nas tylko prawdziwe sieroty były. Wojenne. Nie jakieś dzieci alkoholików. Wybierali te z ładniejszymi mordeczkami. Nawet pod ubrania patrzyli i w zęby. A były u nas siostry. Jedna piękna jak anioł, a druga nie za bardzo. Tak bywa, jak jedno dziecko pójdzie w ojca, drugie w matkę. To Julkę od razu wzięli, a ona, że bez siostry nie pójdzie, a oni, że nie potrzebują drugiej.

– I pokazują na was?

– Tak! Ten wojskowy nachyla się nade mną i pyta, czy może być moim ojcem. Jasne, że nie! Nigdy tak nie powiem! Ja mam swojego! Naprawdę byłam pewna, że on gdzieś jest, żyje, tęskni za mną i kiedyś po mnie przyjedzie. Dyrektorka

od razu podnosi krzyk, że ja „pełna sierota!” A jak się wszyscy rozeszli, dyrektorka bierze mnie do swojego gabinetu, zdejmuje ze mnie sukienkę, rozbiera do naga i tłucze tą letnią sukienką z rzędem wielkich, kamiennych guzików. Boże, jak strasznie bolało! Wreszcie łapię ją zębami za palec i prawie odgryzam. Wyskakuję z gabinetu i biegnę do piwnicy. Trzymali tam węgiel i była beczka z wodą. Cztery dni się tam ukrywam. Śpię na węglu zupełnie goła. Nic nie jem, tylko piję tę brudną wodę z beczki. Do głodu to my byliśmy przyzwyczajeni.

– Nie szukali was?

– Jak jeszcze. Nawet milicję wezwali. Słyszałam, jak wychowawcy biegają po korytarzach i szukają Nataszki. Nienawidzili mnie, ale się bali. Odpowiadali za mnie. Teraz wiem, że całe życie byłam pod nadzorem NKWD. Jakby coś mi się stało, od razu zrobiliby śledztwo.

– Przecież wiele dzieci wtedy umierało.

– Ale ja nie byłam zwyczajnym dzieckiem – mówi Natalia Nikołajewna i oplata mnie jedwabnymi rzemykami przydymionych swoich spojrzeń.

Natasza zbuntowana – syndrom ćmy

– Kto wam powiedział, że nie byliście zwyczajnym dzieckiem?

– Jak ojca zabrali, a mnie wywieźli, nikt w rodzinie nie wiedział dokąd. Cała rodzina mamy mnie szukała, ale nie chcieli powiedzieć, co ze mną zrobili. Wujowie i ciotki

chcieli mnie przygarnąć, wziąć do siebie. Moja niania Marfa Grigoriewna Snieragina też chciała. Ona całe życie u wielkich, ważnych ludzi pracowała, a ja byłam jej ostatnią wychowanką.

– Nie miała problemów z bezpieką?

– Jakimś cudem jej nie ruszyli – mówi Natalia Nikołajewna. – I nigdy nie przestała mnie szukać. W czasie wojny była sanitariuszką w szpitalu. Kiedyś całą noc siedziała przy niemłodym już żołnierzu w ciężkim stanie. Okazało się, że w cywilu był urzędnikiem w Ministerstwie Zdrowia, który rozsyłał dzieci po domach dziecka. Dogadali się, że jeśli przeżyją, po wojnie razem mnie poszukają. I tak się stało, ale szukali Jeżowej, a ja byłam już Chajutina. Zaczęli więc szukać na wszystkie mamine nazwiska. Panieńskie i po mężach, i tak mnie znaleźli. Jak ona mnie kochała! Od razu pojechała do Penzy, a tego mężczyznę aresztowali i wysłali do łagru za zdradę tajemnicy państwowej.

– Niani nic nie zrobili? – pytam znowu.

– Nic. To bardzo dziwne. Nie mam pojęcia, skąd ona ciągle miała tyle szczęścia. Przecież było strasznie, jeszcze Stalin żył, do którego ja ciągle pisałam listy, żeby oddali mojego ojca. Zawsze przychodziła ta sama odpowiedź, że „rehabilitacji nie podlega”. Nic z tego nie rozumiałam, a starsze koleżanki pytały, czy ja się nie boję. A ja niczego się nie bałam. Niczego! A dwa lata temu, wyobraźcie sobie, zrehabilitowali mnie.

– Coś takiego?!

– Że jakby ofiara represji. Legitymację dali.

– Przecież waszego ojca rozstrzelali – dziwię się – a nie was.

– Ale mnie gnębili całe życie, sierotą zrobili, pozbawili domu.

– A co z nianią?

– Zobaczyłam ją na dziedzińcu. Byłam już w siódmej klasie, miałam czternaście lat, łysą głowę jak wszyscy, a ona: „Och, ty moja kudriawa” – i bierze mnie za rękę. Ale inaczej niż wszyscy. Tak jakoś ciepło. I poszłyśmy razem. Nikt mnie tak nie brał za rękę od ośmiu lat. Zawsze jak mnie brali, to żeby gdzieś albo do kogoś doprowadzić. A my sobie szłyśmy. Po prostu. Wtedy dowiedziałam się całej prawdy o sobie i mojej rodzinie. Dyrektor dał nam swój gabinet, żebyśmy pobyły w spokoju, wstawił nawet łóżko i niania mieszkała tam kilka dni. Ale ja już byłam innym dzieckiem. Taką mnie zabitą zrobili, zamurowaną, zamkniętą, dziką. Wszystkich odpychałam od siebie, wszystkich nie lubiłam. Nawet dla niani byłam chamska, ordynarna, opryskliwa. Ona nie mogła uwierzyć, co oni ze mnie zrobili. Z jej słodkiej Nataszki taki żul, chuligan. Powiedziała, że chciała mnie wziąć na stałe, na wychowanie, ale przecież wpędziłabym ją do grobu. I zostałam w domu dziecka.

– A rodzina matki, ojca?

– Rok później zapraszają mnie do Moskwy. Na dworcu ma na mnie czekać ciocia Mania, żona maminego brata, a tam nieprzebrany tłum, tumult, ścisk jak to na kolei po wojnie.

Wszyscy gdzieś gnają, pchają się z tobołami, krzyczą, a ja stoję z boku i czekam. Podchodzi jakaś kobieta i pyta, czy ja jestem Natasza, ale nie podobała mi się na oko, to mówię, że nie. Taka głupia byłam. I dalej stoję, a jak peron się wyludnił, ona znowu podchodzi. Co było robić? Musiałam się przyznać.

– Nie mieliście, kochana Natalio Nikołajewna, wyboru – pękamy razem ze śmiechu.

– Strasznie byłam zbuntowana – mówi emerytowana akordeonistka. – Jeszcze gorsza niż rok wcześniej. Warczałam na wszystkich jak zwierzak, a tam cała rodzina mamy się zjeżdża, żeby mnie poznać od nowa. Trzech braci mamy z żonami i siostra z mężem. Moja mama Jewgienija Fegenberg była najmłodsza z rodzeństwa. Z pierwszego małżeństwa Chajutina, z drugiego Gładunowa, a z trzeciego Jeżowa. Miała trzydzieści cztery lata, jak umarła. W całej tej wielkiej rodzinie nie było nawet jednego dziecka. Mieli taki problem. A tu ja zjeżdżam i dąsam się na wszystkich. Mówię, że nie podoba mi się u nich i żeby odwieźli mnie do niani. To mnie odwieźli. Bardziej podobało mi się u rodziny ojca.

– Ktoś z rodziny Jeżowa przeżył?!

– Tak. O dziwo wszyscy. Oni byli zwyczajni. Zdrowy, proletariacki, ruski naród, prosty robotniczy lud. Ojciec też taki był, to czułam się u nich jak w niebie, a tamtych ja po prostu w ogóle nie rozumiałam. Tak dziwnie mówili, słowa takie.

– Może rozmawiali po żydowsku? – zastanawiam się.

– Niby po rosyjsku. Ale po lekarsku. Oni wszyscy lekarze, głównie psychiatrzy. Inteligenty, kulturalni, do teatru mnie brali, na koncerty, wystawy i wszyscy chcieli, żebym u nich była. Jak jechałam do ojcowych, byli źli, a jak do matczynych, ci od taty mieli żal. To było wspaniałe, bo wcześniej nikomu na mnie nie zależało.

– A rodzina matki jak przetrwała wielką czystkę?

– Całkiem dobrze. Tylko jednego jej brata zabrali. Dostał dziesięć lat bez prawa do korespondencji. Ciocia Mania nosiła mu konserwy, tytoń, cukier, a on od dawna nie żył. Dali mu dziesięć lat i od razu rozstrzelali.

Przybrana matka Natalii Nikołajewnej, Jewgenija, umarła na początku 1938 roku, dziesięć miesięcy przed upadkiem jej męża i zesłaniem jej jedynej córki do domu dziecka. Cała jej rodzina jest zdania, że została otruta w szpitalu, ale rosyjscy historycy nie potwierdzają tej wersji, chociaż uważają, że jest prawdopodobna.

– To na pewno nie jest sprawka ojca – Natalia Nikołajewna zanosi się kaszlem. – Ktoś inny! On strasznie darł włosy na głowie. Sama pamiętam. Strasznie rozpaczał. Rodzina na początku też myślała, że to on, ale zobaczyli, jak tata odchodzi od zmysłów, to znaczy – nie on. Biedny tata. Mnie zawsze jego tak żal było, bo to tak wyglądało, że on zawsze cudzą wolę wypełnia. Taki maleńki, chudzieńki. Żartował, że boi się mojej niani. Ona taka ogromna baba.

Natalia Nikołajewna pokazuje przechowane przez nianię stare fotografie. Jest tylko jedno zdjęcie matki Nataszki i jedno jej zdjęcie na łódce, gdzie był także jej ojciec,

narkom Nikołaj Jeżow, ale został przez nianię wycięty. Bała się przechowywać wizerunek człowieka, którego Stalin osobiście kazał rozstrzelać.

To zdjęcia z podmoskiewskiej daczy Jeżowa.

– My cały czas tam mieszkaliśmy – mówi jego córka – chociaż oficjalne mieszkanie i meldunek mieliśmy na Kremlu. Do tej pory mam w dokumentach stary adres: Moskwa, Kreml budynek 3, mieszkanie 13. Albo odwrotnie. Mieliśmy cztery pokoje, a w moim była niezliczona ilość zabawek. Ale nasze prawdziwe życie było na daczy. Tam byli moja niania, ciocia Pola pokojówka, kucharz i kelner. Przy bramie stali strażnicy, a w drugim domu mieszkali kobieta z mężczyzną, którzy zajmowali się jakimiś sprawami ojca. Pięć pięknych lat tam żyliśmy. Z kucharzem namiętnie grałam w tenisa.

– A wasz ojciec w bilard z Izaakiem Bablem, genialnym radzieckim pisarzem i dziennikarzem. A wszystko po to, żeby go wyrwać z towarzystwa waszej matki, która w latach dwudziestych, wybaczcie szczerość, była przelotnie kochanką młodego Izaaka. Będąc zresztą żoną Chajutina.

– Skąd wiecie? – marszczy się Natalia Nikołajewna.

– Z pamiętników Ilji Erenburga. Babel ciągnął do waszego domu, do waszej matki, bo pragnął zgłębić tajemnicę stalinowskiego terroru. To się nazywa syndrom ćmy. Owad sam leci w objęcia śmierci. I doleciał. Wasz chorobliwie zazdrosny i podejrzliwy ojciec kazał go wreszcie aresztować. Bardzo wiele wyroków śmierci podpisał na zielonym suknie stołu bilardowego.

– Minęło ponad siedemdziesiąt lat, a ja jak dziś pamiętam mamę, która ciągle mówi: „Kola, wycofaj się, odejdź, uciekaj, póki nie jest za późno!”. Tak czy inaczej by go rozstrzelali, ale chociaż zostałby człowiekiem. Ale on nie mógł zostawić Stalina. Dla niego to była ikona. On się zwyczajnie do niego modlił! Do ducha żywego człowieka!

– Nie do wiary!

– Ja też ni chuja… Oj wybaczcie. Ja też nie mogę uwierzyć. Ale tak jego rodzina mówiła. Potem w gazetach czytałam ostatnie słowo ojca w sądzie. Prosił, żeby Stalinowi przekazać, że umrze z jego imieniem na ustach, żeby nie ruszać jego rodziny i zająć się córką.

Natalia Nikołajewna wyciera oczy i nos. Przypala papierosa.

– Stał nad grobem i myślał o mnie – mówi córka potwora i oplata mnie jedwabnymi rzemykami przydymionych swoich spojrzeń.

Akordeonistka Natalia – mokry kaszel

– A wiecie, że ja jestem ochrzczona?

– Nie może być! – ja na to. – Matka Żydówka, ojciec bolszewik od rozstrzeliwania popów.

– Niania to załatwiła. Była bardzo religijna.

Zajęła się tym w lecie 1946 roku podczas pierwszej wizyty dziewczyny w Moskwie. Bardzo się jednak bała. Na wszystkie świętości zaklinała Nataszę, żeby nigdy się nie

wygadała, nawet, a może przede wszystkim, przed rodziną, a już następnego dnia w jej mieszkaniu zjawia się NKWD.

– Kilku oficerów w mundurach – Natalia Nikołajewna zanosi się kaszlem. – To nawet ja, co niczego się nie bałam, mało zawału nie dostałam. A oni grzecznie proszą, żeby moja niania została nianią wnuka Józefa Stalina, małego Józia, co niedawno urodził się Swietłanie. I wiecie co? Odmówiła! Odmówiła Stalinowi! Potem jeszcze wiele miesięcy żyłyśmy przez to w strachu.

Po siódmej klasie Natasza składa dokumenty do średniej szkoły muzycznej, ale zwyczajnie, bez tłumaczenia dlaczego, nawet ich nie przyjmują. Jak zwykle ją odfutbolili. Tak mówi o sobie. Odsyłają Nataszę do zawodówki, szkoły dla robotników, chociaż świetnie się uczyła. Potem cztery lata odrabia nakaz pracy na taśmie w fabryce zegarków. I przyjmują ją do Komsomołu, organizacji młodych komunistów, ale żeby do partii, to już nie było mowy.

– No bo ojciec i to samobójstwo. Zepsułam coś i nasz brygadzista za karę zabronił mi wystąpić na zakładowym koncercie z okazji rocznicy rewolucji październikowej. Miałam grać na akordeonie. Mój pierwszy występ, a on nie pozwala, to łapię sznur i wybiegam z naszego wydziału. Wszyscy za mną gnają, a ja w pędzie zakładam pętlę, zarzucam na drzewo, skaczę i… sznur się urywa. Przez cały zakład jak kozę prowadzą mnie na tym postronku do dyrektora, on mnie rzuca na kanapę i jak wariat wrzeszczy, że całe kierownictwo by za mnie wsadzili do łagru. Rozumiecie?! Za mnie zawsze ktoś albo wszyscy wkoło

odpowiadali. Gdziekolwiek bym nie mieszkała czy pracowała, oni tam przychodzili i mówili komuś, że za mnie odpowiada. Całe życie! To potworne, bo już nigdy nie mogłam martwić się o siebie, tylko o tych, co za mnie odpowiadali. Całe życie jakieś oczy się we mnie wlepiały.

Aż w 1953 roku umiera Stalin i przyjmują Natalię do jej upragnionej szkoły muzycznej, chociaż się nawet nie zgłaszała. Pamiętali o niej, czekali i właśnie wezwali. Znowu cztery lata nauki i nakaz pracy, ale już może wybrać miejsce. Wybiera Kołymę. Nie umie powiedzieć dlaczego.

Po kilku tygodniach męczącej podróży pociągami, parowcem i przygodnymi ciężarówkami, młoda akordeonistka Natasza dociera ze swojej Penzy do miasteczka Jagodne w samym sercu Kołymy. Jest godzina piąta po południu 23 sierpnia 1958 roku – jeden rok, dwa miesiące, trzy tygodnie i cztery dni po likwidacji Dalstroju, łagrowego trustu kopiącego złoto.

– A o dziesiątej rano następnego dnia jestem na przesłuchaniu w NKWD, które nazywało się już KGB. „Musicie się pokazać, zapracować, wywalczyć sobie autorytet”. Pytam, skąd wiedzą, kto ja jestem, a oni, że jeszcze nie wyjechałam z domu, a już na mnie czekali. Oczywiście po paru tygodniach wszyscy w miasteczku wiedzą, kim był mój ojciec, to ja jeszcze dalej, na Czukotkę, do Peweku, najdalej na północ położone miasto świata, a już po tygodniu wzywa mnie dyrektor mojego domu kultury. Ma przerażone, wielkie oczy i pyta, czy to prawda.

– Prawda, że co?

– Nawet nie pytam i daję nogę na wyspę Ajon na Morzu Arktycznym. Gram na akordeonie w agitbrygadzie, brygadzie agitacyjnej, którą sami nazywamy kultbrygadą, znaczy kulturną. Jeździmy w tundrę z koncertami dla kołchozowych brygad pasterzy reniferów, żeby ludzie mieli kontakt z kulturą. Pieśni, recytacje, skecze… To było moje kochane życie, najlepsze lata, ale i w tę głuszę przyjechali za mną pytać, jak się sprawuję. A uciekać nie było gdzie. Kontynent się skończył.

– A mąż?

– Nie mam! – Natalia Nikołajewna wybucha śmiechem i oczywiście kończy się to kilkuminutowym atakiem kaszlu. – Mnie wszyscy się bali. Nie chcieli ze mną żyć, wiązać się, a co dopiero wychodzić za mąż. A całe życie w pojedynkę, to straszne. Miałam dwadzieścia siedem lat, to pomyślałam, że chociaż dziecko będę miała. Wybrałam największego krasawca, naszego kinomechanika, Ormianina. Dobry, normalny mężczyzna, ale żonaty. Od razu mu powiedziałam, żeby się nie martwił, bo nie zamierzam burzyć jego życia. Potrzebne mi jest dziecko, a nie chłop!

– Co ludzie gadali?

– Wcale nie gadali. W latach radzieckich to było normalne. Była swoboda obyczajowa. Córcia urodziła się w 1959 roku, szesnaście miesięcy po przyjeździe na Kołymę. Żenia, po mojej mamie Jewgenii Salomonownej. Wyrosła w kolektywach pracowniczych, w drodze, w tajdze i tundrze, transporterach i śmigłowcach, którymi wozili nas na koncerty. Uwielbiałam tę robotę.

– A ona?

– Jego żona? – pyta Natalia Nikołajewna. – Nie czekałam, aż ludzie naplotkują. Tylko wróciła z urlopu, poszłam i wszystko jej powiedziałam. Straszna była awantura, ale się uspokoiła i powiedziała, żebym oddała im dziecko. Też coś! Ona nie mogła mieć swoich. Była dyrektorką Domu Pionierów. Klara Alekiejewna. Ukrainka. Strasznie mnie nie lubiła. A jak on umarł, nie było już kim się dzielić, zaprosiła mnie na herbatę i nawet się polubiłyśmy. Niedawno umarła. O niej się mówiło, że „z przodu pensjonierka (emerytka), z tyłu pionierka". Miała warkocz do tyłka i świetną figurę.

– Byliście kiedyś zakochani?

– Oczywiście! Mój pierwszy ukochany. Gdyby go nie było, w życiu nie napisałabym żadnego wiersza.

– Na przykład jakiego? – pytam, a ona na kartce w kratkę pisze swoje życiowe credo.

> Nie byłam w łagrze ni w tiurmie,
> lecz siebie sama aresztowałam
> i żyję teraz na Kołymie,
> gdzie siebie sama zesłałam.

– On moje natchnienie – mówi. – Anioł. Piszę dla niego, ale nie wiem nawet, czy żyje. Poznaliśmy się w Penzie. Był studentem politechniki. Jednego dnia nie mogliśmy przeżyć bez siebie. I tak trzy lata. Jurka. Nie umiał się całować. I nie był piękny, ale strasznie go kochałam. No i ktoś wreszcie mu powiedział i mój Jurka zniknął. Zdał ostatni egzamin i zniknął. Nawet się nie pożegnał.

– To ja już wiem, Natalio Nikołajewna, dlaczego po szkole wybraliście Kołymę. Nie wyobrażacie sobie, ilu ludzi mi opowiada, że przyjechali tu, uciekając najdalej jak się da.

– A wiecie, jak dawniej nazywał się statek, którym płynęłam na Kołymę? Nikołaj Jeżow.

Dzień VII
Snieżnyj. 21. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzisiaj obciąłem paznokcie u rąk. Minęło szesnaście dni, odkąd wyjechałem z domu.

Tydzień z hakiem zmitrężyłem w Moskwie, czekając na akredytację dziennikarską, co osłodziłem sobie startem w xxx Moskiewskim Maratonie Pokoju. Wszędzie na takich biegach zawodników karmią na trasie bananami, czekoladą, suszonymi owocami, a w Moskwie czarnym chlebem z solą. Zawsze, gdy go jem, przypomina mi się ruskie powiedzenie jakoś z lat trzydziestych ubiegłego wieku, że lepszy biały chleb nad Morzem Czarnym niż czarny chleb nad Morzem Białym. W owym czasie biały chleb był rarytasem, a nad Morzem Białym były pierwsze sowieckie łagry, ale być może ja coś pokręciłem, bo to jest topornie oczywiste. Dużo mądrzej by było powiedzieć, że wolę czarny chleb nad Morzem Czarnym niż biały chleb nad Morzem Białym. Ale tak zgubiliśmy finezyjną grę słów.

Przed wyjazdem nie mogłem solidnie trenować, więc czas nieszczególny – 3 godziny, 35 minut i 55 sekund. 276. miejsce, i 44. w grupie wiekowej 50+.

Ale zacząłem od paznokci. Ciekawe, czy wszystkim na wyjazdach te niepotrzebne rzeczy rosną wolniej: włosy, broda, pazury. U mnie paznokcie u nóg przetrwają niepodcinane pewnie do końca wyprawy, a to jak nic będzie dwa i pół, trzy miesiące.

Wreszcie ruszam z Magadanu. Niezbyt daleko, ale zawsze coś. Pierwszy kierowca, który mnie podwozi, to Jurij. I znowu trafiam na człowieka z błatnego świata. Nie chce zdradzić swojej kliczki, to znaczy ksywki. Uwielbiam bogactwo rosyjskiego, żargonowego języka. Prawie nigdy nie jest tak, żeby jakieś słowo miało tylko jeden odpowiednik w żargonie. Przezwisko równie dobrze może być klikuchą, pagoniałą albo pogriemuchą.

Jura to facet, który nie leci matem (nie przeklina) i nie używa błatnego języka, czyli fieni, chociaż znać ją musi wybornie – to znak, że mam do czynienia z arystokratą.

Podwozi mnie do osiedla Snieżnyj, do ogromnego gospodarstwa farmerskiego rodziny Komarów. To ludzie w moim wieku, pochodzą z Białorusi. Najwięksi rolnicy na Kołymie, a ich dom to maleńka chatynka na środku ogromnego placu z błotem do kolan. Biuro też tam stoi. To tak zwany wagonczik. Rodzaj wozu cyrkowego albo raczej barakowóz z dwoma pokoikami cztery na pięć metrów. Ja zajmuję na noc ten z biurkiem szefowej. Kanapa ma półtora metra długości, ale przecież nie muszę się wyciągać.

Siergiej Komar trzynaście lat temu kupił rozwalony w drobiazgi kołchoz bez jednej krowy, świni czy kury. Zapłacił za tę ruinę zaledwie sto tysięcy rubli, czyli około

dziesięciu tysięcy złotych, a to sześćdziesiąt cztery hektary na własność i trzy tysiące hektarów do użytkowania. Czego jak czego, ale ziemi na Syberii dostatek. Komarowie mają już teraz ponad tysiąc sztuk bydła, budują mleczarnię i rzeźnię.

Właściciel zatrudnia stu pięćdziesięciu pracowników, ale wśród nich jest tylko troje Rosjan – żona Tatiana, która jest księgową (gdy miała czterdzieści osiem lat, wysłał ją do Akademii Rolniczej w Petersburgu na kurs inseminatorów), córka, która jest menadżerem, i syn od dużych, kosztownych maszyn. Pozostali to pracownicy kontraktowi, Uzbecy i Kirgizi z kilku wiosek z okolic miasta Osz. Jeszcze niedawno dochodziło tam do krwawych waśni, pogromów między obu społecznościami. Wielu z nich było w ojczyźnie sąsiadami, znają się, mają jednego agenta, który załatwia im pracę w Rosji. Ale gdy rozpoczęły się tam czystki, Uzbecy uciekli do sąsiedniego Uzbekistanu i ciągle boją się wracać, nie potrafią żyć razem. A na neutralnej, rosyjskiej ziemi to się udaje, mogą zapomnieć o urazach, spać pod jednym dachem, jeść z jednego kotła i zgodnie pracować.

Farmerzy sprowadzają ich na sezon letni lub cały rok. Wszystkim kupują bilety lotnicze w obie strony, karmią ich, dają dach nad głową i każdemu 25 tysięcy rubli miesięcznie (2,5 tysiąca złotych). Nikomu z miejscowych nie chce się pracować za tak małe pieniądze. Na pewno żadnemu z mężczyzn. Zresztą państwo Komarowie wolą niepijących muzułmanów niż chlejących Rosjan. Jak najmują sezonowych robotników do zbierania ukopanych kartofli, za

żadne skarby nigdy nie płacą pieniędzmi. Bo następnego dnia nikt nie przyszedłby do pracy. Rozliczają się w naturze. Z każdych dziesięciu zebranych na polu worków, jeden jest dla zbieracza, a to trzydzieści kilogramów po czterdzieści pięć rubli (cena bazarowa, bo w sklepie chińskie, obrzydliwe mutanty są po pięćdziesiąt pięć). To robota, do której przeważnie najmują się kobiety z Magadanu. Najsilniejsze zbierają do trzydziestu worków dziennie, więc wieczorem mają po trzy wory, które taszczą do autobusu i (bogatsze o dwa tysiące rubli w naturze) wracają do miasta.

Uzbecki i kirgiski robotnik Siergieja Komarowa w stołówce

Jura błatnik – dziecięcy bandyta

Rodzice Jury byli zekami. Matka politycznym, dostała osiem lat za sabotaż, zwany wtedy kontrrewolucją ekonomiczną, bo padły dwie krowy, którymi zajmowała się w kołchozie. Miała czternaście lat, a krowy zapalenie wymion.

Ojciec był przestępcą pospolitym.

– Odessidem.

– Z Odessy! – ucieszyłem się. – Żyd?

– Sądząc po zdjęciu mojej babki, pochodzenie u niego skomplikowane – mówi Jura, ale nie napiszę, że oplata mnie rzemykami swoich spojrzeń, bo takich nie ma. Może dlatego że dziadek był Ukraińcem, a matka Jurija czysta Rosjanka i jeszcze go ochrzciła.

– Ojciec miał cztery lata, jak został sam – ciągnie Jura. – Dziadek zginął w czasie rewolucji, a babka zmarła z głodu w latach dwudziestych. I zrobił się z niego bradiaga (włóczęga), sowiecki bezprizornik (bezdomny), dziecięcy bandyta, banditiec. Ledwo podrósł, trafił do obozu.

– Dlaczego więźniowie kryminalni prześladowali w łagrach tych politycznych?

– Błatni to przestępcy, ale kochają swój kraj. Powiedziano im, że polityczni to zdrajcy, dywersanci, szpiedzy i szkodnicy. Najgorsza swołocz. Wszyscy w to uwierzyli, cały Związek Radziecki. Ale mojemu tacie nie przeszkadzało to ożenić się z polityczną. On urodził się nad morzem i był bradiagą, i ja urodziłem się nad morzem, i zacząłem

bradiażyć. Tyle że on nad Czarnym, a ja nad Ochockim. Zaczynałem jako karmanszczik…

– Od słowa karman – ustalam. – Czyli kieszonkowiec.

– A po kilku latach zostałem specjalistą niedwiżytelem.

– Od nieruchomości (niedwiżymosti).

– Który ładnie otworzy każdy zamek, nic nie zniszczy, tylko znajdzie i wyniesie. To jest arystokracja, a nie jakieś straszne mordy, co z nożami i siekierami na bazarach haracze ściągają z babulek. Nowa bandycka hołota. Zmieniają nasze stare, pisane krwią prawa. Wcześniej wielki złodziej nic nie mógł mieć swojego, tak jak ja, nawet żony, dzieci, domu, bo on dzisiaj tu, a jutro w więzieniu albo ma wojnę w bandyckim świecie i ginie, a rodzina cierpi.

– A jak się taki zakocha? I jak każdy zapragnie założyć rodzinę, mieć dzieci?

– Ma prawo przyjść i powiedzieć, że odchodzi. Przestaje być autorytetem. Już nie może decydować, dowodzić. Szacunek ma, ale system go zwalnia.

– Macie rodzinę? – pytam Jurę.

– Niedawno przyszedł i na mnie czas. Ciężko samemu, tylko z przygodnymi babami. Już ludzie nie pytają mnie o zdanie, nic ode mnie nie zależy. Ale kolegujemy się, pomagam… To już nie jest mój obowiązek, ale chcę. Dokładam się do wspólnej kasy dla kolegów, bliskich, z którymi pracowałem, a którzy teraz siedzą. Każdy błatny powinien przynosić dolę. Z każdej sprawy, zarobku. Jest do tego specjalny kasjer, a rozdzielają autorytety.

Najważniejsze, żeby w kryminale mieć co jeść, popalić, popić herbaty.

– I nachlać się, walnąć w żyłę. To też z waszej czarnej kasy.

– Jeśli ktoś musi, to tak – mówi Jura. – Bardzo wielu naszych pije strasznie. Ja też tak miałem. Przyjaciele chcieli mnie wyleczyć, to wsadzili mnie na statek, co przez rok nie zawijał do portu. To była wielka, pływająca przetwórnia rybacka na Morzu Ochockim. Tam nie wolno i nie ma co pić. Taką terapię wymyślili, ale po roku statek wszedł wreszcie do portu w Korei Południowej i ruszyłem ze wszystkimi w miasto. Myślałem, że zdechnę. W tydzień wychlałem tyle, co normalnie w rok.

– A teraz?

– Jestem wolny. Bóg mi pomógł. Bez żadnych terapii, kroplówek, mityngów, tylko codziennie chodziłem szukać siły do cerkwi. Czasem rano i wieczorem. Pół roku tylko dom i cerkiew. Kiedy pierwszy raz poszedłem do spowiedzi, wszystkie grzechy miałem spisane na kartkach. Było ich dwanaście. Jak ja to długo czytałem!

– O podatkach było tam?

– Że co?

– Że nie płaciliście.

– A to grzech?! To o tym chyba nie było. Ale w tym naszym bandyckim świecie też są biedni ludzie i jak dorzucam się do naszej czarnej kasy, to można powiedzieć, że to swojego rodzaju podatek. Myślę, że złym człowiekiem jestem już trochę mniej.

Dzień VIII
23. kilometr Traktu Kołymskiego

Na 23. kilometr przyjeżdżam dziewiętnastoletnią furgonetką Isuzu Elf 150 Walery. To japoński weteran z napędem na cztery koła i kierownicą z prawej strony. Walera zabiera mnie z drogi, chociaż nie podnoszę nawet ręki, żeby go zatrzymać. Chcę sobie przejść te głupie dwa kilometry ze Śnieżnego na 23. kilometr.

23. kilometr to oficjalna nazwa administracyjna miejscowości. I odległość na Trakcie Kołymskim dzieląca to osiedle od początku Trasy, czyli Magadanu. I tutaj, i w całej Rosji sporo jest takich nazw.

Na 23. kilometr można przyjechać tylko z jednego powodu – do obwodowego szpitala psychoneurologicznego.

Nim jednak Walera mnie tam dowiezie, skaczemy w bok, w tajgę, gdzie dzień wcześniej zgubiła się jego matka. Poszła na jagody. Dzisiaj już, po nocy spędzonej w lesie, staruszka dotarła w rejon zasięgu sieci komórkowej i zadzwoniła do syna. Jedziemy w umówione miejsce. Mężczyzna wychodzi matce na spotkanie, a ja kilka godzin czekam przy samochodzie, ale nie krzywduję sobie, bo jest

ze mną Tamara Tichonowa, którą Walerka także zgarnął z drogi.

Nie jest łatwo z nią gadać, bo cały czas zasłania usta ręką. Nie ma zębów i wygląda na to, że bardzo się tego wstydzi. To bardzo chuda, żylasta i energiczna kobieta, z tym czymś na kilometr widocznym w twarzy, z młodzieńczym ogniem w oczach, ale obczerstwiała, zużyta od ciężkiej roboty, wiecznego dorabiania, zgryzot, niedostatków, a często i niedojadania. Od życia po prostu. Od zapieprzania motyką, chociaż skończyła szkołę muzyczną, filologię na uniwersytecie, pisze wiersze, reportaże, śpiewa romanse i dwadzieścia trzy lata przepracowała jako dziennikarka.

Ale ma tylko dziesięć tysięcy rubli emerytury (tysiąc złotych), a na utrzymaniu dwudziestosiedmioletniego syna birbanta, pijusa i babiarza, skończonego wałkonia, więc by przeżyć zimę, co roku musi zbierać grzyby i jagody na sprzedaż, handlować kawiorem i kopać kartofle. Wczoraj ustanowiła fantastyczny rekord. Zebrała trzydzieści osiem worków ziemniaków, o pięć więcej od najsilniejszego mężczyzny. Cztery mogła zatrzymać dla siebie. Już ma cały zapas na nadchodzącą zimę.

Tamarka ma tylko jeden mankament – odziedziczyła po ojcu uraz do psów. Uraz to stanowczo za mało powiedziane. Zainfekował ją fobią, zakodował jej nieopanowany strach na widok każdego psa. Jeśli jest to owczarek niemiecki, dziewczyna zaczyna się dusić, a na twarzy pojawiają się czerwone plamy.

Przypętał się do nas taki koślawy kundel z wesołą mordą, bardzo łagodny i zalotny, a ta w krzyk, dawaj uciekać, ja, że to tylko szczeniak, bo grube łapy, klapnięte uszy, góra siedem, osiem miesięcy, a ona błaga, żebym go od niej zabrał. Nawet do niej nie podszedł, tylko ze mną się tarmosi, a ona wskakuje do szoferki i zatrzaskuje drzwi.

Przepraszam. Pomyłka. Tamara ma jeszcze jeden mankament. Taką samą fobię na czarne rękawiczki. Też po ojcu.

Ale wraca Walerka z matką i jedziemy wreszcie na 23. kilometr do psychuszki, jak w Rosji mówi się o szpitalach psychiatrycznych.

Na korytarzu kanapa, a na niej kartka: „Ogłoszenie. Szanowni goście, uniżona prośba – nie siadajcie na kanapie. Administracja”. Strasznie mnie zaciekawiło, co to za kanapa, na której nie można siadać.

Oddział, na którym jestem, niedawno przeniósł się ze starego budynku, jeszcze się nie urządzili, a kanapa jest z pokoju kierownictwa. Na korytarzu stoi tymczasowo. To jak by to było, gdyby każdy sobie na niej siadał?

Mam pecha. Nikt nie może ze mną rozmawiać, bo dzisiaj piątek, sądny dzień w szpitalu. Przywożą pod milicyjnym konwojem więźniów na zlecone przez sądy obserwacje psychiatryczne. Pozwalają mi jednak przenocować. Chcą mnie położyć na oddziale leczenia depresji, więc z ludźmi spokojnymi, ale wolę tę kanapę na korytarzu.

Tamara Tichonowa, córka Iwana, w drodze na wykopki

Ruski Iwan – sądny dzień

Zawsze, jak któraś zakładała czarne rękawiczki, Iwan Tichonow krzyczał jak oszalały: „Zdejmować, zdejmować” i wybiegał z domu. Któraś – to Tamara, jego druga córka Irina albo żona.

W czasie wojny Iwan dostał się do niemieckiej niewoli. Uciekł, ale go złapali i przenieśli do obozu koncentracyjnego w głębi Niemiec.

– To był obóz z piecami, gdzie palili ludzi – opowiada Tamara. – Była tam taka gruba strażniczka, potężna baba, faszystka. Ustawiali więźniów w szeregu, a ona wkładała skórzane rękawiczki, brała żelazny drąg i waliła po kolei. „Ustoisz, ruski Iwan – mówiła – będziesz żył”. Oni na wszystkich Rosjan mówili Iwan. Kto padał, nieśli go do krematorium. Ojciec był maleńki i zawsze bardzo chudzieńki. Kilka razy przechodził tę próbę. Cudem ocalał. Działał w obozowym ruchu oporu i dwa razy jeszcze uciekał. Zawsze dopadały go psy. Owczarki niemieckie oczywiście.

W 1946 roku Iwan Tichonow wrócił do Rosji i od razu trafił do łagru.

– Z piekła w piekło – mówi jego córka. – Cztery miliony było takich nieszczęśników. Wielu tego nie wytrzymywało, traciło od tego zmysły, popełniało samobójstwa. W latach dziewięćdziesiątych pozwolili mi przejrzeć obozowe akta ojca. Tam był donos jakiegoś więźnia, że Iwan Tichonow powiedział, że w niemieckim łagrze łatwiej było przeżyć niż w naszym. Obozowy enkawudzista wezwał go i zanotował

zeznanie ojca. „Tam byli wrogowie i nadzieja, że jak nas oswobodzą, to będzie wolność. A jestem znowu w obozie, ty rozmawiasz ze mną po rosyjsku, ty, mój rodak, a rwiesz mnie na części jak pies”.

Był rok 1951, w sierpniu następnego Iwan opuścił obóz. Podobno wolność dla niego wybłagali u samego Stalina francuscy, niemieccy, polscy i czescy towarzysze z komunistycznego podziemia w niemieckim obozie. Siedział sześć lat, dwa lata dłużej niż u Niemców.

Był geniuszem językowym. Znał siedem. Skończył przed wojną IMAsz, elitarny Instytut Stosunków Międzynarodowych w Moskwie. Był tłumaczem. Pisał książki. Pięknie grał na gitarze, pianinie i akordeonie. Nigdy w życiu nie zaklął. Najbardziej obelżywe słowo, jakiego używał, to „pies”.

Redaktor Tichonowa – syndrom milczenia

– Dorosłam, skończyłam szkołę, studia, zostałam dziennikarzem, urodziłam dzieci i dopiero mając trzydzieści pięć lat, dowiedziałam się, gdzie przyszłam na świat. W łagrze! W zonie! To była wielka, święta tajemnica rodziców. Syndrom milczenia. Dyktowany strachem zakaz poruszania najbardziej bolesnych tematów. Nie tylko my to mieliśmy. Cały Związek Radziecki. Po co się dręczyć, jak nic nie można z tym zrobić?

Tamara pokazuje legitymację weterana politycznych represji. Jest chyba najmłodszą ofiarą stalinowskich

prześladowań na świecie. „Urodzona: 7 marca 1952 roku – czytam rubryki na pierwszej stroniczce. – Pozbawiona wolności: 7 marca 1952 roku. Zwolniona: 11 grudnia 1952 roku. Czas pozbawienia wolności: dziewięć miesięcy. Rehabilitacja: 15 czerwca 2004 roku”.

– Jak się tego wszystkiego dowiedziałaś? – pytam.

– Listownie. Mieszkaliśmy w Jagodnem, tutaj na Kołymie. Ojciec był drobnym urzędnikiem, matka nauczycielką.

Kiedy Tamarka skończyła szkołę, rodzina przeniosła się na kontynent, do Saratowa nad Wołgą, gdzie dziewczyna skończyła studia. Nie umie tego wyjaśnić, ale coś ciągnęło ją z powrotem na Kołymę, na północ. To jednak zamknięty region, bez zezwolenia władz, a właściwie skierowania do pracy, nie można było tam przyjechać. Zamieszkała więc za kołem polarnym, ale w Igarce nad Jenisejem. A w 1984 roku otworzyli Kołymę. Tamara w kilka tygodni spakowała manatki, dzieci, rozstała się z mężem i poleciała do Magadanu.

– Zaraz. Wolnego – to ja mówię. – To rozdział o tobie. Jakie dzieci? Co za chłop?

– Nie ma o czym mówić – Tamara krzywi bezzębne usta. – Marynarz. Pół roku w morzu, a jak wraca, przez miesiąc z knajpy nie wychodzi. Potem miesiąc do siebie dochodzi i znowu wychodzi. W morze. Tyle się widzimy. Synek ma jedenaście miesięcy, ja w trzecim miesiącu ciąży i rozpoczynamy nowe życie na Kołymie. Dostaję pracę w redakcji „Siewiernej Prawdy”. Co za cudowne zrządzenie losu! W rodzinnym Jagodnem. Dwa lata później ojciec

przysyła mi gruby list. „Odszukaj grób swojej matki”. Jakiej matki?! Przecież moja mama mieszka z nim w Saratowie! Boże! Ile ja tysięcy razy czytałam ten list!? Do dzisiaj znam go na pamięć.

Ojciec Tamary napisał córce, jak w 1946 roku trafił na Kołymę. Że w kolumnie kilku tysięcy więźniów, że siedział w łagrze Szturmowym koło Jagodnego, że w żeńskim łagrze w Elgienie poznał Irinę Wasiliewnę Stiepanową, sekretarza Komsomołu na politechnice w Leningradzie, która została „wrogiem ludu”, bo nie doniosła na swoich kolegów, którzy zajmowali się działalnością szpiegowską. To paragraf dwunasty artykułu pięćdziesiątego ósmego, tak zwane „niedoniesienie o popełnionym przestępstwie” a w mowie ludu „wiedział, ale nie powiedział”.

Irina także 531 kilometrów z portu w Magadanie do Elgienu pokonała w kolumnie więźniarek. To był eksperymentalny przemarsz. Kierownictwo Dalstroju chciało sprawdzić, czy można uniknąć kosztownego wożenia zeczek samochodami. Ten sam eksperyment z mężczyznami przeprowadzono w zimie 1938 roku. Z grupy pięciuset więźniów doszło około czterdziestu. Z dwóch i pół tysiąca kobiet z kolumny Iriny do celu podróży dotarło około pięciuset. Była późna jesień, wichura i straszne mrozy.

– Stare, młode i miastowe kobiety zmarły po drodze – mówi Tamara. – Moja matka była i młoda, i miastowa, ale przetrwała. Tak mnie ta historia strasznie walnęła po sercu, że już nie mogłam zajmować się innymi sprawami. W liście ojciec pisał, że specjalnie namówił mnie na studia

filologiczne, żebym kiedyś pięknie opowiedziała tę historię. Przeniosłam się do Magadanu, pisałam reportaże historyczne, w lokalnej telewizji robiłam program *Tajemnice naszych ojców*, ale u nas strasznie szybko wszyscy nasycili się tymi tematami i już nie chcą o tym słyszeć.

– Mów o matce.

– Wszystko działo się w 1952 roku. Ja urodziłam się w marcu, a w kwietniu mamę strasznie pobiła starsza bloku. Oczywiście stara bandytka. Mama trafiła do szpitala, a w sierpniu zwolnili ojca. W grudniu mama oddała mnie tacie, na wolność. Bała się, że jak jej się coś stanie, ja przepadnę. W tym czasie w Elgienie działy się niesłychane rzeczy. W ZSRR od czterech lat szalała antysemicka kampania, więc żydowskie dzieci usypiali jak kociaki. Dzieci dworskich rodzin, arystokratów, białych oficerów, fabrykantów, różnych bogaczy były wykradane. Naczelnicy to robili. Matki wykradanych dzieci były mordowane przez błatnych, a sieroty naczelnicy adoptowali, żeby po latach jakoś dobrać się do ich majątków zgromadzonych w szwajcarskich bankach.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Z archiwów KGB. Ryłam w nich w 1989 i 1990 roku. Teraz już dziennikarzy tam nie wpuszczają.

– Skąd tyle dzieci w żeńskich zonach? – pytam.

– Wiesz, jaki panował głód miłości? Elgien był łagrem kołchozowym. Mężczyźni przychodzili do więźniarek na pole. A ile dzieci rodziło się z gwałtów. Często zbiorowych, totalnych, masowych, kiedy więźniowie przekupywali

strażników i pijaną hurmą wpadali do żeńskiej zony czy baraku, gwałcąc, często na śmierć, wszystko, co ucieka i nie ucieka, bez względu na wiek, stan zdrowia i urodę. Specjalność błatnych.

– Nazywali to gwałtem chóralnym.

– Cała Rosja została zgwałcona chórem – mówi gorzko Tamara. – A ja i wszyscy radzieccy ludzie to owoc tego gwałtu.

– Mów o matce!

– W tych archiwach bezpieki przede wszystkim jej szukam. I znajduję. Umarła w szpitalu w 1954 roku w osiedlu Rybnyj, nie doczekawszy wolności. Jadę tam. Stare kobiety prowadzą mnie na cmentarz i pokazują grób. Dzisiaj już nie ma tego osiedla. Umarło.

Dwa lata po śmierci Iriny ojciec Tamary się ożenił. Na świat przyszła jego druga córka, której dał na imię Irina. Nie mogli wyjechać z Kołymy, bo Iwan Tichonow był „bez prawa wyjazdu”. To bardzo tajemnicza formuła, którą wielu zeków dostawało na swoim procesie jako dokładkę do wyroku albo kiedy byli zwalniani z łagru. W praktyce oznaczało to dla nich dożywocie. Nie mieli dowodów osobistych, bez których nie kupiło się w ZSRR i w Rosji żadnego biletu. Mieli tylko tak zwane sprawki (zaświadczenia) o zwolnieniu z obozu z informacją, gdzie mają żyć.

– Do 1971 roku tak go trzymali – opowiada Tamara. – Do emerytury. Na Kołymie było wielu takich. Przeważnie tych z pierwszym paragrafem pięćdziesiątego ósmego artykułu,

tak zwanych izmienników rodiny, zdrajców ojczyzny, którzy w czasie wojny służyli u własowców i w innych formacjach wojskowych i policyjnych podlegających Niemcom. Dla nich nie było litości. Trzymali ich na zsyłce do lat siedemdziesiątych, a wielu nawet do osiemdziesiątych.

– Może i twój ojciec współpracował z Niemcami w obozie koncentracyjnym?

– Wykluczone! Nie oddaliby mu odznaczeń, stopnia oficerskiego i przede wszystkim legitymacji partyjnej! Nie zostałby zrehabilitowany. To wszystko zwrócili mu w 1961 roku, a zwolnili z Kołymy dopiero dziesięć lat później. Wielka tajemnica.

Taka sama jak jego śmierć. W 1994 roku wychodzi w Saratowie z domu i znika. Zapada się pod ziemię.

Teraz już i Tamara chciałaby wyjechać z Kołymy, ale żeby kupić na kontynencie chociaż jeden pokoik, musiałaby przez dziewięćdziesiąt lat odkładać całą emeryturę. Zapisuje się na magadańską listę chętnych do wyjazdu, którym gubernator przydziela na lądzie mieszkania. Jest na 3107. miejscu.

– Ile mieszkań przydzielają co roku? – pytam emerytowaną dziennikarkę.

– Dwa-trzy. To jakby ja też jestem bez prawa wyjazdu.

Dzień IX
Stiekolny. 65. kilometr Traktu Kołymskiego

Wściekły jestem, bo byłem już w Pałatce, ale musiałem wrócić do Stiekolnego na 65. kilometrze. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu osada była na 74. kilometrze, a cały Trakt Kołymski był prawie dwieście kilometrów dłuższy. W ostatnich dziesięcioleciach bardzo się skrócił i wyprostował. Budowany był wyłącznie za pomocą kilofa, łopaty i taczek, więc dla ułatwienia droga biegła trawersami wzgórz, wycinana była w zboczu, zatem bardzo kręciła. Teraz jest prostowana, biegnie po dnie dolin.

Bardzo dawno nie zdarzyło mi się, żebym nie znalazł, nie wydziadował gdzieś noclegu. Chodziłem po Pałatce, prosiłem, robiłem zbolałą minę, ale się nie dało. Tyle że w biurze koncernu Arbat, własności Aleksandra Aleksandrowicza Basanskiego dali mi samochód do Sokoła, trzydzieści cztery kilometry z powrotem, bo tam przy lotnisku jest hotel. Basanski to miejscowy oligarcha, złoty magnat, kołymski bogacz, którego pułkownik Dima z fsb (patrz dzień drugi) nazywa pieszczotliwie Basanią. Basania specjalizuje się w złocie. Ma kopalnie i sklepy jubilerskie.

I wszystko, co jest pomiędzy kopalnią a kolczykiem w uchu. Plus dom towarowy w centrum Magadanu. Próbowałem się z nim spotkać, ale poleciał śmigłowcem w tajgę i nie ma z nim kontaktu.

Taki milioner, a jego biuro to dwa połączone ze sobą mieszkania w zwykłym, obskurnym bloku z wielkiej płyty.

Ale jak dali samochód, to kazałem zawieźć się do Stiekolnego na 65. kilometrze, gdzie była huta szkła (stąd rosyjska nazwa miejscowości), w której wytapiano nawet dwa miliony zielonych butelek rocznie. Kolor brał się z miedzi, której jest bardzo dużo w miejscowym popiele wulkanicznym, a to główny składnik tutejszego szkła. Wiele kołymskich sopek (wzgórz) ma pochodzenie wulkaniczne.

Do Stiekolnego nie jadę jednak z powodu butelek. W 1943 roku w hucie otworzyli wydział, w którym regenerowali przepalone żarówki.

Huty już nie ma. Upadła w latach dziewięćdziesiątych, jak większość kołymskiego przemysłu, a za nią osada. Z pięciu tysięcy mieszkańców zostały dwa. A czasem 1999 albo co gorsza 1998 mieszkańców. To ma znaczenie tylko dla przewodniczącego posiołkowej administracji (posiołok to osiedle, coś pomiędzy wsią a miasteczkiem). Dwa tysiące mieszkańców to granica, powyżej której przewodniczący dostaje 54 tysiące rubli miesięcznego wynagrodzenia. Jeśli mieszkańców jest mniej, dostaje 40 tysięcy (cztery tysiące złotych). Aleksander Niewmierżycki wcześniej był nauczycielem wf-u i trenerem judo. W Stiekolnym za jego kadencji miał miejsce jedyny znany mi w Rosji przypadek

obalenia pomnika Lenina. A w stołecznej Moskwie stoi do dzisiaj, i to niejeden. A tu go zwalili. Elektorat się opierał, szczególnie ten starszy, a najbardziej kobiety, ale Aleksander się uparł. Won z cokołu! Mówi, że po remoncie wódz rewolucji będzie mógł wrócić, ale na razie nie ma pieniędzy na lifting.

Włodzimierz Lenin był z gipsu, pomalowany na srebrno, stał na głównym placu osiedla przed miejscową administracją i domem kultury. Po obaleniu powędrował do rejonowej (jakby powiatowej) Pałatki, gdzie przytulili go w siedzibie miejscowej partii komunistycznej, ale tam też zawadzał, bo kto słyszał, żeby pomnik stał pod dachem, w mieszkaniu? Do tego pomnik wodza miłującego pokój radzieckiego narodu, którego już nie ma. Tak więc gipsowy Włodzimierz Iljicz Uljanow, zwany Leninem, wrócił do Stiekolnego i poniewiera się w magazynie byłych zakładów szklarskich (tych od żarówek). Obok magazynu kilka połagrowych baraków. To strasznie nędzne konstrukcje. Dwie warstwy desek, a między nimi ocieplenie z trocin albo mchu. Jedne z ostatnich, jakie zostały po Archipelagu Gułag, ale ciągle mieszkają w nich ludzie. Dla większego ciepła „otynkowali” je gliną zmieszaną z sieczką owsianą.

Irina mieszka w jednym z ostatnich na Kołymie łagrowych baraków

Przewodniczący Aleksandr – kwestia rozmiaru

Wydział regeneracji żarówek w Stiekolnym traktowany był trochę jak kołymskie sanatorium. Kierowali do niego dochodiagów (słowo z błatnego narzecza), zeków z dystrofią głodową, dochodzących do kresu życia i ludzkiej wytrzymałości. Nie mieli już siły powłóczyć nogami, ale jakoś długo nie umierali, chociaż za niewyrabianie normy pracy mieli „karne” racje chleba, to znaczy zmniejszone do trzystu gramów dziennie. Dochodiaga, albo inaczej knot (bo dopala się w nim resztka życia), to odpowiednik muzułmana w hitlerowskim obozie.

Ale nawet ktoś tak słaby może połączyć przepalone wolframowe włókienko. Wcześniej trzeba w żarówce wywiercić otworek, a potem go załatać. Taka żarówka nie popracuje długo, ale i tak w skali całej Kołymy wynalazek przyniósł gigantyczne oszczędności. Światło bowiem, a więc energia elektryczna i żarówki, to dla tego regionu produkt tak strategiczny, jak drut kolczasty i karabiny strażników. Tyle że drut i karabiny prawie się nie zużywają.

Pomyślmy tylko. Sto sześćdziesiąt kołymskich obozów z setkami metrów zadrutowanych i oświetlonych stref, setki, a może tysiące oświetlonych baraków, wieżyczek strażniczych z reflektorami, nie mówiąc o kilometrach korytarzy i przodków górniczych, w których też nie może być ciemno. To tysiące, miliony, dziesiątki milionów żarówek o mocy od stu do tysiąca watów.

Wynalazku dokonał w 1943 roku więzień Kipriejew. Warłam Szałamow, chociaż nie wspomniał, jak miał na imię, poświęcił mu całe opowiadanie. Inżynier Kipriejew to genialny uczony z Charkowskiego Instytutu Fizyki, razem z Igorem Kurczatowem (twórcą radzieckiej bomby atomowej) już w latach trzydziestych próbowali rozwikłać tajemnicę reakcji jądrowej.

Na Kołymie Kipriejew wymyślił, jak regenerować żarówki, za co generał NKWD Iwan Nikiszow, komenderujący w owym czasie Dalstrojem, dostał Order Lenina.

Kipriejew, chociaż był tylko niewolnikiem, mówiącym narzędziem, został szefem wydziału regeneracji w Stiekolnym. Niedługo miał się skończyć jego pięcioletni wyrok, ale zorganizowano uroczystość na cześć wszystkich naczelników zamieszanych w wynalazek. Obsypano ich orderami, a potem każdy dostał wspaniałą paczkę z lend-lease'u, amerykańskiej pomocy wojennej dla walczącego z Niemcami Kraju Rad. To był obiekt marzeń każdego radzieckiego notabla maleńkiego formatu. Garnitur, krawat, koszula i trzewiki z czerwonej skóry na grubej podeszwie. Dla Kipriejewa też była paczka, ale odmówił przyjęcia, bo nie potrzebuje amerykańskich znoszonych łachów. Natychmiast został za tę demonstrację aresztowany (tak – można być aresztowanym, będąc więźniem) i dołożono mu jeszcze osiem lat za antysowiecką propagandę. Świadek zeznał, że inżynier mówił, że Kołyma to Oświęcim bez pieców. Uczony trafił do bardzo ciężkiego łagru dla

recydywistów. Przeżył, a po odsiedzeniu całego wyroku dobrowolnie pozostał na Kołymie do końca życia.

Aleksandr Niewmierżycki, przewodniczący administracji w Stiekolnym, urodził się w 1955 roku, ale doskonale pamięta tamtych ludzi.

– U nas była tylko jedna łaźnia na całe osiedle. Dzień, w którym przychodziła kolej na nasz dom, był dla mnie najpiękniejszy w tygodniu. Uwielbiałem patrzeć na rozebranych mężczyzn. Połowa z nich miała wypisaną na skórze swoją historię. Wojenne blizny albo więzienne tatuaże. A jak już było widać te oznaczenia, bardzo często o nich mówili, a ja nadstawiałem uszu. Zachwycające przeżycie.

Do dzisiaj Aleksandr pamięta dwóch ogromnych Władimirów, którzy mieszkali w jego domu. Wryli mu się w pamięć, bo obaj mieli na skórze wypisane i wojenne blizny, i więzienne tatuaże. I tak, poza imieniem, rozmiarami i ranami kończą się ich podobieństwa. Poza tym byli jak ogień i woda – nie do pogodzenia.

Ale los, a może bezmyślność, bezduszność sowieckich czynowników sprawiły, że obu zakwaterowano w jednym mieszkaniu komunalnym, co znaczy, że mieli wspólny przedpokój, kuchnię i toaletę. Problem w tym, że jeden był byłym białoruskim policjantem w hitlerowskiej służbie, specjalizującym się w zwalczaniu partyzantki i pacyfikowaniu puszczańskich wiosek, drugi – białoruskim partyzantem. Nie ma w historii drugiej wojny większych przeciwności.

Obaj wpadli w łapy przeciwnika. Jeden w hitlerowskie, drugi sowieckie, a gdy partyzant w 1945 roku odzyskał wolność, po kilku miesiącach swoi go aresztowali i zesłali na Kołymę, gdzie już od roku był Władimir policjant.

I w tym momencie zaczyna się najbardziej niezwykłe, bo obaj mieli dobrze po metrze i dziewięćdziesiąt centymetrów, więc teoretycznie, trafiając do roboty przy kopaniu złota, powinni przeżyć kilka tygodni albo miesięcy.

Bo w Gułagu było tak, że normalny, duży koń służbowy dostawał więcej żarcia niż mały konik jakucki. Z ludźmi było inaczej. Przydział nie uwzględniał rozmiarów człowieka. To sprawiało, że maleńcy, chudzieńcy inteligenci, zwani pogardliwie Iwanami Iwanowiczami, żyli dłużej niż wielcy, przywykli do pracy fizycznej robotnicy i chłopi. Rozmiar miał znaczenie. Im większy, tym szybciej umiera.

Ale nasi Władimirowie, chociaż kolosy, okazali się fenomenami i przeżyli. Partyzanta wypuścili z obozu w 1953 roku w trakcie masowych zwolnień po śmierci Stalina. Dla policjanta, jak dla wszystkich zdrajców, dezerterów, własowców nie było zmiłowania, litości, przebaczenia. Musiał odsiedzieć swój, najczęściej ogromny wyrok. Na Kołymie było około trzech tysięcy takich więźniów, którzy dożyli w obozach do końca lat pięćdziesiątych. Wypuszczano ich jednak z czasem, bo likwidowano łagry, ale nie mieli prawa powrotu na kontynent.

Tak Władimir policjant zamieszkał w komunałce z Władimirem partyzantem. Założyli rodziny, jednemu na świat przyszła córka, drugiemu syn.

– A jak dzieci dorosły – opowiada przewodniczący Aleksandr – pokochały się jak szalone. Za to ich ojcowie ciągle, jak sobie popili, skakali do siebie z siekierami.

– Szekspir by czegoś takiego nie wymyślił.

– Pewnie, że tak. Bo wódka ich wreszcie pogodziła, a nie dzieci. Spili się razem na śmierć, a młodzi pobrali i mieszkają u nas do dzisiaj.

– W waszej rodzinie też takie historie? – pytam.

– Teść był w niemieckiej niewoli. Miał order za Stalingrad, ale przed łagrem go nie uratował. Chciałem uczcić tych ludzi. W zeszłym roku stawialiśmy memoriał ku czci ofiar wielkiej wojny, więc pomyślałem, że będzie to też pomnik ofiar stalinowskich represji, ale większość mieszkańców się nie zgodziła. Zwołali referendum. Najbardziej, o dziwo, protestowały kobiety. Pomnik dotyczy więc tylko 74 mieszkańców Stiekolnego poległych na dalekich, europejskich frontach. Dla pewności ludzie kazali wyryć ich nazwiska w kamieniu. A na łagrowej kwaterze na naszym cmentarzu jest około półtora tysiąca mogił zeków. Połowa z nich też była żołnierzami Armii Czerwonej, ale trafili do niewoli, a potem do łagru w naszym osiedlu.

Dzień X
Sokoł. 49. kilometr Traktu Kołymskiego

Fajny dzień. Jestem w Sokole przy magadańskim aeroporcie. Jeszcze bardziej na południe niż wczoraj. Znowu odwożą mnie z Pałatki. Bo w Sokole jest hotel i najdroższy znany mi internet na świecie – 500 rubli (50 złotych) za godzinę. Już czwarty raz pokonuję ten odcinek Trasy (a będzie jeszcze piąty).

Ale po kolei. Dzisiaj rano ruszam do Pałatki, a tu nawija się kierowca, który wczoraj wieczorem mnie z niej odwoził. To się z nim zabieram, a facet się wygaduje, że Aleksander Basanski, kołymski król złota wrócił z tajgi. Super!

Oligarcha przyjmuje mnie od razu, ale jest bardzo zajęty. Obiecuje, że jutro poświęci mi cały dzień i każe odwieźć mnie do hotelu w Sokole.

Zatem zły jak wściekły pies wracam te trzydzieści cztery kilometry do Sokoła, a w hotelu – zjawisko.

Kurczę. Obiecałem sobie, że nie będę zajmował się historią, rupieciami, smutną martyrologią i rozpaczliwymi łagrowymi wspomnieniami, ale co mam zrobić, jak przed oczami staje mi najprawdziwsza rosyjska arystokratka?!

A to w Rosji większa rzadkość, zjawisko bardziej wyjątkowe niż tygrys ussuryjski i pantera śnieżna.

Zatem Marianne Igoriewna Juquelier z domu Wierigina. Dama w wieku solidnie pobalzakowskim, rasowa szlachcianka, co słychać i widać gołym okiem, ale wcale nie krucha jak mimoza. Madame Marianne przyjechała na Kołymę sama. To przedstawicielka starej, jeszcze przedrewolucyjnej emigracji rosyjskiej. Mówi z leciuteńkim francuskim akcentem, bo od sześćdziesięciu trzech lat mieszka we Francji, ale rozmowa z nią to rozkosz jak czytanie Lwa Tołstoja w oryginale.

Jej rodzina zostaje wygnana z Rosji przez cara Mikołaja II po rewolucji 1905 roku. Osiedlają się w Finlandii. Ojciec madame Marianne jest działaczem emigracyjnym, zagorzałym przeciwnikiem bolszewików i Stalina, a w czasie wojen sowiecko-fińskich z całych sił angażuje się w obronę nowej ojczyzny. Służy na froncie jako ochotnik. Jest tłumaczem.

Finowie ulegają sowieckiemu goliatowi, podpisują z nim upokarzające porozumienie, w wyniku którego muszą oddać część swojego terytorium i suwerenności oraz grupę największych wrogów Związku Radzieckiego pochodzenia rosyjskiego.

Madame Marianne ma pięć lat, kiedy o trzeciej nad ranem w kwietniu 1945 roku do ich mieszkania w Helsinkach wchodzi dwóch enkawudzistów w towarzystwie fińskich policjantów. Przetrząsają mieszkanie i zabierają ojca.

Już po południu tego dnia mężczyzna jest w moskiewskim areszcie na Butyrkach. Potem siedzi w sławnej Władimirskiej Twierdzy pod Moskwą. Po roku nadchodzi list. Igor Wierigin pisze do żony, że jednego z aresztowanych towarzyszy rozstrzelali, pozostałych też pewnie czeka śmierć, więc powinni się rozwieść. I tak się dzieje.

Kilka lat później była żona z córką wyjeżdżają do Francji, gdzie po kolejnych kilku latach Marianne znajduje Marca, miłość swojego życia.

Mają jej bardzo dużo, do tego firma, dostatek, troje udanych dzieci i leciutkie uczucie pustki. Madame Marianne rozpoczyna pracę w hospicjum, więc kiedy cztery lata temu u Marca diagnozują raka wątroby, w domu znajduje on wspaniałą, fachową opiekę. Ale nie chce się leczyć. Odmawia chemoterapii. Oboje zgadzają się, że nie jest ważne, jak długo, tylko jak pięknie się żyje. Ostatnie wspólne tygodnie spędzają na nartach w Finlandii, ale kiedy Marc umiera, madame Marianne traci jednak grunt pod nogami. Nie wie, co ma robić w życiu, gdzie mieszkać, ani nawet kim jest. Francuzką, Rosjanką, a może Finką?

Postanawia jechać na Kołymę. Chce szukać śladów ojca, zebrać myśli. To najbardziej niezwykła historia, jaką tu słyszę – każda historia, którą słyszę na Kołymie, jest najbardziej. Bardziej niezwykła od poprzedniej.

Półtora roku madame Marianne przygotowuje się do wyjazdu, a teraz wszystko nadzwyczaj jej się tutaj podoba. Tutaj? Przecież poza przyrodą nie ma tu niczego ładnego.

Niemal wszystko, co stworzyli ludzie, jest szpetne. Magadan i rozsiane na Trakcie posiołki to wielkie, strasznie brzydkie, brudne i potwornie zabałaganione blokowiska, a ona, paryżanka, w zachwytach.

Zwyczajnie zwodzi ją magiczne światło północy, kolory modrzewi, babie lato, piękna, słoneczna, jesienna pogoda.

Po spędzonym razem dniu dogadujemy się z madame w tej kwestii. Tu jest duch bez urody, a tam, w jej Francji, uroda bez ducha.

Zdjęcie na grobie Igora Wierigina

Katorżnik Wierigin – żona kołchoźnica

W 1955 roku mademoiselle Marianka dostaje list z ZSRR. Pisze ojciec. Obie z matką były pewne, że nie żyje, a teraz, po dziesięciu latach dowiadują się, że od roku jest na wolności. Został skazany na dziesięć lat i zesłany na Kołymę. Wypuszczają go na rok przed końcem wyroku, bo obiecuje, że zostanie w ZSRR i przyjmie sowieckie obywatelstwo. Chce jechać do Moskwy, ale na to mu nie pozwalają.

– Na koniec listu ojciec pisze, że się ożenił – wspomina madame Marianne. – Jakaś Zoja Iwanowna. Nazwiska nie znam.

– Pewnie Wierigina.

– O Boże! Ojciec pisze też, że tamta ma syna Michaiła i że jemu też daje nazwisko Wierigin. Mama podnosi lament i każe mi pisać list do ojca. Że nie można tak byle komu dawać nazwiska. Naszego nazwiska! Mama szyje mi piękne sukienki. Wybiera jedną i dołącza do listu.

– Co to ma znaczyć? – pytam.

– Nie bardzo wiem. Mam piętnaście lat. Ojciec odpowiada, żebym nie pisała takich okropności. „To zbyt zawiłe, ale kiedyś mnie zrozumiesz”. Matka niszczy ten list i wszystkie następne, które od niego przychodzą. Strasznie to przeżywam, nawet próbuję popełnić samobójstwo.

– Ojciec może do pani przyjechać?

– Myślę, że tak. Po roku, dwóch może wyjechać ze Związku Radzieckiego, ale nie chce. Teraz, kiedy tutaj

przyjechałam, wreszcie to rozumiem. Kochał Rosję. W którymś z listów pisze mi, że kiedy siedział w więzieniu, prosił strażnika, żeby przyniósł mu wszystkie książki Lenina. I przyniósł. Światło paliło się dzień i noc, więc ojciec mógł czytać niemal bez przerwy. Chciał zrozumieć, z kim walczył całe życie.

Igor Wierigin po zwolnieniu z łagru jest naczelnikiem buchalterii w rybzawodzie, czyli fabryce konserw, a wieczorami gra w Magadańskim Teatrze Ludowym, bo teatr to wielka namiętność wszystkich Wieriginów. Nie mają z Zoją dzieci. Umiera w 1968 roku i zostaje pochowany na starym magadańskim cmentarzu. Pochówek urządzają wspólnie dyrekcje fabryki i teatru. Na mogile stawiają typowy nagrobkowy cokół z portretem i czerwoną gwiazdą na szczycie, jaki można kupić w każdym sklepie z żelastwem.

– Rozmawiałam z Tamarą Igoriewną, która grała z papą w teatrze – mówi madame Marianne. – Był dobrym duchem, liderem miejscowej inteligencji. Dobry, łagodny, z wielką klasą. Bo ta jego żona. Taka sowiecka, surowa. Widziałam jej zdjęcia. Typ kołchoźnicy. Radziecka robotnica.

– Żadna arystokracja.

– Ani trochę. Moja babcia i ciocia, które mieszkały w Moskwie, przyjmowały ją nawet w gościnie, kiedy po śmierci papy tam pojechała. Trochę niełądnie o niej mówiły, że to taka… baba. Umarła w Leningradzie dziesięć lat po ojcu. Jej synowa, która mieszka w Magadanie, mówi, że Zoja po śmierci została spalona, a jej syn przywiózł ją tutaj

i zagrzebał nieoficjalnie w grobie papy. A niech jej tam. Niech sobie leży.

– Wygląda na to, że bardzo ojca kochała.

– Bardzo – mówi madame Marianne. – A on po łagrach bardzo potrzebował mieć kogoś. Ja to rozumiem. Jej syn zapił się w 1995 roku. Miał czterdzieści siedem lat. Wcześniej zostawił żonę i dziecko.

– A co dzisiaj pani robi, Marianno Igoriewna?

– Czekam na wieczorny samolot do Moskwy. Potem do Paryża.

– To może jeszcze raz pojedziemy do Magadanu na cmentarz?

– Wspaniale. Jest autobus marszrutny numer 1.

Madame Marianne – śmierci nie ma

– Kiedy wczoraj tutaj byłam, spotkałam zapłakaną kobietę – madame Marianne prowadzi mnie cmentarnymi alejkami. – Pytam, co się stało, a ona, że ubili. To była matka. Jedynaka jej ubili. Bandyci. Przyniosła synkowi piwo, kiełbasę, cukierki, papierosy…

– Śniadanie mu przyniosła.

– Wszędzie tutaj na grobach stoją zastawy z jedzeniem i napojami. Kiedy sprzątałyśmy mogiłę papy, Tamara z teatru wzięła dwie takie filiżanki, umyła i podała nam herbatę. Potem odstawiłyśmy na miejsce.

– Biedacy przychodzą tu pojeść.

– Psy też – mówi Marianne Igoriewna. – Kiedy piłyśmy tę herbatę, przyszedł jeden taki. One tu wszystkie jak wilki. Wielkie i groźne, dzikie i nieufne, ale ten położył się koło nas i zawył. Zapłakał. Cicho, ale strasznie. Pytam go: „co z tobą?”. Nic nie odpowiedział. Dałam mu coś do zjedzenia, wziął i sobie poszedł. Kiedy wracałam, leżał martwy na głównej alei. Nie był ranny.

– Przyszedł jego czas. A skamlał, bo widział już śmierć. Psy ją widzą.

– Możliwe.

– Na pewno – mówię. – W poprzednim życiu byłem psem, to wiem.

– A jak tu pierwszy raz przyszłam, poczułam, że papy nie ma. – Madame Marianne pokazuje starą jarzębinę koło grobu jej ojca. – Tam stał. Normalnie z nim rozmawiałam jak z wami teraz. Mówię: „Córka przyjechała, cieszysz się?”. A on, że bardzo, „strasznie za tobą tęskniłem” Wiem, że on mi tu na każdym kroku pomaga. W urzędach, archiwach, na milicji.

– Baliście się? – pytam.

– No skąd?! To mój papa. Ja bardzo często rozmawiam ze zmarłymi. Widzę ich. Mam bardzo wielu znajomych na tamtym świecie, bo dziesięć lat pracowałam w hospicjum. Bardzo długo rozmawialiśmy z ojcem. W tym czasie byłam nieobecna, odeszłam do innego świata. Tamara, która była ze mną, mówi, że prawie jakbym zniknęła, rozmyłam się w powietrzu.

– Jak ojciec wygląda? Tak jak na portrecie z grobu, czy jak pamiętacie z dzieciństwa?

– To wypisz, wymaluj mój syn – mówi madame Marianne. – Na końcu świata poznałabym ten wieriginowski nos, długi i cienki. Dokładnie taki jak na siedemnastowiecznym portrecie rodzinnym, który wisi w Galerii Trietiakowskiej w Moskwie. Papa ma czterdzieści lat. Jak wszyscy zmarli. Na tamtym świecie wszyscy zatrzymują się, zrównują do tego wieku. Tak jest urządzony świat. Wszyscy moi znajomi z hospicjum mają teraz czterdziestkę. To wspaniałe widzieć ich młodymi, silnymi i zdrowymi. Kiedy moja mama umierała, widziałam jej siostrę i babcię, które nie żyły od wielu lat, a teraz siedziały przy nas i czekały na mamę. Powiedziałam jej, że tu są i że zaraz do nich dołączy. I kiedy mama zrobiła ostatni oddech, zrobiła to ostatnie westchnienie, wyszła po prostu z ciała i odeszła. Odleciała tam.

– Z matką i siostrą.

– Nawet na mnie nie popatrzyła. Myślałam, że to imaginacje, figle psychiki. Opowiedziałam o tym bardzo mądremu, staremu duchownemu, a on, że bywają ludzie, którzy widzą duchy. Od tej pory wiem, że życie ciągle trwa. Śmierci nie ma.

– I mówicie to, Marianno Igoriewna, na Kołymie?! Tutaj śmierć za jednym zamachem kosiła tysiącami. Jak nigdzie na świecie.

– Dlatego czuję tu bardzo silną, potężną energię. Bije tu z każdego wzgórza, każdej płyty chodnikowej jakby słup

światła. Czuję wszystkie kości, które tutaj leżą, krew, co wsiąkła w ziemię. Ogromna energia.

– Zła!

– Nic podobnego – madame na to. – Dobra energia. Dobre duchy czuwają nad tą ziemią. Tutaj kości złożone są nawet na drogach, tuż pod asfaltem, a jednak możemy po nich chodzić. Nawet ja. Mogę już wracać do Paryża i dożyć spokojnie do końca moich dni. Teraz jestem zupełnie innym człowiekiem. Uspokoiłam swoją duszę, bo wiem, że ojciec umierał jako szczęśliwy człowiek. Zamknęłam księgę swojego życia. To wielkie szczęście.

Dzień XI
Sokoł. 49. kilometr Traktu Kołymskiego

Tego dnia nie da się opisać na kartce mniejszej niż mapa Rosji w skali 1:1oo 000 (a to płachta ogromna jak spadochron). Odlotowe porównania, ale właśnie przyleciałem. Niemal. I dałem zdrowo w palnik. To że ja, to jeszcze nic, ale ten, co mnie wiózł… Zgroza! Gnał sto dziewięćdziesiąt na godzinę i cieszył się jak dziecko na kolejce górskiej. Oczywiście nie ma mowy o pasach bezpieczeństwa. Zwyczajnie nie pozwala mi ich zapiąć. Nie może nie korzystać z przywileju, który ma.

A pędził tak po Trakcie Kołymskim, który do Pałatki jest jeszcze z betonu albo asfaltu, ale i tak jest pofalowany jak Morze Ochockie przy silnym wietrze. Każda droga na wiecznej zmarzlinie musi tak falować. Po prostu grunt pod nią każdego roku co nieco odmarza, a potem zamarza, zatem pracuje, a z nim cała droga. Ciekawy jestem, jak Kanadyjczycy sobie z tym radzą.

A ciekawie było już w nocy. Śpię w dwuosobowym pokoju z obcym facetem (tutaj to normalka, że dosiedlają towarzystwo do numeru), a ten wstaje w środku nocy

i zaczyna „chodzić” rękoma po ścianach. Tak trafia na lustro w przedpokoju, zdejmuje je i „idzie” dalej. W życiu nie widziałem lunatyka. A może to wariat, co we śnie udusi mnie poduszką? A ten ciągle wędruje, to wstaję, biorę go łagodnie za ramiona i spokojnie odprowadzam jak dziecko do łóżka. Rano niczego nie pamięta.

A po śniadaniu znowu do Pałatki. Dzień trzeci polowania na Aleksandra Aleksandrowicza Basanskiego, złotego oligarchę z Kołymy, który przysyła po mnie samochód (piąty raz pokonuję odcinek drogi do tego miasta!). Na miejscu bogacz pakuje mnie do swojego kruzaka (ogromny land cruiser V8 o rejestracji 00300 – zatem, jak oligarcha sam się chwali, dla milicji nie do zatrzymania) i gnamy do jego restauracji Chutor w Magadanie (szósty raz pokonuję trasę Pałatka-Sokoł).

To potwornie droga, urządzona z wielkim przepychem, ale kompletnie pusta knajpa. I właśnie tam, w sali przeznaczonej tylko na użytek właściciela, jestem świadkiem kolejnego misterium – całodniowej serii dziwnych, niezwykłych obrazów.

Ot, choćby taki. Wyładowuje się Basanskiemu bateria w telefonie, więc szuka nowej, naładowanej, ale nie znajduje, więc lamentuje, że ma miliony, ale nie ma bateryjki, i na dowód tego, niby szukając zapasowej, wyciąga z teczki kilka zafoliowanych zgrzewek z paczkami pieniędzy. Tam muszą być miliony rubli! Po cholerę cały dzień ciąga ze sobą tę teczkę?!

Mój gospodarz czuje się w swojej restauracji jak ryba w wodzie… Co ja gadam – jak w niebie. Uwielbia pławić się w tym bogactwie i widać, że jeszcze się nim nie nasycił. Ale nie ma tyle fantazji, żeby pojechać z armią dziwek na narty do Courchevel, kupić królewski jacht albo klub piłkarski. Jemu wystarczają kotlety, kawior, zakąski, bajeczne wódki, złote zegarki, polowania. I jazda na złamanie karku swoim kruzakiem. Ma, kurczę, wszystko! Ale potrzebuje widzów, świty, publiczności.

No i cały dzień robię za tę publikę.

To bardzo skryty, zamknięty, tajemniczy człowiek. Wszystko muszę mu wykraść, podpatrzeć, sam wykombinować. Z rzeczy osobistych pokazuje mi tylko blizny na całym ciele, ale już jak je zdobył, nie daje się z niego wydusić. Dorobił się ich w Afganistanie i Angoli, gdzie walczył jako wysoki oficer służb specjalnych Związku Radzieckiego. Jest podpułkownikiem w stanie spoczynku oddziałów bojowych gru, wojennej razwiedki (wywiadu wojskowego) ZSRR i Federacji Rosyjskiej.

I znowu wychodzi na to, że w Rosji milionowe biznesy to wywiad, że do klubu oligarchów można wejść tylko przez służby specjalne.

Basanski pochodzi z Ukrainy, jest inżynierem górnikiem i jak na króla kołymskiego złota przystało, jedną czwartą zębów ma z tego kruszcu, a konkretnie – całą górną prawą stronę uzębienia. Ma dwie kopalnie odkrywkowe i jedną głębinową, kopiące rudy złota i srebra, oraz trzy wielkie firmy płuczące złoty piasek na siedmiu ogromnych

złotonośnych działkach. W Rosji nazywają je poligonami. Zatrudnia ośmiuset pracowników, z czego pięciuset pięćdziesięciu to górnicy, którzy w 2010 roku wydobyli dla niego 1,2 tony złota i 23 tony srebra za dwa miliardy rubli (dwieście milionów złotych). Basanski co miesiąc płaci dwa miliony dolarów podatku, a łyżkę trzyma nie jak wszyscy trzema palcami, tylko całą garścią.

Jego telefon cały dzień rozgrzany jest do czerwoności. Dzwoni bez przerwy lub Basanski gdzieś dzwoni i cały czas rządzi, wydaje rozkazy, polecenia, zasięga informacji… Ściąga do knajpy Igora Doncowa, deputowanego do obwodowej Dumy (Basanski jest zastępcą przewodniczącego), żeby zaprezentować mi ich przyjaźń. Doncow to numer trzy na Kołymie, jeśli chodzi o bogactwo i rozległość interesów. Buduje drogi, łowi ryby, pozyskuje kawior. Basanski jest drugi i pierwszy wśród poszukiwaczy złota.

Potem następuje ten pijany powrót do Pałatki. Basanski gna, jakby szukał śmierci, do tego przeważnie po lewej stronie drogi, także pod górę i na zakrętach, chociaż prawa jezdnia jest zupełnie pusta. Żadnych samochodów, a jak się pojawi jakiś z przeciwnego kierunku, mój szoferak wraca na swój pas tylko na czas mijanki. Dlaczego tak jedzie? Bo prawa strona i tak mu się należy. Zawładnąć musi tą drugą. Musi ją posiąść. Wziąć „pod siebie” – jak tu mawiają. Tak jak pies bierze sukę, potrzebujący kurewkę, a błatny frajera spod celi. To jest pojęcie oznaczające, że teraz jemu się podlega. Ten, co idzie na ten dil, „układa się” pod biorącym,

a jak nie, będzie wojna. A zasadniczo wszystko można wziąć pod siebie: urząd, organ władzy, firmę, miasto, każdego człowieka. Także dziennikarza. A nawet drogę.

Jak na trzeźwo jechaliśmy w przeciwną stronę, Basanski prowadził samochód tak samo. Może tylko odrobinę wolniej.

Złoty oligarcha Aleksandr Basanski (z prawej) z przyjacielem Igorem Doncowem

Zwiadowca Basania – puste oczy

Proszę o kawę i jak zwykle mam kłopot, bo filiżanka mała, a kostka cukru wielka, więc staram się ją przełamać, ale nie daję rady. Proszę Basanskiego, żeby mi to zrobił, bo chłop potężny jak filar mostowy. Udaje mu się bez trudu.

– To kolejna próba, z całego szeregu testów, jakim mnie poddajecie – mówi oligarcha. – Naprawdę widać, że skończyliście akademię wywiadu. Cały czas mnie sprawdzacie.

– Co wy?! Nie mogłem złamać zwyczajnie.

– Też coś! – on na to. – Kto tak mało słodzi?

– Ja.

– A ja żyję w Rosji i mnie nie wykiwacie. Nawet zauważyliście, że popielniczka jest z moim znakiem zodiaku. Że jestem Byk, z maja.

– Jestem reporterem. Zwracam uwagę na szczegóły. Urodziłem się z tym.

– Z tym nie można się urodzić. Tego uczą w szkołach dla agentów. My jeszcze jedną butelkę wódki wypijemy i ja się dowiem, jaki wy macie stopień. Ale na razie wypijmy za przyjaźń między narodami.

Wypijamy. To bieługa, najdroższa z miejscowych wódek – 2100 rubli za butelkę (210 złotych). Mój gospodarz bardzo pilnuje, żebym zgodnie z rosyjskim zwyczajem niczego nie zostawiał w kieliszku. Pijemy zatem równo, tylko że on jest prawie dwa razy ode mnie potężniejszy.

Zakąszamy sałatką Morska Fala z krabów za 420 rubli i bierzemy się do mojej ulubionej rosyjskiej zupy solanki za 440 rubli. Karta dań ma 33 strony. Najdroższa potrawa to ryba faszerowana za 1600 rubli, o dwieście więcej niż kieliszek najdroższego koniaku, ale ja zamawiam bliny (coś jakby nasze naleśniki) z kawiorem za 280 rubli, bo uwielbiam.

Znowu wypijamy, a Basanski podciąga nogawkę i pokazuje bliznę na łydce, potem drugą nogawkę i zdejmuje koszulę. Na plecach kilka śladów w jednej linii – po serii z automatu.

– Zwerbowali mnie, kiedy jeszcze uczyłem się w technikum – opowiada. – Potrzebowali chłopaków, którzy zajmowali się sportem, a ja namiętnie boksowałem. Potem się okazało, że jestem świetnym strzelcem. Na żadnej mojej misji nie spotkałem człowieka, który lepiej by ode mnie strzelał. Umiem strzelać, kierując się tylko słuchem. Z pięćdziesięciu metrów rozwalam butelkę, co się buja na sznurku.

– Dersu Uzała jednym strzałem odcinał taką butelkę od sznurka.

– Nieźle! On z waszej jednostki? – zainteresował się oligarcha.

– Nie. Z literatury. I to waszej. Arsienjew napisał o nim książkę, a Kurosawa zrobił film.

– Prezydent Putin, jak mi wręczał w 2007 roku medal za sukcesy w biznesie, uścisnął mi rękę i powiedział: „Nasi ludzie zawsze na szczytach”.

– On też agent – mówię – tyle że z KGB.

– Jestem aktywnym stronnikiem partii Jedna Rosja, którą kieruje Władimir Władimirowicz Putin. Mój kumir, idol i wzór. Trzy razy brałem udział w wyborach do obwodowej Dumy z listy Jednej Rosji. Ostatnio dostałem 66 procent głosów. Najwięcej ze wszystkich deputowanych na Kołymie. Za parę tygodni wybory i zwyciężymy. I nikomu, kurwa, nie oddamy tego zwycięstwa. Żadnym komunistom, oportunistom i populistom. Niedoczekanie! Wypijmy!

– A jak zdobyliście te rany na plecach?

– A ty co?! W wywiadzie pracujesz czy w gazecie? Walka była. Najgoręcej zawsze w Kandaharze. Nas mało, ich mrowie.

I zadanie wypełniliśmy dostojnie.

– Czegoś się boicie? – pytam go.

– Że przytyłem. I oczy po tych wszystkich ranach i narkozach pod wieczór trochę puste. Znaczy gorzej widzę. Ale wypijmy za stosunki polsko-rosyjskie.

Przychodzi Igor Doncow, kolega deputowany gospodarza Chutoru. Gawędzą o pieniądzach, interesach i nadchodzących wyborach. Ustalają, który z nich potężniejszy, bogatszy.

– Z twoim milionem dolarów dochodu miesięcznie jesteś najbogatszym kandydatem w wyborach – mówi Doncow. – Ja jestem drugi, a Wołodia Christow z Susumanu trzeci, ale gdyby do dochodu wliczać dywidendy z akcji, to ja jestem pierwszy.

– Moja rezerwa pieniężna jest po prostu kolosalna. – Basanski dzwoni gdzieś i włącza telefon na głośne mówienie. – Irina, ile my tam dostaliśmy ostatnio kredytu ze Sbierbanku?

– 410 milionów dolarów – odpowiada żeński głos. – Nie, przepraszam. 420 milionów.

– A przy okazji – mówi Doncow. – Jest interes do zrobienia. Przyjechała do nas delegacja biznesmenów z Petersburga. Szukają prezentu dla swojego gubernatora, bo ma urodziny w końcu października. Byli u ciebie w salonie jubilerskim, ale tam wszystko dla nich za skromne.

– Za tydzień będzie złoty puchar samorodków – mówi Basanski, a przez telefon poleca komuś przynieść do restauracji kopię tego suweniru. – Robimy je tylko na zamówienie. Cena zależy od tego, ile wsypiemy samorodków. Ostatni puchar kosztował 103 tysiące dolarów.

– O, to by im pasowało. Wypijmy zatem strzemiennego. Bo mnie już trzeba w drogę, a jeszcze sporo jej przede mną. Daj Boże zdrowie tobie, Aleksandrze.

Wypijamy. Basanski sprawdza, czy nic nie zostawiłem w kieliszku, żegna się z Doncowem i telefonicznie wzywa jakiegoś człowieka, który od kilku godzin, kiedy my biesiadujemy, czeka na niego w sąsiadującym z knajpą magadańskim biurze oligarchy.

Mężczyzna ma czterdzieści siedem lat, tyle co Basanski, ale mały, chudy, sterany i z taką zezowatą szczerością w gębie. Od razu się go lubi, chociaż to gęba bez zębów, cała w starych bliznach, dłonie w dziargach i nie są to

frajerskie, wolnościowe tatuaże. Typowe armijno-więzienne kulfony. Też walczył w Afganistanie i w niejednej pewnie tiurmie.

Historia jest taka. (Ale wypijmy). Zatem historia taka, że Basanski wykupił dziesięcioletnią licencję na gigantyczny obszar do eksploatacji złota na prawym brzegu Zalewu Kołymskiego. To cały półwysep między rzeczkami Obo i Kongo. Złota jest tam morze. Oligarcha kupił już statek, bo tylko tak można się tam dostać. Problem w tym, że Szczery ma na tym terenie maleńki, trzyosobowy biznesik drwalsko-tartaczny, więc przyszedł prosić potentata, żeby dał żyć, nie niszczył. Przecież nie są konkurencją, a Basanski nie kupił tego półwyspu, tylko licencję na wydobycie.

– No nie wiem. – potentat skrobie się w głowę. – Moi dyrektorzy są za tym, żeby wszystkich przesiedlić, wyrzucić. Co do jednego. Ale jakoś tak nie mogę. Najpierw chcę się spotkać z ludźmi i potem zdecyduję. Bo najbardziej lubimy na naszym terenie być sami. I tak pewnie będzie i tym razem, bo rezerwę pieniędzy mamy kolosalną, a to rozwiązuje wszystkie problemy.

– Nini-niby jak? – jąka się Szczery.

– Możemy się dogadać, przekupić i kupić. Jak jakaś firma poszukiwaczy stoi nam na drodze, to ją kupujemy, a byłych właścicieli robimy dyrektorami. Taki mamy system. Jest jeszcze metoda siłowa.

Basanski ma bardzo potężną służbę bezpieczeństwa. Zatrudnia w niej byłych agentów KGB, FSB i ukraińskiej formacji specnazu Berkut, odpowiednika naszego GROM-u.

Były prezydent Wiktor Juszczenko rozpędził ten oddział, bo podczas pomarańczowej rewolucji na Ukrainie wsparł jego konkurenta. Teraz są siłą zbrojną koncernu Arbat.

Inżynier Basanski – ruski Midas

Sasza Basanski to chłopak z chutoru Dikańka w obwodzie połtawskim na Ukrainie. Na Kołymę przyjeżdża jako dwudziestojednoletni weteran wojny afgańskiej. Jest prostym ślusarzem, potem majstrem, mechanikiem, a kiedy po trzech latach eksternistycznie kończy zaoczne studia, od razu zostaje głównym mechanikiem Karamkińskiego Kombinatu Górniczego. Taką moc kreowania kariery (przerywanej częstymi i długimi wyjazdami na misje bojowe) mają radzieckie służby specjalne.

Po roku Basanski zostaje dyrektorem kombinatu, a w jeszcze następnym kupuje go. Ma dwadzieścia siedem lat.

– Skąd macie pieniądze na ogromną, odkrywkową kopalnię złota? – pytam. – Po sześciu latach pracy?!

– Byłem racjonalizatorem. Opatentowałem dwanaście wynalazków i złożyłem osiemdziesiąt siedem wniosków racjonalizatorskich. Za każdy wniosek dostaję sześć tysięcy starych radzieckich rubli, a to potężne pieniądze. W tym czasie robotnik zarabia u nas czterysta, a dyrektor dziewięćset rubli. Żyguli kosztuje pięć i pół tysiąca rubli. Ale ja nie kupuję samochodów, tylko losy sport-lotto za wszystko, co mam. Czasami nawet za dwadzieścia tysięcy.

Walizami wynoszę kupony z kolektur. I trafiają się gigantyczne wygrane. Ogromne pieniądze tak zarabiam.

– Chcecie mi powiedzieć, że pieniądze na kupno kopalni złota zarabiacie na hazardzie?

– Nie, na racjonalizatorstwie. I gram, a u mnie tak jest, że wszystko mi się udaje. Zawsze. Nawet jak jadę z gubernatorem z oficjalną delegacją do Gdańska i wszyscy idą na kolację z gospodarzami, a ja do kasyna, to ogrywam je do dna. Pierwszy i ostatni raz jestem wtedy w kasynie. Nawet nie biorę całej wygranej, bo brakuje im waluty, a mnie złotówki po co? Tylko trzy lata gram w lotto. Mnie to nie ciągnie. Mam ogromną siłę woli.

W kilka lat złoża w jego kopalni zostają wyczerpane, więc ją zamyka i kupuje w Polsce linię do produkcji napojów. Jako pierwszy na Kołymie sprzedaje napoje w plastikowych butelkach, więc błyskawicznie opanowuje cały rynek.

– Sprzedaję dwadzieścia sześć rodzajów słodkiej wody za milion dolarów miesięcznie – wspomina Basanski. – Tak zarabiam czterdzieści milionów dolarów na czysto. Na wodzie i cukrze. A jak inni zaczynają robić to samo, sprzedaję wszystko i wkładam pieniądze w górnictwo. Prywatyzacja idzie pełną parą. Kupuję kopalnie, kiedy uncja złota kosztuje na rynkach światowych dwieście dolarów. Dzisiaj kosztuje ponad tysiąc pięćset i ciągle rośnie. W 2010 roku cena skacze do góry trzydzieści pięć razy, a centralny bank Rosji kupuje i kupuje. Od 2007 do 2009 roku zwiększa złotą rezerwę walutową kraju ze 121 miliardów dolarów do 560 miliardów. A dla was co na deser? Bo ja wezmę pierożki

z wiśniami i lodami o smaku kiwi oraz syrniki (placuszki serowe) ze sguszczonką (słodkim mlekiem zagęszczonym). Bardzo lubię na słodko.

– Ja pasuję.

– Macie jakieś namiętności? – pyta oligarcha.

– Robota, sport, lubię się napić, być w drodze, kocham się.

– No właśnie – ożywia się. – Jak kobiety?

– Niezbyt nowocześnie. Jedna żona.

– A lody są owocowe, śmietankowe, kawowe, czekoladowe.

– A ja tylko waniliowe.

– Biedaku. Dawaj, jedziemy w miasto.

Chyba po to, żebym zobaczył, jak po wódce wyłazi jego prawdziwa natura. Trąbi na wszystkich jak opętany, ubliża, otwiera okno i na całą ulicę leci matem bez najmniejszej finezji. Nawet do kobiet. Szuka zwady. Łamie wszystkie przepisy drogowe. Mam wrażenie, że nie robi tego jak wszyscy, dla wygody albo z niechlujstwa, tylko z musu, żeby nie zmarnowało się jego prawo do robienia tego, na co tylko ma ochotę.

Wracamy do Pałatki. Siódmy raz pokonuję trasę do tego miasteczka. Zabieram plecak, który tam zostawiłem, i oligarcha odwozi mnie do hotelu w Sokole (ósmy raz!).

Po drodze przez telefon omawia akcję przeciwko człowiekowi, którego nazywa „szczurem”. Z emocji aż puszcza nogę z gazu.

– Trzeba go załatwić „po pełnym programie” przy pomocy FSB – słyszę, jak wydaje polecenia. To jakieś biznesowe

porachunki, a chodzi o bardzo drobną sumę, zaledwie półtora miliona rubli (150 tysięcy złotych), nawet nie połowa pucharu z samorodkami.

Żegnamy się, a Basanski wciska mi na pamiątkę złoty samorodek, który wyjął z gabloty w swoim salonie jubilerskim na Karola Marksa. To prawie czysty metal. Kamyk z ruczaju Bierelioch o próbie 883,5 i wadzie 8,81 grama.

Bronię się, uciekam, ale przed nim nie ma ratunku.

– Nie mogę! – krzyczę na niego. – Nie chcę, nie wolno mi.

– Daj spokój! – mówi i na siłę pakuje mi kamień do kieszeni. – Ty agent, nie dziennikarz. To możesz.

Część II
Syndrom pola walki

Ta mi oto przypadła kraina
I chce Bóg, bym w milczeniu tu żył
Za ten grzech, że widziałem Kaina,
Ale zabić nie miałem go sił.

Aleksander Sołżenicyn

A teraz żart, paradoks historii. Odkrywcą Kołymy, jej niezwykłych walorów geologicznych, niewyobrażalnych, niewyczerpalnych bogactw jest Polak Jan Czerski, bojownik o wolność zesłany na Sybir za udział w powstaniu styczniowym. Jest pierwszym Europejczykiem, który przebył te bezkresne pustkowia. W 1924 roku, zatem już w Związku Radzieckim, Rosjanie uhonorowali go najwspanialszym, a w zasadzie najpotężniejszym pomnikiem na świecie, jakiego nie ma, a nawet nigdy nie miał sam Włodzimierz Lenin. Pomnik ma tysiąc pięćset kilometrów długości, dwieście szerokości, ponad trzy kilometry wysokości i najwyższy szczyt o szyderczym imieniu Pobieda – zwycięstwo. Oprócz tego polski badacz dostaje drugie, nieco mniejsze pasmo górskie na Zabajkalu, najwyższy szczyt w Górach Bajkalskich, potężny Pik Czerskiego w Sajanie Wschodnim, jezioro, dolinę, wodospad, głaz u źródeł Angary, ulicę w Moskwie, endemicznego skorupiaka bajkalskiego z rzędu obunogów i miasto Czerskij nad dolną Kołymą, gdzie w 1892 roku w objęciach rosyjskich żony i syna oddał ducha. Tam też został pochowany.

Właśnie na stokach Gór Czerskiego, tych większych, czterdzieści lat później powstają obozy i kopalnie złota, które stają się grobami milionów, „które pod nazwą Kołymy – jak pisze Ryszard Kapuściński w *Imperium* – razem

z Oświęcimiem, Treblinką, Hiroszimą i Workutą przechodzą do historii największych koszmarów dwudziestego wieku’.

Aortą, głównym nerwem Kołymy był i jest Trakt Kołymski, czyli Trasa. A ja, tak jak wielu starszych mieszkańców Kołymy, słowa „Trakt” i „Trasa” będę pisał wielką literą. Bo ta licząca ponad dwa tysiące kilometrów droga wybrukowana jest ludzkimi żywotami. Położona na kościach. I to nie jest żadna metafora.

Bo niby dlaczego wzdłuż całej Trasy nie ma ani jednego starego cmentarza?

Dlatego że zmarli leżą kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnią drogi. Tysiące ludzi. Praca przy budowie Traktu to obok kopania złota była najgorsza robota na Kołymie. Kto przy niej padł, z tego ściągali obozowe łachy (jeszcze się przydadzą), obracali twarzą do góry i przykrywali kołymskim gruntem, z którego usypana jest Trasa.

O czym przez pierwsze dni podróży myślę najmocniej? Jak tu się odlać? Wychodzę z samochodu, a w czaszce mi świdruje, że jakiemuś biedakowi sikam na głowę.

A to może nasz, dziewiętnastoletni żołnierzyk z kampanii wrześniowej, chłopina z mojej Warszawy, którym dowodził mój dziadek, chłopak, który nigdy w życiu nie miał dziewczyny, a kiedy umierał z głodu, wyszeptał. No właśnie, co on mógł powiedzieć? A mnie, staremu cynikowi wstyd teraz, że wypisuję bzdury jak do telenoweli. Ale kiedy siedzisz sam w obskurnym hotelu na końcu świata i chce ci się wyć, bo dopada cię SR, dla zajęcia rąk i głowy piszesz

dziennik, a wtedy wychodzą takie kwiatki. (SR to nie stwardnienie rozsiane, tylko samotność reportera).

Budowa Trasy rozpoczyna się w 1932 roku, gdy trust Dalstroj zostaje powołany do życia. W końcu dekady droga dociągnięta jest do Ust-Nery na 1007. kilometrze. W latach czterdziestych przedłużają ją do Chandygi nad rzeką Angarą na 1605. kilometrze. To zachodnia granica trustu. Ostatni odcinek do Jakucka na 2025. kilometrze ukończony jest w pierwszych latach pięćdziesiątych, ale to tak zwany zimowik – droga zdatna do użytku tylko zimą, kiedy zamarzają błota. W lecie cały Trakt Kołymski przejezdny jest dopiero od lat dziewięćdziesiątych.

Podróżuję nim śladami Warłama Tichonowicza Szałamowa, z jego ogromnym, tysiącstronicowym zbiorem *Opowiadań kołymskich*. To wielka rosyjska literatura, najbardziej wstrząsający, niezwykły obraz cywilizacji więziennej, którą Szałamow potrafi skompresować, streścić w trzech przykazaniach: nie wierz, nie bój się, nigdy nie proś. I jeszcze jedna cnota obozowa, bez której nie przeżyjesz: umiej kraść, poczynając od chleba współwięźniom. W łagrze człowiek staje się jedynie gorszy. Tam wszystko, co do jednej minuty, jest złe. Szałamow odkrywa, że w obozie umiera także Bóg, podczas gdy dla Aleksandra Sołżenicyna Gułag to próba charakteru, z której więzień może wyjść zwycięsko.

Szałamow siedzi w łagrach osiemnaście lat plus dwa jako „wolny”, ale bez prawa wyjazdu (z tego na Kołymie spędza siedemnaście lat). Zwalniają go w 1953 roku, po śmierci

Stalina. Do końca życia pozostaje obsesyjnie wierny łagrowej tematyce.

Jest to więc mój pierwszy, stały paputczik. „Paputczik” to jedno z moich ulubionych rosyjskich słów. Oznacza towarzysza podróży, człowieka, z którym jest ci po drodze (po rosyjsku – po puti). Dosłownie i w przenośni. Tego, z którym jedziesz po jednej drodze, w jednym przedziale kolejowym, i tego, z którym na przykład zgadzasz się w sprawach polityki, macie jeden cel, do którego dążycie. Ta książka jest w zasadzie o nich, ale nie tylko tych, z którymi jechałem, lecz także, których spotkałem na Trasie.

W tej części będzie bardzo wielu szoferaków. Tych z ciężarówek najczęściej nazywają w Rosji dalnobojszczikami. To ludzie dalekiego boju, długiej trasy – po naszemu tirowcy. Czasami nazywają ich kamazistami, nawet jeśli ich ciężarówki to nie kamazy, albo ugolszczikami, jeśli wożą węgiel, bo „ugol” to węgiel właśnie. Ale na Kołymie już w latach Gułagu wykombinowali swoje własne słowo – miejscowych kierowców nazywają trassowikami (po rosyjsku słowo „trasa” pisze się przez dwa s).

Trasa to bardzo niebezpieczna droga. Usypana z żółtawego, kołymskiego gruntu, w którym więcej kamieni niż ziemi. Droga nie ma twardej nawierzchni, więc rozmywa ją każda większa ulewa, łamie ją i kruszy wieczna zmarzlina, w zimie życie obrzydza ogromny śnieg, a gdy jest go mało, tworzy się śliski biały asfalt. W lecie dokucza

straszny, żółty pył, który bardzo długo unosi się w powietrzu, a samochody zderzają się w nim jak we mgle. Przy drodze dużo niby-nagrobków. Zamiast krzyża na paliku przeważnie wisi połamana kierownica, zamiast płyty – kompozycja z opon albo dziurawa chłodnica.

W wielu miejscach na poboczach resztki płotów przeciw zaspom. Pletli je z modrzewiowych patyków więźniowie Gułagu. Kołymską tajgę porastają modrzewie.

Trakt jest niebezpieczny do jazdy, ale życie na nim bezpieczne. Pospolitego bandytyzmu niewiele. Tu nawet w strasznych latach dziewięćdziesiątych nie było dręczącego całą Rosję rekietu, czyli drogowego zbójectwa, ściągania haraczy za przejazd.

Najgorsze pod względem przestępczości czasy Kołyma przechodzi po 1953 roku, kiedy po śmierci Stalina opróżniają obozy i na wolność wychodzą tysiące ludzi, w tym mnóstwo kryminalistów, którym jednak przez kilka lat nie pozwalają wracać na kontynent. W miastach dla bezpieczeństwa ludzie chodzą grupami, mężczyźni odprowadzają żony do pracy, bo wielu zwolnionych błatników nie widziało kobiety latami.

Wtedy właśnie na Trasę rusza były polityczny zek o nazwisku Riabokoń, wojak z anarchistycznej Rewolucyjno-Powstańczej Armii Ukrainy atamana Nestora Iwanowicza Machny. Szałamow poświęca Riabokoniowi opowiadanie.

Anarchista weteran skrzykuje czteroosobową bandę, z którą ponad rok grabi i morduje lekką ręką kogo się da.

Kłócą się jednak przy podziale łupów i wydają nawzajem. Wszyscy dostają po dwadzieścia pięć lat.

Te czasy dawno minęły. Każde spotkanie z człowiekiem na Trasie to teraz czysta przyjemność, a przydrożne bary po prostu uwielbiam. Jest ich może kilkanaście między Magadanem a Jakuckiem. Mogę godzinami w nich siedzieć i gapić się na te zwyczajne, prawdziwe, szczere gęby, na ludzi tajgi w panterkach, na szoferaków z upapranymi smarem łapami (techniczny brud to nie brud – mówią), pokręconych przez reumatyzm poszukiwaczy złota. Czuję ulgę, że nie muszę patrzeć na czerwone twarze przejedzonych oligarchów, wyłupiaste oczy przepitych oficerów bezpieki. Wreszcie słyszę „dziękuję”, „proszę”, a baba, co maże brudną szmatą podłogę w barze w Lariukowej na 386. kilometrze, mówi nawet do mnie „przepraszam”. To u miastowych, magadańskich ludzi nieczęsto się słyszy.

Kobieta chce pomazać także pod moim stołem, ale orientuje się, że jestem obcokrajowcem, to siada koło mnie i opowiada o pierwszym cudzoziemcu, który kilka lat temu wkroczył do jej baru. To był ogromny, obtatuowany od stóp do głów łysy jegomość w skórzanej kamizelce.

– Dejwid Juesej – mówi, pokazując na siebie palcem.

– Larysa Raszyn – odpowiada niewiasta po angielsku.

– Problema kalco – on na to i żeby zrobić wrażenie, próbuje zakląć. – Jop tfoju mat.

Larysa nie odpowiada, bo nie zna już żadnego więcej angielskiego słowa.

– Skolko paluczajesz? – pyta więc dziwny gość, żeby jednak o czymś gadać.

– Piat'desiat dołłarow – odpowiada kobieta zgodnie z prawdą.

– Łosz! Koneszno bolsze – teraz i jemu wyczerpał się zasób obcych słów, więc kończą konwersację.

David przypływa do Magadanu statkiem i rusza swoim motocyklem na zachód z marzeniem, by dotrzeć do Moskwy, ale w Łariukowej na 386. kilometrze Trasy łamie felgę i tak kończy się jego przygoda. Larysa odprawia go ciężarówką do Magadanu, gdzie za dwa tysiące dolarów David sprzedaje swoją hondę i odlatuje samolotem do Moskwy.

Na Kołymie jest mniej turystów niż na biegunie północnym czy Mount Evereście. Ja nie spotkałem żadnego.

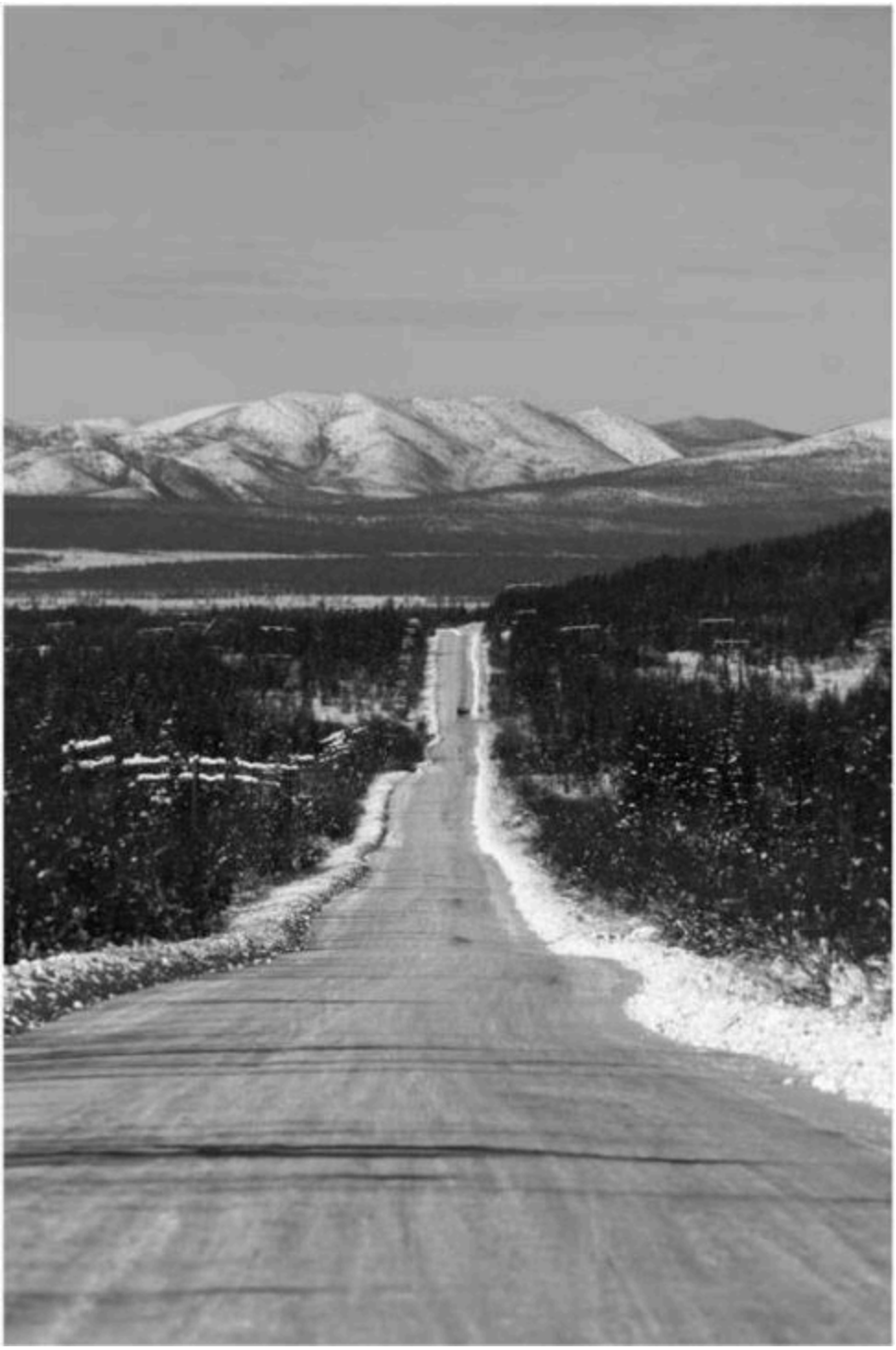

Trasa. Gdzieś między Susumanem a Ust-Nerą

Dzień XII
W tajdze. 22 kilometry na południe od 438. kilometra Traktu Kołymskiego

Dzisiaj będzie o farcie reportera.

Małgosia Szejnert, poprzednia szefowa działu reportażu „Gazety Wyborczej”, mawia, że reporter, który nie ma szczęścia, nie ma czego szukać w zawodzie. Miała na myśli fart zawodowy.

Zatem o farcie. Uzupełniam dziennik i przed południem wychodzę wreszcie z tego cholernego hotelu w Sokole, którego nie mogę opuścić przez tyle dni. Marzenie na dzisiaj to dotrzeć do Debina na 448. kilometrze Traktu.

Wędruję z hotelu na drogę, w sklepiku robię zapas prowiantu na dwa dni, staję na poboczu, otwieram kartonik z sokiem… Nie zdążam go nawet wypić, kiedy zatrzymuje się samochód, drugi, na którego machnąłem. Nie stoję nawet pięciu minut. Jest godzina 11.50.

To stara rosyjska gazela (mikrobus firmy Gaz, która robi legendarne wołgi), a za kierownicą – Andriej z Magadanu z kompletem złotych zębów. To mój pierwszy paputczik. Z nim po raz dziewiąty pokonuję odcinek Traktu do Pałatki.

Andriej jedzie do Sejmczanu, zatem z mojej drogi zjedzie w Łariukowej na 386. kilometrze, ale tam jest ruchliwy bar przy Trasie, więc bez trudu znajdę w nim następnego paputczika.

Andriej jedzie po kilku hiszpańskich myśliwych, którzy przyjechali na łosia, ale nie wytrzymali życia w tajdze pod namiotami i trzeba ich ewakuować, chociaż nie zdobyli upragnionych trofeów.

W samochodzie wieziemy potężny zapas benzyny, ale tankujemy wszędzie, gdzie się da, bo z paliwem bywają kłopoty. Na Kołymie są złoża ropy i gazu, ale jeszcze nieeksploatowane, więc paliwo przywożone jest z kontynentu i bardzo drogie. Im dalej od Magadanu, tym więcej kosztuje. Kontynent – 20 rubli za litr benzyny (dwa złote), Magadan – 25 rubli, Atka na 196. kilometrze – 30 rubli, Orotukan na 390. – 35, Jagodne na 522. – 40.

Na 164. kilometrze – przełęcz Jabłoniowa i zmiana pogody, śnieg, mróz. Dzisiaj pierwszy dzień października, a ja wjeżdżam w kołymską zimę, a na 202. kilometrze robię radosne hura! bo to dziesięć procent Trasy. Zaczynam odliczać drogę jak na maratonach, kiedy po czwartym kilometrze cieszę się, że już spadło mi dziesięć procent dystansu. Andriej mnie studzi, że to rzeczywiście dziesięć procent, ale to najłatwiejsze.

W barze w Lariukowej jemy obiad, a mój szoferak znajduje mi nowego paputczika. To Boria, znaczy czterdziestodziewięcioletni, lekko się zacinający staratiel Borys Ariechow, koleżka Andrieja z dzieciństwa. „Staratiel”

to po rosyjsku poszukiwacz złota, a też gorliwiec, gorliwy. Boria jedzie w tajgę, gdzie ma z kolegą spółkę, jeden z 250 kołymskich karteli płuczących złoto, do tego niedaleko od mojego upragnionego Debina. Boria proponuje gościnę, którą przyjmuję z radością. Do Debina pojadę później.

Po drodze wpadamy do jego rodzinnego Orotukanu na 390. kilometrze po zaopatrzenie. Borysowi serce się kraje, kiedy patrzy, jak osiedle jego młodości umiera. Większość domów straszy martwymi oczodołami pobitych okien. Pozostałych w osiedlu mieszkańców zebrano w ostatnich pięciu żyjących, czteropiętrowych blokach. W każdym na parterze dwa albo trzy sklepiki. Absolutnie w każdym. I w każdym sprzedają wódkę, chociaż licencja na to kosztuje 120 tysięcy rubli miesięcznie (12 tysięcy złotych). Zastanawiamy się z Borią, jaki muszą mieć obrót, żeby zarobić na tę opłatę.

Spod domu, w którym mieszkał Borys, wyrasta góra z pięknym, długim stokiem i resztką jedynego na Kołymie wyciągu narciarskiego, który poszukiwacze żelastwa po kawałku odcinają na złom.

Złomiarze – współcześni neandertale, dzikusy, barbarzyńcy. Z monumentu Tani Mołandiny, który stoi koło nieczynnego domu kultury jej imienia, ukradli tablicę z brązu, a dziewczynie wydłubali oko, chociaż jest z betonu. Sądząc z pomnika, musiała być bardzo piękna. Była aktywistką Komsomołu. W 1937 roku banda więźniów kryminalnych, którzy uciekli z zony, zgwałciła ją chórem na śmierć.

Jedziemy w tajgę, a Borys pokazuje zupełnie martwe osiedla: Jasnyj, Spornoje, Piatiletka, Razwiedczik, do tego Utinka, Dorożka, Tajożka, Pribyl, Rybnyj, Szturmowoj…

No i jestem w maleńkiej osadzie poszukiwaczy złota. Dwadzieścia dwa kilometry w głąb tajgi od 438. kilometra Trasy na prawym brzegu rzeki Kołymy. Bez prądu, zasięgu telefonów, nie mówiąc o internecie.

Noc spędzam z Witalijem w jego wagonczyku, baraczku na kółkach. Witia Marku jest wspólnikiem Borysa. Pochodzi z Mołdawii, więc nazywają go „Mołdawianinem”. W naszych nogach stoi mały sejf z mniej więcej dwunastoma kilogramami złota, które wypłukali w ostatnim miesiącu, a między naszymi pryczami – kałasznikow Witalija. Bez broni życie w tajdze nie jest możliwe. Niedźwiedzie są teraz szczególnie niebezpieczne, niedawno pożarły kucharkę w sąsiednim kartelu, nie mówiąc o tym, że co jakiś czas zdarzają się napady na poszukiwaczy złota. Bandyci odbierają im cały urobek.

Właśnie zjadłem śniadanie (kasza gryczana i kurze udko w gęstym sosie – dość typowe rosyjskie śniadanko), a Marina częstuje mnie upieczoną przez siebie bułeczką. To kucharka, jedyna kobieta w tym dziesięcioosobowym kolektywie.

Niesamowita brygada. Dziewięciu facetów, w tym pięciu Władimirów – geolog, kierowca, operator buldożera zwany „Dziadem”, dwaj maszyniści kombajnu myjącego. Wszystko ludzie o ciekawych losach. Dziesiąta jest Marina. Kiedyś była kucharką w szpitalu, ale zarabiała tylko 15 tysięcy, do

tego było jej straszliwie nudno, bo tam nie widywała ludzi, tylko gary i kotły, to poszła do poszukiwaczy złota. Niby pół roku w tajdze, odludzie, ale wkoło sami mężczyźni, czasem nawet pięćdziesięciu, sześćdziesięciu chłopa.

Marina nie jest Walentyną Tiereszkową patelni. Chcę przez to powiedzieć, że nie lata zbyt wysoko, ale potrafi wszystko, co najważniejsze. Piecze chleb, gotuje kartofle, kapustę, a największe uznanie kolektywu zdobyła, kiedy Witalij zastrzelił niedźwiedzia, a ona go oprawiła i zamieniła na kotlety. To skrajna głupota, bo niedźwiedzie są padlinożercami, a w zasadzie wszystkożercami, noszą w mięsie niezliczoną ilość strasznych, groźnych dla ludzi pasożytów. Kolektyw uznał jednak, że przywykli do kołymskich robali tak jak żyjący tu od tysięcy lat Koriacy i Eweni, których te pasożyty się nie imają. Mięso niedźwiedzia ma dziwny, korzenny, drewniany zapach i smak cedrowych orzechów, którymi drapieżniki się zajadają. Niedźwiedzinę trzeba bardzo silnie przyprawiać, żeby się tego pozbyć.

Kucharka poszukiwaczy nie zna sposobu, o którym w *Opowiadaniach kołymskich* pisał Warłam Szałamow. Mięso dowolnego zwierzaka trzeba zakopać w ziemi na jedną noc i straci ohydny zapach. Tak jadalne stają się nawet wrona, mysz, pies, lis.

To zresztą nie jedyne cudowne właściwości kołymskiego gruntu. W lecie można dzięki niemu pozbyć się wszy. Trzeba zakopać ubranie, zostawiając na zewnątrz maleńki rąbek tkaniny, do której po kilku godzinach zejdą się wszystkie

pasożyty. Zwyczajnie będą uciekały przed chłodem wiecznej zmarzliny, ale mendy zostaną, jest więc to sposób na chwilę. Mendy przetrwają we szwach ubrań nawet kołymskie mrozy. Tylko w gotowaniu można je wykończyć albo żelazkiem.

Szałamow napisał, że człowiek tylko do dwóch rzeczy nigdy się nie przyzwyczai – do mrozu i do wszy. Nie bardzo mu wierzę. A głód? Zapomniał o głodzie. Przecież to główny negatywny bohater jego opowiadań.

Marina nie ma męża ani dzieci, więc czasem przygrucha sobie kogoś z ekipy. Teraz od dwóch sezonów w jej wagonczіku mieszka Wołodia, kierowca z Borysowego kartelu. To dla niej w naszym wychodku bez drzwi, a więc z pięknym widokiem na tajgę i rzekę Kołymę, chłopaki postawili krzesło bez siedzenia, ale ze sklejką przybitą do przednich nóg, żeby kobieta nie nasikała sobie na buty.

A widok oszałamiający, bo modrzewie zrzuciły właśnie igły, ale już po pierwszym śniegu, więc efekt taki, jakby ziemia płonęła, jakby spod każdego drzewa wypływała rozżarzona lawa – tak sobie można pokontemplować na tronie ustawionym dla Mariny.

W obozach poszukiwacze złota żyją od połowy kwietnia do końca września, kiedy można płukać złoto. Sezon skończy się za parę dni, bo już solidne mrozy. Ostatniej nocy było piętnaście stopni poniżej zera, woda potrzebna do płukania złota zamarza, a więc praca staje się niemożliwa.

Boże, a jakie tu wspaniałe gęby: zwykłe, dobre, szczere, jasne, otwarte, śmiałe, chociaż poorane przez życie. Oczy

mądre, uważne, badawcze, ale bardzo pogodne, a nawet figlarne. Uwielbiam tych ludzi. Jaki jestem szczęśliwy, że wyjechałem z miasta.

W wagonczіku. Boria (z lewej) gra z przyjacielem w nardy

Buldożerysta „Dziad” – pogrzeb kapusia

Wołodia zwany „Dziadem”, bo ma już sześćdziesiąt lat, jest operatorem buldożera. To pełne komputerów i elektroniki gąsienicowe cudo o wadze dziewięćdziesięciu ton, maszyna wielka jak dwupiętrowa kamienica, która kosztuje milion dolarów, a w ciągu doby przewala dwa tysiące metrów sześciennych urobku. To cena nowej maszyny, ale na Kołymie mało kto takie kupuje. Staratiele sprowadzają kilkuletnie, używane buldożery Komatsu i Caterpillar z Ameryki Północnej, bo to zaledwie dwanaście milionów rubli.

Profesja Wołodii to najbardziej poszukiwana, ważna, odpowiedzialna i najlepiej płatna robota. Arystokracja wśród poszukiwaczy. „Dziad” dostaje od Borysa sześćdziesiąt tysięcy rubli miesięcznie (sześć tysięcy złotych), o dwadzieścia tysięcy więcej niż operator koparki, dwa razy więcej niż kucharka i maszynista z kombajnu płuczącego.

Każda z dwóch trzyosobowych zmian pracuje dwanaście godzin, przez siedem dni w tygodniu i cały sezon. Zadaniem buldożerysty jest odsłonięcie żyły złota. Na działce Borysa ukryta jest ona od szesnastu do dwudziestu jeden metrów pod ziemią i ma czterdzieści centymetrów grubości. Wołodia musi się do niej doryć. To robota w wiecznej zmarzlinie.

Złotonośny grunt, czyli żyłę, buldożer spycha w jedno miejsce, a koparka ładuje go do kombajnu płuczącego.

Każda łycha to metr sześcienny zamarzniętej, kamienistej ziemi, w której jest średnio jeden gram złota – taka jest wydajność Borysowej działki. Średnia kołymska wydajność – dwa gramy, a najbogatsze złoża są na Czukotce, gdzie w metrze sześciennym gruntu jest nawet dziesięć gramów kruszcu.

Każda z dwóch zmian pracujących na działce przemywa dwieście łych koparki, więc na dobę średnio wypłukują czterysta gramów złota. Są jednak dni, w które Borys ze wspólnikiem wyciągają z maszyny kilogram kruszcu, ale kiedy ja im towarzyszyłem, było tylko sto gramów. Garsteczka piasku i jeden mały samorodek na wielkiej, pochyłej rynnie wyłożonej podobną do wycieraczki do butów gumową matą, w zagłębieniach której zbiera się ciężki kruszec.

W 2010 roku ekipa Borysa wypłukuje na tej działce sześćdziesiąt pięć kilogramów szlachetnego metalu. Zostało jeszcze pięćdziesiąt, ale z tym uporają się dopiero w następnym sezonie.

W radzieckich czasach „Dziad” Wołodia pracuje w Burchalińskim Kombinacie Górniczym, około stu kilometrów dalej na Trakcie. W 1982 roku na działce imienia Kalinina, zwanej Kalinką, ryje maszyną z ziemi ludzkie ciało. Jest niemal nietknięte. Ludzie, których tu chowają, mogą przetrwać w wiecznej zmarzlinie setki, tysiące lat. To zek w łagrowych waciakach i workiem na roztrzaskanej kilofem albo łomem głowie. W kieszeni ma

sprawkę, czyli zaświadczenie o zwolnieniu z katorgi. Upragniona bumażka, o której każdy zek śni latami.

– Pewnie był suką – kombinuje „Dziad” – donosicielem, którego załatwili koledzy albo przed zwolnieniem zamordowali strażnicy, bo za dużo widział. Nazwisko na sprawce jest czytelne, więc piszemy list do ogólnoradzieckiej gazety, oni go publikują i pod Moskwą odnajduje się siostra naszego nieboszczyka, który niemal doczekał wolności.

Kobieta przyjeżdża na Kołymę i zabiera brata do domu. Po trzydziestu latach, na koszt kombinatu górniczego, nieszczęśnik wraca na kontynent.

A na Kalince robota idzie pełną parą. Poszukiwacze posuwają się w górę rzeczki, aż dochodzą do polany z chwastami wyżej pasa, a wśród nich drewniane kołki w rzędach z wypalonymi numerami. Trafiają na zekowski cmentarz.

– I robota staje – mówi „Dziad”. – Każą ominąć. A teraz już tam wszystko przekopane, przeryte. Przepłukane wszystkie kości. Takie, kurwa, paskudne czasy. Żadnej świętości.

Dzień XIII
W tajdze. 22 kilometry na południe od 438. kilometra Traktu Kołymskiego

Zmiana planów. Sezon płukania złota kończy się już jutro. Dzisiaj w nocy pracować będzie ostatnia zmiana.

Problem technologiczny polega na tym, że odsłonięta przez buldożery złota żyła (a to średnio jeden gram złota w metrze sześciennym kamienistego gruntu) w ciągu lata nieco odmarza, co pozwala wypłukać z niej do siedemdziesięciu procent kruszcu. Kiedy przychodzą mrozy i grunt ponownie zamarza, trzy czwarte złota przelatuje przez kombajn. Taką trzydziestoprocentową wydajność miały urządzenia w latach Stalina, Gułagu, taczki i łopaty, więc teraz wiele przepracowanych wtedy działek przemywa się na nowo. Są miejsca, gdzie zwały ziemi i kamieni przemywa się po raz trzeci!

Część działki, na której pracuje spółka Borysa, w latach siedemdziesiątych obrabiał państwowy kombinat Piatiletka z osiedla o tej samej nazwie.

Państwowe licencje na poszukiwania zdobywa się na przetargach. Opiewają na kilka lat (Borysa na pięć), a zwycięzca musi pracować i dostarczać państwu złoto, bo inaczej urząd skarbowy zabiera licencję. Pierwszą roczną opłatę wnosi przed przystąpieniem do aukcji. Cena zależy od zasobności działki.

I to jest moje największe rozczarowanie, bo po lekturze książek Jacka Londona byłem pewien, że poszukiwacz złota to człowiek ze skłonnością do hazardu, skazany na poruszanie się we mgle, który dorobek całego życia stawia na jedną kartę. Nic z tych rzeczy. Każda wystawiana na aukcję działka jest dość dokładnie oszacowana przez zwiad geologiczny.

Borys pokazuje mi plan geologiczny swojej działki. Powstał w 1946 roku. Widać miejsca, w których robione były próbne odwierty, i to, jaka w każdym miejscu jest zawartość złota. Najlepsze zwiady i mapy powstawały w latach stalinowskich, bo geolog, który źle oszacował złoże, trafiał do łagru. Najgorsze mapy tworzone były w ostatniej dekadzie ZSRR i latach poradzieckich. Geolodzy zmyślali, bo nie chciało im się pracować, robić próbnych odwiertów, albo przeceniali złoża, bo mieli płacone od wartości odnalezionych pokładów, jakby to od nich zależało, ile przyroda sypnie złota w jakimś miejscu.

Można więc zbankrutować, mówi Borys, bo trzydzieści lat temu ktoś kantował. Albo zwyczajnie zepsuje się maszyna. Wydobycie staje i poszukiwacz nie może spłacać kredytu. Maszyny są pod hipoteką, więc bank je zajmuje i sprzedaje.

Wszyscy poszukiwacze obłożeni są kredytami. Boria wziął dwanaście milionów rubli na buldożer.

Ale największą zmorą poszukiwaczy jest biurokracja. Żeby rozpocząć działalność, muszą pofatygować się, uzyskać zgodę i wyrobić dokumenty w piętnastu miejscach. Agencja Technicznego Bezpieczeństwa Pracy, Agencja Ochrony Przyrody (poszukiwacze strasznie dewastują środowisko, bo nie są zobowiązani do rekultywacji po sobie działek), Agencja Myśliwska, Centralna Dyrekcja Utylizacji Nieczystości, Urząd Skarbowy, milicja, leśnicy, strażacy. W każdym z piętnastu miejsc trzeba płacić.

A teraz zajrzyjmy Borysowi i Witalijowi do kieszeni.

Ich potężny buldożer każdej doby żre (tak mówią w Rosji) półtorej tony oleju napędowego po 25 rubli za litr. Koparka i agregat prądotwórczy biorą po czterysta litrów, więc w sumie w 24 godziny przepalają 2300 litrów oleju za 57,5 tysiąca rubli (5,7 tysiąca złotych). Do tego trzeba dodać olej silnikowy, wynagrodzenia dla pracowników, ich żywność, papierosy, opłaty licencyjne, spłatę kredytów.

Jak nic wychodzi sto tysięcy rubli.

Ostatniej doby moi wspólnicy wypłukali sto gramów złota. Cena w skupie, gdy u nich byłem, to 1350 rubli za gram kruszcu zwanego trzema dziewiątkami (próba 999). Złoto moich poszukiwaczy ma próbę 870, dostaną więc odpowiednio mniej, a jeszcze odejmą im około piętnastu procent wartości za przetopienie, oczyszczenie, podatki i usługi bankowe. Dostaną więc 950 rubli za każdy gram, zatem 95 tysięcy rubli. Siedemdziesiąt procent tej kwoty

wpłynie na ich konto trzy dni po dostawie, pozostała część po tygodniu.

Pierwszy dzień mojej wizyty u Borysa i Witalija poszukiwacze kończą więc na lekkim minusie. Muszą zamykać sezon, żeby nie robić kosztów.

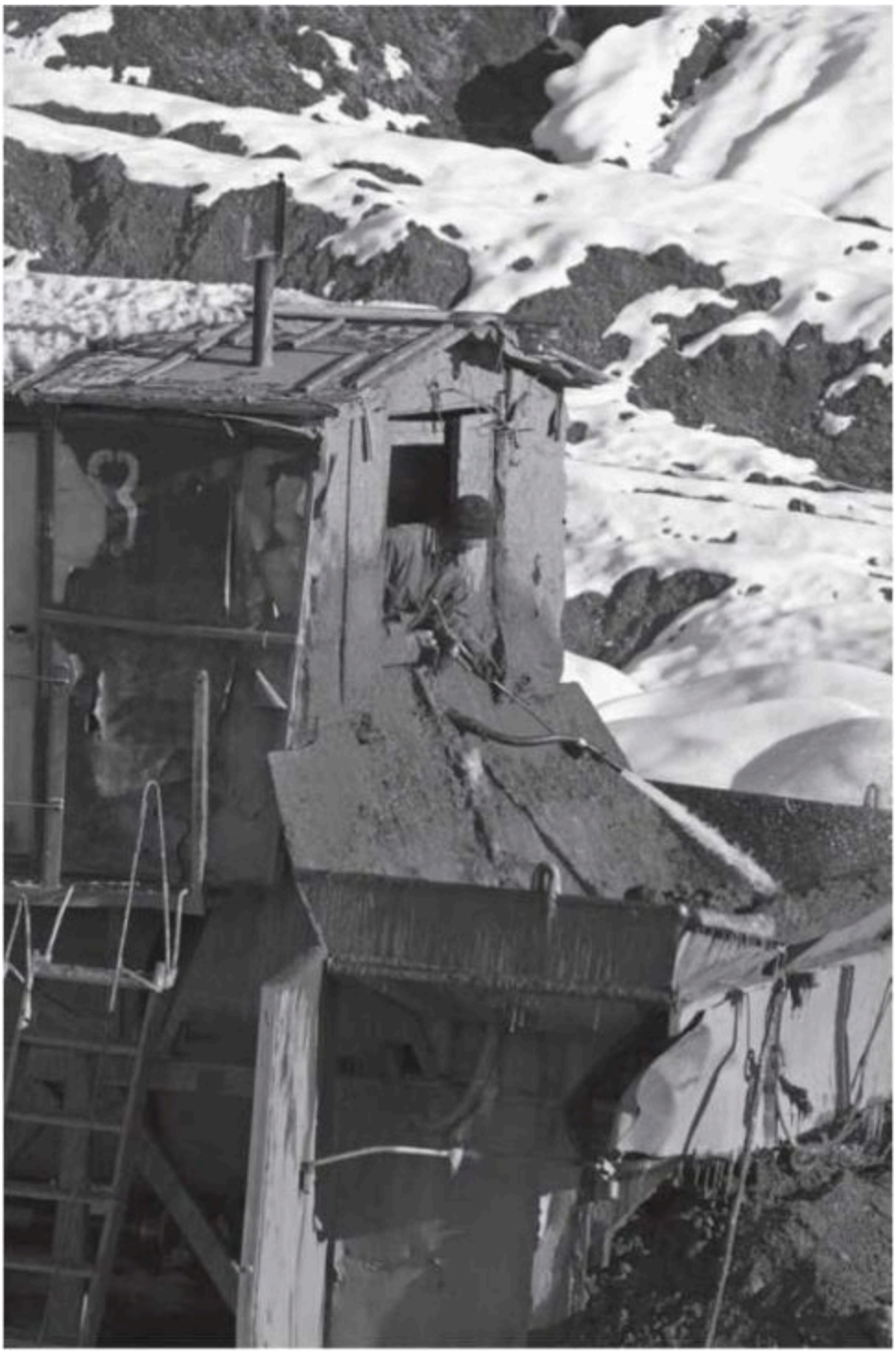

Kombajn do płukania złotego piasku

Witalij milicjant – 75 bochenków

Warłam Szałamow, którego śladem podróżuję przez Kołymę, dziesięć lat kopał tutaj złoto, nim trafił do innych prac. To była najgorsza, najszybciej zabijająca robota w całym Archipelagu Gułag, chociaż karmili przy niej stosunkowo najlepiej. Na działce więzień mógł robić tylko trzy rzeczy. Był szczęściarzem, jeśli mianowali go trapowym, który zbija deski, po których taczkowi wożą urobek. Taczkowy to jakby dawna koparka. Buldożerem był rębacz, który kilofem kruszył wieczną zmarzlinę i ładował ją na taczki. Najgorsza robota ze wszystkich na świecie.

Dzienna norma rębaczy wzrastała z każdym rokiem. W 1933 wynosiła 0,8 metra sześciennego, a już w 1936 roku pięć metrów w ciągu jednej, dwunastogodzinnej zmiany. Z tego wynika, że caterpillar buldożerysty „Dziada” to dzisiaj tyle, co dwustu zeków.

Ile żarła ta „maszyna”?

W magadańskim muzeum znajduję rozkaz dyrektora Dalstroju Berzina numer 377 z 22 listopada 1937 roku „o ustanowieniu normy chleba dla poszczególnych kategorii pracowników w zależności od % wykonania normy pracy” – to znaczy owych pięciu metrów sześciennych gruntu.

Kategoria pierwsza to ci, którzy wykonywali wyznaczoną normę pracy. Mieli dostawać trzysta gramów chleba dziennie. Kategoria druga wykonuje od 131 do 175 procent normy, za co dostają pół kilograma chleba, a trzecia kategoria od 176 do 200 procent i osiemset gramów.

Należący do kategorii U, jak udarnicy (czyli przodownicy) muszą narąbać ponad 200 procent, ale dostaną aż kilogram chleba. Byli tacy, ale bardzo szybko się wykańczali, z głodu zajeżdżali się na śmierć w pięć tygodni. Większość zeków z trudem wypełniała normę.

Dziewięć dni po wydaniu tego rozkazu Bierzin zostaje odwołany do Moskwy i rozstrzelany. Oczywiście bez żadnego związku z rozkazem numer 377, zwyczajnie – prowadzona przez Nikołaja Jeżowa czystka nabierała rozpędu i przyszła kolej na dyrektora Dalstroju, a rok później na samego Jeżowa i na dwadzieścia tysięcy innych enkawudzistów.

Ile żarła ta „maszyna”? To znaczy tych dwustu wypełniających sto procent normy, którzy przez dwunastogodzinną zmianę rąbali tyle gruntu, co „Dziadowy” buldożer? Wychodzi, że sześćdziesiąt kilogramów czarnego chleba. Bochenek (osiemset gramów) czarnego, najtańszego chleba kosztuje dzisiaj na Kołymie trzydzieści rubli (trzy złote), zatem sześćdziesiąt kilogramów to 75 takich bochenków za 2250 rubli (225 złotych). Tyle kosztowało podstawowe żarcie dla dwustu ludzi, plus poranna i wieczorna miska wodnistej zupy na liściu kapusty, marchwi albo obierkach.

A buldożer w dwanaście godzin żre 750 litrów oleju napędowego za 18750 rubli (1875 złotych).

Były jednak w Gułagu przewidziane przyjemności. Więźniowie, którzy znaleźli złoty samorodek, mieli dostawać nagrody pieniężne – jeden rubel za każdy gram

złota powyżej 51 gramów. W tamtych czasach paczka najtańszych papierosów kosztowała dziesięć rubli, a pięćdziesięciogramowy samorodek to ogromna rzadkość, kamień wielkości małego orzecha włoskiego.

W ciągu dziesięciu lat spędzonych w złotych wyrobiskach Szałamow tylko kilka razy znalazł samorodek, który zasługiwał na nagrodę, ale zaledwie dwa razy coś dostał. Za pierwszym razem kartkę na dodatkowy obiad, za drugim – szczyptę machorki.

– Można na działce ukraść złoto? – pytam Witalija, kiedy kolejnej nocy układamy się w jego wagonciku do snu.

– Z taśmy w kombajnie płuczącym w żaden sposób, bo zamknięte tam na kłódki – mówi mężczyzna, który zanim został poszukiwaczem złota, był milicjantem kryminalnym w Magadanie. – A gdyby na chama ktoś je wyłamywał, to ukradnie urobek najwyżej z jednej doby, bo codziennie wybieramy, a to pięć, sześć lat odsiadki, bo z wyrokami za złoto na Kołymie nie ma żartów.

– Ale jak twój pracownik, który obsługuje kombajn, zobaczy samorodek, może go zwinąć?

– Tak, ale ja nawet nie słyszałem, żeby ktoś widział samorodek na działce. I sam nigdy nie widziałem. To było możliwe, kiedy pracowało się ręcznie, a teraz oni wszyscy w maszynach. Jak dojrzeć mały kamuszek, do tego umazany błotem, w metrze sześciennym gruntu?

– Ile za złoto płacą Ingusze? – pytam, bo ten północnonaukaski naród już w latach siedemdziesiątych

w stu procentach opanował na Kołymie czarny rynek handlu złotem.

– Osiemset rubli – mówi Witia.

– To po cholerę z nimi handlować, jak w państwowym skupie lepsza cena?

– Bo oni płacą od ręki. To ratunek dla tych, którzy natychmiast potrzebują pieniędzy. Ale nie one są naszym największym problemem. To ludzie. Dasz parę rubli zaliczki i na chwilę spuścisz z oka, to zaraz wyślą kogoś do osiedla i wszyscy w trupa pijani. Teraz nie piją, bo w tajdze nie mają skąd wziąć wódki, do tego nie odstępuję ich na krok. Jak strażnik, w mordę, łagrowy jestem! Nic, tylko pilnuję.

– U wszystkich tak?

– Absolutnie! Całą zimę piją. Przepuszczają wszystko, co zarobili w lecie. Potem w sezonie trochę się odtruwają i znowu chleją całą zimę. Każdej wiosny łowię ich po osiedlach, szykuję, umawiam, podpisuję umowy, ustawiam do pionu. Oni spotykają się razem, witają radośnie, bo nie widzieli się pół roku, i znowu na tę okoliczność zaczynają pić za ostatnie kopiejki. Wtedy szybko wiozę ich na działkę, gdzie jakoś trzeźwieją, dochodzą do siebie, bo pić nie ma czego.

Dzień XIV
Debin. 448. kilometr Traktu Kołymskiego

To miejsce, gdzie przekleństwo Kołymy miało swój początek. Właśnie tutaj w 1929 roku podczas ekspedycji geologicznej jeden z jej uczestników poszedł rano umyć się w potoku i przy okazji nazbierał całą czapkę złotych samorodków.

A mnie dzisiaj rano dowożą tutaj poszukiwacze złota. Jedziemy dwudziestoszześcioletnim kamazem Witalija, o którym mówią, że „on zupełnie jakby całkiem nowy". Ciężarówka trzy lata starsza od mojego syna, ale z mniejszym przebiegiem. Bo samochód dwadzieścia pięć lat stał „na konserwacji". Nie jeździł, tylko czekał w magazynie na wybuch wojny. Ale nie wybuchła, a po ćwierćwieczu wojsko sprzedało stary sprzęt.

Koniecznie muszę być w Debinie. Po pierwsze dlatego, że tutaj jest jedyny most przez wielką rzekę Kołymę, która leży na mojej drodze na zachód. Po drugie – w tutejszym szpitalu dla więźniów przez kilka lat jako felczer pracował Warłam Szałamow. Pisarz był już dochodiagą na ostatnich nogach, kiedy z wykopu na złotonośnej działce trafił do szpitala. Od

powrotu do rąbania wiecznej zmarzliny i pewnej śmierci uratował go inny więzień, lekarz, który skierował go na kurs felczerski.

Kilometr przed posiołkiem ogromny most na wysokich szczudłach filarów. Na jednym z nich daty budowy: 19 VI 36-19 V 37. Cholernie szybko jak na most budowany przez więźniów bez pomocy maszyn. Strasznie mi to wygląda na czyn produkcyjny, że oddamy gotowy most przed terminem. Równo miesiąc urwali z roku.

A już następnej wiosny po oddaniu mostu przychodzi najstraszniejsza, zwana jedenastometrową, powódź w historii Kołymy. Woda przelewa się przez górną krawędź mostu.

Od półtora roku Kołyma ma nowego władcę. Miejsce Bierzina zajmuje pułkownik Karp Pawłow. Zbiera wszystkie dostępne ciężarówki, każe załadować je kamieniami i ustawia ma moście. Trzeba go maksymalnie dociążyć. Potem wygania wszystkich kierowców (to byli wolni ludzie) i sam całą noc stoi na środku mostu, póki woda nie zaczyna opadać.

To bardzo prymitywny, niewykształcony człowiek, który z powodzeniem stosuje wymyśloną przez Bierzina metodę wymuszania wysokiej wydajności pracy głodem. Za jego rządów na Kołymie było najstraszniej.

Dla mnie jest oczywiste, dlaczego Pawłow stoi na tym moście. Wcale nie jest odważny, jak opowiadają mieszkańcy Debina. Wie dobrze, że tak czy inaczej podzieli los mostu. Albo razem przetrwają, albo runie razem z mostem. Gdyby

woda zniosła budowlę, na sto procent rozstrzelaliby go za to, że nie uchronił bezcennej inwestycji. Most się ostaje i Pawłow rządzi jeszcze prawie dwa lata. Palnął sobie w łeb w 1957 roku, kiedy w ZSRR zaczynało się mówić o stalinowskich zbrodniach.

Jeszcze ciekawszą budowlą w Debinie jest gmach obwodowego szpitala gruźliczego. To ogromne gmaszysko w kształcie trójzębu czy też rosyjskiej litery III. Zbudowany został w 1936 roku na potrzeby bezpieki. Był tu główny sztab Dalstrojskiego garnizonu, areszt i koszary Kołympołku, czyli pułku kołymskiego NKWD, który zajmował się pilnowaniem wszystkich łagrów. W 1945 roku pułk postawiono na nogi i wysłano na wojnę z Japonią, a w koszarach urządzono dla więźniów Centralny Szpital Gułagu z tysiącem łóżek. Pielęgniarki i lekarze to też więźniowie, bardzo często akademicy, profesorowie, kwiat rosyjskiej medycyny, który potężną falą trafił do łagrów po rozpętanej przez Stalina w 1948 roku antysemickiej kampanii.

Ale największą sławę zdobył w swoim czasie opisany przez Warłama Szałamowa felczer z oddziału nerwic, który ugotował w sterylizatorze wielkiego kocura, a potem zjadł go całego na jedno posiedzenie.

W 1955 roku szpital zamieniono na normalny, obwodowy. Z Georgijem Gonczarowem, głównym lekarzem, jemy śniadanie w szpitalnej kuchni. W maleńkim pokoiku za moimi plecami mieszkał felczer Warłam Szałamow – wreszcie był blisko żarcia i mógł opychać się do woli,

z czym nie poradził sobie do końca życia. Szczególnie na starość jadł i gromadził jedzenie bez opamiętania.

Osiemdziesięciotrzyletnia Galina Nikołajewna Gogolewa dobrze go pamięta. Pięćdziesiąt lat była pielęgniarką w tym szpitalu. Najpierw jako więźniarka.

Nie mogę uwierzyć! Dostała sześć lat łagru, bo z kleju, którym lepiła papierowe zabawki w fabryce, robiła placki dla dzieci, na dodatek nie swoich, tylko bezdomnych. W kleju była odrobina mąki, a po wojnie w ZSRR panował straszliwy głód.

Galina Nikołajewna mieszka z synem. Miała swoje mieszkanie, ale oddała je za rekompensatę. Państwo rosyjskie już przed dwudziestu laty uznało, że północ jest przeludniona, co bardzo dużo Rosję kosztuje. Po co poszukiwacze złota i ich rodziny mają tu żyć cały rok, jak złoto kopie się tylko pół roku? Przechodzi się więc na system wachtowy. Przesiedla się ludzi na kontynent, a poszukiwacze dowożeni są tylko na sezon. Szczególnie kosztowne jest utrzymanie emerytów, którzy nie pracują, a trzeba im płacić, grzać mieszkania, leczyć ich, wreszcie pochować, a przecież tutaj wszystko jest o wiele droższe niż na kontynencie.

Władze płacą więc rekompensaty za przesiedlenie na ląd. Chętnych jest wielu, ale pierwszeństwo mają ludzie starzy i mieszkańcy najdroższych, najbardziej deficytowych osiedli, w których nie ma pracy. Takie posiołki się „zamraża”, to znaczy wyludnia do ostatniego człowieka. Odcina się prąd i ogrzewanie i nawet ci, co nie chcą wyjeżdżać, muszą się

wynieść. Ostatnio taki los spotkał Spornoje, zamarzające dwadzieścia trzy kilometry od Debina.

Ale w myśl konstytucji Federacji Rosyjskiej nie można zabronić człowiekowi żyć tam, gdzie ma ochotę, więc Galina Nikołajewna wzięła od państwa milion rubli (sto tysięcy złotych) za swoje dwa pokoje z kuchnią i wprowadziła się do samotnego syna w klatce obok. Kupiła mu za to samochód. Drugi samochód kupiła wnukowi, a wnuczce mieszkanie w Magadanie.

W mieszkaniu, które musiała oddać, zamieszkał Sasza Trofimow ze Spornego. Kupił je od miejscowej administracji za dwieście tysięcy rubli (dwadzieścia tysięcy złotych). Mieszkania są bardzo tanie, bo wszyscy stąd wyjeżdżają. Za swoje stare, też dwupokojowe mieszkanie w Spornem Szasza dostał od państwa milion sto tysięcy rubli rekompensaty.

Tak więc władza kupiła dwa mieszkania, zabuliła ponad dwa miliony rubli, ale nie pozbyła się z Kołymy nawet jednego mieszkańca. Proces jednak postępuje. W posiołku mieszka 715 osób – trzy razy mniej niż dwadzieścia lat temu.

Wychodzę od Galiny Nikołajewnej. Na ulicy koło baru zaczepia mnie osobnik o ciemnej karnacji i zaprasza do siebie na herbatę. To trzydziestoześcioletni Mustafa Nalgijew z Inguszetii i jego bar, a w zasadzie zakusocznaja „Tibet”. Handel złotem to jego przeznaczenie i rodzinna tradycja.

Bardzo szybko zaprzyjaźniamy się z Mustafą, który w dowód sympatii daje mi ustną polisę ubezpieczeniową. Bardzo uroczyście w imieniu swoim, swoich braci, całej rodziny, znajomych i wszystkich rodaków gwarantuje mi bezpieczeństwo, nietykalność na terenie całego rejonu jagodzińskiego (powiatu, w którym jesteśmy), co przyjmuję z wdzięcznością.

Za chwilę układam się do snu. Mieszkam w szinomontażce, czyli warsztacie wulkanizacyjnym Witalija. To też jego dom. Lokal ma urodę pijackiej meliny i adekwatnego pod względem urody i wyglądu mieszkańca o imieniu Sańka. Warsztat ma jednego-dwóch klientów dziennie, którzy obsłużeni zostają pod warunkiem, że znajdą Sańkę, który przeważnie włóczy się po osiedlu i od rana ledwo trzyma się na nogach.

Chłopak nie ma ani jednego zęba, ale za to złamany nos i fioletowo-sinoczerwoną twarz, jak tropikalna ryba albo koralowiec. Brudny, śmierdzący, zaśliniony, zaropiały… Po prostu straszny. Człowiek strzęp, ochłap, ale postać znana w Debinie, bo mając teraz trzydzieści lat, ma syna, który liczy lat osiemnaście. Tak jest! Sańka został ojcem w wieku dwunastu lat. Naprawdę jest fenomenem fizjologicznym. Choćby dlatego, że nie zdołał zapić na śmierć swojego organizmu, chociaż przez całe życie wlał w siebie tyle wódki, ile rocznie przepływa wody w rzece Kołymie.

Mam z nim mieszkać. Proszę, żeby napalił w piecu, ale mu się nie chce. Mówi, że jego ulubiona temperatura do spania

to plus dziesięć stopni i tyle jest. Ale nie jest, bo herbata w kubkach zamarzła.

Próbuję przed snem wystukać na komputerze relację z xiv dnia, ale strasznie marzną mi ręce.

Debin. Śniadanie w szpitalnej kuchni, tuż obok pokoiku felczera Warłama Szałamowa

Restaurator Mustafa – ziemia obiecana

Mustafa dziesięć lat prowadził zakusoczną na Trakcie Kołymskim przy wyjeździe z Debina, ale w zeszłym roku zamknął interes.

– Bo ja sam kulturalny człowiek, nad lokalem, na piętrze mój prywatny dom, to ja bym chciał, żeby ludzie zachowywali się tu kulturalnie. A tu tylko picie, bicie, wrzaski i przekleństwa. Chociaż wódki nie sprzedawałem. Z powodu zasad religijnych, bo ja muzułmanin. Ja nawet Ruskich nie chcę spijać. Bo oni tu wszyscy piją strasznie. Kobiety też, młodzież, ojcowie… Ja nie sprzedawałem nawet wina. Miałem piwo. Ale nie ja sprzedawałem, tylko kobieta, Rosjanka. Ja nie chcę obsługiwać takich ludzi. Nie cierpię tej pracy, tego chamstwa.

– To z czego żyjesz? Złoto?

– Złoto.

Handel złotem to jego przeznaczenie i rodzinna tradycja. Zaczyna się od ojca, który przyjeżdża na Kołymę za chlebem, bo tu płacili dwa, trzy razy lepiej niż gdzie indziej w Związku Radzieckim. Pracuje w kombinacie górniczym przy złocie. Mustafa rodzi się już tutaj.

– Wtedy był internacjonalizm i ludzie nie patrzyli na narodowość. – Mustafa bardzo łatwo się unosi i nerwowo miesza herbatę, którą już trzy razy słodził. – A teraz Ingusza do roboty przy złocie za nic w świecie nie wezmą. Byłem dzieckiem, ale pamiętam, że na Kołymie nie było nawet

złodziejstwa. Uwierzysz?! A teraz wszyscy nauczyli się kraść. Choroba taka.

– Nie kradną, tylko biorą, co źle leży – powtarzam ulubione rosyjskie powiedzonko.

– Ojciec miał mały biznes na boku. Kupno-sprzedaż. Kupował złoto, przewoził na południe Kraju Rad i sprzedawał.

Zbudował za to piękny dom w Inguszetii i wróciliśmy do ojczyzny, ale ojciec ciągle kursował na Kołymę po złoto.

A potem najczęściej woził je do Aszchabadu w Turkmenii, bo tam płacili najlepiej. Turkmeni uwielbiają złoto. Każdy młody człowiek musi je mieć, żeby się ożenić, bo wykup za pannę młodą płaci się tylko tak. Ale za którymś razem ojciec Mustafy wpada.

– Ile miał złota, kiedy go złapali? – pytam.

– Dwa kilogramy. Wtedy to było ogromnie dużo, około pięćdziesięciu tysięcy starych rubli, a nowy samochód Żiguli kosztował pięć. Teraz by to było ponad sto tysięcy dolarów. W ZSRR za złoto były dwa bardzo ciężkie artykuły kodeksu karnego. Nielegalna operacja finansowa i rasstrielne szkodnictwo gospodarcze.

– To znaczy?

– Za szkodnictwo gospodarcze można było dostać czapę już za jeden kilogram złota. Ale ojciec ma szczęście, bo jego łapie KGB, a więc bezpieka, a nie milicja, i łagodnie ojca traktują. Rozumieją, że to nie żaden bandyta, a zwyczajny człowiek z szóstką dzieci, które trzeba karmić. Idą mu więc na rękę. Dają pięć lat.

– I zostajecie bez ojca.

– Straszne dzieciństwo – mówi Mustafa. – Upadlające. Komuniści nie byli źli, ludzie żyli dobrze, ale my jedliśmy raz dziennie. Ojciec odsiaduje wszystko, do ostatniego dnia. Wychodzi, wraca do Inguszetii, ale rozpada się Związek Radziecki, kończą się wszystkie oszczędności, pojawia bezrobocie, beznadzieja, rozpacz, wojna w sąsiedniej Czeczenii, więc głodujemy dalej, ale za to w wielkim, pięknym domu. Pięć lat jeszcze tak się męczymy, aż w 1994 roku ojciec decyduje, że wracamy na Kołymę, na naszą ziemię obiecaną. A jak ojciec powie, dyskusji nie ma. On powie: „umrzyj”, trzeba umrzeć.

– No i jesteście.

– Całą rodziną. Zaczynamy od zera. Tonami kupujemy złoto i wozimy na południe. Ale to złoto kradną Ukraińcy, Gruzini, Ormianie i sami Ruscy. Najwięcej milicjanci, naczelnicy bezpieki, szefowie państwowych kopalni, kombinatów. Ale wszystko spada na Inguszów.

– A wy tylko kupujecie i sprzedajecie – mówię.

– Taki biznes.

– Teraz od kogo kupujecie?

– Od poszukiwaczy i złodziei.

– Wczoraj z poszukiwaczami wyjmowałem złoto z kombajnu. Nie mam pojęcia, jak można je ukraść, bo zamykają je na sto zatrzasków, zamków i kłódek.

– Sposobów są tysiące.

Dzień XV
Debin. 448. kilometr Traktu Kołymskiego

Witalij przyjeżdża z tajgi i wywala biednego Sańkę z roboty. Za pijaństwo. A wszystko przeze mnie, bo zamiast zajmować się mną, czyli gościem, trochę ogarnąć pomieszczenie, gdzie spałem, nie przynieść wstydu, Sońka bez przerwy urżnięty jak zwierzę.

Debin nie powinien być biedny. Od ośmiu dziesięcioleci wyrywają tej ziemi bajeczne skarby, a osiedle wygląda, jakby przeszedł przez nie huragan. Na Czukotce, gdzie też wydobywa się złoto, miasteczka nie różnią się już od tych w północnej Kanadzie. Podobnie rosyjskie miasteczka w Jamalsko-Nienieckim Okręgu Autonomicznym na dalekiej Północy, gdzie wydobywa się gaz i ropę.

Jak wykopie się dół, wystarczy zwyczajnie go potem zakopać, jak wyrosną badyle, to je wyciąć. Kiedy coś się przewróci, to podnieść, ale tu, nie tylko zresztą w Debinie, niczego się nie robi, jak można nie zrobić. Ot, choćby ten słup elektryczny, co przewrócił się przy samej Trasie, ale jakimś cudem żaden z przewodów się nie przerwał. Słup wisi na drutach, obciągnął je do samej ziemi tak, że można

ich dotknąć, ale prąd płynie, to po cholerę go ruszać? Problem się zrobi, jak któryś z przewodów pęknie i ktoś zostanie bez prądu, jak dziecko, idąc do szkoły, się na nich uwiesi albo pijany szoferak wjedzie w nie kamazem i ugotuje się w szoferce.

Ale taka filozofia przynosi czasami dobre owoce, bo osiedlowy wodociąg z lat trzydziestych zastąpiony w latach dziewięćdziesiątych nowym nie został rozebrany, dzięki czemu można było uruchomić go powtórnie, gdy ten nowy zepsuł się po dwunastu latach pracy.

Ale za to w osiedlowej administracji pracuje ośmiu etatowych urzędników – wypada jeden na osiemdziesięciu dziewięciu mieszkańców. To żeby zachować proporcje, w moskiewskim merostwie trzeba by upchnąć 160 tysięcy czynowników, więcej niż wszystkich ludzi na Kołymie.

Pytam wszystkich ośmiu debińskich urzędników o pomnik Lenina. Bo wyobraźcie sobie, że tutaj także, jak w Stiekolnym, wódz rewolucji zniknął z cokołu. To było w 1991 roku, zaraz jak rozpadł się ZSRR. Nikt nie wie, gdzie wódz się podziewa, ale ja przeprowadzam błyskawiczne dochodzenie i w pół dnia rozwikłuję zagadkę.

Nad pomnikiem bez przerwy znęcali się wandale, aż którejś nocy zwyczajnie zwalili go z cokołu, ale przechodził tamtędy Jura Rybakow, załadował żeliwny łeb Włodzimierza Iljicza na wózek z drewnem, który ciągnął za sobą, i przez nikogo niezauważony poszedł dalej. Jura twierdzi, że zabrał Lenina, żeby zaoszczędzić mu upokorzeń, uchronić, przechować, uratować przed złomiarzami, i że jak przyjdzie

lepszy czas, zwróci go posiołkowi z honorami. Tyle że nikt za Leninem nie tęskni, a na jego cokole stoi kamienna donica z kwiatami.

Długowłosy Jura to najbarwniejszy, najbardziej kolorowy mieszkaniec Debina. Był poszukiwaczem złota, ale zbankrutował. Ma siedemdziesiąt dwa lata.
I niepohamowaną żądzę zbierania, potrzebę gromadzenia, zgarniania pod siebie. To dzięki tej namiętności wrzucił na wózek głowę Lenina i przewiózł ją do swojej pracowni w dawnych koszarach wojskowej ochrony kołymskiego mostu. Pracownię Jurija należałoby raczej nazwać składem wszelkiego badziewia, muzeum bałaganu, jarmarkiem osobliwości, magazynem wihajstrów i dinksów. Czego tu nie ma! Obok najwspanialszej kołymskiej biblioteki zbiór starych map, mundurów, minerałów i jedenaście kamieni z dziurą, które przynoszą szczęście, a gdy przez którą spojrzeć, zobaczy się przyszłość. Jest żeliwny Lenin, puszka amerykańskiej tuszonki z czasów wojny, wypchane ptaki, szamańskie talizmany, portrety komunistycznych notabli, kosmonautów i świętych na starych ikonach. Bardzo dużo łagrowych pamiątek: łyżki, miski, lampki i czajniki z puszek po konserwach, i żelazne kółko do taczki na czterech szprychach, które waży dwadzieścia kilogramów.

W sektorze archezoologicznym potężne kły mamuta, zęby, rogi i racice ogromnego bizona. Oba gatunki żyły tu zgodnie i zgodnie wyginęły, kiedy dziesięć tysięcy lat temu ochłodził się klimat, a syberyjskie stepy zarosły tajgą. Na szczątki zwierząt Jura trafiał, szukając złota. Z wiecznej

zmarzliny wydobył kiedyś kompletny szkielet bizona z fragmentami mięśni i wielką kluchą sadła, a wszystko pokryte skórą i sierścią zwierzaka. Z ciemnej, bezkształtnej bryły Jura odgryza kawałek śmierdzącego starością, zjełczałego tłuszczu. Przełyka. Ja też nie mogę odmówić sobie kęsa słoniny sprzed dziesięciu tysięcy lat.

Na szczęście żona Jurija podaje obiad. Dzisiaj jest barszcz, a żeby nie jeść tak na sucho, gospodarz wyciąga kilka ogromnych, plastikowych butelek strasznie cierpkiego i gorzkiego wina własnej roboty z czeremchy, jarzębiny i dzikiej porzeczki – czarnej i górskiej (której liśćmi najczęściej zastępowano w łagrach machorkę).

I przy dzikiej porzeczce właśnie Jura opowiada o swoim litewskim przyjacielu. Mówi, że w czasie wielkiej wojny mężczyzna był gestapowcem. Potem siedział w łagrze aż do rozwiązania Dalstroju w 1957 roku, ale nie pozwolili mu wrócić do ojczyzny, bo ludzi z „czarnym piętnem” nie puszczali na kontynent. Mieszkał w Debinie, był urzędnikiem w administracji, a ludzie zwali go Sławką, chociaż na imię miał Stanislavus. Prawdziwego nazwiska nikt nie pamięta, bo żeby ułatwić sobie życie, Litwin przyjął nazwisko rosyjskiej żony i co roku w pierwszych dniach stycznia w kancelarii rejonowego biura KGB składał wniosek o powrót na Litwę. Ostatni pochodził z 1983 roku. Też został odrzucony.

To po Sławce Jura odziedziczył swoją wspaniałą bibliotekę. Litwin zginął na oczach przyjaciela w czasie męskiej popijawy. Jurij opowiada, że jak zwykle przy wódce

w pewnym momencie doszło do konfliktu kultury europejskiej i azjatyckiej, czyli litewskiej i ruskiej. I ta ruska, reprezentowana przez „zdeklasowany, kryminalny element” (jak mówi Jura), nie wytrzymała i zajechała starego faszystę nożem.

Pijemy za jego duszę, a potem strzemiennego i idziemy z Jurą do wulkanizacji po moje plecaki, bo na dzisiejszą noc przenoszę się w przytulniejsze miejsce. Śpię w szpitalu. Dostaję pokój z łazienką. Nareszcie. Od wyjazdu z Magadanu się nie kąpałem. Od czterech dni nie myłem nawet twarzy. Stoję więc w wannie i kombinuję, po jaką cholerę zrobili takie utrudnienie, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Sedes stoi na wysokim postumencie, prawie półmetrowym cokole i wygląda jak pomnik kibla. Kiedy na nim siadam, nie dosięgam podłogi, mogę sobie pomajtać nogami.

Jurij Rybakow – zbieracz wszelkiego badziewia w swojej pracowni w dawnych koszarach

Krzyżowiec Władimir – maszyna do mięsa

A właściwie maszyna do mięsa i przemysłowego mielenia kości przerobiona z kombajnu do płukania złota. Obraz tej maszynerii prześladuje Władimira Augustowicza Najmana od trzydziestu sześciu lat. I jeszcze widok pola zasłanego ludzkimi szczątkami i buldożera, który zgarnia to na wielką hałdę.

Skąd ta wizja? Przecież Władimir urodził się w 1956 roku, kiedy bramy obozów zostały otwarte na oścież.

Władimir jest geologiem. Za komuniaków, jak niektórzy mawiają tu pogardliwie, był dyrektorem państwowego przedsiębiorstwa 50 Lat Oktiabria (października – z pewnością chodzi o rocznicę rewolucji komunistycznej z 1917 roku), które było czymś w rodzaju kołchozu poszukiwaczy złota. Teraz firma nazywa się Spokojnyj i jest własnością Władimira. Zatrudnia czterdziestu pracowników, którzy w ostatnim roku wypłukali sześćdziesiąt kilogramów złota.

– Byłem siedemnastoletnim gówniarzem zaraz po szkole, a oni do pierwszej roboty w życiu wysyłają mnie na działkę na Serpentince niedaleko stąd. Tam był specjalny, rasstrielny obóz śledczy, w którym bezpieka zamordowała dziesiątki tysięcy więźniów Kołymy. Robili zekowi nowe śledztwo, trybunał wojenny NKWD dawał wyrok śmierci i rozwalali. Z karabinów maszynowych. Tylko przez dwa lata wielkiej czystki między trzydziestym siódmym a ósmym rokiem rozstrzelali tam dwanaście tysięcy ludzi.

1 wszystkich gdzieś tam w okolicy zakopali. A w 1973 roku przychodzi polecenie, żeby te działki przerobić.

– Jak wam płacili?

– Potrójne stawki. Bo straszna robota, babranie w ludzkich resztkach. Ja z moim zwiadem geologicznym oczywiście też trafiam na cmentarz. Z początku lat trzydziestych. Na pewno, bo byli w butach. Od połowy lat trzydziestych chowali już bez butów. Bez ubrań nawet. Prawo do łachów miał ten, kto zakopywał kolegę. No to robimy pomiary, wzywamy buldożer, wyznaczamy, gdzie ma pracować, i w pół godziny maszyna rozjeżdża cały cmentarz. Mały potok, a na obu brzegach tysiące ciał wyrwanych z ziemi i zgarnianych spychaczem na jedną hałdę. Tam Bóg pierwszy raz daje mi znak.

– Jaki?

– Tylko skończyliśmy robotę, buldożer tonie w bagnie razem z kierowcą – mówi Władimir. – Bóg powiedział, że nie wszystko wolno. Ale ja nie wiedziałem, że jest jakiś Bóg. Potem przywożą kombajny do płukania złota, takie ogromne maszyny do mięsa, i wszystko przez nie przepuszczają.

– Ciała były w całości?

– Na mojej działce nie. Przetrwaliby, gdyby zakopali ich chociaż z metr głębiej, w zmarzlinie, a byli tuż pod powierzchnią. Co roku w lecie musieli odtajać. Na sąsiedniej złotonośnej działce więźniowie przetrwali nietknięci.

– Szałamow pisał, że wszyscy goście wiecznej zmarzliny są nieśmiertelni.

– Ale wszystkich przepuścili przez kombajny.

– A Bóg? – pytam.

– Kilka razy daje mi jeszcze znak, aż wreszcie powala z nóg.

– Za co?

– Za niewłaściwe korzystanie z życia. Za grzechy. Za wódę, baby, pychę, zarozumialstwo, pazerność… Nie wszystko wolno. Jakaś nieznana choroba sercowo-naczyniowa. Osiem miesięcy w szpitalu, a ja ciągle gasnę. Wypisują mnie umierającego. A trzy lata temu wracam na tę moją działkę i stawiam wielki krzyż. I zdrowieję. Już siedem takich krzyży postawiłem na zekowskich cmentarzach.

Idę z Władimirem na jeden z nich. Zachwycam się zmyślną i bardzo prostą metodą masowego chowania zmarłych. Wreszcie rozumiem, co dosłownie znaczyły słowa więźniów, że zmarli trafiają „pod sopkę” (sopkami nazywają tutejsze wzgórza). Kładło się zmarłych w szeregu na zboczu i zasypywało ziemią znad ich głów. Tak powstawał niewielki taras, na którym układało się następny szereg, który zasypywało się ziemią z jeszcze wyższej partii. Cmentarz, na który przyszliśmy, ma jedenaście tarasów długości około 130 metrów. Łatwo policzyć, ilu tu leży nieszczęśników. Jedenaście razy 260 (po dwóch na metrze) to 2860 zeków.

Cmentarz położony jest w przepięknym miejscu, bardzo wysoko nad potężnym korytem rzeki Kołymy. To południowy stok, który najwcześniej po zimie zrzuca śnieg, a tarasy to bardzo wygodne miejsce, które młodzież z Debina od lat

upatrzyła sobie na piwne griliki i ogniska. Tu wyglądają wiosny.

Jak im się tu bawi, biesiaduje, śmieje, wygłupia? Pewnie jak wszystkim młodym ludziom na świecie, którzy, jak to młodzi, nie lubią patrzeć wstecz. Jak moim rodzicom, którzy kilka lat po wojnie, w raptownie wyludnionym o semicką połowę Sochaczewie, na długą przerwę i wagary biegali na zrujnowany cmentarz żydowski. Jest w tym jakaś upiorna metafizyka, bo młodzież z zachodniej Polski chodziła na niemieckie cmentarze, a z zachodniej Ukrainy i Białorusi do dzisiaj chodzi na polskie.

– Dlaczego stawiasz te krzyże? – pytam Władimira.

– Bo przy stawianiu krzyży zupełnie przestajesz być ziemską istotą. Stajesz się duchem. Łączysz się ze wszystkimi umarłymi, nad którymi stawiasz te dwa kawałki drewna.

Dzień XVI
Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Do Jagodnego przyjeżdżam z Debina karetką pogotowia z tamtejszego szpitala. To łazik, bus z 2002 roku zwany w Rosji, z racji kształtu nadwozia, buchanką (bochenkiem), na Sybirze tabletką, a na Kołymie bobikiem. Szofer to Siergiej, i jak to Rosjanie, uwielbia zrobić w samochodzie Taszkient. To znaczy ukrop. Tak się tu mówi, kiedy ktoś solidnie napali w piecu. Oczywiście Siergiej nie zdejmuje palta ani skórzanej czapki, spod której płyną mu strugi potu. Rosjanie bardzo rzadko rozbierają się w samochodach. Jedziemy półtorej godziny.

Czuję się bardzo wyróżniony, zajmując miejsce w szoferce, ale po kwadransie zazdroszczę tym z tyłu. Siedzą na noszach i dzwonią z zimna zębami. Z tyłu nie ma ogrzewania. Nie żeby się zepsuło – po prostu konstruktor go nie przewidział. Wprawdzie to karetka pogotowia, ale choremu nie musi być ciepło. Ważne, że kierowca nie marznie.

Na 481. kilometrze przejeżdżamy przez osiedle Rybnyj, w którym Tamara z Magadanu znalazła swoją matkę na

cmentarzu. Całe złoto w okolicy zostało wybrane, więc dziesięć lat temu osiedle zostało zamrożone, ale rekompensaty były tak małe, że mieszkańcy mimo zimna trwali na swoich miejscach. Aż którejś nocy osiedle zostało podpalone i spłonęło ze szczętem.

A na 507. kilometrze świętuję ćwiartkę dystansu. Czwartą część Trasy. W maratonie obchodzę to święto na dziesiątym kilometrze i bardzo je lubię, bo czuję się lepiej niż przed startem, wydaje mi się, że mógłbym biec tak tydzień, chociaż wiem, że po kolejnej dyszce nie będzie już tak fajnie.

Jagodne to rejonowe (jakby powiatowe) miasteczko, w którym mieszka 3,8 tysiąca mieszkańców – ponad trzy razy mniej niż przed dwudziestu laty, ale w miejscowej placówce pomocy socjalnej pracuje aż dwadzieścia siedem osób. To na jednego pracownika przypada stu czterdziestu mieszkańców miasteczka.

W rejonie z czterdziestu tysięcy mieszkańców zostało dziesięć. Terytorium ogromne – dwieście na trzysta kilometrów (piąta część Polski), a pilnuje go stu milicjantów, którzy w 2010 roku mieli pięć spraw o zabójstwo.

Dwa lata temu tutaj też ktoś obalił w nocy i zniszczył pomnik Lenina. Miejscowi komuniści znaleźli więc nowego. Ale strasznie brzydkiego, z betonu (poprzedni był z gipsu), pociągnęli go więc dla urody złotolem, to znaczy farbą złotego koloru, i postawili na starym miejscu.

Liderem aktywu podnoszącego z bruku Włodzimierza Iljicza jest pięćdziesięciopięcioletni Iwan Panikarow.

Legendarna postać na całej Kołymie. Człowiek, który jako pierwszy, już w latach osiemdziesiątych głośno zaczął mówić, czy też przypominać miejscowym, co tu się wydarzyło w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Z zawodu hydraulik. W swoim prywatnym mieszkaniu w Jagodnem zakłada muzeum Gułagu, a w 1991 roku zbiera wśród mieszkańców miasteczka pieniądze i stawia w niedalekiej Serpentince pomnik ofiar komunizmu.

W 2004 roku zapisuje się do partii komunistycznej. W mieście mówią, że z przekory, na złość, a on sam, że by przeciwstawić się „jedynorusom", hegemonii partii rządzącej. I wiesza w swoim gabinecie (bo teraz jest dziennikarzem miejscowej gazety) portrety Lenina i Stalina – mówi, że tylko jako eksponaty, ale gołym okiem widać, czy też słychać, że coś niedobrego dzieje się z Iwanem. Smutny, rozgoryczony, niezadowolony i z jakiegoś powodu zlustrował Warłama Szałamowa. Mówi, że nie ma prawa go osądzać, ale odnalazł ludzi, którzy go znali, siedzieli z nim, i teraz już wie, że Szałamow to wielki literat, ale „jako człowiek – swołocz".

Takie miasteczko. Właśnie przelatują nad nim klucze dzikich gęsi lecących na południe.

A ja mam ogromny problem z noclegiem. Jedyny hotel przy dworcu autobusowym zajęty do ostatniego miejsca. Mówią, że to Filipińczycy, ale okazuje się, że Australijczycy, którzy chcą kupić licencję na złotonośną działkę, ale nie dowierzają planom geologicznym zrobionym przez Rosjan,

więc przysłali własny zwiad geologów. Filipińczycy byli przed nimi i zrezygnowali.

Lądуję więc w potwornej norze dla pracowników sezonowych w obskurnym bloku przy ulicy Lenina 4.

Potem przechodzę obowiązkową rejestrację, czyli załatwiam meldunek na milicji. Każą mi wypełnić ogromny druk i złożyć ksero wizy, karty emigracyjnej, którą na granicy dostaje każdy wjeżdżający, i paszportu. A teraz uwaga. Każdej strony! Także tych pustych i ze starymi wizami Mongolii, Chin, Rosji i Wietnamu.

Mam poczucie, że im bardziej wjeżdżam w głąb Kołymy, tym bardziej cofam się w czasie, bardziej zanurzam się w starą, sowiecką, zahibernowaną rzeczywistość. Rzeczywistość wszechwładnych urzędników, którzy zrobią wszystko, żeby pokazać swoją wyższość, potęgę, moc, władzę nad tym, który stoi przed ich biurkiem.

Procedura rejestracji przybysza przeciąga się na następny dzień.

Piszę o takich głupstwach, duperelach, drobiazgach, bo one dobrze opisują codzienność.

Śpię w pokoju z czterema elektrykami, którzy przyjechali do Jagodnego do roboty. Dwóch z nich potwornie chrapie, ale o drugiej w nocy przerywają koncert i wszyscy zrywamy się na równe nogi. Za oknami rozpętuje się piekło. Przed wejściem do naszego bloku kotłuje się sfora wielkich psów. A ja śpię przy oknie, na parterze. W miasteczku są dziesiątki bezpańskich psów, a suki mają właśnie jesienną ruję.

Bob zwany Bobikiem w drodze z pracy do domu

Redaktor Smoliakow – wyprawa na raki

Oficjalnie Bob, ale wszyscy nazywają go Bobikiem. Najbardziej znany pies w miasteczku. Szycha prawdziwa, do tego geniusz, arystokrata – chociaż kundel, ale w daleeeeekiej rodzinie musiał mieć łajkę. Nie gada tylko dlatego, że mu się nie chce.

To pies Wiktora Andriejewicza Smoliakowa, głównego redaktora miejscowej gazety „Siewiernaja Prawda”. Ale równie dobrze można powiedzieć – to człowiek Bobika. Codziennie rano przychodzą razem do pracy, razem chodzą na spotkania, wywiady, razem zbierają materiały do artykułów i razem pewnie piszą, bo mają wspólny gabinet.

Rozstają się tylko, kiedy Wiktor jedzie w delegację. Kundel ma wtedy oko na wszystko w redakcji, a kiedy jego pan wraca, najczęściej od razu do domu, dzwoni do kogoś w gazecie i prosi, żeby powiedzieli Bobikowi, że już jest z powrotem. To mówią, pies sam otwiera drzwi i wraca.

Zresztą wysłać go można w wiele miejsc. Wystarczy powiedzieć: dom, redakcja, poczta, administracja, sklep. Bobik doskonale zna te słowa i miejsca. Na poczcie pracuje żona jego pana, gazeta jest organem rejonowej administracji, więc redaktor naczelny bardzo często tam bywa, a jeszcze częściej bywa pod sklepem. Nieraz Bobik go stamtąd przyprowadzał.

Kiedy naczelny jedzie na kontynent na urlop, Bobik na stałe przenosi się do redakcji, chociaż żona Wiktora ciągle do niego dzwoni i mówi: „dom’.

Na dalekiej Północy ludzie mają dwa miesiące urlopu rocznie, a co dwa lata państwo funduje wszystkim emerytom, rencistom i ludziom na państwowych i samorządowych posadach darmowy przelot i powrót samolotem na kontynent.

Wiktor już trzynaście lat pracuje w redakcji „Siewierki".

Od roku jest szefem. Dziesięć lat temu pod biurkiem poprzedniego naczelnego urodził się Bob.

– Sam odbierałem poród – mówi, kiedy zaszyliśmy się z dagestańskim koniakiem i zakąską w jego redakcyjnym gabinecie.

– Ale…

– Wypijmy! – przerywa mi, nim zdążę dodać „jak?!" – Na pohybel komunistom!

Wiktor chwyta kieliszek w obie dłonie, przechyla. I walczy z plasterkiem słoniny, która wymyka mu się z rąk. Bo Wiktor nie ma ani jednego palca. Został na szczęście kawałek prawego kciuka, w który chwyta widelec albo ołówek z gumką, kiedy musi coś wystukać na komputerze. I wcale go to nie krępuje. Przeciwnie. Bardzo lubi polecieć z łapami. Koniecznie z każdym musi przywitać się z podaniem ręki.

– Jaki masz kolektyw? – pytam go.

– Chujowy. – Wiktor jest bardzo niski i ma rzadki dar, że o każdym potrafi powiedzieć coś paskudnego.

– Ale ile ludzi?

– Ze sprzątaczkami, informatykiem i całą resztą piętnaście osób. W tym czterech dziennikarzy i fotograf.

Piszą głównie o przyrodzie, polowaniach, wyprawach na ryby, odrobina historii. Ani słowa o służbie zdrowia, oświacie, milicji, korupcji, biurokracji… Żadnego krytykowania, bo to by znaczyło, że rejonowa administracja, która jest właścicielem gazety, źle pracuje. Ale jest jeden wyjątek – przewodniczący miejskiej administracji. Bo to komunista, jedyna realna opozycja wobec partii Jedna Rosja, która rządzi niepodzielnie w rejonie jagodzieńskim, obwodzie magadańskim i Federacji Rosyjskiej. Jakim cudem zwyciężył w ostatnich, lokalnych wyborach, nikt nie wie, a „Siewierka”, piórem samego Wiktora, w każdym numerze flekuje go bez miłosierdzia, wiesza na nim wszystkie psy.

Wiktor nad życie kocha swoją pracę, stanowisko, gabinet, biurko. Napisze i zrobi, co mu każą, żeby to tylko utrzymać. Wszystko mi mówi w tajemnicy. Cudownie upasował się w miejscowych, prowincjonalnych realiach, umościł się wśród lokalnej arystokracji. Ale jeszcze większą jego namiętnością jest preferans, karciana gra dla co najmniej trzech osób. I w tym problem. Bo w Jagodnem jest ich dwóch. Był trzeci, ale wyniósł się do Magadanu.

– Na szczęście przyjeżdża w interesach na dwa, trzy dni każdego miesiąca, bo ma tu sklep, i wtedy rzucamy się na karty jak wygłodniałe wilki. – Wiktor zaciera ręce. – Nockę posiedzimy, dusza odleci od spraw codziennych, a i kropelkę przy tym oczywiście wypijemy.

Naczelny „Siewierki” każe mi nalewać, a ja cały czas kombinuję, jak on trzyma te karty. Wypiliśmy butelkę

mrożonego koniaku z cytryną, a jakoś nie mam śmiałości zapytać.

A on opowiada sny. Przeważnie wracają w nich dzieciństwo i młodość spędzone na Donem. Jak wyprawiają się nad rzekę, on gra na harmoszce, a potem łapią raki.

– Ty raki w piwie jadł? – pyta. – Ty co?! To najlepsze na świecie! Doński Kozak bez tego nie przeżyje. A raki łowił? To gołymi rękoma się robi. One za palce łapią… Jakie to przyjemne! To najbardziej z dzieciństwa pamiętam. A tu nie ma raków. Za zimno.

Odprowadzamy się do domu, a Bobik pokazuje nam drogę. Okazuje się, że mieszkamy w jednym bloku. Po drodze Wiktor tłumaczy, jakim błogosławieństwem dla Rosji są mężczyźni. Pracują do pięćdziesiątego piątego roku życia (pięć lat mniej niż na kontynencie), a po czterech latach umierają, bo taka jest średnia długość życia Rosjanina.

– Na Północy jeszcze mniej – mówi. – A na tym mostku siedem lat temu ja bym oddał życie. Jakieś łobuzy zaczepiają nieznajomą kobietę, ja maleńki, chudzieńki, ale Kozak doński, to się wstawiam. Walnęli mnie butelką w głowę. Padam, a temperatura ze czterdzieści mrozu, 26 grudnia. Zdejmują mi czapkę, rękawice i polewają ręce piwem. Znajduje mnie przypadkowy człowiek, ale palce odmrażam.

– Byłeś wypity?

– No, a jakże?! Już siódma wieczorem była. Wracałem z pracy.

– W redakcji piliście?

– Po drodze – mówi Wiktor.

– Spotkałeś kogoś?

– Oczywiście! Tu wszyscy się znają.

– Tych łobuzów znałeś?

– Tych akurat nie znałem.

– A Bobik? – pytam.

– Akurat go nie było. Wrócił wcześniej do domu, bo wyjeżdżałem w teren. Jakby był, tobyśmy sobie dali radę.

Dzień XVII
Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Normalnie myślałem, że trupem padnę. Wchodzę do gabinetu, a tam Stanisław Mikulski i jak to on – w mundurze. Tyle że nie Wermachtu, a rosyjskiej milicji, i nie kapitan, a podpułkownik, i nie Kloss, tylko Kachnowicz. Wiktor Wiktorowicz Kachnowicz. Naczelnik milicji jagodzińskiego rejonu. Jakby trzydzieści lat temu skórę zdarli ze Stanisława Mikulskiego.

Chwileczkę gadam z panem podpułkownikiem o jego robocie i o nielegalnym handlu złotem, ale tylko chwilkę, bo rosyjscy urzędnicy mają kompletnego fioła na punkcie tajności, tajemnicy państwowej i służbowej. To pozostałość radzieckich czasów i propagandowego podnoszenia czujności, walki ze szpiegami. Tutaj na Kołymie nie ma dnia, żeby ktoś wprost mnie nie pytał, czy aby nie jestem szpiegiem. Ja mówię, że nie, i pokazuję rosyjską akredytację wydaną przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Moskwie. To mój najcenniejszy dokument. Bez niego nie mógłbym tu zrobić kroku.

Potem pytam naczelnika, czy złapali bandytów, którzy napadli na redaktora „Siewierki”.

Złapali. Trzech pijanych chłopaków z patologicznych rodzin. Dwaj nie byli pełnoletni. Zobaczyli nietrzeźwego człowieka z pakunkiem, to walnęli go w głowę i okradli. Nie było żadnej kobiety, której trzeba było bronić – to ulubiona legenda Wiktora.

Starszy napastnik dostał osiem lat, pozostali po siedem, a gdy dorośli, przeniesiono ich z poprawczaka do więzienia. Wszyscy jeszcze siedzą.

Potem z panem pułkownikiem przechodzimy na politykę, czego bardzo nie lubię w Rosji, bo to znaczy, że będę musiał się tłumaczyć. Rosjanie całkiem nieźle orientują się w wydarzeniach na świecie, oglądają telewizję, kupują gazety, dużo czytają, ale przecież w niuansach tego, co dzieje się w Polsce, nie mogą być biegli. A ja, do diabła ciężkiego, muszę tłumaczyć się z każdego głupstwa wypowiedzianego przez nieodpowiedzialnych polskich polityków, z idiotycznych insynuacji, że to może Rosjanie strącili samolot nad Smoleńskiem albo że specjalnie go zepsuli, wypuścili sztuczną mgłę, dali brzydką, ruską trumnę i tak dalej. Rosyjska telewizja najchętniej powtarza takie właśnie farmazony, a ja potem mam z tym kłopot. Poważnie! Zwykłych ludzi na prowincji strasznie bolą takie historie. To im tłumaczę, że to jest margines polityczny, folklor (tak jak Erika Steinbach w Niemczech, o której z kolei polskie media ubóstwiają się rozpisywać), że na tym polega demokracja, że każdy może gadać co chce, nawet

głupstwa. Tego już kompletnie Rosjanie nie rozumieją. Choćby dlatego, że nie lubią pojęcia „demokracja”. Kojarzy im się z najgorszym, jak im się teraz zdaje, okresem w ich historii, kiedy rozpadał się Związek Radziecki. Chodzi o lata dziewięćdziesiąte, Jelcynowskie czasy.

Zwykli Rosjanie obarczają za ten upadek, za nędzę lat następnych właśnie demokratów i demokrację, którą nazywają diermokracją. „Diermo” to po rosyjsku gówno. Demokracja skończyła się ponad dekadę temu z przyjściem do władzy Władimira Putina, ale ciągle wszystkie niepowodzenia kraju zwala się na demokratów.

To niezwykłe, jak w Rosji parszywieją zwykłe słowa. Potem zamieniają się w obelgi. Za komuny najbardziej paskudny ze wszystkich był pacyfista, potem demokrata – teraz liberał.

Jeszcze mały, symboliczny drobiażdżek. Jagodne nazywało się przed wielu laty Jagodno, na cześć ludowego komisarza spraw wewnętrznych (NKWD) Gienricha Jagody, potwornego rzeźnika, zbrodniarza i zwyrodnialca, który rozpoczął wielką czystkę, był poprzednikiem Jeżowa i którego ów Jeżow na rozkaz Stalina zamordował. Wtedy w nazwie miejscowości zmieniono na końcu jedną literę, by już nic nie przypominało komisarza Jagody, tylko sławiło miejscowe jagody, których w okolicznej tajdze jest po prostu morze.

Drugi symboliczny drobiazg dotyczy miejscowej cerkwi, pomalowanej na ohydny, majtkowobłękitny kolor. Wcześniej

był w nim rajkom partii, czyli rejonowy komitet Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

W samo południe

Zeczka Marija – targ narzeczonych

Marija Jakowlewna Koszalenko ma osiemdziesiąt trzy lata, a sześćdziesiąt pięć żyje na Kołymie. Pochodzi z Uralu, gdzie do kołchozów zaczynają zaganiać w 1937 roku. Na ich podwórko przyjeżdżają żołnierze, zabierają całe ziarno, zwierzęta i odjeżdżają. Ojciec Maszy, którego zaliczyli do kułaków, czyli wiejskich bogaczy, umiera od tego, więc jego żona z synem i córką wynoszą się do miasta, a kiedy zaczyna się wojna i chłopaka biorą do wojska, umiera także ona.

Dziewczyna ma czternaście lat. Jest zupełnie sama. Idzie do pracy w fabryce min, cztery lata później kończy się wojna, nawet ta z Japonią, a maszyna urywa jej palec. Masza dostaje zwolnienie lekarskie i jedzie do ciotki w rodzinnej wiosce. Spóźnia się do pracy jeden dzień.

– Przychodzę, a na bramie strażnicy zabierają mi przepustkę, legitymację komsomolską, no i mnie samą – opowiada Marija Jakowlewna. – Dostaję sześć lat z 58. artykułu. Paragraf chyba 14.

Czyli gospodarcza kontrrewolucja, zwana też sabotażem – no bo czym innym jest zaniedbywanie pracy, uchylanie się od niej?

Masza ma osiemnaście lat. Trafia na Kołymę do wyrębu lasu na 43. kilometrze, potem do roboty przy taczkach, przy kopaniu złota na 359. kilometrze. A to straszne lata czterdzieste. Mówili „sorokowyje – rakowyje” (czterdzieste – rakowe). Nie wytrzymuje i półtora roku później ucieka.

– Biegniemy z przyjaciółką w dół do Trasy, a za nami krzyki, strzały, ujadanie psów. Dopadamy drogi. Och, ja mówię, jest Bóg na niebie! Jakiś samochód! Zatrzymujemy. A to operatywnicy, oddział łowców uciekinierów. Można powiedzieć, że same ich zatrzymałyśmy. Wiozą nas do Jagodnego, potem na Sierpantinkę do łagru śledczego. Wojenny trybunał i dokładają cztery lata za ucieczkę. Też 58. artykuł.

Znowu paragraf 14., bo ucieczka to też uchylanie się od pracy, zatem gospodarcza kontrrewolucja. A po ucieczce trafić można tylko do kopania złota w strasznym, karnym łagrze dla kobiet w Debinie. Miejsce, które z powodzeniem można nazwać piekłem dla kobiet. I to od razu jego dnem, dziewiątym kręgiem.

– Przyrzekłam sobie, że nigdy nie powiem nikomu, co tam widziałam, przeżyłam. Ochrona to jeszcze nic, ale błatne więźniarki, te worowki, przywódczynie. Na co dzień mordują siekierami, gwałcą, biją, kradną jedzenie. Straszne są. Dzieją się rzeczy gorsze niż te, co mi opowiadali o wojnie. To cud, że tam przeżyłam.

Worowka to babski odpowiednik wora w zakonie – najwyższego w hierarchii bandziora.

Marija przetrwała. Przenoszą ją do ogromnego kobiecego łagru w Elgienie koło Jagodnego, gdzie jest ogromny kołchoz. Kilka lat zasypuje w kopcach kartofle, kapustę i rzepę dla zwierząt i ludzi, co znaczy, że lata największego głodu się dla niej skończyły. Na jesieni po te warzywa

przyjeżdżają kierowcy z jagodzieńskiej awtobazy i rozwożą je po okolicznych łagrach.

– Tak poznaję jednego chłopca – wspomina Marija Jakowlewna. – Wolny szofer. W czasie wojny był czołgistą. Ranili go w Polsce, a na Kołymę sam przyjechał do pracy. Dobry chłopak i komunista! Ciągle do mnie przyjeżdża. Spotykamy się na polu, bo od pięćdziesiątego drugiego byłam rozkonwojowana. Już było lżej, nikt mnie nie pilnował. A na jesieni rodzi się Ola, nasza córka, ale po tygodniu zabierają mi ją do dietkombinatu.

Dosłownie to znaczy kombinat dziecięcy – fabryka dzieci. Siedziały w nim do trzeciego roku życia, a potem były wywożone do domów dziecka na kontynencie. Te matki, które chcą, mogą po zwolnieniu ich szukać, ale to nie jest takie częste, bo wiele z nich rodzi tylko po to, żeby trafić do lżejszego łagru, lepszej pracy i dostać więcej żarcia przysługującego ciężarnym kobietom.

Bardzo dużo kobiet rodzi w łagrach. Wiele ciąż pochodzi z gwałtów, także tych zbiorowych, chóralnych, których ofiarami padają setki kobiet. W Elgienie też tak było.

Tydzień po porodzie Marija wraca do zony i do roboty.

– Raz w miesiącu mogę zobaczyć córkę – opowiada. – I to tak na lewo, jak idziemy do łaźni. Daję coś strażniczce i upraszam ją, żeby mnie puściła do córki. Biegnę i mogę godzinkę z nią posiedzieć, potrzymać na rękach, a potem szybko wracać. Nie opowiesz słowami, jak to jest zostawić dziecko i lecieć do tej łaźni.

– A czołgista, znaczy ojciec córki, nie chciał jej wziąć?

– A jak?! Jak udowodni, że ona jego?

Na Kołymie jest przeraźliwie mało kobiet. W dni, w które zwalniają je z Elgienu, z całej tajgi, wszystkich kołymskich kopalń, złotych działek, fabryk zjeżdżają ciężarówkami mężczyźni jak na targ niewolników. Oni też prawie wszyscy byli kiedyś więźniami. Czekają na kobiety pod bramą. A gdy któraś się pojawia, podchodzą i pytają, czy ma gdzie jechać, a jak nie, to „jedź ze mną”. Wszystko. Panuje straszny głód miłości.

Te, które nie znajdują oblubieńca albo chcą lepiej go poznać, zbierają się wieczorami na skraju osiedla w zaroślach przy stacji paliw. Nazywają to miejsce targiem narzeczonych. Tam odbywają się szybkie swaty, wzajemne, dokładne poznanie.

A Marija ciągle siedzi.

– Ale któregoś dnia, o dziwo, nie wyganiają nas do roboty – opowiada Marija Jakowlewna. – Ustawiają nas na placu apelowym. Na środku słup, a na słupie gromkogoworitiel (głośnik), który przemawia nagle głosem Mołotowa, że umarł Stalin. Pamiętam tę chwilę do dzisiaj. Stoję, a przed moimi oczami przechodzi cała moja rodzina, która rozpadła się, kiedy miałam dziesięć lat. Wspaniała, ludna, dobra rodzina. Ludzie zawsze zapracowani, religijni, niepijący. I zaczynam płakać.

– A inni? – pytam.

– Też płaczą. Inni milczą, a jeszcze inni się śmieją, cieszą. Bo tam są kobiety, co siedzą od wojny z wyrokiem dwudziestu pięciu lat, bo ukradły z kołchozu butelkę mleka

dla dziecka. Ich mężowie zginęli na wojnie, a dzieci oddali do domu dziecka. Tacy w Elgienie są „wrogowie ludu”. Mija parę miesięcy i zaczynają zwalniać. W końcu pięćdziesiątego trzeciego roku wzywa mnie naczelnik i mówi, że sześć lat za ten dzień spóźnienia do pracy już odsiedziałam, a połowę wyroku za ucieczkę mi odpuszczają. Dostaję dokumenty i zabieram córkę. Półtora roku była w diet-kombinacie. Wychodzę za bramę. Boże jedyny! Co ja musiałam przeżyć przez te osiem lat. Wy to wszystko nagrywacie?

– Tak, oczywiście. Uprzedzałem przecież.

– Ale ja niczego takiego nie powiedziałam.

– Niczego takiego – potwierdzam.

– A od prezydenta Putina dostaję listy ze słowami szacunku – Marija Jakowlewna pokazuje oficjalne ulotki rocznicowe z podobizną prezydenta Rosji. – I od Miedwiediewa. Jestem bardzo wdzięczna, bo każdego roku na 9 maja przysyłają.

– Dlaczego akurat na rocznicę wojny?

– Bo jestem weteranka. Bojownik tyłów. Cztery lata przestałam przy obrabiarce w wojennej fabryce. A medal pokazać?

– Koniecznie!

– Na rocznicę wielkiej wojny ojczyźnianej dali.

– „Podwig wasz bessmiertnyj” – czytam na medalu. – Czyn wasz nieśmiertelny.

Mateczka Marija – głód miłości

– Miałam całą ścianę książek, ale oddałam synowi – mówi Marija Jakowlewna.

– Kiedy się urodził?

– Wzięłam go ze szpitala. U nas jedna córka, a zawsze bardzo chcieliśmy z mężem mieć dużo dzieci, ale już nie mogłam rodzić. Wszystko przez to niewypełnienie normy. Postawili nas we trzy za karę w potoku na godzinę. Boso. Woda do pasa. A strażnik na koniu na brzegu pilnuje. Wystarczyło, żeby już nigdy dzieci nie urodzić. Strasznie zachorowałam po tym. Zapalenie jajników. Mało nie umarłam.

– Jaki to był miesiąc? – pytam.

– Jakoś przy wykopkach. To wrzesień pewno, prawie zima. Ale tam woda zawsze strasznie lodowata, jak to w górach. A w Jagodnem pracowałam w „Siewiernej Prawdzie” przy druku gazety. Obok redakcji szpital dziecięcy, w lecie wynoszą dzieci do ogródka, i któregoś razu wychodzę na przerwę obiadową, ale jakoś nie idę do domu, tylko popatrzeć na te dzieci. A jeden był taki oddzielny. Słaby, chory, co go matka porzuciła w szpitalu. Drugiego dnia znowu idę i sobie patrzę na niego…

Marija Jakowlewna zaczyna płakać.

– Wybaczcie – szlocha kobieta.

– Nie szkodzi. Ja sam chętnie z wami popłaczę.

– Bo widzicie, miałam czternaście lat, jak zostałam bez rodziców, a to kurczątko osiem miesięcy i komu potrzebne?

To namawiam męża i składamy prośbę do rejonowego komitetu partii, żeby nam je dali. Trzy razy odmawiają.

– Partię pytaliście?! – dziwię się.

– A kogo innego? – teraz ona się dziwi. – Zbierają komisję i mówią „niet” To dogaduję się z lekarzem, żeby mi go dawał na sobotę i niedzielę, a jak będę w poniedziałek szła do pracy, to odniosę. No to brałam, a w domu namyłam się go, nakąpałam, nakarmiłam i kładłam z nami spać. Albo z córką, naszą Olą, co już miała trzynaście lat. On Jura, i nie zmieniałam mu imienia. I którejś soboty w 1965 roku, jak córka wyjechała na kolonie, w środku nocy zabieram dokumenty, pieniądze, zapas pieluch, męża wysyłam po taksówkę, a jest tylko jedna w Jagodnem, i jedziemy pięćset kilometrów do Magadanu. Ukradłam dziecko. W Magadanie kupuję bilet na samolot, odprawiam męża z powrotem i lecę do Moskwy. Potem jadę na Ukrainę do rodziny męża.

Marii jakimś cudem udaje się przejechać wzdłuż cały Związek Radziecki bez żadnych dokumentów dziecka. W krytycznych sytuacjach udaje, że go karmi piersią. A on udaje, że je.

W Jagodnem milicja dwa tygodnie szaleje w poszukiwaniu dziecka i porywaczki. Jej mąż udaje, że żona go rzuciła i uciekła od niego, a kiedy po kilku miesiącach sytuacja się uspokaja, Marija wraca. I zdobywa nawet zgodę na adopcję.

Pięć lat później umiera jej mąż. Zostaje sama z dwójką dzieci, ale jak zwykle sobie radzi. Dzieciaki świetnie się uczą, kończą studia, zakładają rodziny, firmy, są szczęśliwe.

– A jeszcze wam powiem – zaczyna Marija Jakowlewna – że jestem bardzo wdzięczna naszemu gubernatorowi z Magadanu. Co roku na 9 maja przysyła mi przez posłańca wielką rybę. Nie zapomina! Siedem, osiem kilogramów! Dla mnie na całą zimę starcza. Tylko muszę do niego pisać podziękowanie, żeby nie myślał, że ja już nie żyję i ktoś inny odbiera moją rybę. A książeczkę pracy pokazać?

– Koniecznie!

– Tylko dwa wpisy. W redakcji przy drukowaniu, a potem w księgarni. To całe moje archiwum.

– Każdy zek ma jeszcze zaświadczenie o zwolnieniu – mówię. – Jego najważniejszy dokument w życiu.

– Porwałam! Wyrzuciłam! Nie chciałam, żeby dzieci je kiedyś zobaczyły! Żeby się mnie wstydziły.

– Wstydziły?! Przecież wy, Marijo Jakowlewna, nic złego nie zrobiliście! Byliście ofiarą.

– Tak, ale oni chodzili do szkoły, byli w pionierach, a matka kryminałka… Okropny wstyd. Teraz już tego nie ukrywam. Dwa miesiące temu synek przyjechał na dwa dni z kontynentu, to mu powiedziałam nawet, jak strasznie było w Debinie. Ale nie wie, że on nie mój.

Babuszka Marija – dwieście tomów

Maleńka wnuczka Marii Jakowlewnej bardzo choruje. Lekarze mówią, że jedyny ratunek to wynieść się z Kołymy gdzieś, gdzie łagodniejszy klimat. Ale Jura i jego młoda żona nie mają grosza przy duszy. Związek Radziecki się rozpada,

wszyscy są w tarapatach, to nie ma nawet od kogo pożyczyć na wyjazd.

Marija oddaje im więc na sprzedaż swoją wspaniałą bibliotekę.

– Imperium upada, a w dziurze w środku tajgi ludzie mają kupować książki?

– Kupowali! Wydawali ostatnie kopiejki, ale kupowali – mówi z dumą kobieta. – To uratowało życie mojej wnuczki. Braliśmy za książki tylko tyle, ile sama zapłaciłam. Jak cztery dwadzieścia, to cztery dwadzieścia. Ważne, żeby na bilety starczyło. Wśród książek było pięćdziesięciotomowe, przepiękne wydanie światowej literatury dziecięcej. Jakie tam ilustracje! Tego synowa nie sprzedała. Zabrali ze sobą na kontynent. Mieli pięć waliz i plecak, bo wyjeżdżali na zawsze, a w dwóch walizkach książki, literatura dziecięca.

– Kochali swoje dziecko – mówię.

– I książki. Zostawili też. To najwspanialsze, co miał Związek Radziecki obok Szostakowicza, Achmatowej, Gagarina, Wysockiego.

– Co takiego?

– Wielkie, dwustutomowe wydanie literatury światowej. Dla dorosłych. Wszyscy chcieli je kupić, bo to największy skarb, jaki można mieć w domu, ale nie wiedzieliśmy, ile zbierzemy pieniędzy, to na te dwieście tomów robiliśmy zapisy. Ponad sto osób się na nie zapisało! W takim posiołku, gdzie żyło parę tysięcy mieszkańców! W takich trudnych czasach! Ale policzyliśmy, że na trzy bilety już

mamy, i nie sprzedaliśmy. Pojechali z dziecięcą literaturą, a dorosłą syn zabrał dopiero w tym roku.

– Nie musieliście oddawać.

– Ale chciałam – mówi Marija Jakowlewna. – Bardzo lubię dawać książki moim dzieciom. Kupowałam je całe życie, a te dwieście i pięćdziesiąt tomów było na zapisy, subskrypcje. Co miesiąc przychodził jeden tom. Wyobrażacie sobie?! Całość zbierałam ponad dwadzieścia lat. Na poczcie się odbierało. A jeszcze wam powiem, że jestem bardzo wdzięczna przewodniczącemu administracji naszego rejonu. Sam przyjechał 9 maja, pozdrowił, podarki zostawił. Administracja dobra. Nie zapominają, z szacunkiem się odnoszą.

– Ile dostajecie emerytury?

– 19 tysięcy rubli plus dodatki za weterana pracy i weterana wojny. Wychodzi 21 tysięcy (2,1 tysiąca złotych).

– I dodatek dla ofiar represji.

– Nie. Nigdy nie prosiłam, to ofiarą nie jestem. A na co mi to?! Rehabilitacji też nie potrzebuję. Ja jestem wdzięczna, że mnie wypuścili. Że przeżyłam te lata czterdzieste. Rakowe! Syn chciał, żebym pojechała z nim na kontynent. Ale już tu dożyję. Ja tu każdy kamyczek w ziemi znam. Rodzonej. Kochanej. Mojej Kołymie.

Dzień XVIII
Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzisiaj kupiłem dezodorant. Chodzę po całym miasteczku i szukam sklepiku (są ich dziesiątki, ale wszystkie z produktami – to znaczy spożywcze), który by miał dział toaletowy. Znajduję jeden i kupuję. Już potrzebuję. Nigdy nie biorę go w drogę, żeby się nie obciążać, poza tym nie potrzebuję. Można w podróży zmieniać koszulę co dwa, trzy tygodnie, ale jak się czasem przekąpiesz, a teraz jakoś długowato jestem bez kąpieli. Ja nie jestem wymagający, ale są takie łazienki na świecie, na które rzucisz okiem i wiesz, że wolisz śmierdzieć. Tam nawet mycie zębów jest heroizmem.

Z ludzkimi smrodami to bardzo osobliwa sprawa. Kiedy z kolegą podróżowałem na rowerze przez pustynię Gobi, cały miesiąc obyliśmy się bez kropli wody, poza tą do picia, i cały czas pachnieliśmy obaj tak, jak na początku wyprawy. Mongolscy nomadzi też nie śmierdzą, ani ci z arktycznych rejonów Azji – Nieńcy, Komi, Ewenkowie, nawet zimą, a przecież cały czas w futrzanych ubraniach, pod namiotami, bez wody, kąpieli.

Z reporterskiego punktu widzenia dzisiejszy dzień uważam za bardzo udany, znajduję bowiem, poza dezodorantem, prawdziwy brylant. Tyle że ludzki. Człowieka z historią, o jakiej marzy każdy reporter. Żeby ją opisać.

Jak trafiam na Jurija Sałatina? Oczywiście przypadkiem. Nie bardzo wiem, co ze sobą robić, czuję, że nadchodzi impas w robocie, to przygnębiony człapię na cmentarz. Nie mam pojęcia po co. Często tak robię, kiedy nadchodzi kryzys.

Z drogi widzę stary, radziecki motocykl iż z koszem na wielkim, zagraconym placu z górą żelastwa. Niedawno zrobiłem prawo jazdy na motocykle, to włażę tam, żeby przyjrzeć się temu eksponatowi z bliska. Wtedy pojawia się Jura, myje twarz śniegiem, dmucha nos w palce i zaprasza do drewnianego garażu, czy też pracowni, na herbatę, która okazuje się koniakiem.

A jaki piękny! W starej, lotniczej kurtce na kożuchu, kapitańskiej czapce i błękitnym golfie na gołe ciało z wielkimi dziurami pod pachami. Sprężysty, podciągnięty, wyprostowany. I postawny. Lat sześćdziesiąt siedem, gęba prawie czarna, ogorzała i ten bezczelny, arogancki, łobuzerski błysk w jasnych, czystych oczach pod kolor swetra. Prawdziwy krasawiec. Ręce wielkie, silne, szorstkie. Na milę widać, że oficer. Powiedziałbyś: kapitan potrzaskanego krążownika, który wraca spod Trafalgaru, a nie złomiarz z Jagodnego. Dowódca żaglowca, a nie miejscowego wysypiska.

Środek Jurijowej kanciapy to jakby ciąg dalszy zewnętrznej graciarni, tyle że elementy składowe drobniejsze. Jura wyjmuje sztuczne zęby z metalowego kubka, instaluje na miejscu i oprowadza mnie po swojej jaskini. Wszystko, co ma, pochodzi z wysypiska. Przywrócił to tylko do życia. Maszyny, kuchenki, czajniki. Sam składa motocykle, zbija meble, nawet kapitańską czapkę i hełmofon czołgisty, w którym jeździ na motorze, sam uszył na maszynie własnej konstrukcji.

To jednak chyba jedyna graciarnia na świecie, w której nie ma czegoś, co chciałbym mieć. Trudno nawet o niej opowiedzieć, bo nie ma w niej niczego osobliwego, czegoś, czemu warto się przyjrzeć. To nie jest graciarnia Jurija z Debina. Tamten tworzył bałagan, ten wygrzebuje ze śmietnika.

Samych samowarów jest ogromna skrzynia, ale to nie tulskie antyki, tylko sowieckie badziewie na prąd. Do tego dziesiątki elektrycznych silników, wiertarek, akordeonów, kapeluszy, żyrandoli, abażurów, telefonów, akumulatorów, pił ręcznych, mechanicznych… A ile kaloryferów z rozbiórki, syfnych kredensów na wysoki połysk, starych lodówek, a między tym wszystkim wiją się setki węży. Od prysznica.

Na dywanie przytwierdzonym do ściany kilka zdjęć. Najważniejszy jest Misza – tak jak ojciec major Armii Czerwonej, pilot śmigłowca zestrzelony amerykańskim stingerem nad Afganistanem w ostatnich dniach radzieckiej interwencji w tym kraju. Dwa razy był odznaczany gwiazdą

Bohatera Związku Radzieckiego – trzy miesiące przed śmiercią i na pogrzebie.

Major Jurij Sałatin, z przeciągiem w głowie, na swoim wysypisku śmieci

Niżej zdjęcia młodszych dzieci – Gałki oraz Waśki, który jest dyplomatą w Holandii. Każde dziecko Jurija ma inną matkę. Ale na próżno szukać zdjęć kobiet, ukochanych, żon, których Jurij miał dziewięć (nie licząc matki Miszy, z którą nie miał ślubu, i tych pomiędzy). Ze wszystkimi uporał się w ciągu trzydziestu sześciu lat już po przyjeździe do Jagodnego. Wszystkie ciągle tu mieszkają i Jura ma z nimi bardzo dobre, przyjacielskie układy, szczególnie kiedy potrzebują pieniędzy. Proszę, żeby wymienił po kolei ich imiona, ale po Natalii, Lusi i Oldze kompletnie się gubi. Z każdą był dwa-trzy lata, a ostatnia, chociaż są po rozwodzie, do dzisiaj mieszka z nim, bo nie ma się dokąd wynieść.

Pytam, czy je kochał, na co się krzywi i tłumaczy pięknie, że z babami jest jak z sucharami albo ze słonecznikiem – żresz i żresz cały dzień, a nażreć się nie możesz.

Jura to miejscowy krezus. Dostaje trzydzieści tysięcy rubli wojskowej emerytury, do tego dziesięć tysięcy jako pracownik miejskiego wysypiska i średnio około 13 tysięcy rubli miesięcznie za zebrany złom (w sumie 5,3 tysiąca złotych). Gromadzi go w żelaznych beczkach po paliwie. Każda po napełnieniu waży siedemset kilogramów, a gdy uzbiera czterdzieści beczek, na Trasę wystawia tablicę z napisem, że ma złom do przewiezienia do Magadanu. Chińczycy albo Japończycy kupują w porcie żelastwo po jedenaście tysięcy rubli za tonę (1,1 tysiąca złotych). Kierowca, który zabiera od Jurija złom, oddaje mu pieniądze

w drodze powrotnej. Wszystko opiera się na zaufaniu i od lat dobrze działa.

Siedzimy zatem i pijemy dagestański koniak Kaukaska Tradycja, a ja zastanawiam się, dlaczego ludzie nie przywozili na Kołymę pięknych przedmiotów. Nie zdążam zapytać o to Jurija, bo moje ciało z głośnym trzaskiem przeszywa błyskawica z elektrycznego piecyka, z którego sterczą gołe druty. Aż mi rękę odejmuje do pachy. Dopóki byłem trzeźwy, uważałem, ale po kilku kieliszkach tracę czujność. Piecyk to też konstrukcja mojego gospodarza.

Ale najbardziej podnieca mnie jego motocykl. Chcę go kupić, bo Jurij kończy składać następny, ale nie możemy się dogadać. Nie o pieniądze chodzi. Jurij martwi się o moje życie. Z każdym dniem i kilometrem w kierunku zachodnim robi się mroźniej. Na motorze nie dociągnę nawet do Susumanu na 625. kilometrze. Nie sprzeda i basta. To wkładamy hełmofony czołgistów i ruszamy na wysypisko. W jedną stronę jadę w koszu, ale tam w kilka minut zapełniamy go żelastwem, więc na powrotną drogę zajmuję miejsce za plecami Jurija. Nie mogę uwierzyć, z czego jest zrobione moje siedzisko. Ze starego sterylizatora do sprzętu medycznego, a żeby nierdzewna stal nie mroziła w tyłek, Jurij nakrywa ją baranicą.

Major Sałatin – przeciąg w głowie

– Skąd się wziąłeś, Jura, na Kołymie?

– To bardzo długa opowieść.

– Uwielbiam długie opowieści – ja na to. – Zacznij od najważniejszego momentu.

– Moja matka umarła, kiedy miałem półtora roku.

– Był zatem 1945 rok. To rzeczywiście bardzo długa historia.

– Pamiętam, jak pod końmi w stajni chodziłem, detyna małeńka, a ojciec lał mnie za to bez litości, bo ogier może się spłoszyć i stratować. Ale ja uwielbiałem stajnię. Nigdy konie nie zrobiły mi krzywdy. Łaziłem im pod brzuchami, a one skubały mnie po głowie. To było najsłodsze. Pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. I całe lato spałem tylko w żłobie. Śpię, a konie delikatnie skubią mnie po głowie. Bo łeb spocony, zgrzany jak to u dzieciaka, a więc słony, i one próbowały lizać, skubały. A był jeden mądrala, Stiopa, co jak tylko mnie widział, sam nogę zginał, robił mi schodek i tak zachęcał, żeby na niego wleźć, a potem wrzucał na grzbiet. W 1947 roku Stiopę i całe gospodarstwo przyłączają do kołchozu. Mieszkaliśmy pod Tarnopolem na Ukrainie. Przed wojną była tam Polska, a ojciec służył w waszym wojsku, ale całą okupację go nie było, bo on bandiuga był.

– Co to bandiuga? – pytam.

– Bandyta, banderowiec. To jakim cudem ja urodziłem się w czterdziestym trzecim roku, jak on całą wojnę był w bandzie? I podobny do niego ani odrobinę nie byłem.

Może dlatego tak mnie nienawidził, jak wyszedł z lasu i lał tym swoim polskim pasem wojskowym, że krew chlapała po ścianach. Bym się nie zdziwił, gdyby to on moją matkę zatłukł. Cholerny bandyta. Banderowiec jeden. Jak on się wykręcił, że jego bezpieka do łagru nie zgarnęła, to sam nie wiem. Cud prawdziwy, bo on i kułak prawie, były polski żołnierz i banderowiec. Tam u nas wszyscy byli u Bandery, ale milczeli jak groby.

– Ojciec ożenił się drugi raz?

– Tak. Ona Polka była, tak jak moja matka, nazwisko Nakonieczna. Urodziła im się córka i zaczęli tłuc mnie i tępić jeszcze bardziej. To prawda, że ja byłem rozbójnik mały, ale nie można dzieciaka bić codziennie. Uciekłem z domu. Miałem pięć lat i sam dotarłem do Dniepropietrowska. Wtedy, po wojnie nikt nie zwracał uwagi na małych włóczęgów. Były nas tysiące. Milicja zgarnęła mnie na dworcu kolejowym. Nie powiedziałem, skąd jestem. Nic nie mówiłem, wzięli mnie więc za sierotę wojenną, dali nazwisko Sokołow i odprowadzili do domu dziecka. Ale po siedmiu latach dałem nogę i wróciłem do domu.

– Jak cię przywitali?

– Ojciec tak mi wpiździł, że przez tydzień na dupie nie siadałem. Ale ja już nie byłem mały rozbójnik, tylko wielki chuligan. Dwanaście lat, dietdomskie wychowanie (z domu dziecka). Macocha już nie mogła mnie ruszyć palcem. Darła się tylko, jak komu mordę obiłem, że wrócił Moskal i ręce rozpuszcza. Na mnie „Moskal” mówili, bo już tylko po rusku

gadałem. Oni po ukraińsku. Tylko trzy lata z nimi wytrzymałem. Znowu dostałem tym polskim pasem wojskowym, to poszli won na chuj wszyscy! Wybiegam z chałupy, a miałem piękny łuk własnej roboty, to do strzały wiążę knot z konopi, w nafcie maczam, podpalam i fiuuu!!! Chata się pali.

– Czyja?

– Nasza! Ze strzechą! A co oni mnie tak, kurwa, tłuką?! I od razu lecę na stację i do pierwszego pociągu. Ale już piętnaście lat mam, to docieram aż na Ural. Dopiero na dworcu w Sierowie łapie mnie milicja. Mówię, że uciekłem z domu dziecka w Dniepropietrowsku, to mi dają konwojenta i pod strażą odwożą do mojego sierocińca. Potem są różne szkoły dla takich bandytów jak ja, jakieś testy, w których świetnie wypadam, i biorą mnie do oficerskiej szkoły rakietowo-artyleryjskiej. Nie mam nawet osiemnastu lat, kiedy rodzi się mój Misza. Natasza, jego matka, umiera przy porodzie, więc chłopaka bierze jak swojego komendant naszej szkoły. Ale ja cały czas robię za sierotę wojenną. W tej szkole byli tylko tacy. Dla bezpieczeństwa, bo po roku wszystkich nas wysyłają na poligon na Nową Ziemię, a to strasznie sekretne miejsce.

– Co tam robicie?

– Testujemy różne rakiety. Ja jestem operatorem radiolokacyjnym. Prowadzę rakietę, śledzę jej lot. Odpalają takie cudo techniki na Kamczatce, stacje radiolokacyjne podają je sobie z rąk do rąk aż do nas, a ja pakuję je w cel. Albo odwrotnie. My odpalamy rakietę na Kamczatkę

i prowadzimy, dopóki nie zniknie z horyzontu. Więcej ci nie powiem, bo podpisałem zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Byłem jedynym oficerem w jednostce, który nie był w partii. Zaparłem się. Chcieli mnie nawet za to wyrzucać, ale nie po to mnie szkolili siedem lat, żeby pozbywać się z takiego powodu.

– Odszedłeś jednak.

– Mieliśmy wybuch rakiety balistycznej przy starcie. Eksplodowała sekundę po wyjściu z wyrzutni. To był pionier, w NATO nazywali je SS-20. Trzymetrową ścianę z betonu rozpruwała jak karton. Ogarnęła mnie ogromna kula ognia. Mieliśmy szczęście, że głowica nie była uzbrojona, że wybuchło tylko te osiem ton stałego paliwa rakietowego. Sześć lat potem walczyłem o życie w radzieckich szpitalach od Leningradu do Władywostoku. Trzy razy wymieniali mi całą krew. Trzeba było jeszcze czwarty raz, ale przyszła jakaś pierestrojka i powiedzieli, że muszę zapłacić trzy tysiące rubli za każdy litr.

– Wtedy to strasznie dużo.

– Skąd wziąć 15 tysięcy?! Byłem przecież na rencie. Ale białaczka to jeszcze był najmniejszy kłopot. Miałem straszne poparzenia, które nie chciały zagoić się latami. Najgorzej było z dłońmi i stopami, tymi częściami ciała, które przy wybuchu były w skórzanych butach i rękawicach. Resztę ubrania ugasili na mnie dość szybko, a te skórzane buty i rękawice paliły się i paliły. Próbowałem żyć w Europie, potem na Syberii, ale gniłem coraz bardziej. Na Syberii w zimie było nieźle, ale w lecie, jak przychodziły upały,

skóra z dłoni i stóp schodziła płatami. Do żywego mięcha. Nie mogłem chodzić ani niczego dotykać. Lekarze w Nowosybirsku powiedzieli, że muszę w suchy, surowy klimat, a werbowali tam akurat ludzi do złota na Kołymie, to się zgłosiłem. Zrobili mnie brygadzistą komsomolskiej brygady. Mnie, co klnę, kurwa, jak karawaniarz. I wyleczyłem się w parę tygodni.

– Pewnie poranną rosą – mówię.

– Skąd wiesz?!

– Witalij z Debina wyleczył tak grzybicę, co od wojskowych buciorów złapał.

– Na Kołymie wszystkie choroby skórne tak leczą. Wstawałem w lecie wcześnie rano i chodziłem na czworaka po rosie. Żeby goiły się też ręce. Najlepiej upatrzyć sobie poletko dzikiego klewiera.

– Co to? Nie znam tego słowa. Powiedz inaczej.

– Takie zielsko, co kwitnie na biało. Zwierzaki to lubią. Po ukraińsku koniuszyna. A jak to potwornie boli! No bo żywymi ranami, świeżym mięsem stąpasz po ziemi. Krwawe ślady zostawiam za sobą, a potem nogi owijam celofanem, żeby nie zniszczyć butów, i na tańce. Po pięciu latach robią mnie zastępcą dyrektora Jagodzieńskiego Kombinatu Górniczego. Przychodzi lato, dziewczyny w lekkich kieckach, bez pończoch chodzą, a ja roczne sprawozdania, półroczne oceny, kwartalne zestawienia. A mnie to na chuj?! Półtora roku wytrzymuję, idę do dyrektora i mówię, że mam przeciąg w głowie, że moje życie to baby dymać, a nie papiery przekładać. Zrób mnie kierowcą! I robi.

– A teraz jesteś wynalazcą. Wynajdujesz żelastwo na śmietniku.

– Ale jak założę mundur w dzień wojsk rakietowych albo na 23 lutego, na dzień weterana, i ruszę przez miasto, to aż blask ode mnie bije! Dla takich chwil się żyje.

Dzień XIX
Burchała. 557. kilometr Traktu Kołymskiego

Jezuuu! Co za dzień. O 11.25 staję na Trakcie u wylotu z Jagodnego. Sobota. Ruch minimalny. Może jeden samochód na kwadrans. Pół godziny później kierowca zakładowego autobusiku do przewozu robotników zatrzymuje się koło mnie i wtyka mi w łapy wielgachny kawał tłustego, wędzonego schabu. Tłustego, bo do mięsa przyrośnięty połeć słoniny. Razem ze dwa kilogramy, ale luzem, bez żadnej upakowki. Kawał mięcha, żebym poczuł, że jestem na Kołymie. Tak mówi.

Godzinę później ciągle stoję w tym samym miejscu. Pogoda piękna, słoneczna, ale jednak mroźna, więc jestem trochę sztywny z zimna. Kombinuję, żeby otwierać plecak i wyciągać kurtkę, kiedy zjawia się ten od mięcha. Przyjeżdża specjalnie do mnie. Zasłania mnie od wiatru swoim autobusem i daje kożuch. Taki wsiowy, czerstwy, robociarski, czarnego koloru, z resztkami szyszek cedrowca w kieszeniach (nasiona się jada). Na zawsze! I nie daje się wymigać, wytłumaczyć, że mam co na siebie włożyć, tylko nie chce mi się wyciągać z plecaka. Krzyczy na mnie, że

dalej, w Jakucji zamarznę w tych moich chrienowych (chujowych) europejskich szmatach, i wbija mnie w kożuch na siłę.

Od razu robi się milusio, ciepło. Na imię ma Sasza. Decyduje, że postoi ze mną do skutku, a jak nic nie złapiemy, jedziemy do niego na nocleg.

Saszy na krok nie odstępuje jego łajka o imieniu Rem. Pies jest sławny w miasteczku, bo parę dni temu udało mu się wytropić szatuna, obłąkanego niedźwiedzia, który kilka tygodni terroryzował Jagodne.

Zaczęło się od tego, że kucharce z miejscowej szkoły zepsuł się na Trasie samochód, ruszyła więc do miasteczka piechotą, ale nie doszła. Ślady na śniegu wskazywały, że porwał ją niedźwiedź.

Pierwsza obława nie przyniosła rezultatu poza tym, że znaleziono szczątki kucharki. Była bardzo słusznych rozmiarów. Rodzina pamięta, że ważyła dziewięćdziesiąt osiem kilogramów, a myśliwi znaleźli około szesnastu. Szatun wyżarł wszystko, co miękkie. Kości zakopał na później. I polował dalej.

Zabił w tajdze dwóch poszukiwaczy złota, a trzeciemu, który uciekł na drzewo, odgryzł dwie stopy. Na koniec porwał człowieka ze skwerku w samym centrum miasteczka i miarka się przebrała. W pościg ruszyli wszyscy miejscowi myśliwi, a to niemal połowa mężczyzn w Jagodnem. Towarzyszyły im psy, a najcwańszy i najszybszy był Rem.

Na takich opowieściach upływa mi czas, jestem więc zły, kiedy się zatrzymuje. Nawet na niego nie machnąłem. Jest

godzina 13.30. Elegancki van Hondy, a w środku Anatolij Romanowicz z Burchały na 557. kilometrze, do której właśnie chcę dzisiaj dotrzeć. Zatrzymuje się, bo mnie poznał. Z gęby! Słowo. Poczułem się jak gwiazda, a wszystko przez wywiad, którego udzieliłem magadańskiej telewizji przed wyruszeniem na Trasę.

Razem docieramy do Burchały. To stolica kołymskich chiszczników, siedziba ich króla – Władimira Michajłowicza Łyskawca, legendarnego, osiemdziesięcioletniego poszukiwacza złota. Po rosyjsku „chiszczник” to drapieżnik, a w sensie przenośnym – grabieżca. Kołymscy chiszczнicy to nielegalni, wolni poszukiwacze, którzy szukają złota i płuczą je bez licencji, a Władimir Michajłowicz jest ich ojcem chrzestnym, człowiekiem o sławnym na całą Kołymę nosie do tego kruszcu, nadprzyrodzonym talencie, czy też zwierzęcym instynkcie do jego odnajdywania.

A oto dziesięć pierwszych minut naszej znajomości.

Siedzi na ławeczce przed sklepem Nadieżda, przy którym Anatolij Romanowicz, mój paputczik, zatrzymuje swoją hondę. Razem ze swoim przyjacielem Wanią wygrzewają stare kości w słońcu. Przedstawiam się, powołuję na wspólnego znajomego, a Władimir Michajłowicz zaprasza do siebie i od razu wchodzi do sklepu. Kupuje koniak, wódkę, wino, na wypadek gdyby nawinęła się jakaś kobieta, i sporo rzeczy do jedzenia. Jak na miejscowe warunki wydaje kupę forsy i nie ma mowy, żebym w tym partycypował (jak zawsze zresztą mam na Kołymie). Władimir Michajłowicz sięga do kieszeni i wyciąga

opakowany w bankową opaskę plik pięciotysięcznych banknotów! Pół miliona rubli (50 tysięcy złociszów), a gdybyście popatrzyli na dziadka, byłoby wam żal, że chodzi w takich lichutkich trzewikach.

Władimir Michajłowicz pęka ze śmiechu i wkłada pieniądze z powrotem. Pomylił kieszeń. I wyjaśnia, że w lewej nosi linię kredytową. Kapitał zakładowy jest w prawej kieszeni.

Idziemy z królem chiszczników do jego domu. Towarzyszy nam Wania. Burchała to kolejne osiedle, które się wyludnia, umiera. Z trzech tysięcy mieszkańców, z psami i kotami włącznie zostało trzysta dusz, bo złoto w okolicy wybrane do ostatniego pyłku. Ale jest jeszcze odrobina pod samym osiedlem. Burchała wygląda więc, jakby przeszedł przez nią front. Chiszcznicy robią podkopy pod ulicami, w piwnicach, na podwórkach. Połowa domów traci grunt pod fundamentami i wali się w gruzy, drugą połowę pustych domów wandale i rabusie-złomiarze puścili z dymem, ulice się zapadają, pękają mosty, walą się słupy elektryczne i kominy kotłowni, a podwórka przypominają pociętą transzejami linię frontu. Mieszkańcy płuczą złoto gdzie się da.

Podziwiam słup elektryczny wetknięty w ziemny kopczyk o rozmiarach metr na metr, jakby dziecko olbrzyma postawiło babkę z piasku i wetknęło w nią patyk. Poszukiwacze wybrali całą ziemię dookoła, zostawiając tylko tyle, żeby słup nie runął.

Władimir Michajłowicz mieszka sam, ale biesiadujemy u jego sąsiadki Tamary, bo on nie ma szklanek, kieliszków, talerzy, widelców – starokawalerska chałupa. A Tamarka to wzorowa gospodyni, emerytowana pielęgniarka osiedlowego miedpunktu, która trzydzieści lat zaopatrywała Burchałę w wyborny samogon. Czwarty z moich towarzyszy, Wania, też ma emeryturę, ale chiszcznikuje, bo mu nie wystarcza. Nawet w zimie będzie pracował, bo tego lata szczęście mu nie dopisywało i nie zrobił oszczędności.

Robota w zimie jest straszna. Ziemia zamarznięta jak skała, trzeba ją więc grzać ogniskami, tak jak wodę do płukania, które chiszcznicy robią ręcznie – a wkoło dzikie mrozy. Jedyny profit z tego jest taki, że mienty, czyli milicjanci, w zimie nie ganiają.

Każdy chiszcznik, który daje się złapać, bez targowania płaci milicji łapówkę za przymknięcie oka, bo teoretycznie już za dwa, trzy gramy można trafić do więzienia. Łapówki płaci się „w gramach”, w zależności od tego, ile przy tobie znajdą nielegalnego kruszcu. Przeważnie jest to dwadzieścia, trzydzieści gramów złotego piasku. I już cię później kryszują. Krysza to po rosyjsku dach. Dają ci więc przykrywkę, ochronę, i co jakiś czas przychodzą po swoją dolę.

Władimir Michajłowicz mówi do Tamary i Wani po imieniu, oni z wielkim szacunkiem nazywają go Michajłowiczem, czyli po otczestwie, po imieniu ojca.

Teraz już siedzę w jego mieszkaniu, na materacu, który rozkładam na noc na podłodze między kredensem a jego

tapczanem. Oglądamy tv Rossija Kultura, ulubiony kanał Michajłowicza. Król pokazuje znaleziony ostatnio osiemnastogramowy samorodek. Trzyma go na telewizorze, w miseczce z drobnymi.

Władimir Michajłowicz – król chiszczników, wolnych, nielegalnych poszukiwaczy złota (z lewej) z Wanią przed sklepem Nadieżda (Nadzieja)

Katorżnik Łyskawiec – śmierć w kiblu

– Miałem trzy lata, ale dobrze pamiętam, jak na jesieni trzydziestego trzeciego roku przyszli w nocy i zabrali ojca – wspomina Władimir Michajłowicz. – U nas w Borysowie na Białorusi zastrzelili milicjanta i to na niego padło.

Wołodia został sam w domu, bo matka była na nocnej zmianie. Wychował się bez ojca, a dziesięć lat później jego matka powtórnie wyszła za mąż. Ale nie miała szczęścia do mężczyzn, bo po paru miesiącach wzięli go do wojska i ojczym Wołodii zginął na froncie bez wieści, a po kilku następnych miesiącach urodził się jego przyrodni brat.

W 1949 roku, 7 sierpnia, Wołodię wzięli do wojska. Pech chciał, że trafił do marynarki wojennej, gdzie zasadnicza służba trwa pięć lat. Dwadzieścia dwa dni później dostał list od ojca. Rodzonego. Wrócił do domu. Nie widzieli się szesnaście lat, a rozminęli o trzy dni. Ojciec napisał w liście, że rozumie matkę, wybacza jej, że na niego nie czekała, i że z nią zostaje, a jej młodszego syna uznaje za swojego.

– Wrócił, a mnie pierwszą przepustkę dadzą za dwa lata! – Władimir Michajłowicz nieczęsto podnosi głos.

– Wcześniej do was nie pisał? – pytam.

– Ani razu! Ani jednego listu przez szesnaście lat! Chociaż byli tacy, którzy czasem pisali z łagrów. A od niego nawet znaku życia, więc jak minęło dziesięć lat, cały jego wyrok, byliśmy pewni, że nie żyje.

Dwa lata później Wołodia dostaje przepustkę. Przyjeżdża do rodzinnego domu bardzo wcześnie rano. Przed progiem

stawia swój worek, otwiera drzwi. W środku mężczyzna wciąga buty. Wyraźnie szykuje się do pracy. Twarz zupełnie nieznana.

– Tatku, witaj – duka Wołodia. – To ty?

– Tak. Witaj, synu. Teraz idę do pracy, ale się zwolnię i wrócę do ciebie.

Ale wrócił dopiero wieczorem. Nie widzieli się osiemnaście lat.

– Ociec przytulił was, całował, dotykał? – pytam.

– Nie. Pozdrowiliśmy się, przywitaliśmy nawzajem. Słowami. A jak przyszedł z pracy, wypiliśmy po sto gramów. I opowiadał. Ja też. Tak po męsku. Piliśmy herbatę, jedliśmy i gadaliśmy całą noc jeden na jednego, chociaż wszyscy chcieli mnie zobaczyć, ale mama wyganiała.

– Płakaliście?

– Nie – mówi król chiszczników.

– Bo teraz macie łzy w oczach.

– Płakałem, kiedy dostałem list od ojca. Lubię popłakać czasami. Na przykład, jak chór dziecięcy śpiewa w telewizji. Od tej radości, że dzieci takie piękne… No, riebiata! Dawajcie po gram czterdzieści!

– Co ojciec opowiadał o katordze?

– Na przykład, że zaraz po aresztowaniu siedział w strasznej tiurmie w Orszy w pojedynczej celi, a naprzeciwko była cela śmierci, z której każdej nocy wyprowadzali ludzi na rozstrzał – opowiada Władimir Michajłowicz. – Ojciec nie wytrzymał. Z pryczy wydłubał wielki gwóźdź, przystawił do czoła, wziął rozbieg i wbił

w głowę. Ale nie wcelował dobrze. Przeżył. Potem, już na Kołymie, uciekał trzy razy i za każdą ucieczkę dokładali mu dwa lata. Dlatego nie wrócił po dziesięciu, tylko szesnastu latach.

– Nieczęsto bywa, żeby były zek opowiadał bliskim swoją historię – mówię. – To ten tajemny, ciemny fragment ruskiej duszy, którego nigdy nie zrozumiem.

– Wstyd było. Przecież za nic do więzienia nie wsadzali.

– Wsadzali! Za kłosy, butelkę mleka, garstkę kleju, za spóźnienie do pracy wsadzali. To jest za nic!

– No, dawajcie! – Tamarka przerywa nam w drażliwym momencie. – Wypijmy za to, żeśmy przeżyli!

– Na złość wrogom! – włącza się Wania.

Pijemy. Zakąszamy wędzonym schabem, który dostałem dzisiaj rano na Trasie w Jagodnem. Chwilę musimy pomilczeć.

– Ojciec opowiadał jeszcze – Władimir Michajłowicz przerywa wreszcie ciszę – że tutaj, w Burchale, był zwyczaj, że jak umierał straszny, wyjątkowo brutalny błatny zek, który znęcał się nad więźniami politycznymi, sanitariusz odpowiedzialny za nieboszczyków przywiązywał go do słupa na placu apelowym i każdy, kto chciał, przychodził i tłukł go drągiem do woli. Bardzo wielu z tego korzystało. Ojciec nigdy.

– Długo jeszcze żył?

– Przeżył matkę. Pewnie dlatego, że ona paliła, a on nie.

– Nie palił?! – dziwię się. – W łagrach prawie wszyscy palili. Chleb oddawali za papierosy.

– A wy wiecie, że w tamtych czasach była już na Kołymie anasza (marihuana)? Za jednym Cyganem Cyganka przyjechała i przywiozła tego cały tobół. Ojciec mówił, że to było straszne, bo robił się po tym jeszcze bardziej głodny niż zawsze. Zapalił i gotów był odgryźć i zeżreć własną rękę na surowo. Zeżreć cokolwiek, każde paskudztwo, choćby własne buty ugotować. I po tych strasznych przejściach, wyobraźcie sobie, Jacek, ojciec dożył osiemdziesięciu dziewięciu lat. Umarł lekko. Ja sam w tym czasie byłem już na Kołymie. W Burchale. A on wyszedł do wychodka, usiadł i wsio.

– W kiblu?

– Tak. To był dziewięćdziesiąty czwarty rok. Przeżył nawet Związek Radziecki.

Król Siergiej – 27 goli

Spotykam go kilka dni wcześniej w Jagodnem. Siergiej Bazawłucki to jeden z najpotężniejszych złotych oligarchów na Kołymie. Płucze złoto na północ od Jagodnego, zatem także w okolicach Sierpantinki. Opowiadał o niej Władimir z Debina, który stawia krzyże na łagrowych cmentarzach.

Bazawłucki zatrudnia stu siedmiu pracowników i co roku wydobywa ponad pół tony złota. Udaje mu się wszystko, do czego się weźmie. Załatwił sobie na przykład u świętej pamięci gubernatora Cwietkowa gigantyczne terytorium łowieckie na wyłączne władanie przez czterdzieści dziewięć lat. To 7,5 tysiąca kilometrów kwadratowych tajgi, obszar

wielki jak duży polski powiat. W „Siewiernej Prawdzie” daje ogłoszenie, że zakazuje tam wszelkich polowań i łowienia ryb, a do kłusowników będzie strzelał bez ostrzeżenia jak do zwierząt.

– Na szczęście ludzie się mnie boją i nie lezą – mówi. – Pewnie dlatego służba bezpieczeństwa z Magadanu przyjechała do mnie i namawiali, żebym wziął merostwo miasta. Odmówiłem.

– Po pierwsze, trzeba by wygrać wybory, a nie wziąć – ja na to. – A po drugie, dlaczego bezpieka się tym zajmuje?

– Ich zapytajcie. To jest Rosja przecież.

– Wielu waszych kolegów jest w polityce.

– Żeby strzec swoich biznesów i pieniędzy. Przecież nie w interesie ludzi to robią.

Nim Bazawłucki przyjechał w 1974 roku na Kołymę, był zawodowym futbolistą radzieckim w krzyworoskim Kriwbassie oraz Chemiku i Haryniu z Równego na Ukrainie. Wojsko odsłużył w siłach MSW, a w Burchale zrobili go głównym inżynierem na działce Mołodiożnyj.

– A tam ludzki kontyngent składa się głównie z dawnych więźniów, błatnych i izmienników, to znaczy tych, którzy zmienili, zdradzili ojczyznę. Przeważnie faszystowscy policjanci. Wszystkich przed wielu laty wypuścili z łagrów, ale nie wolno im było wracać na kontynent. Władza dała im robotę, jakąś minimalną, podstawową pensję, ale plan wydobycia były więzień ma głęboko w dupie. W pracy siedzą w wykopie i nic, tylko rżną w karty, a jak dostanie

taki wypłatę, w ogóle nie wychodzi z baraku, tylko gra i pije do ostatniej kopiejki.

Mołodiożnyj więc permanentnie nie wyrabia planu wydobycia. Cierpią na tym wszyscy pracownicy. Strasznie mało zarabiają.

Brygadzistą na tej działce jest Władimir Michajłowicz Łyskawiec.

Uradzają we dwóch, że zmuszą darmozjadów do roboty. Rozpoczynają misterną wojnę psychologiczną. Budują boisko piłkarskie w centrum osiedla, zakładają komsomolską drużynę futbolową i wyzywają byłych zeków na pojedynek.

– To było potworne – mówi Siergiej Bazawłucki. – Przerżnęli 27:0. Kwiat kołymskiego kryminalitietu daje sobie dokopać dwadzieścia siedem goli! Z tego ja sam wbijam dwadzieścia trzy. Potem biorę od Michajłowicza wszystkie jego oszczędności i zaczynam z nimi grać w oko. A ja od dziecka uczę się tej gry od najlepszych mistrzów. Jeszcze nikt w życiu nie ograł mnie w oko, więc Michajłowicz zastępuje mnie w pracy, a ja w trzy zmiany czyszczę z pieniędzy całą Burchałę.

– Jakim cudem?! Błatnych zeków? Toż oni połowę życia niczego innego nie robią, tylko grają. Oszukiwaliście.

– No pewno! Ostatniej nocy wstaję z główną wygraną od stołu, upycham ją pod swetrem na brzuchu i spokojnie idę do drzwi. I czekam na cios nożem w plecy. Bo dla nich taka karciana przegrana to straszna hańba, zniewaga. Ale przy drzwiach zawracam, podchodzę do stołu i wysypuję

wszystkie pieniądze. Oddaję. To jest jeszcze większa zniewaga. Ale biorą i od tego dnia zaczynają mi pomagać we wszystkim. A ja chcę tylko, żeby normalnie pracowali. I zaczynają.

Król Władimir – złote żniwa

– Tym naszym błatnym pozwalają wracać na kontynent w siedemdziesiątym szóstym roku – opowiada Władimir Michajłowicz, bo nasza wieczorna biesiada u Tamary trwa i rozwija się w najlepsze. – A faszystowskim policjantom dopiero w czasie pierestrojki, gdzieś w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, ale oni boją się wracać, boby ich tam na Białorusi i Ukrainie zaciukali za stare sprawki.

– Znamy się trzydzieści lat, Michajłowicz, a połowy tych opowieści nie znałam – nasza gospodyni podnosi kieliszek. – Tak otwarcie my nigdy nie rozmawiali.

– Żyjesz razem z człowiekiem, ale w duszę leźć nie będziesz – on na to. – No, dawajcie. Za drużbę!

Najwspanialszą złotą żyłę Władimir Michajłowicz trafia w końcu lat siedemdziesiątych. To historia, o której w świecie radzieckich poszukiwaczy złota mówi się latami. Nagle, od 1 czerwca, w Burchalińskim Kombinacie Górniczym urlopy wypoczynkowe bierze cała dyrekcja z dyrektorem generalnym, głównym inżynierem, geologiem, księgowym, szefem związku zawodowego i sekretarzem zakładowym komunistycznej partii. Bazawłucki też bierze wolne i pod wodzą Władimira Michajłowicza tworzą

ośmioosobową brygadę. Władzę w kombinacie sprawują zastępcy, a szefowie równy miesiąc pracują jak prości robotnicy. Są dni, że wypłukują po osiemnaście kilogramów złota. To wyczyn, który do tej pory nie został pobity.

Idea jest taka, że kierownictwo chce pokazać roboczemu kolektywowi, jak powinno się pracować. Władimir Michajłowicz ma to miejsce na oku od dawna. Wie, a w zasadzie czuje, że to będą złote żniwa, jakich Kołyma nie widziała. Wszyscy członkowie improwizowanej brygady zarabiają ogromne pieniądze. Każdy po miesiącu może kupić samochód.

Nie wszystkie domy w osiedlu z dymem puścili wandale. W Burchale do dzisiaj opowiadają, jak to po zabawie w miejscowym klubie Władimir Michajłowicz idzie z nauczycielką od angielskiego do niej na herbatę.

– Uczyliście się angielskiego? – pytam.

– Nie ja. Mój syn. Włączamy czajnik, pijemy po pięćdziesiąt gramów i walimy się do łóżka. Kompletnie tracimy głowy. Budzi nas syrena strażacka. Palił się czajnik, kuchnia i cały dom. Całe osiedle śmiało się z mojej nauki angielskiego.

– Dobrze się uczyliście?

– Nieźle. Ale już sporo zapomniałem.

– Ile mieliście lat?

– Siedemdziesiąt jeden. A ona mężatką była. Mąż w wojsku. Wiecie, jak to w życiu… Gorzkie w smaku, ale żal nie wziąć, jak za darmo dają.

Władimir Michajłowicz od trzydziestu lat jest wdowcem. Po pani od angielskiego wiąże się z kucharką z miejscowego przedszkola. Już dziewięć lat są razem, ale nie mieszkają ze sobą. Kobieta ma trzydzieści pięć lat. Nasza gospodyni Tamarka też nie jest przeciw – jak mawia król chiszczników.

– Dość wam naopowiadałem. Wypijmy.

Dzień XX
Susuman. 626. kilometr Traktu Kołymskiego

Jemy w kuchni Władimira Michajłowicza dobre, kawalerskie, ale bardzo solidne śniadanie składające się z wczorajszych resztek. Czarny chleb, schab, czosnek, a do picia zimna woda i koniak. Gospodarz nie ma czajnika. Oprócz śniadania na stole biografia Iwana Groźnego, podręcznik obsługi ciągnika i lupa. Podłoga usłana planami geologicznymi „rozpoznanych złóż złota”. Nazywają się płanszetami. Myślę, że to posag, z którym Władimir Michajłowicz wyszedł z państwowego przedsiębiorstwa górniczego.

Dzisiaj w Rosji wybory samorządowe. Idziemy oddać głos. Potem pijemy kawę z komisją wyborczą i wracamy do Władimira Michajłowicza po mój plecak, a on oznajmia, że nie idę łapać okazji na drodze, bo załatwił mi transport do oddalonego o sześćdziesiąt dziewięć kilometrów Susumanu. To kolejne miasteczko, do którego muszę dotrzeć. Mój gospodarz nie chce rozmawiać o pieniądzach i obraża się, kiedy nalegam. Wszystko już sam opłacił.

Pod dom mojego gospodarza podjeżdża piętnastoletnia łada niwa jego kolegi, ładujemy mój plecak, nowy kożuch, pijemy pożegnalny kieliszek koniaku, Michajłowicz bierze mnie w ramiona i odjeżdżam.

Mój kolejny paputczik to emerytowany spawacz Wasilij Aleksandrowicz Kajtasz. Mieszka w Burchale, ale nie jest chiszcznikiem, tylko wolnoprinositelem. To także bardzo drobny, pracujący ręcznie, samodzielny, ale legalny poszukiwacz złota. Wolnoprinositele zrzeszeni są w czymś na kształt spółdzielni, kołchozów, bo nie mają swoich własnych licencji. Firma Wasyla nazywa się Ametyst. Wolno mu płukać tylko na jej działkach, i to przekopanych już przez wielkie maszyny. Urobek musi odsprzedawać do swojego kołchozu. Płacą cenę rynkową pomniejszoną o wszystkie podatki.

Ten rok nie był udany dla Wasyla. Płukał średnio dwadzieścia-trzydzieści gramów złotego piasku miesięcznie, to po odliczeniu podatków jest 17-25 tysięcy rubli (1,7-2,5 tysięcy złotych). Zanosi się, że będzie musiał wozić węgiel na działkę, grzać ziemię i wodę i pracować całą zimę. Problem w tym, że kołymskie żyły złota są trudno dostępne. Mają od pięćdziesięciu do stu centymetrów grubości i są ukryte nawet dziesięć, dwanaście metrów pod powierzchnią ziemi. Wasyl pracował kiedyś w Jakucji na żyle, która miała siedem metrów grubości i leżała na powierzchni.

Pytam, czy znalazł kiedyś samorodek. Nigdy. Mówi, że ma do nich ciężką rękę, a przejeżdżamy akurat przez osiedle Paliewoj, w okolicach którego w 2005 roku znaleziono największy rosyjski samorodek od upadku ZSRR. Nazywa się Adamowicz, jak właściciel kartelu, który go wypłukał. Waży 2,976 kilograma i ma rozmiar dziecięcej piąstki.

Kilkadziesiąt kilometrów dalej Susuman, który jest znany z większego wykopaliska. W 1977 roku na jego przedmieściach z wiecznej zmarzliny wykute zostało prawie nietknięte przez czas, zmumifikowane mamuciątko. To siedemdziesięciokilogramowe, liczące metr wzrostu pisklę sprzed 40 tysięcy lat. Nazwano go Dima.

Miasteczko Susuman – pięć tysięcy mieszkańców (w całym rejonie tylko dziewięć tysięcy z czterdziestu siedmiu, które mieszkały tu jeszcze dwadzieścia lat temu). Kilka dni temu za sprawą zuchwałego rabunku miasteczko pojawia się na chwilę w mediach całej Rosji.

Ze skarbca kombinatu „Susuman Zołoto” rabusie kradną siedem kilogramów złotego piasku. Wcześniej wdzierają się do stacji energetycznej i wyłączają zasilanie w całym mieście. Przestaje działać oświetlenie, sygnalizacja alarmowa i monitoring. Milicja łapie złodziei na lotnisku w Moskwie. To chłopaczki po osiemnaście, dziewiętnaście lat, poszukiwacze złota, a nie zawodowi przestępcy. Niedawno jeszcze pracowali w kombinacie, ale szefowie ich oszukali i nie zapłacili im za cały sezon roboty. Złoto sprzedali od ręki za siedem milionów rubli susumańskim handlarzom (wartość rynkowa osiem i pół miliona).

W hotelu dostaję tak zwany półluks – pokój z normalnymi wreszcie warunkami (gdzie nie brzydzę się wejść do toalety albo położyć na łóżku), chociaż bez prysznica, ale w porównaniu z tym, co miałem do tej pory i co zapewne czeka mnie dalej, czuję się trochę jak na urlopie. Parę godzin nic nie robię. Oglądam telewizję i zmieniające się za oknem światło. Tylko na północy Syberii, i w zimie, jest takie. Przy tęgim mrozie. Szczególnie pod wieczór, tuż przed zapadnięciem ciemności. Taka kontynentalna przezroczysta mroczność. Powietrze nabiera niewiarygodnej przejrzystości, ale takiej groźnej, przerażającej nawet. Trudno to opisać. Powietrze i przestrzeń jakby miały kolor, lekko błękitny, lodowato niebieski, chociaż lód, śnieg i mróz są białe.

Robię zdjęcie, ale widzę, że nie oddaje klimatu za oknem.

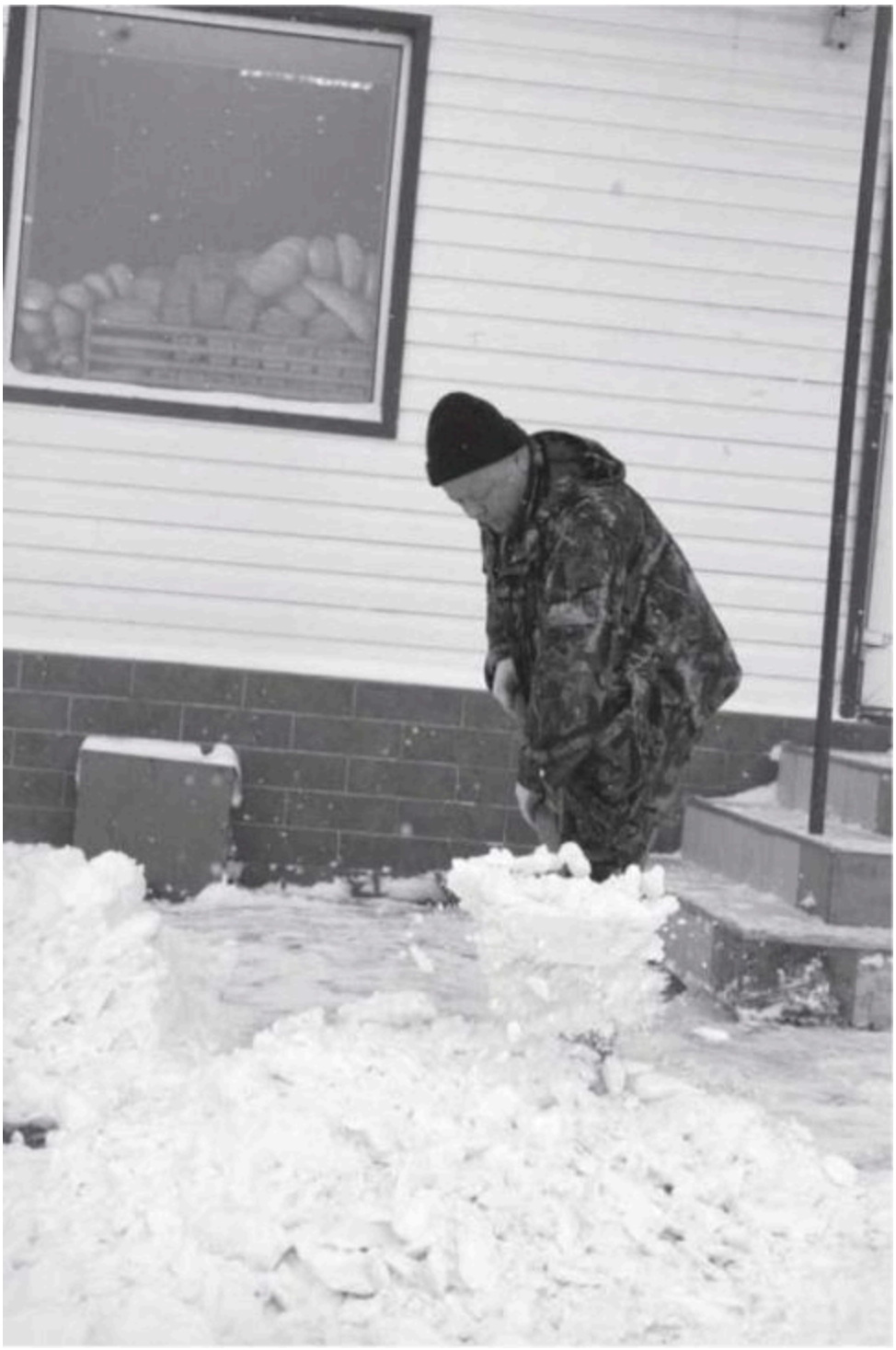

Susuman. Przed piekarnią

Doktor Oksana – obca

Oksana Kaproska jest inspektorem Rossielchoznadzoru. Rosjanie są mistrzami w lepieniu i kompresowaniu słów. To cudaczne zmontowane zostało z czterech: Rosyjskiej Inspekcji Gospodarstwa Wiejskiego.

Oksana jest weterynarzem, do tego metyską, półkrowką, jak mawiają w Rosji. Ma trzydzieści jeden lat. Urodziła się w jurcie, czyli namiocie syberyjskich ludów. Całe dzieciństwo spędziła w wiosce Topołowka na wschodzie Kołymy u nasady Kamczatki. Jej ojciec jest Czukczą, matka Koriaczką. Koriacy to maleńki naród zamieszkujący półwysep. Są pasterzami reniferów, jest ich około ośmiu tysięcy.

Jej rodzice spotkali się w szkole zawodowej. Matka zwykle mówiła po koriacku, ojciec – po czukocku, ale między sobą dogadać się mogli tylko po rosyjsku. Czworo ich dzieci zna więc tylko rosyjski.

Dziewczyna wyjeżdża z Topołowki, kiedy ma dwanaście lat.

– Do szkoły na Czukotce – opowiada. – Myślałam, że będzie jak w domu, jak w ojczyźnie, a w mojej klasie poza mną było troje Czukczów i dziesięcioro słowiańskich dzieci. A ja taka półkrowka, ni pies, ni wydra. Czternaścioro dzieciaków w klasie, a ja ani z tymi, ani z tamtymi. Sama. Obca. Czułam się jak w gościach. Nawet Czukcze nie mieli mnie za swoją, chociaż ja z tego ludu. Potem była szkoła w Magadanie. Tam dzieci za mną biegały, rzucały śnieżkami

i wyzywały od Czukczy. A wstyd być Czukczą. Czukcza to ciemniak, głupek, brudas. Dlatego nie chcę być Czukczyjką.

Oksana wraca do Topołowki na praktyki studenckie. Wcześniej w wiosce ogłosili, że przyjeżdża nowy weterynarz, do tego nasz człowiek. „Kto?” – pytają pasterze reniferów. „Oksana Kaproska”. „A, to nie nasza”.

– Okazało się, że dla nich też jestem obca – mówi młoda weterynarz. – Tak jak oni dla mnie. Skarżyli mojej matce, że jestem źle wychowana, nie znam języka, tradycji, a ja po prostu nie mogłam ścierpieć tych ich staroświeckich zabobonów, obyczajów. Ja jestem normalną wykształconą w Rosji dziewczyną, przyzwyczajoną do równego traktowania, a u nich kobieta mniej ważna niż pociągowy renifer. Nie może nawet jeść razem z mężczyznami. To kiedy ja, kurde, miałam jeść?! Bo pracuję, a jak wracam, najpierw oni jedzą, potem druga grupa, potem tej pierwszej chce się herbaty i ja znowu nie mogę. Oni w jurcie niczego gospodarskiego nie zrobią. Nawet herbaty sobie nie naleją! Nawet nie powie, że mu się chce, tylko odstawia kubek tak, żeby było widać i słychać. I czeka.

Oksana studiuje w Omsku w centralnej Syberii przy granicy z Kazachstanem, gdzie lekko skośne oczy są codziennością. Wszyscy ją biorą za Kazaszkę albo myślą, że jest Tatarką, Uzbeczką… Najważniejsze, że nie pytają.

– A ty mówiłaś, że kto? – teraz ja pytam.

– Koriaczka.

– Dlaczego nie Czukczyjka?

– Bo to wstyd! Czukcza to przezwisko, nie narodowość. Znasz jakieś kawały o Czukczach?

– Na pamięć nie – mówię – ale z Kołymy jadę na Czukotkę, to wyciągnąłem z internetu. Parę tysięcy.

– Tata jest na mnie i siostry bardzo obrażony, że nie przyznajemy się do jego narodowości. Głupio tak. A Koriaczka jest dobra. Tutaj, w Susumanie, jedyna jestem. I sama. Samotna. Tylko z psem. Jest jeden Komi, Aleuta, Itelmen, ale co mi do nich? Ja chyba bardziej Ruska jestem. Wychodzi, że marginałka. Obca wśród swoich i nie swoja wśród obcych. Mieszkam tu już siedem lat i nic się nie wydarzyło. Chcę stąd wyjechać. Najpierw do Magadanu. Potem dalej, bo nie chcę żyć w Rosji. Tylko nie wiem gdzie. Może w Danii? Bo jak nie mam ojczyzny, to dlaczego nie tam?

Kaproska to jeden z ptaków żyjących na Czukotce, a imiona Oksana ma dwa. Koriackie i rosyjskie – Oksana. Użytkowe jest tylko to drugie, pierwsze, nadane przez dziadków, jest tajne, zna je tylko najbliższa rodzina. To imię któregoś z przodków dziewczyny, które wolno wymawiać tylko w szczególnych sytuacjach, kiedy na przykład Oksana potrzebuje jego pomocy, choruje, grozi jej niebezpieczeństwo.

– Jeśli kiedyś będę miała dzieci – mówi smutno dziewczyna – i moi rodzice ich doczekają, to też będą miały dwa imiona. A jak nie doczekają, będę ostatnim pokoleniem w rodzinie z tajnym imieniem. Ostatnią prawdziwą Koriaczką.

Dzień XXI
Susuman. 626. kilometr Traktu Kołymskiego

Wczoraj wieczorem pisałem o pogodzie, a w zasadzie o tym, że światło dziwne, niepokojące, coś wisi w powietrzu, jakaś groza, pomroka, zapowiedź czegoś.

I się doczekałem. Kołyma doczekała się zimy. Jak zwykle przyszła z tą swoją podstępną nagłością. Przygnała z purgą, to znaczy zamiecią, zawieją śnieżną, ale nie huraganem – ten nazywałby się buranem. Buran, czyli śnieżna burza, lodowaty ubijca, mroźna śmierć po prostu. Na niego przyjdzie pora od listopada, a dzisiaj po prostu fest wieje i sypie śniegiem cały dzień. I uspokaja się. Znowu jest ładnie, mroźnie i słonecznie, tyle że dowaliło pół metra śniegu.

Kołymska, straszna zima – największy sojusznik naczelników Gułagu, śmiertelny wróg zeków. Szczególnie tych, którzy marzą, żeby zwiać. Podstępnie ich zaskakuje w trakcie ucieczki, zabija albo doprowadza poodmrażanych pod bramę obozu.

Na przykład bramę łagru Maldiak, tuż obok miasteczka, w którym siedział i rył złote piaski Siergiej Pawłowicz

Korolow, późniejszy ojciec radzieckiej kosmonautyki. Genialny konstruktor rakiet i statków kosmicznych był już dochodiagą. Uratowała go matka, która jakimś cudem „przebiła się” do legendarnego radzieckiego pilota oblatywacza i polarnika Michaiła Gromowa odznaczonego Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego przez samego Stalina. Kobieta przekonała Gromowa, że krajowi potrzebny jest jej syn, bo to najwybitniejszy inżynier lotniczy w ZSRR. Gromow sprawił, że Korolowa ściągnięto z Kołymy. Siedział jeszcze kilka lat, a kiedy wojna się skończyła, został zwolniony i włączony do zespołu badającego zdobyte na Niemcach rakiety V1 i V2.

Ale wracając do zimy – skąd ja niby wiem na pewno, że już nadeszła? Przecież od dawna leży śnieg, od Jagodnego, albo nawet od pierwszej przełęczy na Trasie, a dwadzieścia stopni mrozu w nocy było już w Debinie. To skąd wiem na pewno?

Zabawię się w Wajraka. Będzie o przyrodzie, o myślącej roślinie. To duży, iglasty krzew, bardzo podobny z kroju do naszej górskiej kosodrzewiny i tak jak ona porastający kołymskie góry. Jest bliskim, karłowatym, arktycznym kuzynem naszej tatrzańskiej limby, w Rosji zwanym cedrem syberyjskim. Należy do rodziny sosen. To jedyna na Dalekiej Północy roślina zielona przez cały rok. Ma bardzo smaczne nasiona szyszek i jest najmądrzejszą ze wszystkich roślin.

Ostatniej nocy przed definitywnym przyjściem zimy (a nie jakimś tam przymrozkiem w granicach minus dwudziestu stopni) ten przebiegły, mierzący półtora-dwa metry wzrostu

krzew sam kładzie się na ziemi. Cały krzak rozściela się, ze wszystkich sił przytula się do gruntu. Robi wszystko, żeby przykryła go jak najgrubsza pierzyna śniegu, i jeszcze kombinuje, żeby zrobić to w ostatniej chwili – przecież zima trwa tu osiem miesięcy. Naciąga zatem na siebie ostatni śnieg przed wielkimi mrozami… nigdy się nie myli.

Nazywają go tutaj stłannikiem, od słowa stielitsa – ścielić, słać.

Tej nocy w Górnej Kołymie (gdzie teraz jestem) poprzewracały się wszystkie cedrowce. Wstaną dopiero na wiosnę. I znowu dzięki nim ludzie dowiedzą się o jej nadejściu. Bo na oko będzie jeszcze poważna zima, a one wyrwą się spod śniegu na siłę – do światła, do słońca. Będą wiedziały, że strasznych mrozów już nie będzie, że jak na Kołymę, to już wiosna.

Dzisiaj od rana próbuję pozbyć się brody, bo wyglądam jak dziadek mróz albo otszelnik jaki, dziwak-samotnik z tajgi (jutro zresztą planuję odwiedzić takiego). Z zarośniętą gębą czuję się staro. Nie goliłem się od wyjazdu z Magadanu. Nigdy w drogę nie biorę maszynki do golenia, bo używam elektrycznej, a ciężka. Chodzę do fryzjera i każę ciąć najkrócej jak się da. Ale w Susumanie nie ma męskiego fryzjera, a w żeńskim odmówili mi usługi. Był golibroda w bani, czyli miasteczkowej łaźni, ale ze strachu przed aids zabroniono mu wykonywania zawodu.

Więc taki brzydki odwiedzam studio lokalnej telewizji i udzielam im nawet wywiadu. Każde rejonowe miasteczko na Kołymie ma swoje studio. Szefowa, nazywająca siebie

dyrektorem (kolektyw z kierowcą liczy cztery osoby), ma na imię Makka. To imię dawane muzułmańskim dziewczynom na cześć świętego miejsca wszystkich wyznawców Mahometa. Makka jest Inguszką, ma trzydzieści jeden lat i marzy, jak wszyscy jej kołymscy rodacy, o powrocie do ojczyzny. To bardzo wyzwolona dziewczyna. Cieszy oczy ogromnym, pysznym dekoltem, nosi stringi, buty na tak wysokim obcasie, że ledwo może chodzić, ale ciągle poucza mnie, że kobietom nie podaje się ręki. To ani w Rosji nieprzyjęte, ani odpowiednie wobec muzułmańskiej kobiety. Makka niedawno rozstała się z mężem i znowu zamieszkała z rodzicami, bo młoda kobieta nie może mieszkać sama. Jej matka i ojciec wyjechali na kilka dni, więc mogę wpaść do niej do domu na herbatę dopiero, jak jej dwunastoletni brat wróci ze szkoły.

Wieczorem w magadańskiej telewizji podają wyniki lokalnych wyborów. Aleksander Basanski, złoty oligarcha, którego poznałem w stolicy regionu, zdobył 75 procent głosów ze swojej listy w wyborach do obwodowej Dumy. To najlepszy wynik w obwodzie. A partia Jedna Rosja oczywiście zdobyła większość głosów.

I jeszcze scenka od czapy. Z miejscowego szpitala rejonowego, do którego przychodzę odwiedzić pewnego starszego pana. Kobieta przy wejściu mówi, żebym zdjął zaśnieżone buciory, i podaje mi chińskie, plastikowe klapki. Pytam dla żartu, czy z grzybem, a ona śmiertelnie poważnie, że niby skąd ma wiedzieć.

Pałac młodzieży z wychodzącą na ulicę pracownią modelarską

Ojciec Igor – pusty lód

Jedyni ludzie, którzy w Gułagu zachowali ludzkie oblicze – pisał Warłam Szałamow – resztkę godności, to religiozniki: ludzie religijni, cerkiewni, sektanci (jak nazywano wszystkich nieprawosławnych). Rozkład moralny ogarnął wszystko i wszystkich, a tylko oni jakoś się trzymali.

Powszedni dzień, środa, więc na wieczornej liturgii raptem osiem osób. Ale tylko trzech wiernych. Pozostali to cerkiewni ludzie. Dwuosobowy żeński chór, babuszka ze sklepiku ze świeczkami, ojciec Igor i starosta cerkiewnej wspólnoty, który musi być codziennie, bo kto odwali śnieg sprzed wejścia?

Miejsce symboliczne. Nie tylko dlatego, że dom Pana. W latach czterdziestych mieszkał tu razem z rodziną naczelnik Północno-Wschodniego Zarządu Gułagu, który dostarczał niewolniczą siłę roboczą dla całej Kołymy. Potem był tu rejonowy komitet Komsomołu, a jeszcze później rejonowa przychodnia dentystyczna. W końcu pierestrojki ludzie poszli do władzy i zażądali miejsca na świątynię. I tak od 1990 roku przychodnia jest prawosławną cerkwią pod wezwaniem Świętego Mikołaja Cudotwórcy.

Ojciec Igor Jarosławowicz Tierientiew ma czterdzieści jeden lat. Po nabożeństwie zaprasza na herbatę i ciastka z miodem. Tajożnym, z tajgi, ale nie zrobiły go pszczoły, bo ich tu nie ma – za zimno. Kołymski miód robią ludzie. Ze stłanika. Bardzo długo gotuje się młode, zielone szyszki, potem je odcedza, do wywaru dodaje cukier, jeszcze raz

gotuje i miód gotowy. Słodki, gęsty, w smaku jak syrop na kaszel.

To niejedyne zastosowanie stłanika. Warłam Szałamow twierdzi, że ogień z jego drewna jest najcieplejszy. A w gułagowskich szpitalach materace wypychano pociętymi gałązkami krzewu.

Nie były to więc sienniki, tylko cedrowniki. W barakach zeki spali na gołych dechach.

Szczytem udręki natomiast było „lekarstwo", czy też „preparat profilaktyczny" na cyngę, czyli szkorbut, którym obowiązkowo byli truci wszyscy więźniowie od 1942 do 1952 roku. To były rozgotowane na maź igły stłannika. W Jagodnem powstał nawet kombinat witaminowy, który produkował preparat na potrzeby całej Kołymy.

„Lekarstwo" było paskudne w smaku, więc więźniowie stawali na głowie, żeby uniknąć codziennej porcji mazi. Szybko się zorientowali, że to szkodliwe dla nerek, a w igliwiu, szczególnie po tak długim gotowaniu, nie ma nawet śladu witaminy C.

Ojciec Igor był w Susumanie w 2007 roku na rocznych praktykach seminaryjnych. Zakochał się, ożenił i wrócił z oblubienicą na kontynent kończyć seminarium, a po święceniach skierowany został na Kołymę na stałe. To on święci krzyże stawiane przez Władimira Najmana na obozowych cmentarzach, bo jest jedynym kapłanem od Omsukczanu do Ust-Nery, na ponad ośmiuset kilometrach Traktu Kołymskiego.

– Ojciec tu na długo? – głupio jakoś nazywać ojcem kogoś, kto ma dziesięć lat mniej ode mnie.

– Na skierowaniu napisali „na długi czas” – ojciec Igor dziwnie markotny. – Znaczy, nie wiadomo jak długo. Ktoś tu musi pracować. W zeszłym roku urodziła mi się córka, ale odprawiłem ją z żoną na kontynent. Strasznie tu zimno, owoców nie ma, z warzyw tylko chińszczyzna.

– Może przyślą kogoś ojcu na zastępstwo – pocieszam go.

– Dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. A tutaj niemożliwe zdarza się na co dzień. W zeszłym roku w listopadzie do cerkwi w miasteczku Sejmczan przyszło do mnie dwóch pogan. Wracali z polowania.

To byli jukagirscy myśliwi. Przedstawiciele maleńkiego ludu, liczącego zaledwie 1200 ludzi, z których osiemdziesięcioro mieszka w wiosce Guchariny na Kołymie.

W zimie na Dalekiej Północy bardzo często powstaje tak zwany pustolód, czasem zwany pustotą. Bywa, że po zamarznięciu woda w rzekach i potokach gwałtownie opada, więc cała, niezbyt gruba tafla lodu wisi w powietrzu. To śmiertelnie niebezpieczna pułapka i często nie do rozpoznania nawet przez ludzi tajgi – chyba że szóstym zmysłem.

Obciążeni plecakami jukagirscy myśliwi z Guchariny ruszają na polowanie. W tajdze przeprawiają się przez potok. Lód się załamuje i obaj wpadają do wody. Walczą, żeby prąd nie wciągnął ich pod taflę, zrzucają plecaki, jeden po drugim wyczołgują się na powierzchnię, ale lód znowu pęka i łamie się co chwila, co parę kroków. Tak brnąc, po

kilkunastu minutach walki docierają jakimś cudem do brzegu. Są śmiertelnie wyczerpani i zupełnie mokrzy. Nie mają sprzętu biwakowego, ubrań na zmianę, broni, żywności i zapałek. Nadchodzi noc, a mróz prawie czterdzieści stopni.

Zamarzają. Nie mają nawet siły, żeby iść. Siedzą skuleni nad potokiem i czekają na nieuchronne.

– Jeśli z tego, kurwa, wyjdę – jęknął jeden z nich – to się chyba, kurwa, ochrzczę.

Zamarzają już, bo obu robi się raptownie ciepło, dobrze, gorąco, a z wysokiego brzegu sypie się śnieg z kamieniami. Za nimi zsuwa się ze stoku niemłody już, brodaty mężczyzna w łowieckich drelichach, ale bez broni. Nie jest Jukagirem. Ruski. Przebiera myśliwych w suche ubrania, sprawnie rozpala ognisko, poi wódką, gorącą herbatą, karmi i suszy. Następnego dnia rano nieznajomy dzieli się z myśliwymi swoimi zapasami żywności. Potem się żegna, a na odchodne rzuca, żeby nie zapomnieli o swojej obietnicy, i rusza w stronę, z której przyszedł.

– Kto to był? – pytam ojca Igora.

– Otóż to! Myśliwi też zaczęli się zastanawiać. Są przecież dwieście kilometrów od najbliższej ludzkiej siedziby. To jest ich własne terytorium łowieckie, więc są tu jedynymi myśliwymi, jedynymi ludźmi. Wstają od ogniska i wychodzą za nieznajomym na wysoki brzeg potoku. A tam żadnych śladów na śniegu.

Kilka dni później docierają do Sejmczanu. Idą do cerkwi i proszą ojca Igora o chrzest. A kiedy przed obrzędem

zapalają się światła, pokazują na starą ikonę i mówią, że to był on. Święty Mikołaj Cudotwórca.

Dzień XXII
Bolszewik. 663. kilometr Traktu Kołymskiego

Wychodzę z Susumanu na Trakt Kołymski. Wyświetlacz na siedzibie kompanii Susuman Zołoto pokazuje 26 stopni mrozu, więc żeby nie zamarznąć, nie stoję na drodze jak w Jagodnem, tylko maszeruję na zachód. Specjalnie nawet ubrałem się bardzo lekko, bo może potrwać, nim złapię podwózkę. Ruch minimalny, gdzieś jeden samochód na pięć, sześć minut.

Pierwszy paputczik podwozi mnie tylko do Chołodnego na 641. kilometrze Trasy. Tolik jest kierowcą wozu strażackiego na tym osiedlu, radzi, żebym nie wędrował, nie oddalał się od ludzi, bo jak nie złapię podwody, to jednak będę miał się gdzie schronić na noc. Jest doświadczonym kierowcą, więc radzi też, żebym nie stawał przed i na podjazdach. Żaden szofer nie zatrzyma ciężarówki w takim miejscu, bo później nie ruszy pod górę. Droga wypolerowanym jak szyba. Na zjeździe też ciężarówka się nie zatrzyma, bo kierowca nie będzie chciał stracić prędkości przed następnym podjazdem. Nie jest łatwo spełnić te wymagania w górach. Płaskich odcinków nie ma,

a ja chcę wędrować, a nie stać i dzwonić zębami na szczytach wzniesień.

Ale na następny samochód czekam tylko minutę. Staje pod górę, bo to lekki uazik z napędem na cztery koła. Witalij ma trzydzieści cztery lata i kilka złotych zębów. To kolejny szczegół, którym kołymianie różnią się od pozostałych Rosjan – tutaj moda na złote zęby przetrwała nawet wśród młodych ludzi.

Witia pracuje w wielkim kartelu poszukiwaczy złota. Wozi w tajgę części zamienne do maszyn. Podrzuca mnie tylko parę kilometrów i łapię kamaza cysternę z czterdziestosiedmioletnim Uzbekiem Mustafą za kierownicą. Ten wszystkie zęby ma złote. Szoferka ciężarówki to jedyny jego dom przez dziesięć miesięcy od lutego do grudnia. Na dwa najzimniejsze miesiące wraca do swojego domu w Bucharze.

W tygodniu Mustafa sześć dni jest w trasie. Tylko jedną noc spędza w łóżku. Prawdę mówiąc, nie potrafi już spać w hotelu robotniczym, więc kiedy nie może zasnąć, idzie do szoferki.

Bardzo rzadko zabiera autostopowiczów. Boi się bandytów, którzy najchętniej porywają właśnie cysterny, bo wożą bardzo cenny, chodliwy ładunek.

I tak trzema małymi, żabimi skokami dojeżdżam do Nieksikanu na 651. kilometrze. Strasznie żałuję, że nie mogę lepiej poznać ludzi, którzy mnie wożą. Taka zacność w nich, dobroć, prawdziwość…

Na Kołymie jest pięćdziesiąt zamieszkałych siedzib ludzkich – miast, miasteczek, wsi i osiedli, w których żyje choćby jeden człowiek, tak jak w posiołku Nieksikan.

Nazywa się Władimir Kuklin. Współczesny otszelnik, dziwak-samotnik, tylko że ten nie zaszył się w tajdze, nie uciekł od ludzi, od świata, cywilizacji, jak sławny na całą okolicę były zek, który zamieszkał kilka kilometrów za niedaleką Striełką. Na nazwisko miał Prochorow, do tego staroświeckie imię Prochor, tak jak jego ojciec, nazywał się więc w pełnym rosyjskim brzmieniu Prochor Prochorowicz Prochorow. Umarł w zeszłym roku w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Z Władimirem jest tak, że to ludzie i cywilizacja od niego uciekły, a właściwie powolutku oddalały się, wyjeżdżały, odchodziły, aż wreszcie dwanaście lat temu Władimir został sam jak palec.

Nie ma nawet psa jak inni otszelnicy.

Goście pojawiają się u niego raz na dwa miesiące, kiedy przywożą mu wodę do picia. Raz w tygodniu Władimir wędruje albo jedzie autostopem do sklepu. Dziesięć kilometrów na wschód do Chołodnego albo jedenaście kilometrów na zachód do Bolszewika. I to wszystkie jego kontakty z ludźmi. Mniej niż Robinson Crusoe, bo on miał Piętaszka na co dzień.

Bolszewik to nie jest człowiek. Posiołek tak się nazywa. Mieszka tam pięć rodzin, ale jest sklep. Wodę pitną trzeba Władimirowi przywozić z daleka, bo poszukiwacze złota tak zanieczyścili wszystkie okoliczne potoki, że woda z nich nie

nadaje się nawet do mycia i prania. Żeby coś uprać, mężczyzna łapie deszczówkę, a w zimie topi śnieg.

Władimir mieszka i pracuje na przesyłowej stacji elektrycznej. Dogląda i konserwuje urządzenia, a jedyne, czego ma pod dostatkiem, to energia elektryczna. Do tego jest za darmo, więc nawet nią grzeje w swoim dwupokojowym domku i na niej gotuje.

Los, jaki spotkał Nieksikan, bez wątpienia lada chwila dopadnie Burchałę, w której byłem kilka dni temu. Nieszczęście polega na tym, że oba osiedla rozsiadły się na żyłach złota, a cały kruszec w okolicy został wybrany – tyle że w Nieksikanie kilka lat wcześniej. Mieszkańców powolutku wysiedlano, burzono domy, zrywano ulice, a potem jak zwykle wybuchł pożar i pochłonął całą resztę.

Stacja elektryczna i domek Władimira to jedyne skrawki nieprzerytej, nieprzepłukanej ziemi w Nieksikanie.

Władimir od bardzo dawna nie wyjeżdża ze swojego osiedla, chociaż państwo co dwa lata funduje wszystkim budżetowcom darmowy lot samolotem na kontynent. W 1989 roku otszelnik był w Magadanie, ale teraz już nie ma śmiałości. Kiepsko orientuje się w pieniądzach, cenach, nie umie jeździć pociągiem, autobusem, płacić kartą, obsługiwać bankomatu, a telefony komórkowe napawają go przerażeniem. Nie ma rodziny, kobiety, broni ani telefonu, a piętnaście lat temu w pożarze osiedla spaliła się cała jego historia. Cała przeszłość, pamięć, wszystkie zdjęcia, książki, szkolne świadectwa, komsomolskie dyplomy, wojskowe nagrody. Cała biografia spłonęła. Nic nie zostało.

Władimir zarabia 27 tysięcy rubli plus dziesięć tysięcy emerytury (w sumie 3,7 tysiąca złotych). Jestem u niego ze dwie godziny i widzę, że żegna mnie z wielką ulgą.

Maszeruję w stronę Bolszewika, a od kilkunastu minut lezie za mną jakiś kundel. Myślałem, że to lis, ale z każdą minutą jest bliżej i widzę, że to młody pies. Bardzo młody, poharatany, chudy, parszywy i głodny. Skąd się wziął na tym odludziu? Nie wygląda na to, żeby miał przeżyć najbliższą noc. Ostatniej było 26 stopni mrozu. Próbuję go przegonić.

Im bardziej próbuję, tym bliżej jest przy mojej nodze. Mówię mu, że przez niego żaden samochód się nie zatrzyma. Będą myśleli, że jesteśmy razem.

A Lisek trąca mnie nosem w łydkę.

Noc spędzam na 663. kilometrze w Bolszewiku u Wiery Konstantinowej, właścicielki sklepiku, która się zlitowała i pozwoliła u siebie przespać. W domu, nie w sklepiku.

Otszelnik Władimir, od którego uciekła cywilizacja, w swojej samotni

Otszelnik Władimir – kuropatki zniknęły

– A wy, Władimir, nie szukacie sobie złota? – pytam. – Tyle tego macie pod swoim domem.

– Za głęboko. Dwanaście metrów. Jak byliśmy mali, po szkole braliśmy sito i płukaliśmy. Parę gramów na kieszonkowe zawsze się nazbierało. Nie zabraniali, zachęcali nawet, a w latach siedemdziesiątych najechało się Inguszów, którzy zaczęli kupować, zbudowali czarny rynek, złoto znikało w Turcji i władza zabroniła szukania na własną rękę.

– Wam nie smutno samemu?

– Smutno – mówi otszelnik. – Ale komforty mi nie potrzebne. Spokojnie, cicho, pięknie, sąsiedzi nie hałasują i telewizor na szczęście coś pokazuje. Mam wideomagnetofon, oglądam kasety. Książek nie czytam. Ale miałem bardzo dużo, tylko się spaliły.

– Wódka?

– Silnie nie spożywam. W zimie chodzę w tajgę za zającami. Stawiam pętle. Ale kuropatki jakoś zniknęły.

– Kobiety?

– Trzeba bardzo! Ale żadna porządna nie przyjdzie tutaj żyć. Byłem żonaty, ale bardzo dawno. Dwa lata byliśmy razem, urodził się syn, wzięli mnie do wojska, a ona poszła w cug. Puściła się z jednym, drugim, trzecim. Jak wróciłem, już jej nie było.

– Macie kontakt z synem? – pytam.

– Już dwadzieścia dwa lata się nie widzieliśmy.

– Czym się zajmuje?

– Nie wiem.

– Gdzie mieszka?

– Oj, nie wiem! Podobno mam wnuki. Rozmyślam ciągle, gdzie by tu pojechać na starość. Już pięćdziesiąt dziewięć lat. Zestarzeć by się trzeba gdzieś przy ludziach.

Dzień XXIII
Miaundża. 705. kilometr Traktu Kołymskiego

W języku Ewenków, którzy tu kiedyś koczowali ze stadami reniferów, Miaundża to Serce.

Kiedy rano ruszam z Bolszewika w drogę, są 24 stopnie mrozu. Godzinę później myślę, że opuściło mnie reporterskie szczęście. Idę, idę, ciągle idę… Mija druga godzina, a ja idę. Żeby nie zmarznąć. Zamarznąć! No to idę. Wory na plecach, głucha tajga, słońce chowa się za chmurami i robi się jeszcze zimniej, nieprzyjemnie. Trzeba było stać, tobym chociaż był przy ludziach.

Ruch na drodze minimalny. W moją stronę przejeżdża siedem samochodów. Liczę je. Dwie osobówki i pięć ciężarówek. Ugolszczicy, czyli węglarze, z Magadanu. Jadą po węgiel do arkagalińskiej kopalni odkrywkowej. Najbardziej na nich liczyłem. Moi koledzy ostatecznie, trassowicy, a też jak wszyscy Rosjanie chorują na obojętność.

Po trzech godzinach nam serdecznie dość. Na szczęście jest dopiero środek dnia, ale mój kręgosłup informuje, że już nie te lata, kiedy cały dzień mogłem latać z plecakiem.

Jem w biegu, czasem pstryknę zdjęcie i rozmyślam o szatunach. I dziękuję Bogu, że w Susumanie nie ma męskiego fryzjera i nie miałem gdzie zgolić brody. Broda na mrozie bardzo się przydaje, chociaż wąsy przymarzają do niej od oddechu i bez pomocy ręki gęby nie otworzysz.

Najgorsze, że nie mam nic do picia. To wielki błąd.

O godzinie czternastej przekraczam rzekę Frołycz i jestem na 675. kilometrze Traktu Kołymskiego. To trzecia część mojej trasy. Jakby czternasty kilometr maratonu. A ja ciągle na piechotę.

W trzy godziny i dziesięć minut pokonuję piętnaście kilometrów i łapię pierwszą okazję. Potem następne. Nagle jeden samochód po drugim i każdy podwozi mnie parę kilometrów. To miejscowi ludzie, posiołkowi (a nie przelotowi, miastowi z Magadanu), bardzo często synowie albo wnuki byłych zeków, albo ludzie, którzy zapuścili tu korzenie przed dekadami. To ludzie starych zasad. Po prostu zasad. Dla nich człowiek na Trakcie to świętość. Oni po prostu nie mogą przy kimś takim nie przystanąć. Ci w ciężarówkach to ludzie miastowi, z Magadanu. Przyjechali tutaj w ostatnich latach, na pewno po rozwale ZSRR. Przyjechali zarobić w „złotym sercu Rosji". Zachorowali na krasną bolezń, czerwoną chorobę – tak mówią o nich ci starzy. (Sowiecki banknot dziesięciorublowy był czerwony). To nie są prawdziwi kołymianie. Ci prawdziwi nazywają tamtych zwykle wriemienszczikami (od słowa wriemia – czas) albo nawet okupantami.

Docieram do Miaundży, gdzie jest jedna z dwóch kołymskich elektrowni. Ta starsza, węglowa, oddana do użytku w 1954 roku. Zbudowali ją więźniowie Gułagu.

Przed nocą dyrektor elektrowni daje mi swój samochód z kierowcą, z którym jadę do pobliskiego Kadykczanu. Kiedyś to było duże osiedle z trzema tysiącami mieszkańców. Pracowali głównie w głębinowej kopalni węgla, ale była nierentowna i ją zamknięto. A z nią umarła osada. Została zamrożona, do tego bardzo gwałtownie, w środku strasznej zimy 2001 roku, kiedy wybuchł kocioł w miejscowej kotłowni i ówczesny gubernator Walentij Cwietkow uznał, że nie warto wydawać na nowy, skoro kopalnia zamknięta. Większość mieszkańców przesiedlono do Miaundży.

Łażę po osiedlu kilka godzin i nie spotykam nawet jednej żywej duszy poza kilkoma białymi kuropatkami. Nawet śladów na śniegu. Ponure miejsce. Współczesne, kołymskie Pompeje.

Dlaczego miasto, które opuszczą mieszkańcy, samo zamienia się w ruinę? Dlaczego pięciopiętrowe bloki same przełamują się i walą w gruzy? Czy to jest tak jak z samochodami? Jak zamkniesz w garażu i nie będziesz jeździł – to się rozsypią. Z butami jest tak samo? A z instrumentami muzycznymi?

Złomu w Kadykczanie jest jeszcze na wiele lat szabrowania, ale szyba do wybicia nie została nawet jedna.

Na centralnym placu na wysokim cokole rozbita głowa bez twarzy. Nie ma wątpliwości, że to był Lenin. Właściwie

należałoby powiedzieć: okropny, sterczący drutem zbrojeniowym, betonowy, dziurawy czerep ze śnieżną czapą na łysinie. Do tego zupełnie pusty w środku – dobrze jednak zbrojony. Drutem piątką.

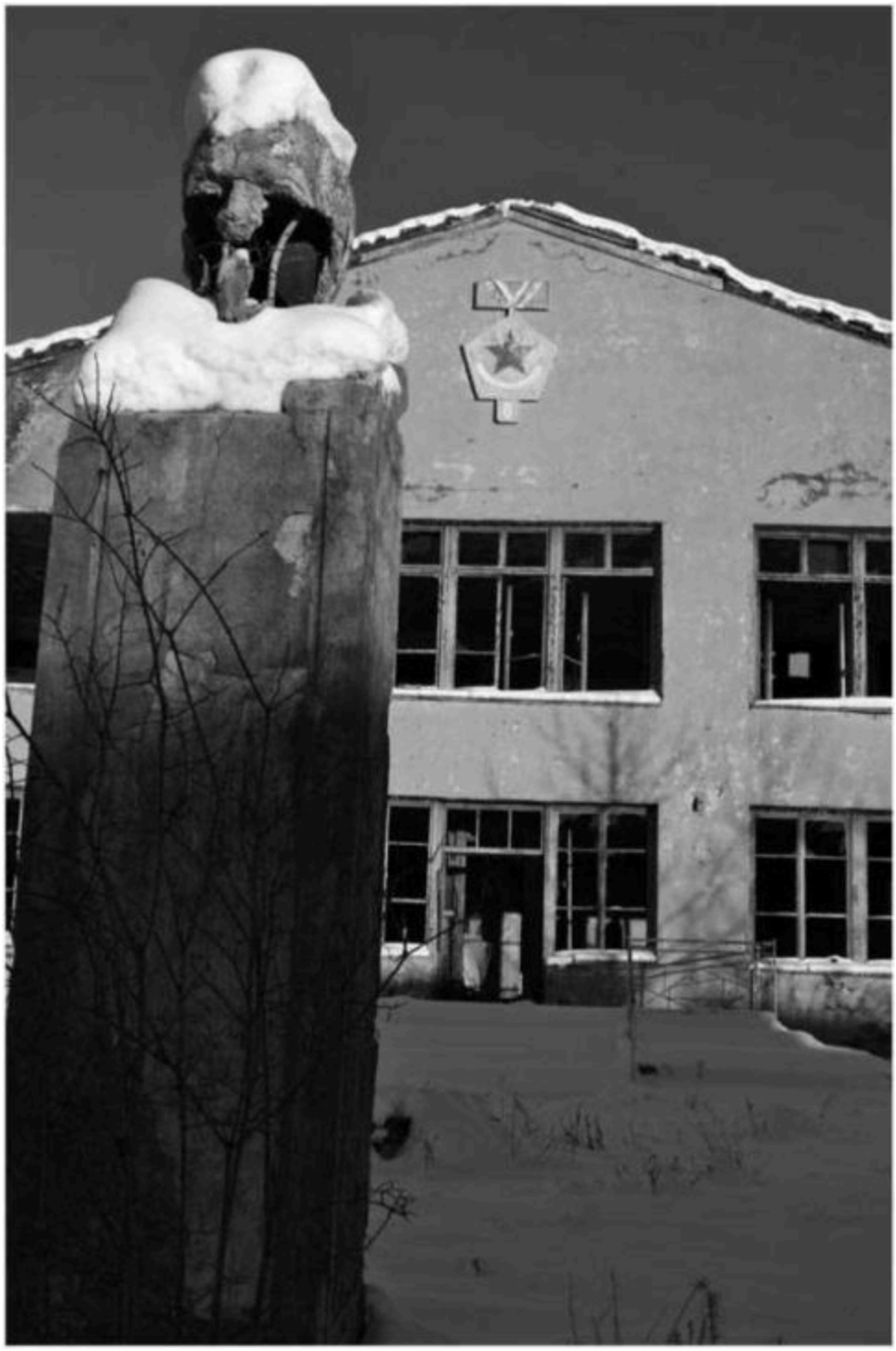

Ludzie gadają, że zanim Leninowi roztrzaskali twarz, ktoś domalował mu okulary

Dyrektor Garuszow – babskie gadanie

Z Witalijem Borysowiczem Garuszowem, dyrektorem elektrowni, prowadzę uczoną rozmowę na temat wydajności kotłów, linii przesyłowych, nadwyżek energetycznych na Kołymie. Tak wielkich, że jego zakład w lecie zawiesza działalność, a zimowe nadwyżki wyprodukowanej energii sprzedaje do Jakucji. Tak rozmowa schodzi nam na zastrzelonego gubernatora Walentija Cwietkowa, zwanego „Buldożerem'.

Opowiadam dyrektorowi, że jeszcze w Magadanie słyszałem od miejscowych dziennikarzy trzy teorie na temat jego śmierci. Dwie wydają się cokolwiek księżycowe, ale dyrektor chętnie nadstawia ucha.

Po pierwsze, Cwietkow chciał wypchnąć z Kołymy wielkich, ogólnorosyjskich pośredników obrotu energią elektryczną. Nie mają tu czego szukać, bo region, z racji odległości, nie jest połączony z ogólnokrajową siecią. Ale siedzą tu, śrubują ceny.

Ogrzewanie na Kołymie to sprawa niemal tak samo ważna jak żywność. Węgiel do magadańskiej ciepłowni przywożony jest z Sachalina przez morze albo nawet tysiące kilometrów koleją i statkami z Kuzbasu w centralnej Syberii. To tańsze warianty niż wożenie węgla z własnych złóż, bo to prawie osiemset kilometrów samochodami po Trakcie Kołymskim. Wspaniały węgiel kamienny kupowany w kopalni za Miaundżą za tysiąc rubli (sto złotych), w Magadanie kosztuje nawet 4,2 tysiąca rubli.

W obwodzie są dwie elektrownie i ogromna nadprodukcja energii elektrycznej. Klasyczna elektrownia dyrektora Guraszowa pracuje tylko w zimie, a ogromna elektrownia wodna w Siniegoriu na połowę mocy. Ale Rosja nie zerwała do końca z gospodarką planową. Lada moment oddana zostanie do użytku druga ogromna elektrownia wodna w Ust-Sredniekanie. Jej budowa została zaplanowana jeszcze w ZSRR, a jak zaplanowali, to budują.

Po drugie więc: Cwietkow planował podobno przestawić magadańską ciepłownię na prąd. To brzmi fantastycznie, głupio nawet, na dodatek nikt na świecie tego nie robi, ale właśnie dlatego ten pomysł tak bardzo Cwietkowa podniecał. Podrzucił mu go zresztą dziewięcioletni syn jego sąsiadów.

Cwietkow zginął, bo zadarł z lobby węglowym. Albo elektrycznym. Albo norylską ferajną.

Trzecia bowiem hipoteza związana jest z górą, która wyrasta w Magadanie przy porcie. Zawsze sądzono, że jest tam dużo żelaza, bo kompas wariuje, ale to molibden. Bardzo rzadki, cenny metal, a tutaj jest go cała góra. Tylko brać. I Cwietkow się do tego zabrał. I zginął. Tym razem naruszyłby nieformalny monopol na ten metal, którym cieszy się należący do najpotężniejszych rosyjskich oligarchów górniczo-hutniczy gigant Norylski Nikiel.

– To są głupie, kuchenne plotki tępych bab! – wybucha dyrektor elektrowni. – Absurdalne fantazje! Nigdzie na świecie nie grzeje się miasta elektrycznością.

– Bo nigdzie nie budują elektrowni tam, gdzie jest nadwyżka elektryczności.

– Rozmawiałem z oficerami śledczymi z Moskwy, którzy prowadzili tę sprawę. Nie brali pod uwagę takiej hipotezy.

– Może dlatego nie rozwikłali sprawy – zastanawiam się. – Nie znaleźli zleceniodawcy.

Dwa lata temu hiszpańska policja schwytała zabójcę Cwietkowa. To człowiek z Kaukazu. Został deportowany do Rosji, ale zleceniodawcy morderstwa oraz jego motywu nie zdradził. A także tego, ile zarobił.

I pomyśleć, że już w latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych na Kołymie można było zostać bogaczem. Bardzo to pięknie opisał Warłam Szałamow w jednym ze swoich opowiadań. Najbardziej opłacały się handel machorką i herbatą, a także hodowla świń.

Prosiaki trzymali wszyscy kołymianie, nawet mieszkańcy bloków w Magadanie, co kończyło się tak, że gnojowica przeciekała przez sufity i kapała sąsiadom do talerzy.

Rzecz jasna hodowla trzody chlewnej dostępna była tylko tak zwanym wolniaszkom. Ale nawet więźniowie mogli dorobić na machorce i herbacie, bo nie ma takiej opresji, która ludzi przedsiębiorczych powstrzymałaby przed zarabianiem.

Dzień XXIV
Miaundża. 705. kilometr Traktu Kołymskiego

Znowu jestem w martwym Kadykczanie. W czasach Gułagu był tu ogromny łagier, a więźniowie pracowali w kopalni węgla. W latach czterdziestych siedział tutaj Warłam Szałamow. Wtedy nie było tu nawet baraków. Zeki spali w wojskowych namiotach, w środku których pobudowano obite papą komórki. W takich tymczasowych budach niewolnicy musieli przeżyć kilka zim.

W opowiadaniu *Nienawrócony* pisarz przedstawia losy doktora Millera, naczelnika obozowego ambulatorium, który jak wielu wolnych ludzi hodował na własne potrzeby dorodną świnię. Zwierzę utopiło się jednak w ogromnym dole z szambem, ale wydobyto je i rozgorzał jeden z najostrzejszych sporów w historii osady, w którym wzięły udział wszystkie organizacje społeczne. Specjalne zebrania w tej sprawie zwołały nawet komórki partyjna, kombatancka i związkowa. Zapomniano o wszystkim. Cała osada i łagier przez kilka dni zajmowały się tylko losem martwej świni. Chodziło o to, kto ją zje, bo doktor Miller na pewno nie zagospodaruje jej w całości, a wszyscy by chcieli

mieć w tym udział. Debatowano więc namiętnie, czy świnia trafi do wolnościowej, czy też łagrowej stołówki.

Doktor Miller, były zek, rozstrzygnął spór na korzyść obozu, więźniów. Następnego dnia został oskarżony o kosmopolityzm. Był Żydem, a w ZSRR rozpalała się właśnie antysemicka wojna z kosmopolityzmem. Po wstępnej rozmowie ze śledczym doktor poszedł do ambulatorium i wstrzyknął sobie śmiertelną dawkę morfiny.

Nikt w Miaundży, z dyrektorem elektrowni włącznie (mieszka tu dwadzieścia cztery lata) i jego kierowcą, nie potrafi powiedzieć mi, gdzie był ten obóz. Ale znajduję. Mimo wielkiego śniegu. Zupełnie bez trudu, bo łagier jest tuż przy wjeździe do martwego osiedla.

To już resztki. Nie ma baraków, bo spalone, ani strażniczych wież, ale na ustawionych w dwuszeregu słupach ciągle wiszą kołtuny zardzewiałego drutu kolczastego. Jego nie da się spalić. Klosz lampy też przetrwał, reflektor, ogromna tuba głośnika. Pewnie z niej ogłoszono śmierć Stalina.

Odłamuję kawałek drutu. Kruchy jak patyk. Sama rdza. Wyrywam kotwę ciesielską ze spalonej belki, chowam do plecaka ceramiczny izolator. Druty musiały być pod napięciem. Głupio jakoś – jakbym grzebał w grobie.

Jak miejscowi mogą nie wiedzieć, gdzie coś takiego było?! Dlaczego ich to kompletnie nie obchodzi? Dlaczego tego nie chronią?

A czego ja znowu czepiam się tych Ruskich? Bo mają to tuż obok siebie. Tę elektrownię, w której pracują, budowali

zeki z tego obozu. Kilkanaście kilometrów z łagru do roboty i z powrotem pokonywali codziennie pieszo. W zimie też. O tym powinni uczyć w tutejszych szkołach, bo na Kołymie każda szkoła jest koło jakiegoś byłego obozu. Tam siedzieli i umierali niewinni ludzie, ich dziadkowie, a tuż za łagrowym pogorzeliskiem ogródki działkowe pompejczyków, mieszkańców Miaundży.

Noc spędzam w służbowym mieszkaniu miejscowej elektrowni. Zakład zaopatruje się w węgiel w kopalni odkrywkowej pięćdziesiąt kilometrów dalej na Trasie. Przyjeżdżają tam także ciężarówki z Jakucji. Chcę zabrać się nimi w dalszą drogę.

Podpułkownik Walery Jerochin z syndromem pola walki

Sztangista Jerochin – waga ciężka

Szukamy gniazdka, w którym mógłbym podładować telefon.

– To jest od lodówki – mówię.

– Nie szkodzi – on na to. – I tak nic w niej nie ma.

To człowiek kompletnie nieporadny domowo. Nawet herbaty nie umie zrobić jak trzeba. Do czajnika wlewa tyle wody, jakby nas było dwunastu, a nie dwóch – typowy błąd starych kawalerów.

Mieszkanie, jakby wprowadził się przed tygodniem. Niezamieszkałe, bez życia, jakby zaraz po malowaniu albo gotowe do opuszczenia. A mieszka tu pięć lat.

A z muzyki tylko francuska liryka, najlepiej Joe Dassin.

Wszystko to sprawia, że po kwadransie spędzonym z podpułkownikiem w stanie spoczynku Walerym Jerochinem, nauczycielem przysposobienia wojskowego w miejscowej szkole, wpadam w głęboką depresję.

– Bo ja po przełomie życiowym jestem – mówi. – Musiałem wyjechać z mojego Astrachania najdalej jak się dało, bo jak oczy nie widzą, serce nie płacze.

Walery ma pięćdziesiąt jeden lat. Wygląda jak przerośnięty, 135-kilogramowy, słodki miś pluszowy. Dobry, łagodny, smutny. Był zawodowym sztangistą wagi ciężkiej (390 kilogramów w dwuboju), ale od przyjmowania anabolików rozsypuje mu się zdrowie, więc idzie pracować w milicji. Kończy szkołę oficerską i, jak wszystkich olbrzymów, biorą go do OMON-u, Milicyjnych Oddziałów Specjalnego Przeznaczenia.

A to lata dziewięćdziesiąte, rozpada się Związek Radziecki, jeden po drugim wybuchają na rubieżach zbrojne konflikty.

– Zaczynają się wyjazdy – opowiada Walery. – Odbyłem dwanaście tur w różnych gorących punktach, na różnych wojnach.

Osetia, Czeczenia, najpierw po miesiącu, potem dwa, trzy, a ostatnio po pół roku człowiek w boju. Od 1993 roku do 2001 pięć lat spędziłem na wojnie i dosłużyłem się stanowiska zastępcy dowódcy astrachańskiego OMON-u.

Jakoś nie umiem wyobrazić go sobie jako ponurego kaukaskiego wiarusa w panterce, czarnej bandamce i rękawiczkach bez palców, jako groźnego rzeźnika czeczeńskich kobiet i dzieci.

– Dużo przyszło powalczyć? – pytam.

– Oj, dużo – jęknął. – W dziewięćdziesiątym piątym dwa razy w Groznym, potem Chasawjurt, Pierwomajsk, Urus-Martan. A cały dziewięćdziesiąty szósty rok stoimy w Szali i robimy wypady w górskie wioski. Któregoś razu pognaliśmy w góry, ale się dziwimy, dlaczego tak mało mężczyzn w wioskach, pytamy baby, a one, że wszyscy za pracą wyjechali. A właśnie w tym czasie Czeczeńcy odbili Grozny. Specjalnie nas wyciągnęli w te góry.

– Fantastyczny podstęp!

– Zanim wróciliśmy, w mieście bardzo ciężko było. Tam chłopaki z Krasnodaru wojowali. Trzy dni w okrążeniu bez zapasu wody. A upał jak jasna cholera! Bo to lato, sierpień.

Poległych kolegów konserwowali w soli jak mięso na kotlety. Na szczęście był wielki zapas soli.

– Mieli, kurwa, zapas soli, a o wodzie nie pomyśleli?!

– Bo to Rosja – bąka Walery, jakby się dziwił, że ja się dziwię. – Ale odbiliśmy miasto, a zaraz potem przyleciał generał Lebiedź i zakończył wojnę. Wyszło na to, że przegraliśmy.

– Ale za trzy lata wybucha druga wojna.

– I znowu tam jestem. Najpierw w bazie w Mozdoku, a potem śmigłowcami przerzucają nas w góry. Dostajemy ogromny, transportowy śmigłowiec Mi-24, do którego, poza pięćdziesięcioosobową zmianą ludzi, pakujemy naszą kuchnię polową na kołach. Nowy sprzęt, duma astrachańskiego OMON-u. A po sześciu miesiącach mają nas luzować. Wzywamy śmigłowiec, a oni przysyłają maleńkie Mi-8. No, a nasza kuchnia?! Toż nasze kierownictwo parę miesięcy temu wydało na nią trzy miliony rubli!

– To wy wszędzie jeździcie ze swoim sprzętem? – dziwię się.

– No, a jakże? Rozkaz był, żeby brać broń, trojnoj bojzapas (potrójny, trzydniowy zapas żywności i amunicji), cały sprzęt i wyposażenie. Wszyscy tak jeździli i jeżdżą do tej pory. Chłopaki z Murmańska, Magadanu, Władywostoku…

– Nie lepiej mieć wspólny sprzęt, a zmieniać tylko ludzi? Nie wozić w te i nazad po całej potężnej Rosji tych namiotów, materacy, sraczy, kuchni polowych, kotłów.

– Wspólne to znaczy niczyje – mówi Walery. – Szybko by przepadło, zniknęło, a o swoje każdy dba. Ale ci powiem, jak było dalej. Przysłali małe śmigłowce. Nie wyobrażasz sobie, co myśmy wydziwiali, żeby zabrać tę kuchnię! Rozbieramy na najmniejsze części, ale się nie mieści, to stawiamy pilotowi skrzynkę dagestańskiego koniaku, żeby podczepił ją pod brzuchem. Zgodził się, chociaż nigdy nie woził takiego ładunku, ale przy starcie wiatr bujnął kuchnią, ona pociągnęła śmigłowiec, który zaczepia łopatami o drzewa, i katastrofa. Tracimy helikopter za sześćdziesiąt milionów.

– I tę cholerną kuchnię.

– Właśnie. Wracam do Astrachania. Składam meldunek naszemu dowódcy. „Towarzyszu generale, zadanie wykonane dostojnie i bez strat”. „Zuch Walera, on na to, a gdzie nasza kuchnia?” „Nie ma strat w ludziach, to muszą być w sprzęcie, towarzyszu dowódco”. Tak odpowiedziałem, no i nie dostałem awansu na pełnego pułkownika oraz premii uznaniowej za wzorowe wykonanie zadania.

– Ciekaw jestem, jak się tłumaczył pilot, który stracił śmigłowiec? – zastanawiam się.

– Ja niedługo potem straciłem pracę. Kuchnia to był pretekst. Zmienił się dowódca i chciał mieć swojego zastępcę, a że na wojnie jeden dzień liczy się za trzy, to miałem już wypracowany wiek emerytalny. W samej Czeczenii w pięć lat nastukałem piętnaście potrzebnych do milicyjnej emerytury.

Pułkownik Jerochin – syndrom pola walki

– Lubiliście te wyjazdy? – pytam pułkownika Jerochina.

– Och, jak jeszcze! Jak to wciąga! Te emocje. Najbardziej niesamowicie było, jak w dziewięćdziesiątym piątym roku zdobyliśmy Grozny. Miasto zburzone jak Stalingrad. W dzień już spokojnie, ale każdej nocy wyłażą z nor i zaczyna się łomotanina do świtu. My staliśmy na stanowiskach przy pałacu prezydenckim. Straciliśmy sześciu ludzi. Potem dowódca wysłał mnie do Rostowa, gdzie był centralny magazyn poległych, żebym dopilnował wysyłki naszych martwych towarzyszy do Astrachania. Do domu. Sam nie dopilnujesz, położą gdzie w kącie i gotowi się zawieruszyć w wojskowym bałaganie. Albo minie parę tygodni i będą nie do poznania, bo lato, upał, a oni w hangarze pod blaszanym dachem. To załatwiam trumny, wyrywam chłopaków z magazynu, wzywam śmigłowiec z Astrachania i lecimy do domu. Każdego osobiście oddaję do rąk żonie albo rodzicom, ale jeden z kolegów Tatar, muzułmanin…

Pułkownik Walery szuka czegoś do wytarcia nosa, ale nie znajduje, więc idzie do łazienki i dmucha do umywalki. Wraca trochę spokojniejszy.

– Muzułmanów chowają owiniętych w białe płótno, a ja wszystkich przywożę w ocynkowanych i zaspawanych trumnach i jeszcze mam pilnować, żeby nie otwierali, bo nie wolno. Straszna jest o to awantura. Ojciec rąbie metalową trumnę siekierą. Potworna scena. Muszę się poddać. Nie będę przecież strzelał do człowieka, bo chce popatrzeć na

syna. A w dziewięćdziesiątym szóstym roku znowu mamy zabitych i rannych. Mnie też dwa razy zaczepia, jak na patrolu drogowym pod moim łazikiem wybucha zdalnie odpalana mina. Dostaję odłamkiem w łokieć, chociaż samochód mamy obwieszony kamizelkami kuloodpornymi.

– Nie lepiej mieć pojazd opancerzony?

– Taki mamy. Kamizelkami obwieszają się nawet piloci śmigłowców.

– A teraz jesteście nauczycielem i uczycie także dzieciaki z Kaukazu.

– Długo miałem z tym problem – mówi Walery. – W Astrachaniu też jest dużo kaukaskich. A dla mnie oni jak czerwona płachta na byka, każdy to czeczeński partyzant. Zobaczę takiego i już po kieszeniach się macam za jaką bronią, rozglądam się, gdzie można się schować jakby co.

– To się nazywa syndrom stresu pourazowego albo syndrom pola walki.

– Nie wszyscy sobie z tym radziliśmy. Tym bardziej że mieliśmy kupę pieniędzy, bo po powrocie płacili nam za pół roku w okopach. To co robi ruski człowiek? Przepada w knajpie. Potem draki, bójki, mordobicia. Wzywają milicję i przychodzi bić się z frontowym kolegą, z towarzyszem z okopów, bo rzuca się z pięściami albo z krzesłem, nożem.

– Was wzywali, czy do was? – pytam.

– Raz tak, raz tak. W tamtych latach nie było żadnej pomocy psychologicznej. W domu też nie potrafiłem żyć, w rodzinie. Nie miałem serca do dzieci. Umiałem tylko wydawać rozkazy. Tylko w Czeczenii dało się jakoś żyć,

funkcjonować, to się tak wegetowało od wyjazdu do wyjazdu. Siedemdziesiąt procent każdej zmiany to byli ci, co brali każdy wyjazd, ile się da. Tak jak ja. I w ten sposób obok mnie przeszło całe dzieciństwo moich dzieci. Ominęło mnie. Córkę jeszcze troszkę poczułem.

– A syna?

– Mazgaj. Ślamazara i wałkoń! – unosi się Walery, ale zaraz więdnie. – Straciłem go. On mnie też. Bo ja ciągle w boju, to matka zrobiła z niego strasznego pieszczocha. Ale córce pomogłem załatwić milicyjną szkołę. A mnie coraz trudniej było przestawiać się co parę miesięcy z życia domowego na okopowe. No i tak wszystko się pogruchotało. A w 2001 roku muszę odejść na emeryturę i robi się krucho z pieniędzmi. Nam świetnie płacili głównie przez te niezliczone dodatki za nocne służby, ryzyko, a na wojnie wszystko podwójnie plus okopowy dodatek za udział w boju, ale emerytura maleńka, bo liczona od gołej pensji. Mam dziewięć tysięcy rubli (dziewięćset złotych).

– Można umrzeć z głodu.

– Można. A żona ciągle ma pretensje, że nic nie robię, ale najgorsze jest to, że nagle w życiu wszystko przestaje się dziać. Kompletnie nic! Pustka. Nuda. Bezczynność. A to ja zbudowałem astrachański OMON, wszystkich stu pięćdziesięciu ludzi przeszło przez moje ręce. Wy wiecie, co to była za robota?! Ile się działo?! Nawet u nas w mieście. Dzień, w którym nie mieliśmy strzelaniny, był wielką rzadkością. A ja nagle zostaję czterdziestodwuletnim emerytem. Trzeba coś robić. Idę do pracy w ochronie.

Potworność. Nuda. Rok wytrzymuję. I rzucam. I zaczynam ostro pić.

A z żoną coraz gorzej. Rozwodzimy się w 2004 roku. Wtedy do mnie dociera, że zapiję się w tym Astrachaniu na śmierć. Trzeba wiać. Biorę mapę i patrzę, dokąd można uciec, żeby było najdalej jak się da. I tak znalazłem się tutaj.

– I dajecie radę bez walki.

– Walczyłem z wódką. I udało się. Teraz walczę z ciśnieniem, bo strasznie skacze. W nocy od tego odłamka tracę czucie w ręce, do tego wagi nie mogę zrzucić, hormony szaleją. Próbowałem trochę ćwiczyć, rzucać żelazem, ale to strasznie obciąża kolana.

Dzień XXV
Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Zatem w kilometrach mam już za sobą prawie połowę trasy. To już nie obwód magadański, tylko Jakucja, jak nazwali tę krainę Rosjanie, a w języku Jakutów – Republika Sacha. I lud, naród Sacha. Oficjalna zatem nazwa tego największego podmiotu Federacji Rosyjskiej to Republika Sacha-Jakucja albo pisane nieco inaczej – Republika Sacha (Jakucja).

Słowo jakut pochodzi z języka Ewenów, którzy żyli tu z Dołganami i Ewenkami od zawsze, i znaczy „przybysz”, bo w rzeczy samej turkojęzyczni Sacha przywędrowali na tę ziemię dużo później. I zajęli terytorium wielkie jak trzynaście Francji z okładem. Teraz wydobywa się tutaj prawie połowę złota Rosji i wszystkie jej diamenty, dochód z których pokrywa siedemdziesiąt procent budżetu Jakucji.

Rano, bladym świtem, a w zasadzie kiedy jest jeszcze zupełnie ciemno, wyjeżdżam z Miaundży zakładowym autobusem do arkagalińskiej kopalni odkrywkowej węgla kamiennego na 750. kilometrze Traktu.

Z wizyty w kopalni zapamiętam opowieść Swiety, która pracuje w zakładowej stołówce. Przed rokiem karmiła delegację związkową japońskich górników. Zwróciła uwagę, że przez cały obiad goście jak urzeczeni przyglądali się jej pracy, wreszcie któryś nie wytrzymał, podszedł z tłumaczem i zapytał, dlaczego Swieta ciągle odrywa się od pracy i bawi tą starą dziecięcą zabawką? A ona po prostu do dzisiaj używa liczydeł.

Pierwsi Japończycy pojawili się na Kołymie w 1945 roku. To byli jeńcy wojenni. Zostali zwolnieni cztery lata później. Pierwszą grupę dwóch tysięcy więźniów załadowano na statek i odprawiono do Tokio. Sześciuset z nich po zejściu z pokładu samorzutnie formuje łagierną kolumnę i w zekowskich, watowanych łachmanach z numerami na plecach maszeruje przez miasto pod siedzibę Komunistycznej Partii Japonii. Na miejscu śpiewają *Międzynarodówkę* i składają deklaracje członkowskie w szeregi partii.

I czym się bardziej zachwycać? Fenomenem japońskiej mentalności skłonnej do ulegania każdej władzy, czy też fenomenem sowieckiej propagandy, bolszewicką sztuką prania mózgów?

W kopalni dosiadam się do ciężarówki, która z Jakucji przyjechała po węgiel. Jadę w konwoju dwóch samochodów. Mojego kamaza prowadzi Wołodia. Ma dwadzieścia trzy lata. Tyle, co mój synek! Nie Wołodia, tylko kamaz. Wołodia

ma o dziesięć więcej. Drugi samochód prowadzi Dimka. Fantastyczni, przemili chłopacy. Mało, że mnie wiozą, to jeszcze karmią cały dzień i nie chcą gadać o pieniądzach za podwózkę.

Na 810. kilometrze Trasy, dwadzieścia osiem kilometrów przed granicą z Jakucją, jemy obiad, do którego dołącza czwarty, kumpel z bazy Dimki i Wołodii, który jedzie w przeciwnym kierunku. W mojej szoferce gotujemy na gazowej kuchence pielmienie (pierożki), które Wołodia wozi zamrożone pod maską, za wlotem powietrza do silnika. Pożeramy je prosto z gara razem z „rosołkiem”, to znaczy wodą od gotowania. Do tego kiełbasa typu naszej mortadeli i chleb z keczupem. Potem obowiązkowa herbata z wody gotowanej w wielkim, błyszczącym czajniku. A wszystko w środku głuchej tajgi, w głębi ponurej, mroźnej Kołymy.

Już w Jakucji przy uszkodzonym moście, który trzeba ominąć przez tajgę i pokonać rzekę Kara-juriach w bród, bo to bardzo stara, drewniana konstrukcja zbudowana jeszcze przez zeków, znajdujemy dwóch ludzi przy zepsutej ciężarówce. Od dwudziestu czterech godzin czekają na pomoc. Spalili wszystkie opony, żeby się ogrzać, ale już nie mogą wytrzymać mrozu, więc jeden z nich zabiera się z nami do miasta, żeby zorganizować towarzyszowi pomoc.

Niepotrzebnie jechali tym brodem. Nawaliło im coś w podwoziu, a kiedy je naprawiali, w ich ciężarówce zamarzł olej napędowy, bo są na letnim. Więc grzali, jak wszyscy tutaj, rozpalając pod samochodem ognisko, i pękła rama.

My bardzo powoluteńku wjeżdżamy na uszkodzony most, chociaż znak drogowy pozwala na to pojazdom tylko do pięciu ton, a każdy z naszych samochodów waży 42 tony (przeładowane są o piętnaście). Rekord Kołymy w wielkości ładunku od kilku lat należy do Wołodii. Wrzucił na swojego kamaza 47,6 tony rudy zwanej sur'mą. Przeładował samochód ponad trzykrotnie i jechał z kopalni po zamarzniętych rzekach ponad siedemset kilometrów.

Dystans 290 kilometrów do Ust-Nery pokonujemy w osiem godzin.

To najdalej na północ wysunięty punkt mojej podróży. Siedmiotysięczna Ust-Nera (dwie trzecie mieszkańców to Rosjanie) leży na wysokości zaledwie ośmiuset metrów nad poziomem morza, a tlenu tu tyle, co na 3,5 tysiącach metrów. To najzimniejsze zamieszkałe miejsce na świecie (a w zasadzie ułus, bo tak nazywa się jakucki rejon, czyli powiat). Miasteczko jest centrum administracyjnym ojmiakońskiego ułusu, a w Ojmiakonie właśnie przed laty zanotowano rekordowo niską temperaturę – 71,2 stopnia poniżej zera. To też jedyne na świecie miejsce, gdzie roczna amplituda temperatur przekracza sto stopni – od plus 33 do minus 71.

A w samej Ust-Nerze zanotowano zapewne najniższą temperaturę w dziejach prawosławia podczas tradycyjnej, świątecznej kąpieli. 19 stycznia 2009 roku, w święto Chrztu Pańskiego, zwane też świętem Jordanu, zanotowano 56 stopni mrozu. Jak każe obyczaj, uroczystość połączona była ze wspólną kąpielą wiernych w najbliżej położonym

naturalnym zbiorniku wodnym, zatem w przeręblach wykutych w zamarzniętych wodach rzeki Indygirki.

Zresztą pogoda zabójcza jest tu także w lecie. W połowie lipca 1980 roku w tajdze koło miasta, w śnieżycy zabłądziła wycieczka miejscowych dzieciaków z przewodnikiem. W ciągu dwóch godzin temperatura spadła o trzydzieści stopni. Jeszcze przed nocą z dwudziestki nastolatków nie żył żaden.

W bazie samochodowej moich ostatnich paputczików poznaję ich szefa Siergieja Giennadijewicza Romanowa. Kombinujemy razem, jak wysłać mnie dalej w drogę. Czasu mam bardzo niewiele. Za cztery dni kończą nawigację na rzece Ałdan (to znaczy przestaje chodzić prom, bo rzeką wali kra), a do przebycia na przeprawę mam sześćset kilometrów najtrudniejszej drogi, bo przez ogromne góry, dalej na zachód, w głąb Jakucji. Tę drogę oblicza się na dwa dni przy dobrej pogodzie. Jest niezła. Słońce, w dzień mały, kilkunastostopniowy mróz. Jeśli nie zdążymy, przeprawa będzie możliwa dopiero za miesiąc po lodzie.

Za dwa dni Siergiej wysyła do Chandygi, miasta na przeprawie, jedną ciężarówkę. To ostatnia szansa na dalszą drogę. Jeśli zdążymy, przeprawiam się i szybko muszę szukać następnej okazji na trasę do Jakucka. To najgorszy moment i najgorsze miejsce, bo po przepłynięciu Ałdanu będę między dwiema ogromnymi rzekami. Za mną Ałdan, a przede mną jeszcze większa Lena. Nikt w Ust-Nerze nie wie, kiedy na niej kończy się nawigacja. Wiemy, że lada moment.

Mogę więc zostać zablokowany między dwiema rzekami na dobry miesiąc-półtora. Zależy, jak szybko stanie lód i otworzą tak zwane zimowiki, czyli lodowe przeprawy.

Obiad na 810. kilometrze Trasy. Wołodia, Dimka i ich kumpel z bazy

Kapitan Dima – sześć, trzy, jeden

Mężczyzna, którego zabieramy z Trasy przy zrujnowanym moście, ma na imię Dmitrij, Dima, Dimka. Ma trzydzieści pięć lat, pochodzi z Chanty-Mansyjska w zachodniej Syberii. Śmierdzi jednocześnie wódą i kacem jak sobaka. Zanim się z nami zabrał, podjechał po Trakcie do osiedla Artyk i kupił swojemu towarzyszowi bochenek chleba i kilka butelek wódki na zapas, ale czekając na okazję do Ust-Nery, w kilka godzin wszystko razem wypili.

Dima jest ochroniarzem w kartelu poszukiwaczy złota z Ust-Nery. Sezon się skończył, więc wraca do bazy ze sprzętem górniczym. W mieście ma rozliczyć się z szefem za pół roku pracy i wrócić po Trasie do Miaundży, gdzie czeka na niego żona, która jest w piątym miesiącu ciąży.

– Szef się wścieknie, jak cię zobaczy na takiej bani – mówię.

– Co było robić? – bełkocze Dima. – Już zamarzaliśmy, a rodzina jest, dziecko, to żal, po prostu żal umierać. Jakbyśmy nie wypili, już by nas nie było. Szef to zrozumie. Jest w porządku. Zatrudnił mnie, bo chciał mieć kogoś takiego jak ja, z pozwoleniem i własną bronią.

– Masz broń?!

– Pistolet. Dostałem od ministra obrony Rosji z podziękowaniami i grawerką na kolbie.

– Za co?

– Za Biesłan. 2004 rok. Ale za co konkretnie dawali te nagrody? Nie mam pojęcia. Tam tyle ludzi poległo, setki

ofiar. Ze sto pięćdziesiąt dzieciaków. To za co te nagrody, ordery? Dla mnie chyba tylko za to, że oddział wygubiłem co do jednego.

– Jakim cudem?! Milicja nie miała takich strat!

– Bo nas trzech było. I nie milicja, tylko wojsko. 145 drużyna brygady trzyminutowego reagowania Specnazu. Dwóch ostatnich chłopaków z mojego oddziału zabili. Byłem ich dowódcą i przyjacielem, najstarszym oficerem. Dla dowódcy to straszne, jak wszyscy twoi ludzie giną, a ty żyjesz. I wiesz. Ja ich musiałem odwieźć do domu, matkom oddać ich ciała, a one: „odwozisz mi martwego syna, kapitan, a ty żyjesz”. A co ja mam powiedzieć? To mówię: „bierz go, to twój syn, bohater, umarł na moich rękach, przed śmiercią matkę wzywał głośno”.

– Obu odwoziłeś? – pytam Dimę.

– Obu. Jak to dowódca grupy. Straszny obowiązek. Ten ostatni był stąd, Gołubowicz Roman, z Miaundży. Tak tutaj dotarłem, poznałem dziewczynę potem, ożeniłem się i zostałem. Gołubowicz, zanim go odwiozłem do domu, dużo mi opowiadał o Kołymie, całej tej romantyce, Dalekiej Północy. Mieszkanie meblowaliśmy z żoną w zamrożonym Kadykczanie. Ludzie wyjeżdżali stamtąd na kontynent i wszystko zostawiali. Wystarczy poszukać po domach.

Dimę biorą do wojska zaraz po szkole, kiedy ma osiemnaście lat. Najpierw jest służba zasadnicza i konflikt gruzińsko-abchaski w 1993 roku, w który Rosjanie wnieśli swoje „wmieszatielstwo”, a dwa lata później armia podpisuje z nim stały kontrakt i wybucha pierwsza wojna

czeczeńska. W jego drużynie jest sześciu żołnierzy. Władimir, Roman, dwóch Dmitrijów i dwóch Maksimów. W Specnazie ich formację potocznie nazywają brygadą trzyminutowego reagowania. Chodzi o czas, w jakim któraś z drużyn gotowa jest, czy też wchodzi do walki. Najczęściej zrzucają ich ze spadochronami albo z pokładu śmigłowca.

Dima idąc do wojska, jest świeżo żonaty. Trzy miesiące później zostaje ojcem.

– A jeszcze trzy miesiące później żona jedzie do mnie do Abchazji córkę pokazać – mówi Dimka. – I tyle! Jechali, jechali i nie dojechali. Rozstrzelali ich autobus.

– Kto?

– Chuj ich zna! Bojownicy, partyzanci, rebelianci. Chuj wie! Terroryści i tyle. Rozstrzelali cały autobus. Żona zginęła, a córka przeżyła. To była moja pierwsza żona, teraz mam drugą. A córka straszna mądrala. Osiemnaście lat. Moja matka ją chowała.

Córcia skończyła szkołę ze złotym medalem i zaczęła studia w Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych w Moskwie. To bardzo prestiżowa uczelnia.

W Abchazji ginie pierwszy z ich szóstki. W czasie operacji odbicia Groznego pod koniec pierwszej wojny czeczeńskiej ginie dwóch Maksimów. To ta akcja, o której opowiadał pułkownik Jerochin, nauczyciel przysposobienia wojskowego z Miaundży. Nim wybucha drugi konflikt, pozostała przy życiu trójka kończy szkołę oficerską. Dowodzenie zmniejszoną o połowę drużyną przejmuje Dima.

– Całą tę pieprzoną wojnę udało nam się przetrwać bez ofiar – mówi Dima – nawet żaden z nas nie był ranny, aż zrobili ten Biesłan. Tak zostałem sam w oddziale. Jeszcze pomęczyłem się parę lat i odszedłem na emeryturę. Wystarczy, że córka nie ma matki. Miałem trzydzieści trzy lata i trzydzieści dziewięć lat stażu pracy, bo u nas każdy rok liczą za trzy. Teraz biorę pieniądze za sezon i szybko do Miaundży, do żony, a potem razem jedziemy odwiedzić córkę w Moskwie. Córka tylko dziewięć lat młodsza od żony. Bardzo się lubią. A synek jak się urodzi, to będzie Maksim, jak moi dwaj przyjaciele z drużyny.

Jedziemy przepiękną doliną rzeki Nery, prawego dopływu Indygirki. Jest dokładnie tak, jak czytając w dzieciństwie książki Jacka Londona, wyobrażałem sobie Alaskę. I byłoby bardzo romantycznie, gdyby obaj nie palili papierochów jednego za drugim, nie urządzili mi w szoferce komory gazowej.

– Ile masz emerytury? – pytam Dimkę przez łzy.

– Tajemnica firmy. Ale na kosmetyki dla dwóch kobiet mi starcza. I na naukę córki, mieszkanie w Moskwie dla niej. Na życie mi nie braknie.

Z tego wynika, że powinien mieć bajeczną emeryturę, ale bezwstydnie cały czas częstuje się papierosami Wołodii, co w Rosji nie jest przyjęte i eleganckie, bo tutaj się nie częstuje.

– Zacząłem palić w Groznym – Dima próbuje zrobić na nas wrażenie, usprawiedliwić się. – Leżymy pod obstrzałem za stertą cegieł. Maksim też, chociaż już z dziurą w głowie.

Widzę, jak Roman wyciąga z jego kieszeni papierosy, zapala i rzuca paczkę do Dimy, który leży kilka kroków dalej. On też zapala, zaciąga się i odrzuca z powrotem. Patrzę, jak lecą te papierosy w powietrzu, Roman je łapie, ale jest już zupełnie siwy. Osiwiał w parę sekund. Jak te papierochy wisiały w powietrzu. To krzyczę do niego: „rzuć i mnie’.

– A ogień masz?

– Zapałki każdy musi mieć. Zresztą pali się dom, przed którym leżymy.

Dima romansista – syndrom towarzysza podróży

Kapitan Dima to dla mnie typowy paputczik. Człowiek, z którym już nigdy więcej w życiu nie powinienem się spotkać. Aż tu schodzimy się po nocy w hotelowym korytarzu. I ciągnie do swojego pokoju na koniak.

Załatwił wszystkie sprawy. Wysłał ekipę ratunkową po zepsutą ciężarówkę, rozliczył się za pracę, a teraz zrobił zakupy, ulokował się w hotelu i bardzo ładnie, barwnie, jak to on, opowiada nie wiedzieć czemu o syndromie paputczika. Syndromie towarzysza podróży.

Że dwie może mieć postaci. Częstsza to ta, kiedy paputczik bardzo szczerze opowiada o swoim życiu, o wszystkim, co mu dokucza, od czego boli dusza, o nieszczęściach, skrywanych tajemnicach, cierpieniach, wstydliwych epizodach, draństwach, których się dopuścił, podłościach. Przed nikim bliskim, znajomym nie można się

z tym odsłonić, ale przed nieznajomym, którego się nigdy więcej w życiu nie spotka – czemu nie? Powiesz, otworzysz serce i od razu człowiekowi lżej. I strachu nie ma, bo nieznajomy nie może zdradzić, nie może donieść.

Postać druga. Tylko w podróży bezkarnie możesz opowiedzieć, jaką chcesz prawdziwą, ale gdzieś zasłyszaną, cudzą, albo zupełnie zmyśloną historię, a słuchacz nie ma szansy, żeby cię złapać na kłamstwie. Możesz marzyć i fantazjować do woli. Zasrane masz życie, bo rzuciła cię żona, syn grzeje heroinę, córka się kurwi, a ty przez kilka minut, godzin albo dni, kiedy jesteś w drodze, możesz być kim zechcesz – kosmonautą, pierwszym tenorem teatru Bolszoj, a nawet oficerem brygady trzyminutowego reagowania.

Dima kończy wykład, a do jego pokoju wkracza nieznajomy. Trzydziestoparoletni Talik z Uzbekistanu, którego kapitan pytał na ulicy o hotel, a ten za nim przyłazi niespodziewanie. To pijemy koniak we trzech, a po chwili zjawiają się następni. Robi się tłoczno i dynamicznie jak w przejściu podziemnym, jakby wszystkie szumowiny z Ust-Nery zwiedziały się raptem, że w miasteczku zjawił się frajer, na którego konto można się opić jak bąk.

I wszyscy na wyścigi, bardzo gwałtownie zaczynają go szanować, bratać się, wychwalać jego szeroką, ruską duszę, a ja widzę, że Dimka nie zmarnował życia na wojnach. Widzę, że to człowiek ze świata błatnych, pokryty tatuażami, czego nie było widać, nim nie rozebrał się do podkoszulka. Zalał się potężnie. Rozdaje pieniądze i wysyła

po zakąski, wódki i rżnie strasznego błatnika, starego bandziora, więziennego wycierucha, a ja myślę, że to znowu nieprawda. Ale Dima nie jest też małym więziennym robaczkiem ze skłonnościami do konfabulacji, łagiernym mitomanem. To mistrz żywego słowa, król fantazji, romansista-opowiadacz – przedstawiciel jednej z najbardziej niezwykłych i cenionych do dzisiaj profesji czy też sztuk łagrowych. Tylko tacy mistrzowie na pierwszy rzut oka potrafią rozszyfrować człowieka i opowiedzieć historię, która słuchaczowi najbardziej przypadnie do gustu.

I Dimka zaczyna opowiadać, ale za słuchaczy ma miastowe męty, więc historia na pozór banalna, o karcianych rozgrywkach, złodziejsko-więziennych przewagach. Prawdziwa erupcja fantazji, orgia samochwalstwa, gejzer konfabulacji. Nie sposób tego przekazać słowami, bo mało, że historia opowiadana fieńką, więziennym żargonem, to połowa przekazu jest odegrana. Gestami, grymasami, dźwiękami. Trzeba patrzeć, żeby zrozumieć. Bo ze słów prawie tylko rzeczowniki. Czasowniki i przymiotniki Dima rysuje rękoma w powietrzu, odgrywa, stroi groźne miny, nadyma policzki, przewraca oczami – teatr pantomimy, orkiestra symfoniczna dziwnych szumów, sapnięć, świstów, warczeń, westchnień, które udają słowa. Jakby zwierzę albo wkurzony głuchoniemy chciał coś ważnego powiedzieć.

Dzień XXVI
Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Ostatniej nocy moja ruska komórka kompletnie zwariowała. Sto czterdzieści sześć razy informuje mnie SMS-em, że przegadałem wszystkie pieniądze i trzeba dopłacić. Wyłączam ją, bo gdacze jak nakręcona i nie pozwala spać.

I właśnie wtedy wymyślam, że jak już piszę ten dziennik, to chyba może być osobiście? Połowa drogi za mną, to dobra okazja. Przypucuję się wreszcie, zdradzę, wygadam i będę miał z głowy. Nie będzie odwrotu.

Piszę o wielkim pliku banknotów. Typowa paczka z banderolą wielkiego państwowego banku syberyjskiego – sto sztuk po tysiąc rubli, czyli sto tysięcy (po naszemu dziesięć tysięcy złociszów). Od tygodni jeździ w mojej prawej, wewnętrznej kieszeni na piersi i mnie parzy.

I kusi jak diabli. I nie da o sobie zapomnieć, bo mam zwyczaj chodzić z rękoma w kieszeniach i wiecznie czuję ten cholerny plik w zakamarkach kurtki. Skąd się tam wziął?

To pieniądze od Aleksandra Basanskiego, oligarchy i króla kołymskiego złota. Opisałem go w relacji z XI dnia. Dał mi

całą tę paczkę. Z drugiej strony, poza mną nikt nie wie, jak mnie przerobił. Więc może przytulić tę stówkę? Taka kupa forsy!

Ale on też wie. I to jest najgorsze.

A było tak. Rano pogadaliśmy wstępnie w jego biurze. Musiałem przypaść mu do gustu, bo zmienił plan zajęć na cały dzień i postanowił, że jedziemy do jego knajpy biesiadować. Wstaje zza biurka, wyjmuje z szafy album ze zdjęciami i tę paczkę pieniędzy i mi daje. Ja dostaję migotania przedsionków, protestuję, wrzeszczę, opędzam się, tłumaczę, że to niedopuszczalne, wbrew zasadom, u nas nie do pomyślenia, a on, żebym przestał się wygłupiać, że u nich tak wszyscy, wszystkim i każdemu dziennikarzowi. On nie pamięta, żeby który dziennikarz tak histeryzował, urządzał mu taki teatr, i wpycha mi ten plik na siłę do kieszeni. Wyjmuję i kładę go na stół między nami. Rozmawiamy chwilę, a potem oligarcha zaprasza do samochodu.

Wychodzę, a paczka zostaje na stole. On to widzi, mówi z obrażoną miną, że to bardzo niełądnie, że przecież w tej sprawie wszystko już postanowione, i znowu wciska mi pieniądze do kieszeni. Mówię, że jak u mnie w pracy się dowiedzą, wywalą mnie na zbity pysk i że oddam wszystko w cerkwi na biednych, a on, że to moja sprawa.

Dla niego jest ważne, żebym od niego wziął, albo raczej, żebym był przez niego opłacony. Aż mi ciarki latają po plecach, jak piszę to zdanie.

Powinienem szurnąć mu w gębę tę forsę i sobie pójść, ale jako reportera korci mnie i podnieca niesłychanie, a teraz pociąga jeszcze bardziej. Nie umiem sobie odmówić pooglądania takiego monstrum przez lupę. Postanawiam, że jakoś oddam mu te pieniądze na siłę po wszystkim.

To „wszystko” trwało cały dzień i było potężną pijatyką. Kiedy wieczorem odwozi mnie do hotelu, ukradkiem zostawiam te sto tysięcy na siedzeniu i wychodzę z samochodu. On też wychodzi, żegnamy się i odjeżdża.

A w swoim pokoju odkrywam, że ten cholerny plik znowu jest w mojej kieszeni. Ten, a może już inny. Może zechciał dowalić mi drugą paczkę forsy.

Chciało mi się rzygać. Facet mnie przecwelił, wziął pod siebie, wydymał jako reportera, zrównał z ruskimi dziennikarzami, u których kupić można wszystko.

Ta forsa ciągle jest w mojej kieszeni, alem się wygadał i od razu mi lżej. Znowu jestem biedny!

I wiem już, co z nią zrobię. Kupię dolary albo euro, przez Związek Sybiraków znajdę w Polsce weterana, który na Kołymie kopał złoto, i mu oddam. Takie mikroskopijne zadośćuczynienie za katorgę. Przecież Rosja tego nie zrobiła i nie ma takiego zamiaru.

Złoto Kołymy w pierwszej kolejności należy się im.

Sto tysięcy rubli i złoty samorodek od Basanskiego

Nolik Ormianin – czarny, biały, szary

W bardzo niewielu opowiadaniach Warłama Szałamowa nie znajdziesz czegoś o chlebie. Obsesyjne wraca do tego tematu. Wszystko kojarzy mu się z chlebem, tak jak Włodzimierzowi Majakowskiemu w znanym wierszu z Leninem.

> Mówimy – Lenin, a w domyśle – partia, Mówimy – partia, a w domyśle – Lenin.

Jedno z opowiadań Szałamow poświęca dziesiątkom sposobów, w jaki katorżnik może zjeść chleb. Można go na przykład wylizywać w całości. Nie tylko powierzchnię – całą objętość, tak jak zlizuje się loda albo jak zwierzęta wylizują bryłę soli w lesie, stajni czy w oborze.

W innym opowiadaniu pisze, ile jest odchodów po różnych rodzajach chleba i jakie one są. Po tym wypieczonym z amerykańskiej mąki z pomocy wojennej lend-lease'u do latryny chodziło się raz na kilka dni. Po czarnym, kołymskim gniocie wysrywało się niemal dokładnie tyle, ile się zjadło.

Teraz w Ust-Nerze mają chleb czarny, biały i szary, który jest ni to biały, ni to czarny, do tego bułki i ormiański chleb lawasz, bo w mieście mieszka już czterdziestu Ormian. Wszyscy to rodzina Nolika Meliksecjana, jedynego miejscowego przedsiębiorcy budowlanego, właściciela jedynej restauracji i piekarni, który dwadzieścia lat temu zjawił się w miasteczku z transportem damskich pantofli domowych, zwykłych kapci ormiańskiej roboty. To był

ostatni rok życia Związku Radzieckiego, kiedy w kraju nie było co jeść, pić, palić i w co się ubrać.

– I tutaj w dziesięć dni zrealizowałem tysiąc par – mówi Nolik z zachwytem. – To był mój pierwszy wielki interes. Po tym wszystkim wzywa mnie do siebie Wasilij Aleksandrowicz Miestnikow, naczelnik rejonowej administracji, i pyta, czy mógłbym przeprowadzić remont instalacji ciepłowniczej w wiosce Tomtor, bo nie mają żadnego specjalisty. Ja zajmowałem się tylko handlem, ale powiedziałem, że będzie zrobione, no i od tego czasu wybudowałem w Ust-nerze stadion, budynek miejscowej administracji, szpital i dom, w którym mieszkam. Od budownictwa jest mój starszy syn, w restauracji działa żona, w piekarni córka, a młodszy syn jest moim osobistym kierowcą. A ja mam oko na wszystko.

– Porozmawiajmy o piekarni.

– Wcale jej nie chciałem – mówi Nolik. – To był państwowy zakład, więc w mieście ciągle brakowało chleba. Znowu wzywa mnie Wasilij Aleksandrowicz i pyta, czy dam radę to zorganizować. Powiedziałem, że dam, ale jak piekarnia będzie moja. No i od czterech lat chleba nie brakuje. Ze wszystkim, co tu źle działa, przychodzą do mnie. Nawet pomnik musiałem postawić. Ku czci budowniczych Trasy Kołymskiej, który miał odsłaniać prezydent Putin, ale w ostatniej chwili pojechał do Archangielska, żeby otworzyć nowy most.

– Wielka szkoda – bąkam.

– Wielka, bo potem miał jeść obiad w mojej restauracji. Kupiłem nowe naczynia, sztućce, kieliszki. Nawet malowanie zrobiłem. Ale nic się nie zmarnowało, bo potem przyjechało dwóch szejków z Emiratów na polowanie na łosie i renifery i musiałem ich karmić.

– Gdzie mieszkali?

– W twoim hotelu.

– O kurczę! Jak to przeżyli? Taka zasmarkana buda.

– Odmalowałem im dwa pokoje.

A teraz na wysokim brzegu Indygirki Nolik urządził dla mnie lodowaty piknik z ormiańskim koniakiem, ruską wódką, ogniskiem i pieczonymi na patykach szaszłykami, wołowymi płucami i wieprzowymi serdelkami. Mróz jak cholera, noc czarna, a rzeka, że aż strach na nią patrzeć – taka wali nią szuga. Czyli kra. Pędzi z łoskotem jak transsyberyjski ekspres, bo Indygirka to piekielnie niebezpieczna rzeka o najszybszym nurcie ze wszystkich wielkich rzek świata. Gna dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Piękny, przerażający spektakl.

Dzień XXVII
Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Uwielbiam ostatnie dni przed wyprawą. Takie podniecające napinanie cięciwy, czekanie, przygotowania… Od miesiąca jestem w drodze, więc cały czas faktycznie w gotowości, ale dzisiaj wyjątkowo mocno czuję to miłe podniecenie przed kolejnym skokiem. Kupuję prowiant na trzy dni, chociaż jak będzie dobra pogoda, możemy wyrobić się w jeden. Ale wygląda na to, że w górach sypie. A czeka nas skok przez Góry Wierchojańskie do Chandygi, gdzie jest przeprawa przez rzekę Ałdan.

Dzisiaj w bazie transportowej Siergieja poznaję chłopaka, z którym jutro rano ruszę na Trasę. Na imię ma Jura. Pojedziemy kamazem cysterną, ale pustym. W Chandydze Jura ma zatankować i wracać do Ust-Nery, a ja szybko się przeprawiam i szukam okazji na drogę do Jakucka.

Mam chwilę wolnego, więc chodzę bez celu po miasteczku. Docieram na rogatki, w rejon ogródków działkowych. W Rosji każda niemal rodzina ma maleńki kawałek ziemi z warzywniakiem, który w trudnych czasach radzieckich, w latach dziewięćdziesiątych, a nawet

dwutysięcznych uratował od głodu miliony ludzi. Uprawa kartofli i narodowej jarzyny, czyli ogórków, to wielka rosyjska namiętność, a dla milionów starszych ludzi do dzisiaj życiowa konieczność. W wielu rosyjskich miastach na jesieni zawiązują się emeryckie komitety samoobrony strzegące dorastających kartofelków i innych płodów przed złodziejami.

W najzimniejszym zamieszkanym przez ludzi miejscu na świecie warzywa uprawia się nad ziemią w drewnianych donicach i pod foliowymi namiotami. Ale ogrodnicy amatorzy dla sportu i przyjemności potrafią wyhodować niewielkie ilości ziemniaków nawet w gruncie. W tym celu na wiosnę w jakuckich wioskach kupuje się krowi nawóz, który zbierany jest i zamrażany przez pasterzy w misach jak wielkie piaskowe baby. W czerwcu, kiedy ziemia jest już dostatecznie rozmarznięta, kopie się dół, wrzuca gównianą babę, przysypuje ją nieco ziemią, kładzie na niej kartofla, i wszystko zakopuje. Nawóz, który zaczyna fermentować grzeje od dołu bulwę, żeby rosła, i chroni ją przed przemarznięciem od wiecznej zmarzliny.

Zachwycam się płotami, którymi działkowicze grodzą swoje poletka, bo Rosjanie, tak samo jak Polacy, mają idiotyczny obyczaj grodzenia każdego skrawka ziemi, wszystkiego, co moje. Płoty są drewniane, z pionowo bitych desek najgorszego gatunku albo z oflisów, czyli odpadów tartacznych. Nabija się je jak sztachety, a potem piłą wyrównuje górę do wymaganej wysokości albo równając do najniższej, żeby były takie same. Z uciętych końcówek jest

jeszcze sporo opału. Tutaj jednak widzę, że nikt nie równa płotów. Żaden nie jest w linii. Okropnie wyglądają płoty, w których każda sztacheta jest innej długości, czy też wysokości – czasem ma półtora metra, a czasem trzy.

Koło południa spotykam na hotelowym korytarzu Dimę „Kapitana” i Uzbeka Talika. Balują już trzeci dzień, chlają do upadłego. Przepijają sezon Dimki, a teraz także mnie ciągną na wódkę. Dima rzecz jasna stawia, ale się wykręcam, bo mam robotę. Talik robi się więc niemiły, po pijacku namolny. Chce, żebym oddał mu swoją kurtkę. A niby w czym będę chodził? To chce koraliki z ręki, które dostałem od syna na drogę. Mówię, że nie mogę, bo to prezent, do tego strażnik, który przynosi mi szczęście, a on robi się jeszcze mniej przyjemny, natrętny, chociaż przed chwilą jeszcze ściskał się ze mną i całował. Dima znika w swoim pokoju, a Talik wymyśla mi od najgorszych, to ja też znikam.

Dlaczego uważa, że powinienem go obdarować? Bo według błatnego prawa ten z wyższej kasty, wyżej postawiony w więziennej hierarchii (kiedyś i zapewne teraz) bierze co chce? Szczególnie od frajerów, ludzi spoza łagrowego świata. W rosyjskich więzieniach taka odmowa jest nie do pomyślenia. Kilkadziesiąt lat temu równała się śmierci.

Awanturnik Andriej ze swoją strzelbą

Awanturnik Andriej – złoty korzeń

W bloku zwanym w Ust-Nerze „chińskim murem” bo jest najdłuższy w mieście, odwiedzam Andrieja Ogarkowa. Ma sześćdziesiąt dwa lata i duszę awanturnika. Przed czterema laty jego żona pojechała na kontynent odwiedzić syna i jakoś do tej pory nie wraca, więc dwa lata temu Andriej ruszył w tajgę. Ruszył na wariata, bo bez mapy, kompasu (utrzymuje, że ma go w głowie), namiotu, materaca, śpiwora i kurtki od deszczu. Spał w szałasach, na posłaniach ze stłannika, paląc przez całą noc ognisko, żeby odstraszyć niedźwiedzie. Miał wielki kawał folii, ale spłonęła w ognisku, siekierę, tyle że szybko ją zgubił, wielki samodielny nóż (to znaczy własnej roboty), chińską siatkę na ryby i stareńką fuzję kaliber 12. Wędrował przez góry, tajgę, bagna, a na nogach miał wielkie gumiaki. I siedemset kilometrów do pokonania. Pytam go, czy umie ustalać kierunek według gwiazd. A on, że było lato i białe noce – bez gwiazd.

Andriej jest górnikiem-spawaczem. Pracuje w kopalni w głuchej tajdze na Płaskowyżu Elgińskim, siedemset kilometrów na północny zachód od Ust-Nery. Wydobywają tam niezwykle cenną rudę o nazwie sur'ma, która jest cięższa od czystego żelaza, a są w niej niemal wszystkie metale z tablicy Mendelejewa z przewagą złota, srebra, platyny, uranu, niklu, wolframu i miedzi. Dostać się tam można tylko w zimie, ciężarówkami po zamarzniętych rzekach i tak samo wywożony jest urobek. W lecie kopalnia

nie pracuje, a wszyscy pracownicy w końcu kwietnia są wywożeni po lodowych przeprawach razem z rudą.

Plan Andrieja był taki, by po zakończonym sezonie nie wracać ze wszystkimi do miasta, tylko poczekać do czerwca na wiosnę i ruszyć piechotą. Najpierw w górę rzeki Adyczy, do samych jej źródeł na wysokiej przełęczy w grzbiecie Borong, a po drugiej stronie w dół rzeki Utaczan, a potem Elgi, która jest lewym dopływem Indygirki. Stąd miałby już tylko sto najłatwiejszych kilometrów po tej wielkiej rzece. Bo Andriej planował, że w dół rzek będzie spływał na maleńkim, dwuosobowym pontonie wędkarskim. Po tych rzekach, na które ja boję się nawet patrzeć, tak są dzikie, wartkie, groźne. Przy czym Andriej nigdy tego wcześniej nie robił i nie umie pływać, i nie wędrował nigdy po górach. Do przejścia miał trzysta, a do przepłynięcia – czterysta kilometrów.

Ponton i zapasy żywności ukrył na przełęczy, kiedy pół roku wcześniej jechał na jesieni do pracy.

– Ruszyłem w górę Adyczy 12 czerwca 2009 roku – opowiada Andriej. – A kiedy po trzech tygodniach doszedłem na przełęcz, okazało się, że pomyliłem drogę. Rzeka zwyczajnie zlewała się z dwóch potoków i ja poszedłem do góry nie po tym, co trzeba. A właśnie skończyła mi się żywność.

– Co wziąłeś na drogę?

– Bochenek chleba, woreczek sucharów, cukru, sześć puszek świńskiej tuszonki i sól. Jedzenia starczyło mi na drogę w górę. Na przełęczy miałem ukryte z pontonem

sporo kaszy. Ale to nie była ta przełęcz. Z drugiej strony była ogromna, straszna przepaść. Kiedy zacząłem wracać, miałem dwie garście cukru. Do tego zepsuła się pogoda, przyszedł mróz, spadł śnieg. U nas w lecie tak bywa.

Na powrót musiały więc wystarczyć mu jagody, grzyby, robaki, ryby i padlina. Jeden raz udało mu się upolować renifera. Im więcej energii i czasu poświęcał na zdobywanie żywności, tym wolniej wędrował, tym był słabszy.

– Gotowałem kompot z jagód bez cukru, zupę rybną bez soli, ale to mi nie wystarczało – wspomina Andriej. – Umierałem z głodu. Leżałem w szałasie i nie miałem siły wstać. Mówiłem sobie, że jutro jakoś się zwlokę z posłania, ale następnego dnia też nie miałem siły. Zapadałem w sen na kilka dni. Najgorzej było w opuszczonym obozie poszukiwaczy złota, jakieś sto kilometrów przed końcem drogi. W pamiętniku napisałem, że umieram, że nie wydostanę się z tej tajgi, nie dotrę do domu. Poddałem się.

Ale po trzech dniach jakoś wyczołgałem się z szałasu, znalazłem grzyba, gąsienicę, wielkiego pająka. Położyłem się w jagodach i jadłem na leżąco.

Wiecznie mokre, studzone w lodowatych potokach nogi strasznie spuchły i odmówiły posłuszeństwa. Życie uratował mu dziki renifer, który wyszedł Andriejowi na muszkę. Wreszcie najadł się do syta i ruszył w dalszą drogę. Ale jak pod rękę nawinęły mu się krzaczki różeńca górskiego, nie mógł się powstrzymać i swoim długim nożem wydłubywał z ziemi cenne korzenie nazywane przez ludzi tajgi złotymi.

To rodzaj miejscowego żeń-szenia, z którego miejscowi robią leczniczą nalewkę na wódce.

I wtedy niespodziewanie runęła na Andrieja ogromna niedźwiedzica z dwoma młodymi. W ostatniej chwili uskoczył przed ciosem potężnej łapy.

– Uratowało mnie to, że miała mnie z góry. Niedźwiedzie przednie łapy mają dużo krótsze od zadnich, więc nie potrafią zbiegać po stromych stokach.

Andriej przynosi z kuchni słoik po kawie Maxim z płynem o rozkosznym zapachu i kolorze koniaku. I o podobnym nawet działaniu, tyle że setki razy mocniejszym. To nalewka na złotym korzeniu. Zalecana dawka – łyżeczka do herbaty, ale nigdy przed snem. My w południe wypijamy po kieliszku i nie mogę zasnąć całą noc.

W Ust-nerze Andrieja wszyscy już opłakali, pożegnali i pochowali. A on spotyka poszukiwaczy złota i wraca do miasta. Przedziera się przez tajgę czterdzieści cztery dni. Potem dwa miesiące leży w szpitalu i leczy nogi. Najbardziej niezwykłego odkrycia dokonuje kilka miesięcy później, kiedy w listopadzie ponownie jedzie do kopalni do pracy.

Ktoś ukradł wszystkie pozostawione przez Andrieja na przełęczy rzeczy. Nie było ani pontonu, ani zapasów żywności. To wbrew wszystkim prawom obowiązującym w tajdze, gdzie z zimowika, czyli myśliwskiej chatki, nigdy nie wolno zabrać, zużyć wszystkich zapasów. Zawsze trzeba zostawić odrobinę soli, kaszy, herbaty, cukru i zapałek, zawsze trzeba zostawić zapas drewna na pierwszy ogień.

Przecież gdyby Andriej nie zgubił drogi, i tak bez tych zapasów nie miałby szansy wrócić do domu. I tak otarłby się o śmierć. I pewnie by ją znalazł.

A od dzisiaj Andriej ma małego kociaka. Uratował mu życie, kiedy na cmentarzu opadła go sfora bezpańskich psów. Z innych dziwactw Andriej ma domowy warsztacik do produkcji nabojów do strzelby, produkcję nalewki na złotym korzeniu i niemal przemysłową wytwórnię wina z arbuzów, które ormiański sklepikarz wyrzucił na śmietnik, ale Andriej odkrył, że zepsute są tylko po wierzchu. Arbuzy były tak drogie, że w Ust-Nerze nikt ich nie kupował poza żoną właściciela sklepu i jego kuzynem Nolikiem.

Dzień XXVIII
Ruczaj Szamana. 1459. kilometr Traktu Kołymskiego

Wychodzę rano z hotelu, a recepcjonistka mnie zatrzymuje i pyta, czy ten mój kolega zostaje jeszcze u nich, bo nie zapłacił za ostatnią noc. Mówię, że to nie jest mój kolega, i wracam na górę. Jego pokój jest otwarty. Dima leży w skotłowanej pościeli. Z bólem otwiera oczy. Nawet blade światło polarnego poranka sprawia mu cierpienie. Ostrzegam, że będą go ścigać, bo nie zapłacił za hotel, a on, że nie ma ani kopiejki.

W niecałe trzy dni przepił, przepuścił z Talikiem i jego kompanami pieniądze za cały sezon, 180 tysięcy rubli za sześć miesięcy pracy. Wszystko z niego wyssali i zniknęli.

Pytam Dimkę, skąd zna historię kapitana z brygady trzyminutowego reagowania. Mówi, a w zasadzie jęczy, że z więziennego szpitala dla narkomanów w Krasnojarsku, gdzie oficer umierał na aids. Wcale nie poszedł na emeryturę. To Dimkowa adaptacja tekstu. Sąd wojenny skazał kapitana na sześć lat więzienia za tak zwane maruderstwo. Z bronią w ręku obrabował sklep jubilerski w Nalczyku na północnym Kaukazie.

Umówiony jestem z Jurijem Jermołowem, kierowcą z bazy transportowej, z którym mam jechać dalej na Zachód, że ruszamy z Ust-Nery o godzinie dziesiątej. Jura prezentuje jednak typowy, po rosyjsku swobodny, a nawet powiedziałbym – lekceważący stosunek do czasu. Przychodzi do bazy o godzinie jedenastej. Odpala naszego osiemnastokołowego kamaza-cysternę i łazi. Wyjeżdża na środek placu. Cofa. Nie ma jedzenia na drogę. To może pojedzie do domu. Albo weźmie po drodze… Ruszamy o wpół do drugiej. Silnik dwie i pół godziny pracuje po próżnicy.

Kilka kilometrów za Ust-Nerą i mostem na Indygirce Jura zatrzymuje samochód przy słupku kilometrowym 1012. Idzie do sklepiku po herbatę na drogę, ale wraca z wielką flaszką wódki, bo mróz, w drodze, w tajdze nie może jej zabraknąć. Dla mnie ten słupek to połowa trasy. Uwielbiam w maratonie przekraczać półmetek. Wiem, że najtrudniejsze jest przede mną, a na podstawie tego, jak się czuję, jak jestem zmęczony, oceniam, czy przed metą będę walczył o życie, czy o dobry czas. Tak się składa, że z Jurijem pokonuję także dwie trzecie i trzy czwarte trasy. W maratonie szczególnie ważny dla ustalenia strategii na koniec biegu jest ten drugi przedział, bo wypada na 32. kilometrze – do mety zostaje zatem niemal dokładnie dziesięć. Kilometry na trasie są oznaczone, a to „niemal” robi wielką różnicę, bo ma 195 metrów – dla mnie to minuta biegu i jak jej nie uwzględnię, nie uzyskam

wymarzonego czasu. Dystans maratonu to 42 kilometry i 195 metrów.

Wszyscy maratończycy amatorzy walczą o „łamanie” pełnych dziesiątek minut albo kwadransów. Trzy godziny, trzy 10, trzy 15, trzy 20… Ja od kilku lat zmagam się z czasem trzy i pół godziny. W Moskwie mi się nie udało, a dokładnie rok później w Warszawie, z trzech i pół godziny urwałem na mecie 27 sekund.

Trzy i pół godziny – właśnie z takim opóźnieniem ruszamy z Jurijem w drogę i już jest jasne, że nie dotrzemy do Chandygi w jeden dzień. A ja strasznie się spieszę, bo mają zamykać przeprawę promową przez Ałdan.

Dwie, trzy godziny później nasza ciężarówka sama się zatrzymuje. Kompresor działa, a my tracimy sprężone powietrze, bez którego przestają działać hamulce. Dobrą godzinę szukamy, którędy uchodzi powietrze. I znajdujemy. Między kompresorem a zbiornikiem sprężonego powietrza, na złączeniu metalowej i gumowej rurki. Ułamał się wężyk. Już dwa lata temu przytrafiło się to Jurijowi i o mało nie przypłacił tego życiem, bo to było daleko na północy, kiedy w środku zimy, przy 64 stopniach mrozu jechał po sur’mę do kopalni, w której pracuje awanturnik Andriej Ogarkow. Wtedy jakimś cudem udało mu się znaleźć uszkodzenie i naprawić je prowizorycznie. Odmroził przy tym ręce, które bolą go do dzisiaj, ale o prowizorce zapomniał, no i znowu stanęliśmy z tego samego, głupiego (gumowy wężyk!) powodu.

Nasz kamaz to dziewiętnastoletni gruchot wyklejony w środku (jak wszystkie samochody w Jurijowej bazie) chińską wykładziną podłogową we wzory. Szyby popękane, na wolnych obrotach pedał gazu trzeba dociskać śrubokrętem, a drzwi pasażera otwierają się tylko od zewnątrz. Jurij nie wie, jaki jego kamaz ma przebieg, bo licznik nie działa od nie wiadomo ilu lat. Najbardziej mnie niepokoi to, że w naszej ciężarówie na postoju śmierdzi spalinami jak jasna cholera, a przy takim mrozie (około 20 stopni), silnik będzie pracował bez przerwy, także całą noc. Martwię się, czy rano się obudzimy.

Uwielbiam Jurija. Już w drodze mówi, że wyruszyliśmy tylko z mojego powodu, żebym zdążył na przeprawę, bo inaczej pojechałby dwa-trzy dni później, kiedy drogowcy uporają się trochę ze świeżym śniegiem, który pada w górach od kilku dni. Już po nocy przebijemy się przez bardzo niebezpieczne, wiszące nad przepaściami przełomy górskie. Czarny i Żółty. Nazwy swoje wzięły od koloru skał, w których została wykuta droga.

Jedziemy do północy. Po dziesięciu godzinach jazdy i przejechaniu 452 kilometrów, stajemy w świętym dla pogan miejscu nazywanym Ruczajem Szamana. Śmierdząca siarką para wodna kotłuje z wielkiego wywierzyska. To tutaj kilka lat temu Jura spotkał potężnego szatuna ze stalową pętlą na szyi, który przetrzymał go całą noc na dachu ciężarówki. Wreszcie możemy spokojnie pojeść, zrobić herbatę na chińskiej kuchence, Jurij otwiera flaszkę. Ohydna berbelucha, ale piję równo z moim szoferakiem,

żeby dla niego było jak najmniej. Ruszamy przecież wcześnie rano.

Kolejny magiczny wieczór. Uwielbiam je. To dla nich jeżdżę w świat i uprawiam zawód reportera. Przepadam gadać z paputczikami, z ludźmi, z którymi jestem w drodze. Tak osobliwie, tajemniczo odkrywają wtedy swoje dusze.

Ot, Jurij – nieskomplikowany chłop, lat czterdzieści, syn, wnuk i brat szoferów, od szóstego roku życia wiedział, że nie chce jak wszyscy radzieccy chłopcy być kosmonautą ani sportowcem, ani nawet milicjantem, tylko kierowcą. Na Trakcie. Jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie.

Magiczna kolacja i noc w szoferce kamaza przy Ruczaju Szamana

Szoferak Jurij – tysiąc kilometrów

Samochód, którym jedziemy, jest własnością Jurija. Szef bazy tylko zleca mu przewozy. Jurij marzy o nowym kamazie, ale to dwa miliony rubli. Jedyny bank, który chce mu dać kredyt (szofer nigdzie nie jest oficjalnie zatrudniony), żąda aż 18 procent prowizji w skali roku.

Wściekły na świat Jura opowiada kawał o żydowskim bankierze, którego pytają, skąd ma tyle pieniędzy, skoro nie kradnie. To tak jak ze słoniną – odpowiada bankier – weźmiesz w ręce, potrzymasz i odkładasz na stół.

– No i co? – pytam.

– Ręce zawsze zostają trochę tłuste – mówi szoferak.

– To nie tylko w żydowskich bankach tak działa.

– U nas innych nie ma. Rosja ma trzecie miejsce w świecie w wydobyciu ropy, ale ja z tego, kurwa, nie mam nic! Kupuję olej napędowy po trzydzieści cztery, kurwa, ruble!

Jura ma tę ciężarówkę od roku, a przejechał na niej już pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. To tak, jakby co tydzień jeździł tysiąc kilometrów z Ust-Nery do Magadanu. Za kurs do Chandygi po paliwo zarobi na czysto 33 tysiące rubli (3,3 tysiąca złotych). Zajmie mu to trzy dni.

Ale bywało, że w jedną stronę jechał nawet tydzień. Pamięta takie postoje przy Ruczaju Szamana, że przez trzy dni wypijał pięć-sześć butelek wódki. Ruszał, kiedy się kończyły i odrobinę dochodził do siebie. Te problemy mój paputczik ma już za sobą. Gorzej jest z wymiarem

sprawiedliwości, który się nim interesuje w sprawie kradzieży pokryć dachowych z magazynów materiałów budowlanych. Nie wolno mu opuszczać terytorium Jakucji, ale Jura za wszelką cenę za tydzień musi być w Magadanie. Obiecał młodszemu synkowi, że przyjedzie na turniej bokserski, w którym chłopak będzie walczył o mistrzostwo obwodu.

Nieszczęście polega na tym, że Jura ciągle w drodze – jak to szofer. Ciągle pomiędzy Ust-Nerą a Magadanem. To jedyna droga na Kołymie, więc Jurij może być tylko tutaj albo tutaj. W Magadanie od siedemnastu lat jest w związku małżeńskim z Wierą, z którą ma troje dzieci, w Ust-Nerze natomiast pięć lat temu przygruchał sobie Swietłanę. Osobliwe jest to, że Swietłana jest starsza o kilka lat od starej partnerki Jurija. To kobieta po przejściach, po dwóch rozwodach, bez dzieci, bo nie może, ale z Jurijem niespodziewanie zachodzi w ciążę i jego życie nagle się komplikuje. Ktoś donosi oddalonej o tysiąc kilometrów magadańskiej żonie o podwójnym życiu jej męża. Żona chce rozwodu, ale Jurijowi pęka serce, że musi zostawić Wierę i dzieci. Mówi, że strasznie ich kocha. Swietę i ich córkę Sofię zresztą też.

Dzień XXIX
Chandyga. 1605. kilometr Traktu Kołymskiego

Dupa. Wygląda na to, że dupa! Jestem w dupie.

Ale po kolei. Najpierw poranek. Szczęśliwie udało nam się nie udusić w szoferce naszego kamaza, chociaż spaliny waliły do środka jak diabli. Łeb jednak lekko napieprza. Możliwe, że trochę też od wódki, bo nie była królewskiej jakości. Jemy śniadanie. Słońce, mróz, do najbliższej ludzkiej siedziby dziesiątki kilometrów, a tu nie wiadomo skąd zjawia się dwóch zalanych w trupa Jakutów i „dawajcie wodku!”. No, nie mamy. „To dawajcie likier Szosse”. Jura mówi, że też nie mamy, a oni, żebyśmy kupili mięso renifera. Mają dwie całe nogi z szynkami, czyli jakby pół zwierzaka. Jura pyta, ile chcą. Tysiąc rubli (sto złotych). Jura ma tylko trzysta. Może być! Biorą forsę i idą po wódkę. Trzydzieści kilometrów do Wostocznej! Piechotą, w dwudziestostopniowym mrozie. W Wostocznej jest stacja meteorologiczna, ale pracownicy przy okazji handlują wódką.

Likier Szosse to płyn do chłodnic. A denaturat w gułagowskich czasach nazywali likierem Błękitna Noc. Do

dzisiaj miejscami nazwa ta funkcjonuje.

Przez cały nasz dziesięciogodzinny postój przy Ruczaju Szamana, nie przejechał koło nas ani jeden pojazd.

Ruszamy, a po kilkudziesięciu kilometrach zatrzymujemy się na ostatniej górskiej przełęczy przed zjechaniem na równinę. To przełęcz Tomporukska. Jura, jak wielu jego kolegów kamazistów, oddaje hołd koledze dalnobojszczykowi z Chandygi, który się tutaj zastrzelił. Chłopisko wrócił wcześniej z trasy i przyłapał żonę z innym mężczyzną.

Jura, który ma dwie rodziny z czwórką dzieci, rzuca kilka grubych słów pod adresem zepsutej kobiety, stoimy chwilę pod krzyżem, a potem wycinamy dwie choinki. Dla dwóch rodzin Jurija. Na święta! Na Nowy Rok i Boże Narodzenie, które u prawosławnych wypada w styczniu. Jest mniej więcej połowa października, ale w kołymsko-jakuckim mrozie choinki postoją. Tutaj już rosną i świerki, i nawet sosny, bo na zachód od Ust-Nery robi się odrobinę cieplej. Do Ust-Nery z drzew tylko modrzewie.

No, a dlaczego jestem w dupie? Bo promy na Ałdanie nie chodzą już od czterech dni. Kra wali jak diabli, a to potężna, wartka, straszna rzeka. Jeszcze przedwczoraj poszedł duży rzeczny statek i zabrał przy okazji ostatnich ludzi z przystani. Ale już nie mógł wrócić. A ja nie mam nawet jak się dowiedzieć, czy coś się nawinie na drugi brzeg, bo przeprawa jest czterdzieści kilometrów za miastem w dół rzeki. Babki z bazy paliwowej, do której dotarłem z Jurijem, obiecują, że czegoś się dowiedzą i oddzwonią, bo może

jeszcze coś na drugi brzeg pójdzie, ale niczego obiecać nie mogą. Na razie odsyłają mnie do miejscowego hotelu. Prezydenckiego.

To mały, drewniany budynek o urodzie domku myśliwskiego. Prezydencki, bo został zbudowany dla Wiaczesława Sztyrowa, byłego prezydenta Jakucji, który pochodzi z Chandygi i często tu przyjeżdża. Sztyrow jest synem naczelniczki męskiego łagru znad rzeki Dyby, a hotel jest tylko dla „elitnych gości”. Jestem jedynym gościem, więc dostaję apartament prezydencki. Proszę o klucz. Mówią, że jest otwarte i nie trzeba zamykać, bo od siedmiu lat nikt tu nie kradnie. To znaczy w hotelu. Pytam, dlaczego akurat od siedmiu. Bo wtedy zbudowali ten hotel – odpowiada mój jakucki rozmówca.

Wyglądam przez moje prezydenckie okno: oszałamiający widok na ogromną, syberyjska rzekę. A po niej wali potężna kra.

Czekam następnego dnia. Rano mam otrzymać wiadomość, co z przeprawą.

Nina – jakoś wtedy, kiedy uczyła się pić spirytus

Redaktor Chanarowa – Noc Kleopatry

W rosyjskiej Jakucji Buriatka podaje Polakowi o niemieckim nazwisku chińską herbatę Noc Kleopatry. Oboje wybuchamy śmiechem, kiedy to do nas dociera. Na dodatek nie czysta Buriatka, tylko Metyska. Nina Chanarowa w połowie jest Rosjanką – półkrowką, jak tu mówią.

Zaraz potem Nina serwuje mi Nałożnicę Imperatora. To też herbata. Ninoczka wróciła z wycieczki do Chin, i teraz poi swoich gości herbatami o dziwnych nazwach. Ale herbata jest na koniec. Zaczyna od cudownego płowu z mięsem renifera, który w Azji Centralnej robią przez cały dzień, a ona uwija się w czterdzieści minut.

Jeszcze szybsza niż w gotowaniu jest w mowie. Mówi dużo, szybko, mądrze i pięknie. Z zawodu jest reżyserem, a od dwunastu lat dyrektorem miejscowej filii jakuckiej telewizji publicznej.

– Mam pięćdziesiąt sześć lat i żadnego z nich nie żałuję. Moje lata, moje bogactwo – mówi. – Tyle przeżyłam. A opowiadałam ci, jak pierwszy raz w życiu piłam spirytus?

– No jak? Znamy się od godziny.

– To nalej po riumoczce – komenderuje. – Szkoda, że nie zimniejsza. Do Chandygi przyjechałam z Ułan Ude w mojej Buriacji. Taki dostałam nakaz pracy. Byłam zaraz po studiach. Pij do dna! Kto zostawia w kieliszku, nie jest szczery. Tylko kobiety nie muszą do dna.

– A z tym spirytusem jak było?

– Zaraz. Jest siedemdziesiąty ósmy rok. Dają mi robotę w rejonowym komitecie Komsomołu.

To nie jest dobry rok. Suchy, bez jagód, grzybów, jarzębiny, z wielką liczbą bardzo groźnych, głodnych szatunów. Wokół Chandygi chodzą stadami i jeden z nich w wiosce Topolino pożera całą rodzinę pasterzy reniferów. To jeszcze nic nadzwyczajnego, problem w tym, że starszy syn pasterza miał być delegatem na wszechzwiązkowy zjazd Komsomołu w Moskwie.

– Władza dostaje sraczki – opowiada Ninoczka. – Zbierają cały skład biura Komsomołu i wysyłają nas w tajgę. Mamy ustalić, co się tam wydarzyło, i wysłać do Moskwy raport, dlaczego towarzysz Asienin, który został wybrany, nie przyjedzie na zjazd. Dają samochód. Stary jak rzeka Ałdan. Aż boli patrzeć na tego gruchota. A przed nami trzysta kilometrów przez góry i grudzień, śnieg, w Chandydze 58 stopni mrozu. Tak zaczyna się moja pierwsza delegacja w życiu.

Na miejsce zbiórki przychodzą mężczyźni. Ładują samochód. Nina nie wierzy własnym oczom.

– A to co?! – pyta.

– Spirytus.

– Cała skrzynka? Po co?!

– Nie mądrzyj się. Właź.

Dziewięć osób upycha się w starym łaziku. Na zmiany siadają sobie na kolanach. A droga wąska, serpentyny. Prowadzi pierwszy sekretarz rejonowego komitetu.

– Który, gadzina, nie tylko samochodu, ale kobyły prowadzić nie powinien – opowiada Nina. – Południowe Góry Wierchojańskie bez drzew, łyse. Mało że samochodem nie ma o co zaczepić, to nawet wzrokiem o nic nie zahaczysz. Tylko droga i przepaści. I noc, i mgła jak mleko. A przed maską wyrasta jeleń. Ogromny jak góra, jak nic sześćset kilogramów żywego mięsa, a rogi co najmniej ze dwa metry rozpiętości. Skacze i wbija się nimi w przednią szybę. Pada i krzyczy jak dziecko! Uwierzysz?! Do dzisiaj słyszę ten krzyk. O! Zobacz, jak mi włosy stają dęba na rękach. W kilka chwil wszyscy robimy się sztywni z zimna. 62 stopnie mrozu! A samochód rozbity.

– Mówiłaś: 58 stopni.

– Na dole! Tam w górach zawsze cztery więcej. Przy takiej temperaturze najpierw zamarza twarz, usta. Wargi przestają się ruszać, więc zaczynasz bełkotać jak pijany, a potem w ogóle przestajesz mówić. Wszystko zamarza błyskawicznie. Nasi mężczyźni wyciągają skrzynkę ze spirytusem, kubki, nalewają, „pij!”. Ja nigdy w życiu nie piłam spirytusu. „Chcesz żyć?!”. Chcę, oczywiście! „To pij! Wdech. Piiij! Nie łykaj, tylko lej do brzucha. Wydech”.

– Hemingway tak umiał.

– Mnie też się udaje, ale kubek przymarza mi do wargi. Odrywam go z kawałkiem mięsa. Nalej, Jacek, po riumoczce.

– Za kobiety, co dużo widziały – błyskam galanterią.

– Toast huzarski. Mężczyźni wstają, a kobiety tym razem do dna. A tam w górach pamiętam tylko trzy pierwsze kubki

tego spirytusu. I tracę przytomność. Budzę się w jakimś namiocie. Otwieram oczy i widzę, że do środka wbiega dziewczynka w letniej sukience. Nie rozumiem, czy jestem na tym, czy na tamtym świecie. Nawet mruganie oczami sprawia mi cierpienie. Czuję, że jestem zupełnie goła, ale w worku, w śpiworze z futra.

Dziewczynka widzi, że Nina otwiera oczy, więc kogoś woła. Przychodzi jej matka. Po urodzie widać, że Ewenka.

– Witaj, Nina – mówi nieznajoma. – Ty mi tyle o sobie wczoraj opowiadałaś.

– Naprawdę? Ze mną były jeszcze dwie dziewczyny. Jelena Priekrasna i Jana Szczepanska, sekretarz obwodowego komitetu. Gdzie one?

– W sąsiednich namiotach. Żyją obie.

– Dlaczego jestem goła?!

– Nacierałam cię spirytusem. Umierałaś, byłaś zmarznięta i sztywna jak kloc drewna.

Mężczyźni napoili dziewczyny spirytusem i pierwszym, przygodnym samochodem odprawili do najbliższego obozowiska pasterzy. Ale to dzikie góry, bardzo długo czekali na okazję.

– Jak wlewasz w siebie spirytus – opowiada Nina – to jakby ogień przez ciebie przelatywał, ale szybko przestaje grzać. I znowu trzeba pić. Ale na tym strasznym mrozie już nie mogłyśmy otwierać ust, to nam je mężczyźni otwierali nożami. Jak buldogom. A jak pokaleczyli przy tym. Też byli pijani. Jak zobaczyłam Jelenę, to się przeraziłam. Twarz porżnięta, odmrożona, czarne palce. Myślę, że ten spirytus

i sadło niedźwiedzie, którym nas smarowały Ewenki, ratują nam życie.

– Do delegata pożartego przez niedźwiedzia docieracie?

– Po tygodniu dziewczyny ewakuują śmigłowcem, a chłopcy ruszają dalej. Szatun ściągnął z delegata skalp z całą twarzą. One nigdy nie spotykają się z człowiekiem oczy w oczy. Zawsze atakują łapą od tyłu i zrywają z głowy całą skórę. Nie pożarł naszego komsomolca, tylko zakopał na później. Całą jego rodzinę zakopał. Niedźwiedzie bardzo często tak robią, żeby mięso nabrało ulubionego zapachu i smaku padliny. Tak wyglądała moja pierwsza delegacja. Potem były setki następnych. To nalej po riumoczce.

Towarzyszka Nina – nalej po riumoczce

Nina znana jest w Chandydze nie tylko z ekranów telewizora. Uratowała pomnik Włodzimierza Lenina, kiedy miejscowa władza rozmyślała, czyby go nie zdemontować. Nina zmobilizowała opinię publiczną i podniosła okropny krzyk, że to przecież pterodaktyl, skamielina, pamiątka minionej epoki. I wódz rewolucji stoi w miasteczku do dzisiaj.

– Jakuci nazywają Ruskich okupantami, ale oni też tu przywędrowali – opowiada Nina z zupełnie innej beczki. – Żyli wokół Bajkału, zanim moi buriaccy przodkowie, wojownicy Czyngis-Chana, nie przegnali ich na północ. Jakuci to bardzo spokojny, łagodny naród, usunęli się przed Mongołami pewnie bez walki, ale miejscowych Aborygenów,

to znaczy Ewenów i Ewenków, na sto procent musieli podbić zbrojnie. Oni tacy sami okupanci jak my.

– Ta teoria podobno wcale nie jest pewna.

– To dlaczego nad Bajkałem jest tyle jakuckich nazw? – pyta sama siebie. – Dlatego że te miejsca zostały nazwane, zanim przybył tam mongolski lud Buriatów. Choćby góry Chamar-Daban. W języku Buriatów to kompletnie nic nie znaczy, a po jakucku to Chodząca Góra. Bardzo dużo czytałam o rdzennych ludach Syberii. Po kilku latach pracy w Komsomole przenieśli mnie na etatowego pracownika Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i zrobili kierownikiem partyjnej biblioteki.

– W takim małym miasteczku mieliście bibliotekę dla partyjniaków?!

– Tak. A jaki to był rozkoszny zbiór! Cała światowa literatura, o której w publicznych bibliotekach można było tylko pomarzyć. Oczywiście była dostępna tylko dla ludzi partyjnych i to tylko dla członków komitetu rejonowego!

– Zrobili bibliotekę dla sześciu-siedmiu osób?! A ty siedziałaś i czekałaś, jak raz w miesiącu ktoś się pojawi?

– Nie czekałam – protestuje Nina. – Czytałam. Do moich obowiązków należało czytanie partyjnych gazet i robienie skrótów z każdego artykułu. Pierwszy sekretarz nie ma czasu czytać. Ja za niego czytałam. Żeby oni zdechli wszyscy! Razem wzięci. Nalej po riumoczce! Musiałam to czytać i w trzech linijkach streścić każdy artykuł. Raz w tygodniu, w piątek o czternastej, przychodziłam do pierwszego sekretarza i w obecności drugiego i trzeciego

sekretarza, a także przewodniczącego komitetu wykonawczego i jego zastępców, referowałam, co w Związku Radzieckim przez tydzień pisali w partyjnych periodykach. Faktycznie więc pracowałam dla tych sześciu chłopów. A w międzyczasie czytałam wszystko, co najlepszego wydawali na świecie.

– Wszystko było tłumaczone na język rosyjski? I wydawane?

– Oczywiście – mówi Nina. – Tylko na potrzeby KPZR. Czytałam także wszystkich naszych dysydentów. Sołżenicyna, który u nas był w samizdacie, którego ludzie przepisywali ręcznie, ja przeczytałam całego w partyjnych wydawnictwach do użytku wewnętrznego. Całego Szałamowa, który także tutaj siedział niedaleko, przeczytałam z wydań zagranicznych.

– Rozumiem, Ninoczka, że byłaś w partii.

– Szlag by to… – sroży się moja gospodyni.

– Naleję po riumoczce.

– Nalej – zgadza się. – Po pięciu latach pracy w partyjnej bibliotece wzywa mnie sekretarz do spraw ideologicznych rejonowego komitetu. Taka mała, śliska szelma, lis prawdziwy, i pyta, dlaczego nie wstępuję w szeregi. „Bo ideowo jeszcze nie dojrzałam, Klimiencie Kiriłłowiczu” Mijają następne dwa lata. Znowu mnie wzywa i pyta, czy ja jestem z nimi, czy przeciw nim.

I świdruje mnie tym lisim spojrzeniem jak rentgenem. Bałam się znowu zełgać, żem niedojrzała, bo ten przez

skórę wszystko czuje. Po prostu partyjny rentgen. Nienawidziłam go jak psa.

– Bałaś się go – dorzucam.

– I szanowałam za to, jak był oddany swojej sprawie. Jeszcze gadzina umiał wypić i babkom gładkim komplementem posunąć. Świetną parę stanowili z Iwanem Dmitrijewiczem, naszym pierwszym sekretarzem, co nawet wypić nie umiał, chociaż lubił. Jak to Jakut. Naprawdę świetna była z nich para. Nawet na oko. Jak Flip i Flap. No i ten mały lis przerobił tego wielkiego, prostego, silnego chłopa, żeby mi dał partyjną rekomendację. To już nie miałam wyboru. Sam pierwszy sekretarz daje partyjną rekomendację jakiejś bibliotekarce! To przecież rozsmarowaliby mnie jak smarka na asfalcie, gdybym odmówiła.

– Po pierwsze wywaliliby cię z biblioteki.

– A te książki były dla mnie jak powietrze. Zawsze byłam taka zażygałka (zapalniczka), Buriatka-wariatka, a jako członek partii już nie mogłam sobie pozwolić na żadne wygłupy, dzikie fantazje. Ciężko było mi z tym żyć. Teraz wiem, że ślęczenie nad partyjną literaturą nie było stratą czasu. Rozwijałam się przy niej, ale jak zrobili mnie dyrektorką domu kultury, miejscowi twórcy patrzyli na mnie jak na partyjną sukę. Nalej jeszcze po riumoczce.

– Już nic nie zostało.

Dzień XXX
Czerkioch. 1781. kilometr Traktu Kołymskiego

Teraz mogę się przyznać. Marzyłem, że tę podróż odbędę na motocyklu. Nawet specjalnie na tę okoliczność zrobiłem prawo jazdy na jednoślady. Chciałem, żeby było troszkę wyczynowo, ale wszystko poszło nie tak. Nawalił umówiony człowiek z Magadanu, który miał mi sprzedać motocykl, a zima przyszła wcześniej niż zwykle. Śnieg leżał już na pierwszej przełęczy za Magadanem. Musiałem zrezygnować z tego wariantu. Po śniegu nie da się jeździć motocyklem, ale nawet gdyby udało mi się zrealizować ten pomysł, cały ten wyczyn wysiada przy tych siedmiu minutach, które musiałem przeżyć dzisiaj rano.

Mówię o przeprawie przez Ałdan. Już wczoraj wieczorem udało mi się ją załatwić, a ci, którzy mi w tym pomogli, mówili, że to piekielnie ryzykowne przedsięwzięcie. Jasna sprawa. Widzę tę rzekę z okna mojego hotelowego pokoju. Mamy pokonać ją na łódce, a nie lodołamaczem!

Już w łóżku zaczynam się bać.

Rano samochód zabiera mnie z hotelu i razem z czterema innymi mężczyznami wiezie daleko w dół rzeki, za miasto.

To ciągle Trakt Kołymski, często nazywany tutaj Trasą Magadańską.

Dwóch z naszej grupy jest zalanych niemal w trupa. Żaden nie przeprawiał się wcześniej w ten sposób przez rzekę, a wszyscy mają dużo, dużo ważniejsze ode mnie powody, żeby to zrobić. Wasyl, z pochodzenia Jakut, jest poszukiwaczem złota, po półrocznej pracy w tajdze wraca na zimę do domu, do Jakucka. Iwan Iwanowicz jedzie na operację serca do Nowosybirska, a jego ogolony na łyso, dwudziestotrzyletni syn Sierioża nie chce puścić ojca samego. Geolog Walera jedzie do Moskwy na pogrzeb matki. Tylko ja mógłbym zrezygnować.

Z naszej grupy tylko Iwan Iwanowicz zachowuje spokój. Mówi, że się nie boi, bo i tak niedługo umrze. Lekarze już mu wyznaczyli termin śmierci. Operacja daje niewielkie szanse na jego przesunięcie.

Ale martwi się o syna, tym bardziej że mimo wczesnej pory chłopak potężnie popił i jeszcze co chwila pociąga tanie wino z kartonu.

Łazik dowozi nas nad samą rzekę, a jego kierowca bierze od każdego po pięćset rubli (pięćdziesiąt złotych). Widzimy samochody na drugim brzegu, a potem maleńką, metalową łupinę, która między zwałami lodu przedziera się w naszą stronę.

To stara, wysłużona motorówka z silnikiem Yamahy. Pomagamy wygramolić się na brzeg białej jak papier, przerażonej kobiecie, a potem sami zajmujemy miejsca. Okazuje się, że nasz przewoźnik chce nas przeprawić

jednym kursem, a z nim to sześciu pokaźnych facetów z bagażami. Burty ledwo wystają nad wodę.

Oczywiście na pokładzie naszej łupinki nie ma kamizelek ratunkowych. Lawirujemy pomiędzy wielkimi polami lodowymi, a mniejsze bierzemy taranem. Lodowe kry walą z hukiem w metalowe burty. Przerażający dźwięk.

Przeprawa trwa siedem minut. W tym czasie nasz jakucki przewoźnik o imieniu Nikołaj opowiada, że od sześciu lat jako jedyny w całej Chandydze wozi nielegalnie ludzi w okresie zamkniętej nawigacji. Zajmuje się tym dla zarobku i dlatego, że ma z rzeką niewyrównane rachunki. Lubi ją ujarzmiać. Kilka lat temu w Ałdanie utonął jego brat. Musiał przedostać się na drugi brzeg, ale nikt nie miał odwagi go przeprawić, więc chłopak próbował pokonać rzekę, skacząc z kry na krę.

Nikołaj bierze od każdego kolejne pięćset rubli i przenosimy nasze bagaże do czekającego na brzegu samochodu.

Te dwie pięćsetki na dzisiejszą przeprawę (w sumie sto złotych), to jedyne pieniądze, które wydałem na przejazd po całym, liczącym 2025 kilometrów Trakcie.

Po przekroczeniu Ałdanu opuszczam Kołymę. Jej granica była kiedyś na tej rzece, ale Trasa Kołymska biegnie dalej, więc i ja nie kończę podróży.

Przeprawa przez Ałdan

Iwan Iwanowicz – Jan Serce

Iwan Iwanowicz, czyli Jan syn Jana. To taki rosyjski Pan Nikt. Jakby w Polsce nazwać kogoś Janem Kowalskim, w Czechach Pepikiem Vondráčkiem, a w Anglii Johnem Smithem. Nawet manekina, co przed Gagarinem poleciał w kosmos na statku Wostok, nazwali Iwanem Iwanowiczem.

A w stalinowskich łagrach to była obelga. Właśnie tak nazywano w nich wszystkich profesorów, literatów, artystów, inżynierów, działaczy partyjnych, nauczycieli – wszystkich inteligentów. Ich los w tamtej epoce był najstraszniejszy.

Kolejne fale czystek zmiotły co najmniej połowę rosyjskiej inteligencji. Zostali rozstrzelani albo wpakowani do łagrów. Tak oto dokonała się „potworna selekcja okresu stalinowskiego – pisze w swoich wspomnieniach była zeczka Wiera Szulc – która stworzyła, zdawałoby się, nowy gatunek ludzi: pokornych, odrętwiałych, pozbawionych inicjatywy, milczących”. Zrodził się radziecki człowiek, homo sovieticus, osobnik bez odrobiny nawet skłonności do buntu, ale z ogromnym talentem do złodziejstwa. Toż tam do tej pory się mówi, że złodziej nie kradnie, tylko bierze, co źle leży. Nowy radziecki człowiek jest bezwolny, bojaźliwy, leniwy, cierpi na syndrom milczenia i syndrom paputczika. To człowiek, który nie wykrzykuje swojego bólu z duszy, tylko wyszeptuje go w podróży nieznajomemu. Albo znieczula wódką.

W drodze, po udanej już przeprawie przez Ałdan, moi wstawieni paputczicy robią się hałaśliwi. Rozładowują napięcie tanim winem w kartonie i opowiadaniem kawałów.

– „Babciu, pyta wnuczek, czy to prawda, że w czasie blokady Leningradu nie było chleba?” „Prawda, wnusiu”. „To co? Masłem smarowaliście kiełbasę?”

Po dowcipie osiłka Sierioży nikomu nawet warga w uśmiechu nie drgnęła, a geolog Walera, któremu najmniej jest wesoło, bo jedzie na pogrzeb matki, ocenia, że kawał cokolwiek debilowaty.

– Toż tam milion ludzi zginęło – burczy pod nosem i zasypia.

W naszym samochodzie są trzy rzędy foteli i gorąco jest jak w piekarniku. W pierwszym rzędzie siedzi rozebrany do koszulki kierowca i Wasilij, jedyny nie-Słowianin w naszym towarzystwie w ogromnych walonkach, kożuchu i wełnianej czapce. Z Iwanem Iwanowiczem zajęliśmy środkowy rząd, a w trzecim siedzą Walera i Sierioża. Obaj w wielkich futrzanych czapach, obaj śpią już z otwartymi ustami.

– Skąd się, Iwanie Iwanowiczu, wzięliście na Kołymie? – pytam siedzącego obok smutnego mężczyzny.

– Z Kalinina pod Moskwą, z fabryki maszyn tkackich – mówi mój towarzysz podróży i ściąga goreteksową kurtkę w panterkę z naszywką „Spasatiel A II Rh+” Pięćdziesięcioośmioletni Iwan Iwanowicz Igoszyn jest ratownikiem ochotniczej służby specjalizującej się w niesieniu pomocy głównie w górach i na wodzie.

– W mojej fabryce pracowało jedenaście tysięcy osób – opowiada. – Walka o realizację planu była bojem na śmierć i życie. Dosłownie. Miesiąc, w którym jakiś inżynier nie dostał zawału, był anomalią. Przyjaciele zapijali się, umierali, a ja tyrałem jak wół, a potem na czele kolektywu pracowniczego kroczyłem z czerwonym sztandarem w pochodzie. To musiało się źle skończyć. No i jadę już na trzecią w moim życiu operację serca. Na Syberii tylko w Nowosybirsku je robią. Jak się uda, może pożyję jeszcze trochę, a jak nie, zostaje mi…

Iwan Iwanowicz zapada się w myśli na parę minut, a ja nie przerywam ciszy.

– Pół roku czekam na tę operację – mówi po powrocie na ziemię. – Kolejka ogromna, ale przesunęli mnie do przodu, bo stan gwałtownie się pogarsza. Teraz już muszę się bardzo spieszyć.

– To po co czekaliście z przeprawą tak długo? Mogliście zginąć na tej rzece, nie dojechawszy do Nowosybirska. Wiedzieliście przecież, że 15 października zamykają przeprawę.

– Jasne. Ale nie miałem wszystkich analiz. Tutaj mi je robili. Do szpitala przyjmują tylko ze wszystkimi badaniami.

– Baliście się na rzece? – pytam.

– Nie. Przecież ja umieram.

– Na rzece mówiliście, że tylko durnie się nie boją.

– Oczywiście. Tak z szacunku do rzeki powiedziałem. Bez kamizelek w tej temperaturze i wśród kry byliśmy bez szans. Wystarczy, że zepsułby się ten głupi silniczek,

wystarczy trafić na większe pole lodowe, nieprawidłowy manewr. W zeszłym roku z naszego miasteczka uniosło człowieka na krze. Sześćdziesiąt kilometrów go niosło, nim po pięciu godzinach zdjęli go śmigłowcem. Amputowali mu odmrożone ręce i nogi, a i z głową nie było już potem w porządku.

Iwan Iwanowicz uciekł ze swojej fabryki maszyn tkackich w 1987 roku. Napisał czternaście listów do czternastu różnych miejsc na Dalekiej Północy z prośbą o pracę. Ale ani na Nowej Ziemi, ani na Kołymie, Czukotce, Ziemi Franciszka Józefa nie potrzebowali inżyniera od maszyn tkackich. Odezwali się tylko z Chandygi.

– Przyjechałem z żoną i dwoma plecakami. Założyliśmy mały klub sportowo-turystyczny dla młodzieży socjalnego ryzyka. Poświęciliśmy życie dla dzieci ulicy, ale dla mnie najważniejsze jest, że żyję w miejscu rozległym, ogromnym, bezgranicznym. Ale wy? Po co wsiedliście do tej motorówki? Musicie być w tym Jakucku? Za wszelką cenę?

– Nie. To podróż jest ważna, a nie jej cel.

Część III
Syndrom towarzysza podróży

Niestraszny żar piekła, niestraszna moc wściekła,

Niestraszno, gdy piorun uderzy,

Lecz straszny ten człowiek, co wstanie i powie, „Ja jeden wiem, co należy!”

Aleksandr Galicz

Dzień w kamazie. W starej, dwudziestoletniej, ruskiej ciężarówie z nieznanym przebiegiem, do tego na Trakcie Kołymskim wykutym kilofami w wiecznej zmarzlinie – pełnej wyrw, kamieni, zapadlisk, pęknięć i osuwisk. Wieczorem, po kilkunastu godzinach wściekłych wibracji, drgań, wstrząsów, epileptycznego targania całym ciałem sam nie wiesz, czyś dzień spędził w samochodzie, czy może w maszynce do mięsa. Masz poczucie, że wypadły ci wszystkie dyski, rzepki z kolan i plomby z zębów, że w środku urwało ci się wszystko, co nie było przyczepione do kości.

Uciekać na Kołymie można było tylko po tym Trakcie, kierując się na zachód, w stronę świata, kontynentu. Więźniowie nazywali ucieczki zwolnieniem przez zielonego prokuratora – w tajgę, w góry, w las. Zawsze latem. Zima była sprzymierzeńcem nadzorców. W zimie uciekał tylko samobójca.

To zupełnie desperackie, beznadziejne akcje. Uciekali zawsze tylko na chwilę, parę dni, góra dwa tygodnie, żeby odpocząć, poleżeć na słońcu, nic nie robić, pojeść jagód, odetchnąć od bicia i roboty. Mówiło się też – ozdrowieńcza ucieczka. Było wiadomo na sto procent, że złapią, a jednak uciekali, bo w wyrobisku na złotonośnej działce umierali niekiedy po pięciu tygodniach pracy.

Uciekali prawie wyłącznie więźniowie polityczni. Pospolici mieli małe wyroki, a recydywiści, błatnicy całą energię

poświęcali na urządzenie się w łagrze, w którym mieli zresztą uprzywilejowaną pozycję.

Garstce katorżników udało się wyrwać z Kołymy w okresie wielkiej wojny ojczyźnianej. W szeregi Armii Czerwonej powołano około miliona więźniów, ale z bieguna okrucieństwa na front trafiło tylko sześć tysięcy pospolitych chuliganów, złodziejaszków, spekulantów. Ani jednego „wroga ludu" sądzonego z 58. artykułu radzieckiego kodeksu karnego.

Wszyscy powołani trafili do strojbatalionów (roboczych batalionów, które nie dostawały broni) albo sztrafbatalionów (karnych batalionów), wysyłanych na prawie pewną śmierć. Kilkuset tych ostatnich jednak przeżyło, a dwóch tak odznaczyło się w walce, że dostało najwyższe odznaczenia bojowe – Złote Gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego. Jeden siedział na Kołymie za kradzież kołchozowego konia (którego zarżnął, żeby nakarmić rodzinę), drugi dostał cztery lata za kradzież trzech butelek nafty.

Warłam Szałamow utrzymuje, że w całej historii Kołymy udała się tylko jedna ucieczka, zresztą przestępcy kryminalnego, który dotarł po Trasie do Jakucka, a potem na rodzinną Ukrainę. Wpadł po dwóch latach przez brawurę. Sądził, że władza o nim zapomniała, i przestał być ostrożny. Dostał następny wyrok dziesięciu lat, a po kilku latach wyszedł na wolność za dobre sprawowanie, ale bez prawa powrotu na kontynent. Urządził się świetnie w Magadanie.

Uciekinierzy byli sądzeni z 58. artykułu, 14. paragrafu kodeksu karnego, czyli za gospodarczą kontrrewolucję, bo ucieczka to rodzaj uchylania się od pracy, sabotaż.

Najgłośniejszą ucieczkę w historii Kołymy poprowadził major Pugaczow, weteran wielkiej wojny ojczyźnianej, który dostał się do niemieckiej niewoli, ale w 1944 roku uciekł i przedostał się do swoich. I swoi dali mu dwadzieścia pięć lat łagru za szpiegostwo. W obozie zorganizował dwunastoosobową grupę byłych żołnierzy, którzy zabili kilku strażników, zdobyli broń, wojskowe mundury i ciężarówkę. Ruszyli nią w odwrotnym kierunku niż wszyscy uciekinierzy, bo na wschód. Planowali dotrzeć do Sejmczanu, opanować lotnisko (w grupie mieli pilota), porwać samolot i uciec za granicę.

Marzyli o Alasce. Ale zepsuła się ciężarówka i pościg dopadł ich już na Trasie. Doszło do wielkiej bitwy w tajdze, w której poległo dwudziestu ośmiu żołnierzy ochrony i dziesięciu uciekinierów. Major Pugaczow jako jedyny nie wpadł w ręce pościgu i nigdy nie został odnaleziony. Prawdopodobnie gdzieś w ukryciu popełnił samobójstwo albo utonął w bagnach. Żywcem wzięli tylko ciężko rannego oficera o nazwisku Sołdatow. Został wyleczony i rozstrzelany. Sześćdziesięciu wtajemniczonych i pomagających spiskowcom więźniów dostało dodatkowe wyroki. A naczelnika łagru, z którego dokonano ucieczki, skazano na dziesięć lat.

Zdarzenia opisane przez Szałamowa musiały się rozegrać niewiele ponad rok od trzydniowej wizyty na Kołymie

wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Henry’ego Wallace’a. Lenin takich ludzi zwykł nazywać użytecznymi idiotami.

Związek Radziecki już od lat trzydziestych był głównym dostawcą złota dla Stanów Zjednoczonych, w których doskonale zdawano sobie sprawę, w jaki sposób pozyskiwany jest kruszec. Rosjanie goszcząc wiceprezydenta w 1944 roku na Kołymie, chcieli przekonać wojennych sojuszników, że wieści o okrutnych łagrach to antykomunistyczna propaganda. Na trasie jego przejazdu zdemontowano wszystkie wieżyczki strażnicze, a jedyni poszukiwacze złota, których widział, to przebrani w stroje robocze komsomolscy aktywiści. Więźniarki pracujące w kołchozie koło Magadanu na czas wizyty Wallace’a zostały zastąpione urzędniczkami z biura łagrów ze stolicy Kołymy.

Amerykanom radzieckie złoto było potrzebne tak bardzo, jak Rosjanom ich sprzęt wojskowy do walki z Trzecią Rzeszą. Po co jednak amerykański wiceprezydent w relacji ze swojej podróży czarował własną opinię publiczną, mówiąc, że „narody rosyjski i amerykański instynktownie lubią się nawzajem”? Jak mógł na serio amerykańskim związkowcom przekazywać pozdrowienia od radzieckiego przewodniczącego związku zawodowego poszukiwaczy złota?

Moi pierwsi jakuccy paputczicy. Ulana i jej rodzina

Dzień XXXI
Czierkioch. 1781. kilometr Traktu Kołymskiego

Po przeprawie przez Ałdan samochodem docieram do wielkiej wsi Czierkioch. Dopiero tutaj zaczynam czuć, że jestem w Jakucji. Zupełnie jakbym raptownie wyjechał z Rosji. W Czierkiochu nie mieszka ani jeden Europejczyk. Sami Jakuci. Około tysiąca dwustu, w tym dziewięć ciężarnych kobiet – jak dowiaduję się w punkcie akuszerskim.

Nocleg dostaję w wiejskim muzeum historyczno-etnograficznym. To budynek, który ma zaledwie trzydzieści lat. Zatrudnieni w nim są trzej pracownicy naukowi i kilku technicznych, ale nic nie działa. Żadna z kilku toalet (trzeba biegać na dwór), żaden z kilku telewizorów, myszy łażą po stole, nie ma ogrzewania, wody, a ta w wiadrach nie nadaje się do picia, bo jest z pobliskiej rzeczki.

Ale na razie zupełnie wystarcza mi ciepło buchające z osiemnastowiecznej ikony zawieszonej nad moim posłaniem. Nie wierzę własnym oczom. Syn Boży ma wielkie fałdy nad skośnymi oczami i długą, rzadką brodę – zwyczajny Mongoł w cierniowej koronie.

Jakuci, podobnie jak żyjący tu Ewenkowie, przeszli na chrześcijaństwo. W 1997 roku przypadła dwusetna rocznica chrztu Jakucji. Z tej okazji do wioski przyjechali prawosławni duchowni i ochrzcili dwustu nowych wiernych.

Kilka drewnianych, zabytkowych cerkiewek stoi na terenie muzeum. Jest tam także drewniana jurta, w której polski zesłaniec Edward Piekarski spędził trzynaście lat wygnania. To wielki językoznawca i etnograf, członek honorowy Akademii Nauk ZSRR**.** Dziełem życia Piekarskiego był *Słownik jakucko-rosyjski*, w którym uczony zebrał 25 tysięcy słów. Do dzisiaj uważany jest przez wielu za najlepszy słownik języka jakuckiego.

Polski zesłaniec założył potężne gospodarstwo, miał czterdzieści krów i koni, zatem jak na lokalne warunki był prawie dziedzicem. Ożenił się z miejscową dziewczyną, urodziło im się dziecko, a kiedy w 1905 roku car Mikołaj II za zasługi dla rosyjskiej nauki zwolnił Piekarskiego z niewoli, Polak wyjechał z Jakucji, ale zabrał ze sobą tylko córkę. Nie wrócił do Polski. Mieszkał do śmierci w Petersburgu, zwanym nieco później Leningradem.

Inny polski zesłaniec, Wacław Sieroszewski, który także spędził w Jakucji kilkanaście lat, w swoim wielkim etnograficznym dziele zatytułowanym *Jakuci* napisał, że miejscowe psy są półdzikie, „[Jakuci] praktycznie niczem ich nie karmią, same zdobywają sobie pożywienie, bliżej jest im więc do wilków niż do psów”. Krowy i konie żyją podobnie. Chodzą gęsiego małymi grupami po wiosce

i okolicy i szukają sterczących spod śniegu suchych badyli do jedzenia.

Na wszystkich płotach na mrozie i słońcu schną skóry młodych krów i koni. Jakuci to najdalej na północ żyjący naród hodujący te zwierzęta. Wszyscy ich sąsiedzi są nomadami wypasającymi renifery.

Z pierwszymi solidnymi mrozami rozpoczyna się czas uboju zwierząt. Może dlatego niemal wszyscy mężczyźni, których spotykam na wiejskiej ulicy, cokolwiek się zataczają. Są na lekkiej bani. Sąsiadujące z Jakutami rdzenne ludy zabijają zwierzęta, kiedy chcą je zjeść – ale to koczownicy, pasterze reniferów. Jakuci są osiadli, trudno jest im wykarmić w zimie zwierzęta, więc przy pierwszych mrozach zabijają i zamrażają wszystkie te krowy i konie, które i tak do wiosny mają być zjedzone.

W wioskowej administracji natykam się na milicjanta. Bardzo, bardzo nieprzyjemne spotkanie. Bo to skrajnie głupi facet, który po rosyjsku mówi znacznie gorzej ode mnie, ale ma potrzebę zademonstrowania przed przybyszem swojej władzy, tylko nie ma jak. Zadaje wiele idiotycznych pytań. Ile mam pieniędzy, co fotografowałem, jak nazywa się wioska, w której jesteśmy? A wymówić z prawidłowym, jakuckim akcentem tę nazwę wcale nie jest łatwo. Potem bardzo dokładnie przetrząsa mój plecak. Zagląda nawet do pomadki do ust. Pyta, co to jest, i każe zademonstrować, jak się tego używa. Potem krzywi się z pogardą.

Świadkami tego trzepania jest kilku urzędników, ale żaden nie zwraca uwagi na nasze zmagania, nikt nie mówi,

żeby mundurowy przestał się wygłupiać.

Milicjant wyraźnie jest zawiedziony, że tak cierpliwie znoszę jego interwencję. Na odchodne radzi, żebym nie zbliżał się do sklepu, w którym sprzedają alkohol (tylko jeden wśród kilkunastu), bo mogę dostać po pysku, zanim zdążę powiedzieć, że nie jestem Ruski, a po zmroku mam nie wychodzić z domu, tylko zamknąć się na klucz i udawać, że mnie nie ma.

Według ostatniego radzieckiego spisu powszechnego z 1986 roku Jakuci stanowili zaledwie 36 procent ludności w swoim kraju. Dominowali Słowianie. Sytuacja zaczęła się zmieniać po upadku imperium. Rosjanie na potęgę wyjeżdżali i wyjeżdżają z republiki, a Jakuci mają nadzwyczajny jak na Federację Rosyjską przyrost naturalny. Ustępują w tej dyscyplinie tylko narodom kaukaskim, a Rosjan ubywa w zastraszającym tempie. Per saldo każdego dnia ludność Federacji kurczy się o półtora tysiąca obywateli.

Dmitrij Czagaan, trener akrobacji z żoną. W garnku jogurt, który ubija się drewnianym mieszadłem

Smiertnik Czagaan – stały punkt ogniowy

Dmitrij włącza film wideo z pokazów sportowych. Na jego głowie ustawiają stos cegieł, a mężczyzna o rozmiarach mostowego filara wali w nie ogromnym młotem. Cegły się kruszą, Dmitrij otrzepuje koszulkę i prezentuje publice, że na ogolonej głowie nie ma nawet zadrapania. Tłumaczy mi, że to joga.

Potem pokazuje film z bicia światowego rekordu wielkości ludzkiej piramidy. Chińczycy zbudowali dziewiętnastoosobową, a jakucka piramida składa się z dwudziestu ośmiu akrobatów. Jednym z klocków budowli jest sam Dmitrij Iwanowicz Czagaan, pięćdziesięciojednoletni trener akrobacji miejscowej szkoły sportowej.

Akrobacja to ostatnia wielka namiętność Dmitrija. Jako młodzieniec uprawiał zapasy i boks, co widać na pierwszy rzut oka. Ma złamany, jakby rozgnieciony i przyrośnięty do twarzy nos oraz pozrywane, podarte zapaśnicze uszy.

W 1978 roku zdobywa tytuł mistrza Jakucji w zapasach (waga musza, 48 kilogramów) i wyjeżdża do szkoły w Odessie.

– Tam pierwszy raz czuję i rozumiem, co to nacjonalizm, ruski szowinizm – opowiada. – Na każdym kroku dają mi do zrozumienia, że Rosjanie są najmądrzejsi, najbardziej sprytni, najsilniejsi, najlepiej wykształceni i że bez nich wszystkie inne radzieckie narody by pozdychały z głodu. Tam do mnie dotarło, że Ruskie opowiadają o nas kawały.

Dla nich wszyscy ludzie z północy to Czukcze, my też, a to jest obelga. Czukcza to dureń, głupek. Wszystkich skośnych nazywają też kitajcami (Chińczykami). Ooo! To straszne przezwisko! Kitajec jest podstępny, cwany i zdradziecki. A Ukrainiec to kanciarz, oszust, złodziej i miernota, a wszyscy średnio-azjaci to cziurki, czyli kołki. Jak ktoś jest wredny, sprzedajny, chytry albo skąpy, to się mówi, że Żyd. Żyd to też jest paskudna obelga.

Więc u Dmitrija pojawiają się problemy z tożsamością. Bo nie uważa się nawet za Jakuta, tylko za radzieckiego człowieka. Gotów jest walczyć i życie oddać za ZSRR, choćby w tej zaplutej, kurduplowatej Polsce, gdzie kontrrewolucja podnosi głowę. Więc kiedy po skończeniu szkoły w 1983 roku biorą go do wojska, na ochotnika zgłasza się na wojnę do Afganistanu.

– Ale mi mówią, że tam takie jakuckie głupki niepotrzebne – mówi smutno Dmitrij. – W rzeczy samej trzeba być durniem, żeby się pchać na wojnę, ale ja chcę zasłużyć na podziw, szacunek radzieckiej ojczyzny, która jest dla mnie jak macocha. Pragnę złożyć z siebie ofiarę, ofiarę z jakuckiego chłopaka na ołtarzu wielkiego Kraju Rad. Niech zobaczą wszyscy, że jakuccy chłopcy najlepsi, a naród Sacha najbardziej oddany, najwierniejszy z wiernych.

Wojsko to najtrudniejszy i najgorszy okres w życiu Dmitrija. Bez przerwy z kimś się bije. Uczy się kląć, katować ludzi i kraść, ale gdzie może, pomaga rodakom. Uczy ich bić się. Wojskowa odmiana rosyjskiego nacjonalizmu jest nie do zniesienia. Dmitrij nie może

zrozumieć, skąd u Rosjan jest tyle nienawiści do wszystkich innych. Jak można chłopaków z Azji Środkowej karmić świńską tuszonką i dręczyć jednocześnie, naśmiewać się, że są złymi muzułmanami?

– Służę jako smiertnik – mówi Dmitrij.

Nie jest łatwo przełożyć to słowo na język polski. To ktoś w rodzaju kamikaze, ale niezupełnie, bo wśród japońskich pilotów, w każdym razie na początku, byli ochotnicy. Smiertnik to ktoś posłany z beznadziejną misją, na spotkanie niechybnej śmierci, ale na pewno nie ochotnik.

Mały Dmitrij (no bo 48 kilogramów) służy na ontocie. Niedwiżnaja Tankawaja Ogniewaja Toczka, Stały (Nieruchomy) Pancerny Punkt Ogniowy – w skrócie ONTOT. Jakoś dziwnie dużo Jakutów było na tych samobójczych punktach.

Stare, wycofane z pancernych dywizji czołgi bez gąsienic i silników. Zaryte w ziemi tak, że wystają tylko wieże, które obracają się zaledwie o 130 stopni, by na wypadek zdobycia któregoś ONTOTA przez wroga nie mogły strzelać do sąsiadów. Rozlokowane są na chińskiej granicy.

W każdym punkcie jest czterech ludzi. Dowódca, celowniczy, ładowniczy i telegrafista. Mają żarcia na trzy dni, trzy tysiące nabojów do czołgowego CKM-u i sto sześćdziesiąt armatnich pocisków, głównie szrapneli i przeciwpancernych, i trochę odłamkowych. To zapas na jeden dzień. Załoga nie może się wycofać ani poddać. Mogą tylko czekać, walczyć i zginąć. Górny właz czołgu jest

zaspawany, dolny zalany betonem, a z przodu, z tyłu i po bokach pola minowe i zasieki.

Akrobata Czagaan – Lenin jest z nami

Po wyjściu z wojska Dmitrij wstępuje w stolicy na Państwowy Uniwersytet Jakucki. Właśnie otworzyli Wydział Wychowania Fizycznego. Ale uczyć się nie bardzo ma czas. Trenuje i zajmuje się tańcem osochaj.

To zakazany przez władze jakucki korowód, bardzo prosty transowy taniec o dwóch krokach i przerażającej melodii, którego niezwykłość polega na tym, co w jego trakcie dzieje się w głowach tancerzy. Osochaj był zawsze bardzo ważnym elementem szamańskiego rytuału, tańcem, który służył do jednoczenia wspólnoty rodowej i plemiennej.

– Jak można zakazać tańca? – pytam naiwnie Dmitrija.

– Nie zakazywali. Tak jak nie zakazywali chodzenia do cerkwi. Jak nie zakazywali w Jakucku rozmawiania w miejscach publicznych w języku sacha. A spróbowałbyś w autobusie pogadać po naszemu! Od razu awantura, że coś tam przeciw nim knujemy. Ale już rozpoczyna się pierestrojka, w wolne dni Sacha spotykają się na placach, ulicach i tańczą osochaj. Ja też to organizuję. Umawiam studentów w jakimś miejscu i tańczymy. Przy okazji zaczynają się rozmowy, że w całej stolicy nie ma ani jednego przedszkola, gdzie mówi się po jakucku, a szkół z naszym językiem jest zaledwie kilka, ale uczą go tam jak obcego.

W zimie młodzież zbiera się na ślizgawkach, na rzeczce płynącej przez miasto koło uniwersytetu. To zabawa, jazda na łyżwach, tyle że w swoim gronie. Większość studentów stanowią Jakuci, bo rosyjska młodzież najczęściej studiuje poza republiką.

Niepokoje rozpoczynają się 30 marca 1986 roku. Na ślizgawkę przed uczelnią przychodzi wielka banda rosyjskich chuliganów. Biją studentów. Następnego dnia podobnie, a 1 kwietnia Dmitrij skrzykuje studentów i gonią kota gorodzkim, czyli miastowym (tak o nich mówią). Jest bardzo wyraźny podział wśród młodzieży na miastowych, czyli Rosjan, i studentów Sacha, którzy przeważnie są przyjezdni, z prowincjonalnych miasteczek i wsi.

Jakucko-rosyjskie bitwy uliczne trwają cały dzień. Studenci łowią łobuzów w całym mieście. Wykładowcy próbują rozdzielać ludzkimi łańcuchami walczące strony, ale sytuacja uspokaja się dopiero w nocy. 2 kwietnia nie ma już łomotaniny, tylko normalna demonstracja i marsz na plac Lenina w centrum miasta. Do studentów dołączają setki mieszkańców. Robią mityng przed gmachem rady ministrów.

– Wreszcie przestajemy się bać. Możemy wykrzyczeć z siebie wszystkie nasze biedy, nieszczęścia, gorycz i krzywdę siedemdziesięciu lat panowania bolszewików w naszej ojczyźnie. Jakuck nigdy czegoś takiego nie widział. Przedstawiciele władzy wychodzą do nas, ale stają na schodach budynku, więc wygląda to tak, jakby Lenin był po naszej stronie.

– Chodzi o pomnik.

– Jasne – mówi Dmitrij. – Wygarniamy władzy, że domagamy się równouprawnienia, jakuckich szkół i przedszkoli, i żeby milicja nie biła i nie łowiła tylko naszych, jakuckich chłopaków, bo to Ruskie zaczęli. W milicji służą przeważnie Rosjanie.

Przychodzą po niego tydzień później. Dostaje cztery lata za pobicie milicjanta. Oczywiście nikogo nie pobił. Sądzą go razem z trzema innymi liderami protestu i trzema rosyjskimi chuliganami, którzy jednak dostają mniejsze wyroki.

Dmitrij odsiaduje swój wyrok do ostatniego dnia. Wychodzi w 1990 roku. Dwa lata później, już po upadku Związku Radzieckiego, kończy studia. Nie został zrehabilitowany.

– To my byliśmy pierwsi – mówi z dumą. – Pierwsi buntownicy w ZSRR. Długo przed Litwinami, Łotyszami, Estończykami.

Dzień XXXII
Czurapcza. 1831. kilometr Traktu Kołymskiego

Zatem po nocy spędzonej w muzeum i poranku w miejscowej szkole (bo tylko tam jest internet), skąd nadaję dla portalu Wyborcza.pl korespondencję z poprzedniego dnia, wychodzę z Czierkiochu na drogę. Idę na zachód w kierunku Jakucka. Mróz wprawdzie symboliczny (minus 15 stopni), ale stać jednak nieprzyjemnie.

Po dziesięciu minutach przejeżdża pierwszy samochód, po kolejnych pięciu – następny, i się zatrzymuje. To uazik tabletka, a w środku fajna jakucka rodzina, rodzeństwo Ulana Płotnikowa i Iwan Sliepcow. Mają polskiego pradziadka, którego carski sąd zesłał do Jakucji. To na jego cześć dziewczyna nosi to stare, polskie imię. Jest z niego bardzo dumna.

Ulana nosi nazwisko po mężu, z którym od skończenia studiów mieszkała w Jakucku. Przez dziesięć lat była nauczycielką historii, ale uciekła od męża i wróciła na prowincję do rodziców i brata. Za wszystkie oszczędności

otworzyła z nim maleńki, ósmy już w ich wsi sklepik. Właśnie jadą do Jakucka po towar.

Ulana ani odrobinę nie wygląda na Słowiankę, ma jednak w oczach i twarzy coś śmiesznego, figlarnego, czego Jakuci nie mają. To bardzo zamknięci, małomówni, markotni, powiedziałbym nawet – ponurzy ludzie ze zmarszczonymi czołami, ściągniętymi brwiami i bez poczucia humoru. Chyba że mają kompletnie inne niż nasze i ja go nie wyczuwam. Bardzo mało się śmieją, nawet po alkoholu. Nie lubią obcych, szczególnie dziennikarzy, a już na pewno nie cierpią z nimi gadać.

Ulana i Iwan dowożą mnie do Czurapczy, dużego, jak na jakuckie warunki, dziesięciotysięcznego miasteczka.

Dalej będzie o czymś, czego w poprzedniej korespondencji nie potrafiłem nazwać, mianowicie o lekceważącym, pardon, pogardliwym stosunku Jakutów do przedmiotów. Dziwiłem się, że z taką lekkością, beztroską doprowadzają przedmioty, urządzenia, budynki do ruiny i w niczym im to nie przeszkadza, żyją z tym, mordują się, tworzą jakąś tam prowizorkę. Bolesny brak podstawowego wydawałoby się przedmiotu, ustrojstwa, wihajstra zamieniają w styl życia.

Ilustracją niech będzie mój, że tak powiem, „hotel”. Chociaż lepsze by było słowo „hostel”, kwatera, stancja na piętrze małego bloku na peryferiach miasta. W całym ułusie (powiecie) ów hotel uchodzi za luksusowy. Mieszka nas tutaj siedmiu facetów w trzech pokojach. W moim trzech. Ale dzisiaj będzie głównie o wodzie.

Nasza gospodyni Luiza pokazuje mi z dumą, że w naszym mieszkaniu jest łazienka, a w niej wanna. Ciepłej wody wprawdzie nie ma, ale jak potrzebuję, mogę za pomocą gumowego węża spuścić z kaloryfera w pokoju moich sąsiadów i zanieść w wiadrze do łazienki.

Wody z kranu w żadnym wypadku nie wolno pić, nawet po przegotowaniu. Jest bardzo brudna. To woda z miejscowego jeziorka.

Pytam, z czego mam robić herbatę, na co Luiza przynosi wodę z lednika, a w zasadzie wiadro lodu. Ledniki to zapasy wody pitnej pod postacią lodu robione przez Jakutów od wieków. Robią je na początku zimy, zatem teraz, na cały rok. Potem lód zwożą i magazynują w ziemnych wykopach, czyli w wiecznej zmarzlinie, gdzie nigdy się nie rozpuści.

Pytam moją gospodynię, skąd bierze lód. Patrzy na mnie wielkimi, zdziwionymi oczami. Jak to skąd? Z ich jeziorka, w którym pojone są krowy, spławiane konie, w którym podczas upalnego lata zwierzęta stoją dla ochłody i fajdają całe dnie.

Jeden z kilku betonowych pomników w miasteczku miejscowa ludność ufundowała tutejszemu meliorantowi, dzięki któremu mieszkańcy mają w kranach tę wodę. To on przekierował tutejszą rzeczkę w stronę Czurapczy i utworzył z niej jeziorko.

Właśnie rozpoczął się sezon uzupełniania zapasów lodu. Komu samemu nie chce się rąbać, może zamówić go przez telefon. Mała ciężarówka lodu kosztuje tysiąc rubli (sto

złotych). Urzędy, zakłady pracy i szkoły organizują prace społeczne i rąbią lód dla swoich bufetów i stołówek.

Ja też piję wodę z wiaderka, a wszyscy wkoło przekonują mnie, że jak brudną wodę zamrozić, to potem jest czysta.

Niurgun odmładza roślinę

Odkrywca Niurgun – aparat odmładzający

Trzydziestojednoletni Niurgun Filipow jest technikiem w miasteczkowej stacji telewizyjnej. Skończył podstawową dziesięciolatkę, w której był najlepszym uczniem z fizyki. Pozostałe przedmioty ledwo zaliczał.

Nie wiem, jak mu się z tą fizyką udawało, bo on też zapewnia mnie, że po przemrożeniu woda robi się czysta. Tłumaczy mi coś o cząsteczkach, drobinach, molekułach wody. Molekuły – to jego ulubione słowo.

– Bywa, że każdego dnia dokonuję jakiegoś odkrycia. Od razu publikuję je na mojej stronie internetowej, na której mam swoje radio, wszystkie wynalazki, odkrycia i blog. Ostatnio odkryłem na przykład, jak można ładować ziemniaki pozytywną energią, która powstrzymuje proces starzenia człowieka.

To z kolei ulubiony temat Niurguna. Starość i sposoby jej cofnięcia. Ta jego namiętność o mało nie kosztowała życia Niurgunowego ojca, na którym syn przeprowadzał eksperyment. To było zaraz po tym, jak chłopak wrócił z wojska i założył własny interes – zakład naprawy telewizorów.

– Świetny pomysł na biznes! – ucieszyłem się. – Dlaczego zrezygnowałeś?

– Bo okazało się, że nie bardzo znam się na telewizorach. To był zły moment w moim życiu. Nawet własny ojciec odmówił mi dalszych eksperymentów. Mówił, że go bolało.

Że serce mu od tego skakało. Ale napięcie nie było takie wielkie.

– Podłączyłeś tatusia do prądu?!

– Tak. On bardzo interesuje się medycyną. Specjalnie dla niego skonstruowałem aparat, który odmładza i zmądrza. Już po miesiącu codziennych zabiegów siwe włosy zaczęłyby czernieć, potem zacząłby robić się coraz mądrzejszy.

– Jeszcze mądrzejszy niż był w młodości? – zainteresowałem się.

– Oczywiście.

– A to kto? – pokazuję na zdjęcie starego mężczyzny z niewidzącymi oczami i siwymi włosami stojącymi dęba.

– Mój ojciec zaraz po eksperymencie odmładzająco-zmądrzającym.

Rozmawiamy w zupełnie pustym studiu telewizyjnym. Niurgun wyciąga z szafy aparat upakowany w dwóch połączonych ze sobą szeregowo plastikowych butelkach po napoju gazowanym. W środku mały transformator, generator wysokiej częstotliwości na osiem tysięcy voltów, oporniki, zwoje kabelków. Wszystko ze starych, radzieckich telewizorów. Pompką rowerową zwiększa ciśnienie w aparacie i łączy go z trzecią butelką pełną miałkiego węgla. Potem odłamuje gałązkę ze stojącego w kącie drzewka szczęścia i podłącza ją do aparatu zamiast swojego ojca.

Po chwili wokół roślinki pojawia się snop ślicznych iskier, które z trzaskiem coraz większym strumieniem zasypują

ręce Niurguna.

– To jest imitacja, miniatura energii pioruna – woła podniecony. – Roślina jest coraz młodsza i gdyby miała mózg, byłaby coraz mądrzejsza. To, co widzisz, to odkryte przeze mnie świecenie roślin.

– Jakie świecenie? Zwyczajnie energia elektryczna skacze do ciebie, bo jesteś uziemiony, a roślinka nie.

Niurgun gasi światło i widzę, że chłopak świeci. Z dłoni, każdego palca wyrasta mu jakby świetlisty promień, otwiera usta, a tam jakby ognista jama, płomienie.

– Efekt smoka – cieszy się odkrywca jak dziecko. A mnie serce staje na parę sekund, bo podchodzę do kaloryfera i z mojego ciała wali do niego mały piorun z błyskawicą. Na miękkich nogach wynoszę do sąsiedniego pokoju aparat fotograficzny, żeby Niurgun nie odmłodził mi karty pamięci ze zdjęciami z całego tygodnia.

– Co twoja żona na te eksperymenty? – pytam przez ściśnięte gardło.

– Często wygania mnie z domu. Na miesiąc, dwa. W zeszłym tygodniu mnie wyrzuciła, ale tylko na pięć dni. Wtedy mieszkam w studiu. Mam tutaj swój materac. Żona mówi, że marnuję czas, moje i jej życie, zajmuję się głupstwami, z których nie ma nawet kopiejki.

– Masz troje dzieci.

– Ale zarabiam 14 tysięcy rubli, które idą na konto, a kartę ma żona. Jakiś stary mędrzec powiedział, że jak żona jest dobra, jej mąż jest szczęśliwy, a jak kłótliwa, mężczyzna zostaje filozofem. Moja żona jest dobra, ale

swarliwa jak cholera. Więc zostałem odkrywcą. A ludzie już się ze mnie tak nie śmieją, bo mam bardzo dużo odkryć na koncie, pokazali mnie w naszej telewizji, w gazecie opisali. Jestem znany.

Idziemy na główną ulicę miasteczka coś zjeść. Po drodze mój jakucki przyjaciel opowiada o jedynym dotychczas odkryciu, które znalazło praktyczne zastosowanie. Niurgun mianowicie odkrył nowy sposób chodzenia.

– Pół roku doskonaliłem tę sztukę – mówi i wspinając się na palce, rusza z kopyta, ale głowa i tułów pozostają zupełnie bez ruchu. – Musiałem rozwinąć pomocniczą muskulaturę, żeby tak chodzić. Ty jak idziesz, to cały się kolebiesz i tracisz mnóstwo energii. Moja metoda jest bardzo oszczędna energetycznie.

– Niełatwo za tobą nadążyć – mówię, przechodząc do truchtu.

– Poruszam się szybciej od samochodów.

– To akurat żadna sztuka. Wasze ulice to sięgające pasa góry i doliny z zamarzniętego błota. Łatwiej po nich chodzić, niż jeździć.

Zziajani wpadamy do ulicznej jadłodajni.

– A co ty mi za Ruska przyprowadziłeś?! – woła baba z okienka z ciepłymi daniami.

– Czurapcza i ułus czurapczyński słyną w całej Jakucji z nacjonalizmu – szepcze do mnie Niurgun. – Chyba zasłużenie. Ale kiedy mój aparat odmładzający zacznie ludzi zmądrzać, to także z nacjonalizmu ich wyleczę. Bo to choroba głupich ludzi. To będzie wielka rewolucja, cud,

zbawienie dla ludzkości. Słyszałeś o serbskim proroku Mitarze Tarabiću? Żył w końcu dziewiętnastego wieku. Był niepiśmiennym chłopem. Prorokował wybuch obu wojen światowych, narodziny i upadek Jugosławii, loty w kosmos, powstanie telewizji, telefonów komórkowych. Miał też proroctwo o mnie. O małym człowieku z dalekiej Północy, który będzie nauczał ludzi, ale nikt nie będzie go rozumiał.

– Ile masz wzrostu?

– Sto sześćdziesiąt centymetrów. Sam widzisz, że to o mnie!

Dzień XXXIII
Czurapcza. 1831. kilometr Traktu Kołymskiego

Ciąg dalszy opowieści o wodzie. Bo sporo się zmieniło. Otóż nastąpiła awaria i w moim „hotelu” zabrakło jej w ogóle. Ale nic to. (Wcześniej doszło do awarii prądu). Luiza przynosi wodę w wiadrze, tak jak wcześniej przyniosła świecę. Rzecz jasna jeden z moich hotelowych towarzyszy wylewa wszystko za jednym razem (a mówiłem, żeby po kubeczku) i musimy obywać się bez spłukiwania w toalecie.

Przybysze ze stolicy, czyli Jakucka, z którymi mieszkam, przyjechali ze swoją wodą w wielkich, pięciolitrowych baniakach. Woda nie jest źródlana, mineralna ani lecznicza. Jest po prostu czysta. I tak się nazywa. Tak jest napisane na etykiecie.

Czurapcza, jak cała Jakucja, leży na wiecznej zmarzlinie. Piekielnie trudno jest robić kanalizację w takich miejscach. Rury trzeba puszczać po wierzchu albo bardzo grubo i starannie izolować termicznie. Szamba i szambiarki się nie sprawdzają, bo przecież w ziemi fekalia zamarzałyby nawet w lecie i trzeba by je wykuwać. Wszyscy korzystają z tak zwanych wiader toaletowych (rodzaj wielkiego nocnika

z przykrywką albo sedesu bez odpływu, ale za to z uchem do przenoszenia) i wspólnych wychodków podwórkowych z literami „ż” i „u” na drzwiach (żenszczina – kobieta i uoł – mężczyzna po jakucku), gdzie, jeśli dół jest dostatecznie głęboki, zamraża się nieczystości w wiecznej zmarzlinie na wieki. Ale w moim czurapczańskim mieszkaniu toaleta jest.

Bo jak się dzisiaj okazuje, znowu mam szczęście mieszkać w domu jakuckiego prezydenta. I to nie byłego, tylko obecnego, Jegora Borisowa, który stąd pochodzi. Kiedy tu jeszcze mieszkał, był naczelnikiem wydziału sielchoztiechniki (mechanizacji rolnictwa). To jak na miejscowe warunki potężny czynownik (urzędnik), więc gdy budowano kolejny dom, jedno z mieszkań przygotowano dla niego. Stąd ta toaleta. Teraz Borisow mieszka w Jakucku, a jego mieszkanie zamieniono na coś w rodzaju hoteliku.

Lena i Misza przyjęli mnie kolacją i przemogli urok, który rzuciła na mnie niedobra kobieta

Dzisiejsze przedpołudnie spędzam w bani, czyli łaźni dawnego szpitala gruźliczego, zamienionej na bazę Komuny Roboczej. Trudowaja Kommuna – tak nazwało swoją organizację dwudziestu sześciu byłych więźniów skupionych wokół miejscowego przedsiębiorcy Nikołaja Wasiliewa. Odsiedzieli potężne wyroki (od piętnastu do dwudziestu pięciu lat, za zabójstwa), ich życie rodzinne się rozpadło, po wyjściu nie mieli co ze sobą zrobić, więc zamieszkali i pracują w Komunie. Dostają dach nad głową, jedzenie i symboliczny zarobek. Specjalizują się w brudnych, ciężkich robotach. Wyrąb lasu, „usługi rytualne", czyli kopanie grobów na cmentarzu, rąbanie lodu, rozbiórki budynków. Właśnie oderwałem ich od „rozbiórki" starego szpitala gruźliczego. Nikt nie chciał się podjąć tej roboty, bo we wszystkich sprzętach, podłogach, w ścianach pałeczek Kocha tyle, że tapety się ruszały, a komunardzi zwyczajnie podpalili budynek i teraz sprzątają resztki rur, kaloryferów, gwoździ. Szpital był drewniany. Został zbudowany przez więźniów Gułagu w 1938 roku. I byli więźniowie go likwidują.

Pogorzelisko jeszcze dymi. Nieopodal ma zostać zbudowany stadion na zbliżającą się Narodową Spartakiadę Jakucką. To bardzo prestiżowa dla Czurapczy impreza i budowla, a obok taka gruźlicza ruina, więc władze miasta zdecydowały o rozbiórce-pożarze.

Każdy może przystać do Komuny. Zasada jest tylko jedna – w robocie nie ma picia. Raz w miesiącu Nikołaj płaci chłopakom od trzech do siedmiu tysięcy i spuszcza ich ze

smyczy, żeby się rassłabili (to także moje ulubione rosyjskie słowo), napili, nasączyli do woli. To najgroźniejsze, niebezpieczne chwile w życiu wspólnoty. Komunardzi wpadają w obłędny, zespołowy ciąg alkoholowy. Robią się agresywni, straszni, źli. Biją się bez przerwy i opamiętania, łamią sobie gnaty, kaleczą nożami.

Nikołaj pokazuje mężczyznę z gipsem na obu rękach.

Pijatyka trwa do wyczerpania pieniędzy. Potem mężczyźni pracują tylko za wikt i dach nad głową. Dach to teraz wspólne drewniane prycze w łaźni szpitala gruźliczego. Nie boją się tej choroby, bo wielu z nich złapało ją już w kryminale.

Pytam Nikołaja, czy też siedział. Mówi, że tak, ale maleńko – pięć lat za pobicie.

W Komunie jest jedna kobieta, Larysa, ich kucharka, ale niedawno przygruchała sobie jednego z chłopaków, planują ślub i odejdą.

To będzie już szósta rodzina założona przez komunardkę w dziesięcioletniej historii wspólnoty.

Wieczorem mam spotkanie połączone z kolacją. Lena i Misza Daczkowscy (polskie nazwiska wśród Jakutów to pamiątka po zesłańcach z carskich czasów) mają po pięćdziesiąt pięć lat, a małżeństwem są od trzech. Lena jest szefową Niurguna, dyrektorką czteroosobowego kolektywu w miejscowej stacji telewizyjnej.

Misza uzdrowiciel – usługi magiczne

– Jak władza radziecka była – Lena zaczyna opowieść o dziejach Miszy – ten człowiek pracował w Czurapczańskim Sowchozie. Mówili, że to najlepszy spawacz, zwycięzca w zawodach na najlepszego traktorzystę.

Lena po rosyjsku mówi bardzo prostym, trochę śmiesznym językiem. Trochę jak dziecko, z dziwną, pocieszną składnią i akcentem. I logiką, za którą nielekko nadążyć.

– A potem, jak u nas Sojuz rozpuścili, sowchoz też się rozpadł. I zrobił się wielki problem z mężczyznami. Nie mieli pracy. Na szczęście dali pracownikom byłym krowy. Jednemu jedną, innemu dwie, trzy, różnie. I temu człowiekowi, Miszy, też dali. Zajmował się tym trzy, cztery lata.

– Ile miał tych krów?

– No, jedną! Ale ona umarła. Zjadła gwóźdź i umarła.

– Gwóźdź?!

– U nas krowy takie – tłumaczy Lena. – Głupie czasami. Wszystko zeżrą. A miał też kota Misza ogromnego. I kiedyś wyjeżdżał do siana, a było zimno, to napalił w kuchni i poprosił sąsiada, żeby zamknął komin, jak przestanie się palić, to zamknął sąsiad, ale za wcześnie, zrobił się czad i kot umarł. No i Misza został bez krowy i nawet bez kota. Ale jeszcze miał psa. Bardzo dobrego psa myśliwskiego. Łajkę. Był uwiązany, bo to wiosna i psy miały ruję. Ale przyjechał Miszy brat i żal mu się psa zrobiło, to go

odwiązał. Pies poleciał za sukami i już piętnaście lat nie wraca. Tak Misza został sam. Bez swoich wiernych przyjaciół.

– A ludzi żadnych Misza nie miał?

– Miał żonę Marinę, ale ona nie była wierna. Poszła do innego mężczyzny. I Misza ożenił się drugi raz, ale ta kobieta strasznie piła, no i było mu z nią źle. Misza wraca do domu, a ona się wala.

– Jak z rejsu wracałem – odzywa się wreszcie sam Misza.

– Marynarzem byłeś?! – pytam zdziwiony.

– Nie. Traktorzystą – to znowu Lena mówi. – Oni po siano jeździli daleko, po czterysta kilometrów. Ciągnikami, bo u nas sucho, trawa nie rośnie. Kiedyś Misza wraca, a jej nie ma. Uciekła. Tak ten człowiek znowu został sam. Osiem lat jeden chodził. Ale prosty, wiejski naród wiedział, że u niego jest dar. Mówili „Misza szaman”. W sowieckich czasach wszystkich jakuckich szamanów, czterystu osiemdziesięciu ludzi, a to jest pół tysiąca, zamęczyli w łagrach. Tak że łączność ciut tylko, a by się zerwała.

– Między światem duchów i ludzi? – pytam.

– Tak. A przecież do sowieckich czasów jakucki naród leczył się tylko u szamanów. I zdrowy, silny był.

Misza zostaje indywidualnym przedsiębiorcą. Zakres usług – uzdrawianie. Załatwia sobie stosowną licencję i państwowy certyfikat. Jest jednym z ośmiuset tysięcy legalnie działających w Federacji Rosyjskiej specjalistów usług magicznych (uzdrowiciele, jasnowidze, wróżki),

z których korzysta co piąty obywatel. Lekarzy jest sześćset czterdzieści tysięcy.

(Uwielbiam kolekcjonować rosyjskie historie „od czapy” dziwaczne statystyki dotyczące tego kraju. Na przykład, że czterdzieści procent jego obywateli wierzy w cuda albo że co dziesiąta placówka służby zdrowia nie ma kanalizacji. A jeden biznesmen z Moskwy, miłośnik internetowej gry fantasy, kupił wirtualny supermiecz za dwadzieścia tysięcy prawdziwych dolarów. Co trzeciej windzie w Rosji skończył się termin użytkowania, co znaczy, że jest wypracowana w stu procentach. A najwęższa winda jest w Petersburgu. Ma czterdzieści pięć centymetrów szerokości, i tyle samo głębokości. Na koniec warto wiedzieć, że cztery i pół miliona Rosjan mieszka w tymczasowych, zastępczych mieszkaniach, a w Moskwie w zeszłym roku zamordowano sześciu urzędników administracji mieszkaniowej).

Jako dziecko Misza był pewien, że ma siostrę. Bawił się z nią przecież całymi dniami, a kiedy pierwszy raz miał pójść do szkoły, pytał wszystkich, czy ona też idzie. Tak się wydało, że do Miszy przychodził Czeczurkke – domowy duch z innego świata. Widzą je tylko wybrańcy. Wiadomo, że są bardzo małe, mają długie i jasne włosy.

– Duchy wybrały Miszę i dały mu moc, by mógł leczyć – mówi jego żona.

– Jak to robisz? – pytam go.

– On patrzy na człowieka jak w telewizor i wszystko widzi – opowiada Lena. – Czyta ze skóry pacjenta, bo wszystko jest na niej napisane, widać wszystkie organy.

– Patrzę także na aurę chorego i tam, gdzie jest choroba, jest zagęszczenie energii albo ciemna dziura w biopolu – Misza mówi najdłuższe zdanie w tym tygodniu i męczy się tak okrutnie, że tego wieczora już się nie odzywa.

Po kolacji Lena każe mi się rozebrać, a Misza mnie ogląda. Szepcze coś żonie po jakucku. Znajduje zapalenie woreczka żółciowego (pierwsze słyszę), nerkę, która burachalit (w słowniku nie ma tego słowa, ale jest barachlit, co znaczy „nawala”), kłopot z żołądkiem (dobry strzał!) i sgłaz, coś jakby urok od kobiety, która źle mi życzy.

Ale Misza nie znajduje cholernych problemów z kręgosłupem lędźwiowym i hemoroidów, z którymi mordują się wszyscy dziennikarze.

– Nic się nie martw – pociesza mnie Lena. – Misza od ręki zlikwiduje ten sgłaz i zrobi, żebyś żółć miał czystą i rzadką.

– Jak?!

– Spojrzeniem.

– A, to proszę – godzę się, ale Misza czasami, jakby przypadkowo delikatnie dotyka mnie palcami i sprawia mi to nieziemską wprost przyjemność.

– A na kręgosłup jest aparat specjalny – opowiada Lena. – Ja go sprowadziłam za 22 tysiące rubli z Jakucka dla swojego syna. Wprowadza się go przez odbyt i on tam duk, duk, duk pracuje w zadnicy i masuje. Wszystkie problemy przechodzą. Będziesz w Jakucku, to sobie kup. I za żołądek swój się weź. Jedz płatki owsiane i nie kupuj u nas pomidorów i jabłek, bo im robią zastrzyki, żeby nie marzły i się nie psuły. Ale serce masz dobre, zastawki jak

u dołgożytiela. Bardzo długa linia życia na dłoni. Gdzieś dziewięćdziesiąt sześć, siedem lat.

Na koniec Lena daje mi niewielki dywanik utkany z grzywy konia jakuckiego. To maleńkie, ale piekielnie silne, dzielne i wytrzymałe stworzenie, które potworne jakuckie zimy spędza pod gołym niebem. Żywi się suchymi badylami, które samo wykopuje sobie spod śniegu, ale normalny człowiek wygląda na nim, jakby siedział na psie. Dywanik służy do masażu wszystkich bolących miejsc, a jest taki szorstki i gryzący, jakby zrobili go z drutu.

Śmiertelnie skonany późnym wieczorem dowlekam się na moją kwaterę. Marzę tylko, żeby walnąć się do wyra i zasnąć. Jutro czeka mnie ostatni odcinek Traktu Kołymskiego do Jakucka.

Dzień XXXIV
Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Zatem dowlekam się na kwaterę z marzeniem, żeby spać**,** spać**,** spać**.** Ale trzeba wypić dwa, trzy kieliszki wódki z moimi dwoma towarzyszami, którzy wyglądają trochę jak jakuccy Flip i Flap. No, trzeba wypić i basta. To pijemy, a jeden z nich, chyba Flip (ten chudy), pada. Jakuci, jak wszystkie narody Północy, powinni wystrzegać się alkoholu, bo ich organizmy nie potrafią sobie z nim radzić. Taka specyfika fizjologii.

Flip pada, a ja kładę się spać. A do moich towarzyszy dołączają inni mężczyźni i rozpoczyna się moja najgorsza, najstraszniejsza noc podczas tej podróży. Rzecz w tym, że Polak czy Ruski, czy ktokolwiek – popije sobie, powrzeszczy, poprzewraca się, zwymiotuje i idzie spać – ale nie pijany Jakut! Ten będzie poniewierał się w nieskończoność. Nawet próbuje położyć się, ale zaraz się zrywa i gna gdzieś, albo zaśnie, ale za minutę, dwie spada z łomotem z łóżka i balanga z towarzyszami nabiera wigoru. Jadą gdzieś po wódkę, wracają, piją, wrzeszczą, kłócą się, szarpią,

demolują mieszkanie, śmieją się bez sensu udawanym śmiechem.

To grupa miejscowych naczelników mikroskopijnego rozmiaru, którzy urządzili sobie męski wieczorek. Jest ich siedmiu czy ośmiu, w tym moi Flip (naczelnik wydziału finansowego) i Flap (naczelnik budownictwa komunalnego). Wyglądają, jakby czegoś się naćpali. Czegoś, co ich zwala z nóg, a jednocześnie pobudza, nakręca. Strasznie jest na nich patrzeć. Wydaje się, że okropnie cierpią, jak gdyby nie mogli ustać, usiedzieć w miejscu. Kilka razy układają się i natychmiast gdy usypiają, wyją straszliwie, jęczą, jakby diabły siadały im na piersiach i dusiły bez miłosierdzia.

Europejczykowi alkohol czasem daje przyjemność, zadowolenie, rozkosz. Jakut zawsze dostaje niepokój, cierpienie.

Nie spałem tej nocy nawet minuty (z piątku na sobotę), a moi towarzysze mają tu być do poniedziałku. Rano są na nogach, więc skarżę się, że nie zmrużyłem oka, a oni dają mi kawałek ryby i kiełbasy, które po nocnej balandze walają się po stole. Jest im potwornie przykro, Flip wyciąga z kieszeni pieniądze, wpycha mi do ręki, przeprasza i tłumaczy, że nie są pijakami. Pyta, czy widziałem kiedy walającego się pijanego Jakuta na ulicy. Przyznać trzeba, że nigdy. Bo dla nich to najgorszy wstyd, dyshonor. Dlatego jest przyjęte, że męskie paczki zaszywają się gdzieś, chowają z dala od swoich domów i rodzin i tam już bez żadnych hamulców zalewają się w trupa.

Tak więc resztką sił powlokłem się rano na Trasę z planem, że jeśli do godziny czternastej niczego nie złapię, do Jakucka pojadę za pieniądze kursowym uazikiem.

Zatem nie wędruję. Zatrzymuje się pierwszy samochód, na którego machnąłem. Osobówka z Tolikiem w środku. Jak ja jedzie do Jakucka. Jest moim przedostatnim paputczikiem.

Po godzinie zatrzymujemy się w przydrożnym barze. Zamawiam gulasz z koniny z kartoflami, ale mam kłopot, czego by się napić po jedzeniu. Bo jest tylko herbata z kotła we wszystkich wariantach popularnych w wielonarodowej Jakucji – zatem z trzech kotłów. Herbata z mlekiem bez cukru, z cukrem bez mleka, z mlekiem i z cukrem. Herbaty bez dodatków nie ma. Z trojga złego wybieram wariant pierwszy, bo w dwóch pozostałych urzędowo są po trzy łyżki białej śmierci.

Nad Lenę docieramy po trzech godzinach jazdy. To najdłuższa syberyjska rzeka, dziesiątą pod względem wielkości rzeka na świecie. Drugiego brzegu, gdzie miasto Jakuck i koniec Trasy Kołymskiej, prawie nie widać.

Do stolicy prowadzą dwie drogi – z południa i ze wschodu, ale kończą się na rzece, bo to dwustutysięczne miasto nie ma mostu, kolei zresztą też. Władze obiecały most w 2015 roku. Ma zostać zbudowany kilka kilometrów powyżej Jakucka, gdzie Lena jest najwęższa i ma cztery kilometry szerokości.

Często bywa, że w kolejce do promu trzeba czekać wiele godzin, a przed laty czekało się nawet kilka dni. Dochodziło

do regularnych bitew ze strzelaniną o wjazd na prom. Zdesperowani ludzie spychali do rzeki samochody, które wjeżdżały bez kolejki.

Teraz do miasta pływają trzy promy, ale nie ma normalnych przystani. Promy otwierają burty na gliniasty, teraz już zamarznięty brzeg.

Samochody nie ustawiają się jeden za drugim, ale w kłębiącej się, zbitej ciżbie.

Przejazd jest bardzo drogi. Małe osobówki płacą osiemset rubli, a większe, na przykład wołgi – 1,1 tysiąca. Za ciężarowego kamaza trzeba zapłacić 12,7 tysiąca, a kiedy jest z przyczepą – 41 tysięcy rubli (ponad cztery tysiące złotych).

Jesiennej przerwy w transporcie przez Lenę prawie nie ma. Ciężki prom dla ciężarówek chodzi do połowy listopada po torze oczyszczanym przez lodołamacz, ale równolegle z nim otwarty jest już zimowik, czyli trasa po lodzie dla samochodów osobowych. Ciężarówki wpuszczają na nią w grudniu. Mogą jeździć do końca kwietnia.

Ostatnim moim paputczikiem jest Piotr Iwanowicz Swiecznikow, komandir promu przez Lenę, który czterdzieści lat pracuje na tej rzece. Zimową połowę roku żyje w swoim domku pod Krasnojarskiem, drugą połowę razem z synem i spanielką Lassi, którzy są w jego załodze, spędza na tym promie.

Andriej Sawwicz Borisow – minister kultury i duchowego rozwoju Republiki Sacha (Jakucja)

Minister Borisow – pierwszy ząb

Andrieja Borisowa wzięli do wojska w 1975 roku, zaraz po studiach w Moskiewskim Instytucie Teatralnym. On też jako szeregowiec trafił na ONTOT, Stały Pancerny Punkt Ogniowy na chińskiej granicy.

– Na moim odcinku w ziemi zaryte są ponad trzydziestoletnie, ciężkie czołgi Józef Stalin z czasów wielkiej wojny ojczyźnianej – opowiada mister kultury i duchowego rozwoju Republiki Sacha (Jakucja) Andriej Sawwicz Borisow. – To czterdzieści siedem ton zimnego jak śmierć żelastwa z armatą 122 milimetry i pancerzem grubym na szesnaście centymetrów. Ja jestem strzelcem CKM-u, a przez radio podnoszą alarm. Chińczycy ruszają! Ogromny tłum. Ale mgła, że na dwadzieścia metrów nic nie widać, a mnie zamarza bezpiecznik w karabinie. Co robić? Szarpię się z CKM-em, a oni idą, idą, idą! Chwytam dźwignię zębami i przestawiam na ogień ciągły. Tak tracę pierwszego zęba w życiu.

– A Chińczycy?

– Wycofują się. A ja już z życiem się żegnałem. Bo stamtąd nie było ucieczki. Wkoło miny. Mieliśmy wystrzelać całą amunicję i sami się wysadzić. Było takie pokrętło. Trzy obroty w prawo i… My też przypuszczaliśmy na Chińczyków takie pozorowane ataki.

Andriej Borisow jest najmłodszym twórcą, który dostał Nagrodę Państwową ZSRR, do tego za przedstawienie dyplomowe. To napisana po rosyjsku sztuka teatralna

Upragniony brzeg kirgiskiego pisarza Czyngisa Ajtmatowa, wystawiona przez jakucki teatr w gruzińskiej stolicy.

– Opowiada o żyjącym nad Morzem Ochockim maleńkim narodzie Niwchów – mówi minister. – Kwintesencja internacjonalizmu. Do tego scenografię tworzy Rosjanin, a muzykę Żyd.

Nagroda to pięć tysięcy rubli w gotówce (miesięcznie zarabiam dwieście), ale dzielą ją między pięciu twórców przedstawienia. Koperty wręcza Raisa Gorbaczow, żona sekretarza generalnego KPZR, przewodnicząca Fundacji Kultury, ale zabieram chłopakom pieniądze, bo myślę, że jak oddam je Raisie, to Michaił zbuduje mi teatr. W Jakucku gramy wtedy w starym soborze katedralnym.

– Zbudował? – pytam.

– E tam… Sami sobie budujemy czternaście lat później.

Andriej Borisow jest dyrektorem literackim i głównym reżyserem Sacha Teatru. Za wystawienie *Króla Leara* dostaje Nagrodę Państwową Federacji Rosyjskiej. Ministrem kultury Jakucji jest nieprzerwanie od upadku ZSRR.

Trzy lata temu wspólnym wysiłkiem Rosji i Mongolii kręcił wielki epicki obraz filmowy *Młodość Czyngis-Chana*. Głównym konsultantem reżysera do spraw meteorologii, szamanizmu, medycyny tradycyjnej, mongolskiej tradycji i zwyczajów jest szamanka Ediij Dora.

– Skąd ona wszystko to wie? – pytam.

– W tym właśnie rzecz! – Andriej Sawwicz wzrusza ramionami. – Nie wiadomo. Przecież nie jest stara, nigdy

się tego nie uczyła, a wie. Kiedyś z całą ekipą przychodzi nam nocować na mongolskim stepie. Następnego dnia planujemy ruszać dalej, a Dora mówi, że tej rzeczki, co przed nami, nie przejdziemy. Jak nie? Wszystkiego dwa metry szerokości. Rano wstajemy, a tam dwa metry, ale głębokości. Rzeka wylewa i musimy uciekać.

– Mówią, że ona wszystko wie.

– I potrafi. Nam robiła pogodę. Dla ekipy filmowej to podstawowa sprawa, a ona może zatrzymać deszcz, pokazać słońce. Dmucha w niebo i rozpędza chmury.

Dzień XXXV
Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Nie sądziłem, że mi się uda! Dzisiaj rano wycinam sobie włosy w nosie gilotyną do obcinania paznokci. I wreszcie golę brodę, która rosła od wyjazdu z Magadanu. Wyglądałem już jak prawdziwy otszelnik sybirski, kołymski brodacz, ale specjalnie, przyznam się, mi to nie przeszkadzało.

Czasami zadziwia mnie zdolność do radzenia sobie z brakiem podstawowych rzeczy. Wystarczy ich nie mieć, a natychmiast znajdzie się coś, czym można je zastąpić. Ja na przykład nigdy w drogę nie biorę łyżki. Zupę jem nożem. Dopiero przed wyjazdem na Kołymę przeczytałem u Szałamowa, że ten sposób jedzenia ma nazwę – zupę się je „przez burtę", bo tutaj więźniowie Gułagu nie dostawali łyżek. Pili prosto z miski, a gęste wygarniali palcami na brzeg i ściągali wargami.

Na pocztę internetową dostaję od znajomego emalię: „Proszę uważać na psy w Jakucku i tanią wódkę. Gdyby zaczepiali pana wypici Jakuci, proszę powiedzieć: min

omukpun, jestem cudzoziemcem, bo mogą pana wziąć za Ruskiego”.

Spóźniona rada. Z jakuckimi pijakami i sobakami mam do czynienia, zanim dojeżdżam do Jakucka.

Dzisiaj robię alkoholowy rachunek sumienia. Podróżuję przez Kołymę z Magadanu do Jakucka i jestem w drodze trzydzieści sześć dni. W tym czasie biorę udział w dziewiętnastu tęgich popijawach. Nie liczę niewinnego popijania piwa w przydrożnych barach czy pod sklepami w kołchozowych osiedlach. Mam na myśli poważne grzanie wódy albo koniaku.

Na Syberii mawiają, że sto wiorst nie droga, sto rubli nie pieniądz, sto gramów nie wódka. Nie do końca mogę się zgodzić z tą starą pogaduchą. Sto wiorst to rzeczywiście, jak na rosyjskie rozmiary, niewiele, zaledwie 106 kilometrów i 678 metrów. Jak ktoś powie, że mieszka pod Irkuckiem, to może się okazać, że to jest dwieście albo trzysta kilometrów od tego miasta. Że sto gramów to nie wódka zasadniczo trzeba się zgodzić, ale że sto rubli to nie pieniądz – na to nie ma zgody. Bo bardzo łatwo zamienić je na pięć razy po sto gramów, a to już, jak na normalnego, rosyjskiego mużyka (faceta), całkiem sporo, a na takiego przybysza jak ja – dawka prawie śmiertelna.

Wiedzieć trzeba, że rosyjska tradycja nie pozwala odejść od nieopróżnionej butelki, nie pozwala także nie dopić kieliszka. W Rosji pije się na komendę, z toastami i do ostatniej kropli. Ta zasada dotyczy także koniaku, wina i szampana. Zostawianie czegoś na dnie oznacza

nieszczerość tego, który nie dopił. Ta resztka w kieliszku to jest zło, złość, która zalega albo może zalec między biesiadnikami.

Jest też zasada, że ten, który nalewa przez cały wieczór, nie może zmieniać przy tym ręki. Bo następnego dnia będzie pękał łeb. I są dwie proste zasady dotyczące toastów. Toast za kobiety mężczyźni wypijają zawsze na stojąco, a za zmarłych bez stukania się kieliszkami. Żeby tym dzwonkiem nie zakłócać ich spokoju.

Od osiemnastu lat podróżuję do Rosji i zawsze przy alkoholu próbuję się migać, opuszczać kolejki, pić połówkami, ale to nigdy się nie udaje. Moi zastolni towarzysze z dobrego serca pilnują, żebym pił równo ze wszystkimi i do ostatniej kropli, choćbym miał przypłacić to życiem.

W Rosji jest pięć tysięcy zarejestrowanych gatunków wódek. Tyle nazw zastrzegli sobie producenci. Obowiązuje minimalna cena urzędowa. Nie wolno sprzedawać taniej niż za osiemdziesiąt dziewięć rubli za pół litra. Ale widywałem flaszki za siedemdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt rubli i plastikowe kubeczki jak od jogurtu za dziesięć rubli (złotówka!), które zawierały „symboliczne sto gramów” najwstrętniejszej cieczy o mocy 40 procent na świecie. „Symboliczne sto gramów” – kolejne powiedzonko ukochane przez rosyjskich mężczyzn.

Przeglądam swoje zapiski i odkrywam, że podczas całej mojej podróży ani razu nie kupuję wódki. To nie ja stawiam. Przeciwnie. Staram się unikać alkoholu, jak mogę,

a wychodzi na to, że bez przerwy jestem na bani. Ale właśnie wtedy gada się najlepiej.

A bywa, że zakrapianych spotkań mam kilka dziennie. I co mam powiedzieć człowiekowi, do którego ostatecznie ja mam interes, który otwiera duszę i stawia butelkę? Że z nim nie wypiję, bo jeszcze gdzieś idę? Że jestem abstynentem? Suchym alkoholikiem? To żadnej rozmowy nie będzie.

Mamy w Polsce powiedzonko, że kto nie pije, ten kabluje. Rosjanie mają dokładnie takie samo, tylko u nich kablownik, kabel, donosiciel, szpicel to suka albo stukacz, a stukać to donosić, i nie powtarzają tego powiedzonka tak jak my, dla śmiechu – u nich to najgłębsza prawda, mądrość życiowa powtarzana przez pokolenia od czasów Piotra Wielkiego, kiedy wysunęli się na czoło wśród pijących alkohol narodów świata.

Skończyłem moją kołymską podróż i patrząc teraz wstecz, widzę, czy też raczej czuję, jakbym po wjechaniu do Jakucji, a właściwie po przekroczeniu rzeki Ałdan, znalazł się nagle w Narnii, czy też odwiedził Alicję w jej Krainie Czarów.

Kiepskie porównanie, za słodkie. To raczej ziemia jednookiego Saurona – Władcy Pierścieni i Mordoru. Jakucja to tajemnicza kraina z dwudziestodwuprocentowym bezrobociem, w której jest okno do niskiego świata, czyli po naszemu piekła. Tak miejscowi szamani mówią o wykutej dwa wieki temu w stolicy stumetrowej studni, w której nigdy nie pojawiła się woda. (Bo nie mogła – wieczna zmarzlina!).

To jest też kraj wędrujących dziur w czasie. Kto w nie wpada, ginie bez wieści, ale są też tacy, którzy w porę się z nich wycofali i opowiadają niesłychane historie sprzed setek i tysięcy lat. Dziury w czasie pojawiają się w okolicach gigantycznych dziur w ziemi, w których współcześni szukają diamentów.

To jest wreszcie kraj Czuczuna – jakuckiego śnieżnego człowieka, który porywa kobiety i niekiedy odprawia je z brzuchami. Na świat przychodzą zawsze szwankujący nieco na umyśle chłopcy ogromnych rozmiarów. Ci, co widzieli Czuczuna, nigdy o nim nie opowiadają, a myśliwi, którzy go ustrzelili, na wszelki wypadek nie podchodzą nawet do ścierwa. Tak mówią – ścierwa.

Wszędzie te czary, duchy, szamańskie klątwy, dziwacy, uzdrowiciele, szajbnięci artyści… Jakuci – tacy skryci, zamknięci, małomówni, ponurzy, nieufni. Nie lubią obcych, niespodziewanych gości. Jeśli coś powiedzą reporterowi, to tylko to, co sami chcą – w żadnym wypadku to, co jego interesuje, o co pyta. Cholernie inni. Jakby ich, kurczę, teleportowali z kosmosu. Bez cienia poczucia humoru – w każdym razie nie tego naszego, żydowsko-helleńskiego.

I z logiką, za którą nie nadążysz. W moim ulubionym hotelu w Czurapczy mieszka siedem osób, ale jest tylko jeden klucz. Zasada taka, że drzwi zamyka ten, który rano wychodzi ostatni. Ale prawie nigdy ten ostatni nie wraca pierwszy. Pierwszy musi dzwonić do gospodyni, ona przybiega z innego domu i otwiera. A ja kręcę się między ostatnim a pierwszym i kilka razy w ciągu dnia wywlekam

kobietę z kluczem na mróz. Wiele lat się tak mordują. Nikt nie pomyśli, żeby dorobić klucze.

Jak nikt nie myśli, skąd wziął się japoński magnetofon kasetowy w rzece. Mężczyzna, który go znajduje, cieszy się, wchodzi do wody, skąd dobiega muzyka, i wyławia kamień o kształcie i wielkości ludzkiego serca.

Waży dokładnie pięć kilogramów – to pierwsze, co kamień mówi po wyłowieniu. Bo znalazca idzie na uniwersytet i kładzie znalezisko na precyzyjnej wadze, a ona pokazuje pięć i niezliczoną ilość zer po przecinku.

Mijają dwa lata od tego znaleziska, a do gadającego kamienia (nazywanego często kamieniem szczęścia) pielgrzymują setki, tysiące wyznawców, a każdy ze swoim życzeniem, prośbą. Zamknęli go w szkatule jak berło króla Jakucji, wyświechtali łapami, zatłuścili, wyślizgali, ale gdy i ja biorę go w swoje ręce, czuję, że nie dotykałem czegoś takiego od czasu, gdy Matka Teresa upuściła medalik, a ja go jej podniosłem.

Z jakim przesłaniem przybył kamień? Zaraz po tym jak określił swoją wagę, powiedział: „Ludzie! Nie bądźcie tacy twardzi. Ja kamień, a jestem miękki”.

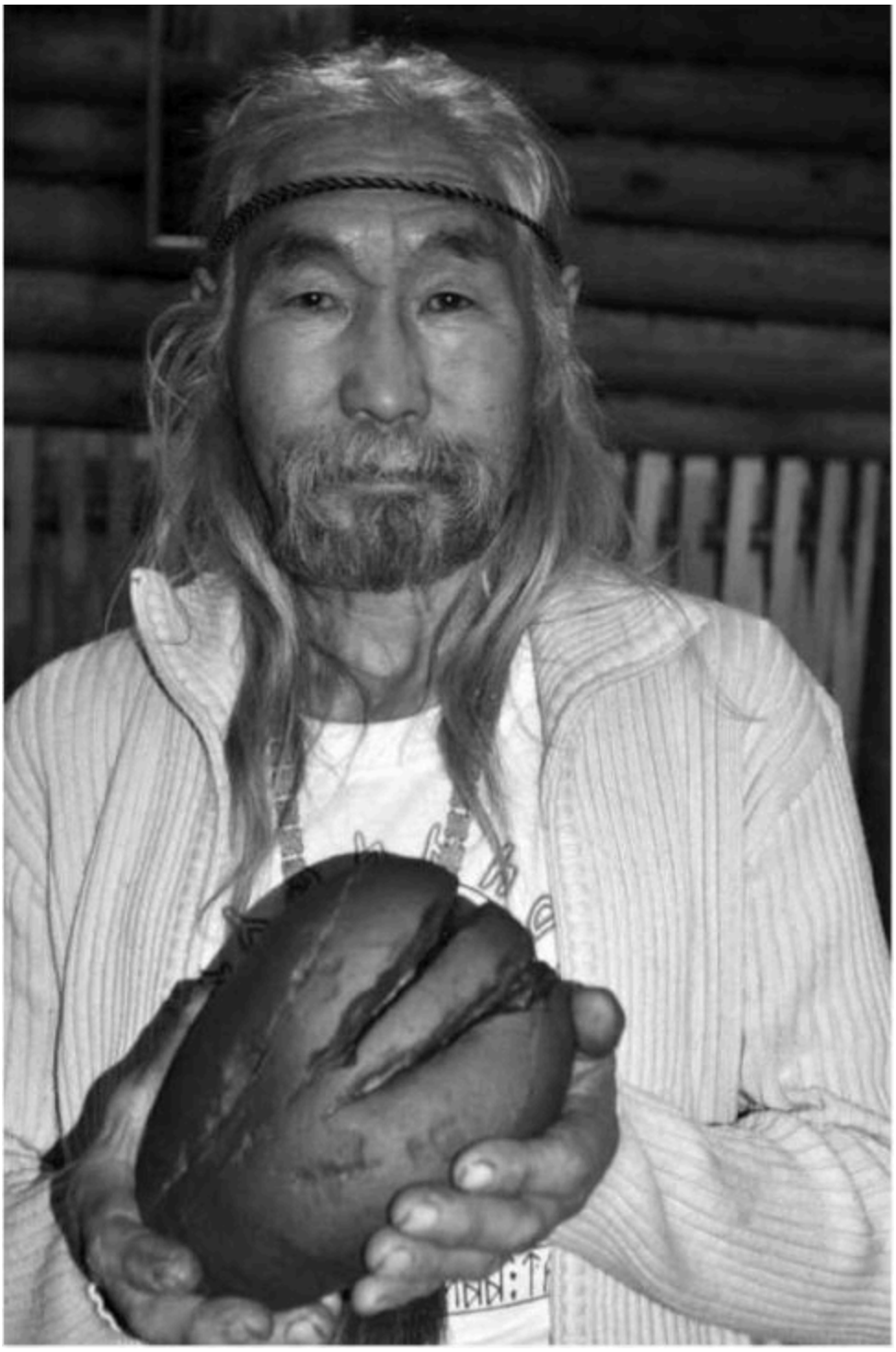

Gadający kamień ze swoim strażnikiem

Redaktor I - szamańska noc

– Interesujesz się szamanizmem – raczej stwierdza, niż pyta. – Ostrożnie z tym. Albo zostaw lepiej. Dobrze radzę.

Andriej I jest rosyjskim Mandżurem, stąd to krótkie, chańskie nazwisko. Jest gwiazdą rosyjskiej telewizji pierwszej wielkości, eksploratorem, odkrywcą, zdobywcą, pogromcą mitów i tajemnic, autorem programu *Poszukiwacze*. Nie było legendy, która by się przed nim ustrzegła, zagadki, której by nie sflekował, tajemnicy, której nie rozwikłał, zabobonu, którego nie obśmiał.

Trzecia, młodziutka i ukochana żona Andrieja pochodzi z Jakucka. Ale mieszkają w Moskwie, bo żal światowego życia, blasku metropolii, klubów, knajp, kumpli z ekranów i estrady. Ona też wsiąka w show-biznes. Marina ma na imię.

Ich synek ma rok, kiedy dziewczyna bierze się za scenariusz filmu dokumentalnego o jakuckich szamanach. Ginie w strasznie dziwnym wypadku samochodowym. Spada bez powodu z wiaduktu kolejowego pod koła pędzącego pociągu.

– Szaman ją zabił – mówi Andriej. – Nie chciał, żeby robiła film.

– Skąd wiedział, że robi?

– Oni wszystko wiedzą. Zginęła 21 grudnia, w szamańskim dniu. Tym najkrótszym w roku. Kiedy noc jest najdłuższa. Nigdzie w świecie szamani, czarownicy, cudotwórcy, szarlatani i prorocy nie są tak potężni jak

w Jakucji. Bo nasi czerpią energię z ziemi, a tu jest ona ogromna, gęsta, że można kroić ją nożem.

Andriej pochował żonę w Jakucku i od tego czasu mieszka tu na stałe. Wygląda, jakby od jej wypadku jeszcze się nie pozbierał.

– A ten szaman.

– Umarł – przerywa mi Andriej. – To bardzo znany, główny szaman Jakucji, jakby oficjalna postać, więc pogrzeb państwowy, wielka pompa, dostojnicy, tłumy. Leży na tym samym cmentarzu, co moja Marina.

– Dlaczego nie chciał, żeby robiła ten film?

– Nie rozmawiajmy już o tym! – wybucha Andriej. – Nie chcę o tym mówić!

– Dlaczego?

– Stanowczo nie!

– Bo bolesne? – pytam. – Niebezpieczne?

– Jasne, że niebezpieczne! Strasznie!

– Poważnie mówisz? W dwudziestym pierwszym wieku? Wykształcony człowiek, reżyser, inżynier kosmonautyki?

– Nie o siebie się boję – on na to. – O synka.

– Przecież ten szaman nie żyje.

– Ale to nie znaczy, że jego tutaj nie ma – mówi Andriej i rozgląda się dokoła.

Dzień XXXVI
Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Jakucja oszalała. Na punkcie bieguna (czyli biegacza), Piotra Siemionowicza Naumowa, niemal ociemniałego inwalidy pierwszej grupy, bo prawym okiem nic nie widzi, a w lewym minus dwadzieścia pięć dioptrii. Ma sześćdziesiąt jeden lat i właśnie ukończył bieg na dystansie 12 009 kilometrów z Kaliningradu do Władywostoku. Zajęło mu to dwieście sześć dni. Z tego wynika, że codziennie przebiegał ponad pięćdziesiąt osiem kilometrów.

Opowiada mi, że z powodu swojej ułomności w szkole zawsze był zwolniony z WF-u. Biegać zaczął po czterdziestce, w najgorszym do wyobrażenia momencie życia, kiedy umarła jego żona, zostawiając go w wynajmowanym jednopokojowym mieszkanku z szóstką dzieci od dwóch do jedenastu lat. Mieli jego rentę inwalidzką o równowartości ośmiuset złotych, a Piotr był, jak sam mówi, pościelnym człowiekiem, bo od miesięcy nie wstawał z łóżka z powodu urazu kręgosłupa.

Ale podniósł się i odbił od dna przez to bieganie.

Nigdy nie miał szczęścia do sponsorów, bo ślepy, drogi nie znajdzie i zabłądzi, więc na bieg Kaliningrad-Władywostok pieniądze dały mu dorosłe dzieci, rodzeństwo, sąsiedzi i przyjaciele z rodzinnej wioski. Biegł z rykszą o dwóch dyszlach zrobioną z wózka inwalidzkiego. Miał osiemdziesiąt kilogramów wody, żywności i sprzętu, w tym żeliwną kuchenkę opalaną drewnem. Mieszkał w namiocie, a po drodze miał szczęście tylko do zacnych ludzi. Wspierali go pieniędzmi, karmili, przyjmowali pod dach.

Na spotkanie z biegunem przychodzę do budynku jakuckiej Rady Ministrów. Władze urządzają dla niego uroczysty jubel z przypięciem do klapy białej marynarki medalu o najdłuższej chyba nazwie: 65-lecia Zwycięstwa Radzieckiego Narodu nad Hitlerowskimi Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941-1945. Piotr Siemionowicz biegł dla uczczenia tej rocznicy.

Milicjant w biurze przepustek, nim jeszcze zdążę otworzyć gębę, wita mnie z imienia i nazwiska. Tyle że jeszcze godzinę temu nie wiedziałem, że przyjdę na to spotkanie.

Od wielu dni czuję wlepione w siebie czerwone ślepia bezpieki. Od czasu kiedy zadzwoniłem do Wiktorii Gabyszowej, dziennikarki gazety „Basza Prawa” (Wasze prawa), która zadarła z jakuckim ministrem spraw wewnętrznych Stachowem, bo napisała o nim artykuł. To niezwykła dziewczyna i historia, której poświecę duży reportaż.

Minister wpadł na pomysł, żeby zamęczyć Wiktorię procesami cywilnymi o obronę swojej czci i dobrego imienia, ale zatrudnił do tego dziesięciu swoich podwładnych. Żądają w sumie miliona rubli zadośćuczynienia. Dziennikarka ma więc dziesięć procesów, nie wychodzi z sądu, nie może normalnie żyć, pracować.

Jakuci sami wybierają swojego prezydenta i rząd, ale ministra spraw wewnętrznych dostają z Moskwy.

Wracam do hotelu, odpalam komputer, a on mówi, że został nieprawidłowo wyłączony. Jak nieprawidłowo?! Chyba wiem, jak wyłączać własnego kompa! Znam wszystkie jego humory.

Bateria rozładowana do zera. Bo słabiuchna… ktoś w nim grzebał**!** Głąby! Nie wetknęli wtyczki do gniazdka. Dlatego komputer sam się wyłączył.

Na szczęście całą moją pracę, wszystkie nagrane rozmowy i zdjęcia kopiuję na pendrive’y i zawsze noszę przy sobie. To najcenniejsze, co mam, moja książka o Kołymie. A teraz przyjdzie mi nosić także komputer.

Ale zmieniam zdanie. Wychodzę z hotelu i zostawiam go w pokoju. Będę udawał, że nie wiem o ich akcji, bo inaczej zrobią poprawkę. Przecież bez trudu mogą mi wszystko na chama odebrać na ulicy.

Wracam po kilku godzinach. Znowu byli. Wiem na pewno, bo przytrzasnąłem papierek w drzwiach. I komputer przetrzepali. Już nie pozwolili mu się wyłączyć. Sprawdzam pliki. Brakuje dwóch – Wika1 i Wika2.

Wieczorem idę z ministrem Borisowem na premierę pierwszego fabularnego filmu produkcji jakuckiej. To jeden z najgorszych obrazów, jakie widziałem w życiu, więc zaraz po pokazie urywam się z przyjęcia, bo jakoś przykro mi odpowiadać na pytania gospodarzy, czy mi się podobało.

Mam dwa kroki do hotelu, ale przed wejściem zatrzymują mnie tajniacy. Długo kontrolują dokumenty, przetrząsają plecak, teczki z notatkami i przepraszają za pomyłkę. Dają pewnie czas kolegom, którzy znowu trzepią mój komputer.

Mam dość Jakucka. Trzeba się wynosić. Do domu. Ja też żyłem kiedyś w takim kraju, ale odwykłem – już nie potrafię. Nie chcę.

Po drodze do pokoju w hotelowym sklepiku kupuję gacie, bo w podróży lubię mieć dwie pary, a jedne podarły mi się na samiuśkiej tyli. Sprzedawczyni mówi z dumą, że towar z Polski. To po to jechał przez dwa kontynenty, żeby teraz wrócić do ojczyzny na moim tyłku?

To może poleciałbym gdzieś jeszcze w świat, skoro kupiłem te gacie i jestem tak daleko? Wiza jeszcze ważna, a dzięki Basanskiemu mam w zapasie sto tysięcy rubli. Może Czukotka? Najdalej jak się da na euroazjatyckim kontynencie.

Biegun, który tylko dwieście sześć dni gnał z Kaliningradu do Władywostoku

Szamanka Dora – śmierci nie ma

– Kamienie mogą gadać? – pytam Ediij Dorę, legendarną jakucką uzdrowicielkę i nauczycielkę, która nie lubi nazywać siebie szamanką, zresztą na nią nie wygląda, bo ubiera się jak wszyscy.

– Tak. Są kamienie, które mają potężną siłę, moc. Mam ich dużo, ale nie są do ozdoby. To kamienie robocze. Zostały przysłane z nieba. Z każdym przychodzi do mnie nowa siła, moc, doświadczenie. Niosą w sobie ogromną ilość informacji zbieranych przez wieki, tysiące, miliony lat. Kamienie są jak książki, tylko nie każdy może je czytać.

Opowiadam Dorze historię Mariny, żony filmowca Andrieja I, która szykowała się do robienia filmu o jakuckich szamanach, ale ich przywódca nie dał jej na to zgody. Dziewczyna zignorowała zakaz i nie przestała pisać scenariusza, więc szaman, chociaż dzieliły ich tysiące kilometrów, sprawił, że miała wypadek.

– Można zabić człowieka na taką odległość? – krzywię usta.

– Bez żadnego trudu! – Nauczycielka na to. – Znam tę historię. Kiedy Jakutom na czymś bardzo zależy, coś jest dla nich nadzwyczaj ważne, nigdy o tym głośno nie mówią. Ona złamała to prawo. Duchom się to nie podobało, więc szaman postąpił słusznie. Niczemu nie jest winien. Uprzedzał przecież. Andriej i jego żona to bardzo śmiali ludzie, poszukujący sensacji, śmiesznych ciekawostek, zabobonów, nadprzyrodzonych zjawisk. I Marina tak pisała

swój scenariusz, a to pokazuje, że w sprawach duchowych to ludzie bardzo prymitywni.

– Andriej pewnie już nie – mówię. – Bał mi się nawet o tym opowiadać. Mówił, że lęka się o syna.

– To znaczy, że jeszcze nie rozumie, co zaszło. Jak zrozumie, to się uspokoi.

– Dlaczego szaman zabronił jej robić ten film?

– Bo nie dorosła do tego tematu. Za młoda, za mało doświadczona. Przecież wy też nie oddacie swojego dziecka do szkoły, w której uczą młodzi, niedoświadczeni nauczyciele. Nie pójdziecie na operację do stażysty. Duchy się nie godziły i koniec! Mądrym, doświadczonym, uważnym ludziom przecież pozwalają. Są takie filmy. Andriej i Marina nie posłuchali duchów i zostali ukarani. Każdy człowiek ma określone możliwości, i nie wolno porywać się na coś, co je przerasta. Przecież jak źle pływacie, a zechcecie przepłynąć wielką rzekę, to utoniecie.

– To takie proste.

– A ze mną nie chcecie mieć zdjęcia? – Ediij Dora raptownie zmienia temat.

– Bardzo bym chciał, tylko nie miałem śmiałości prosić.

– Oooch! Widzicie go! Udaje nieśmiałego – wprawiam nauczycielkę w świetny nastrój. – Ale na siedząco, żeby nie było widać różnicy wzrostu. Nie możecie na zdjęciu być wyżej niż ja.

Co nie jest takie oczywiste, bo Dora to potężna kobieta. Wielka i tęga, z solidnym brzuszyskiem, które o mało nie pęknie od podrygiwania jak purchawka, bo jakoś śmieszny

jej się wydaję ze swoim japońskim aparatem. Droczy się ze mną, że tak blisko do niej podchodzę, a nikomu na to nie pozwala.

– Powinienem się was bać? – pytam niby żartem. – Bo wszystko o mnie wiecie.

– Wiem. Ja wszystko widzę. Widzę dwa drzewa przed twoim domem. Z jednej strony brzoza, z drugiej choinka. Widzę mateczkę rzekę, którą przekraczasz, jadąc do pracy. Ale rzadko tam bywasz. Widzę twój żółty rower, nową książkę w zielonej okładce ze złotymi literami, w której będziesz pisał także o mnie, i twojego psa widzę. I widzę, kim byłeś, zanim się urodziłeś, oraz jak i kiedy umrzesz. Ale tego nikomu nie mówię. Nawet tym, którym zostało bardzo niewiele życia.

– Wiecie, jak będzie z każdym?

– Tak. Ja to widzę, ale to bardzo niestosowne pytania. Nie wolno pytać o śmierć. To grzech. O tym nawet nie wolno myśleć. Szczególnie tobie, bo przed tobą nadzwyczajnie dużo roboty, morze pomysłów, zadań. Potem dopiero dusza każdego z nas na jakiś czas wraca na swoje miejsce. Człowiek nie umiera. Umiera tylko jego ciało. Potwierdzę ci coś, o czym wiesz.

– Ostrożnie, Ediij. To mogą być ostatnie słowa w mojej książce o strasznej Kołymie.

– Śmierci nie ma.

Archiwistka Sirotinska – zamiast zakończenia

Mam szukać na cmentarzu Kuncowskim. Blisko bramy, trzecia aleja. Albo czwarta, po prawej. Nie, nie – po lewej. Poznam na pewno! Napis na płycie wyraźny. Warłam Tichonowicz Szałamow. Czytać trzeba.

– Ale śniegu w Moskwie prawie pół metra – skarżę się.

– Pomnik bardzo piękny zrobiłam – mówi Irina Sirotinska. – Głowa z brązu. Ale ukradli. Szukajcie głowy na cokole.

– Ukradli!? To jak znajdę?

– Kazałam zrobić drugą, z żeliwa. Dopóki tam chodziłam, stała na miejscu. Obok pochowali Bobrowa, znanego piłkarza i hokeistę. Na grobie ma piłkę i kij hokejowy. Ale z brązu. Szukajcie piłki i kija.

Złomiarze – współcześni neandertale, dzikusy, barbarzyńcy, grabieżcy. Gdzie by taką głowę przepuścili, taką piłkę, kij. Takie fanty!

Warłam Szałamow po siedemnastu latach spędzonych na Kołymie wraca do Moskwy w 1953 roku, roku śmierci Stalina. Żona, która czekała na niego przez wszystkie lata, nie odważyła się jednak z nim zamieszkać. Próbuje przekonać go, żeby zapomniał o Kołymie, dał spokój ze wspomnieniami, z pisaniem. Nie spędzili razem nawet pierwszej nocy. Już na dworcu Jarosławskim było jasne, że oboje czekali na kogo innego. Córka jest oddaną aktywistką

Komsomołu, od lat w ankietach pisze, że ojciec nie żyje. Nie przyszła z matką na dworzec.

W latach sześćdziesiątych pisarz poznaje Irinę Pawłowną Sirotinską, pracownicę Państwowego Archiwum Literatury, swoją ostatnią wielką miłość.

– Mówił, że lata, kiedy byliśmy razem, to najlepsze chwile w jego życiu. Póki z nim jestem, będzie żył.

– A wy go kochaliście?

– Tak. Ale inną miłością. W jego miłości był fizyczny pierwiastek, a ja kochałam go duchowo. Uwielbiałam go. Był moim prorokiem.

– Pewnie nie o to mu chodziło.

– Nie. Chciał, żebym zostawiła dzieci, męża i zamieszkała tylko z nim. Ale przecież bym ich zabiła. Mąż też bardzo mnie kochał. A Warłam myślał tylko o sobie. Bardzo trudny, gwałtowny człowiek. A przy tym taki biedny, żałosny kaleka. Oślepł, ogłuchł zupełnie i zniedołężniał przed śmiercią. Chciał, żebym się nim zajmowała. Bardzo nie chciał iść do zakładu, ale ja pracowałam, dzieci, rodzina.

Umarł w samotności w zakładzie psychiatrycznym w 1982 roku. Nigdy nie wyleczył się z łagrowego urazu niepohamowanego jedzenia na zapas, gromadzenia żarcia, odpadków, chowania pod materacem suchych skór od chleba. I nie doczekał się wydania *Opowiadań kołymskich*, o czym marzył całe życie.

Jedynym towarzyszem umierania Szałamowa była suka, jak mówią w Rosji, konfidentka KGB, która pilnowała pisarza w psychuszce.

Żona nie była na pogrzebie, córka, gdy jej powiedziano, że ojciec umarł, odpowiedziała, że nie zna tego człowieka.

Wielką sławę, uznanie, dziesiątki wydań w wielu językach zyskał dopiero po śmierci. Wszystkie prawa autorskie zapisał Irinie Sirotinskiej.

– A ja wydałam wszystko, co napisał w życiu – mówi Irina Pawłowna. – Do ostatniej linijki.

– Korespondencję z żoną też?

– Nie zachowała się. Ona niszczyła jego listy, a jej listy ukradli błatni. Potem je na głos czytali i robili zbiorowe seanse onanistyczne.

– Nie pozwolę, Irino Pawłowna, żeby to były ostatnie słowa w mojej opowieści o Kołymie.

– On zawsze mówił, że życie bez miłości nie ma sensu.

Ediij Dora. Na koniec strasznie ją rozbawiłem

Ostatni dzień – jeszcze jedno zakończenie

– Bo ja, pani Janino, mam kłopot z forsą, którą przywiozłem z Rosji, z Kołymy. Dostałem od największego bogacza, co tam poszukuje złota, i chciałbym pani dać.

– A na co mi ona?! – Pani Janina jest oficerem Armii Krajowej i nawet zdania ze znakiem zapytania brzmią w jej ustach jak rozkaz. – Nie ma pan komu dać?!

– Chcę pani. Zostało dwoje kołymian w Polsce. To wasze pieniądze.

– Niech pan da na Caritas, do kościoła. Oni wysyłają biedne dzieci na kolonie.

– To ja pani dam te pieniądze – próbuję negocjować – a pani da na Caritas.

– Ja niechodząca jestem! Niech sam odda na Caritas. I do domu dziecka. Zwyczajnego, państwowego. Tylko żeby dali papierek, że wzięli.

Janina Durlik z Radomia była drużynową żeńskiej drużyny harcerskiej w Gimnazjum Ojców Pijarów w Lidzie na dawnych kresach wschodnich II Rzeczypospolitej. Potem było AK, wejście Rosjan, wpadka, śledztwo i artykuł 58. radzieckiego kodeksu karnego paragraf 1. – zdrada ZSRR. Jakby pani Janina była kiedyś obywatelką tego kraju. Dostaje 10-5-5. Tak nazywa się ten wyrok: dziesięć lat łagru, pięć zsyłki i pięć pozbawienia praw obywatelskich. Zabrali jej złotą ślubną obrączkę, bo sześć miesięcy przed aresztowaniem pani Janina wyszła za mąż. Radziecki urzędnik sporządził nawet na tę okoliczność stosowny

protokół, ale Związek Radziecki nigdy nie oddał pani Janinie jej własności.

Jana Stańskiego z Zabrza wzięli w 1945 roku we Lwowie. Rosjanie zgarnęli go przypadkowo na ulicy, ale miał przy sobie broń, a jego kolega wniosek awansowy na kaprala Armii Krajowej. Tak zaczęła się kolejna, lwowska wsypa. Kolega załamał się w śledztwie i wydał wielu kolegów.

– W pierwszym liście, który dostaję z domu na Kołymę, ojciec pisze, że mój brat nie żyje. W moim życiu dwa razy przewalały się fronty, potem konspiracja, śledztwo, więzienie, łagry i żyję, a on spokojnie siedział i po wojnie zabił się na motorze.

Pan Jan i pani Janina wracają do Polski tym samym pociągiem w grudniu 1955 roku. Wcześniej przyjaciele pani Janiny z konspiracji wysłali do Radomia zwiad, żeby sprawdzić, czy jej mąż czeka, czy nie założył drugiej rodziny.

– Miała z nim pani rozmowę o wierności? – pytam.

– Ja sumienie miałam czyste. Za nim babki się uganiały, bo przystojny, świetnie grał w brydża, tańczył. Ale zawsze mówił, że ma żonę. I że ona na pewno wróci.

– Gdzie spędziliście pierwszą noc?

– Na Malczewskiego – mówi pani Janina. – W mieszkaniu rodziny męża.

– Dostaliście swój pokój?

– Razem z ojcem.

– Kurde! Nie widzieliście się jedenaście i pół roku i jeszcze wam ojca wmeldowali?!

– A co?! Na schody mieliśmy go wystawić? Pierwsze i jedyne własne mieszkanie dostaliśmy w 1961 roku. Dwa pokoje z kuchnią, jak pan widzi, ale bardzo ustawne. W lodżii stoi szafa, gdzie trzymam garnki, brytfanny, gęsiarki…

– Co to są gęsiarki? – pytam.

– Podłużne półmiski. Większy do indyka, mniejszy do kaczki.

– To dlaczego gęsiarka?

– O Boże! Średni jest do gęsi! I niech żona herbaty zrobi.

– Tak jest – żona autora zrywa się z kanapy.

– Czerwony kurek to woda gorąca – pani Janina udziela instrukcji – a niebieski zimna. W kuchni na ścianie rysunki mojej córki. Wykłada architekturę wnętrz w Toronto. Halo! Widzi pani?! Jak się pani nazywa?! Imię pani?!

– Agata!

– Idę do ciebie! – pani Janina łapie balkonik i wstaje. – O Jezu. Jak mnie kolana bolą. A pan nie siada na tym fotelu, bo to mój do picia herbaty.

Następnego dnia pani Janina dzwoni do mnie i rozkazuje wysłać sobie jednak pieniądze od kołymskiego oligarchy. W jej kościele zbierają datki dla rodziny spod Sandomierza, która w wiosennej powodzi utraciła cały dobytek.

– Co z tym chłopakiem, który was wsypał Ruskim we Lwowie? – pytam pana Jana.

– Siedział. I też był na Kołymie. Przeżył i wrócił do Lwowa. Biedny, samotny człowiek bez rodziny, to jak przyjechałem z niewoli do Polski, to go do siebie ściągnąłem. Pracowałem w młynie, a jak zrobiłem maturę, dali mnie na inspektora od gastronomii do PIH-u.

– Co to jest?

– Państwowa Inspekcja Handlowa. Przez dziesięć lat kontrolowałem zakłady zbiorowego żywienia, a potem zostałem kierownikiem restauracji Polonia w Pyskowicach. Dla Polski zdychałem z głodu na Kołymie – w Polonii karmiłem innych.